„Nieprawdopodobnie wciągająca powieść”
THE GUARDIAN
MINIATURZYSTKA
JESSIE BURTON

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

MINIATURZYSTKA

JESSIE BURTON

Przełożyła Anna Sak

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Copyright © 2013 by Jessie Burton

© Copyright for the Polish translation by Wydawnictwo Literackie, 2014

Tytuł oryginału "The Miniaturist"

© Copyright for the cover design by Katie Tooke
Fotografia wykorzystana na okładce © Andersen M Studio

REDAKTOR PROWADZĄCY: Jolanta Korkuć
REDAKCJA: Anna Pawlikowska
KOREKTA: Weronika Kosińska, Aneta Tkaczyk

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 00 96 tel.: (+48-12) 619 27 70

ISBN: 978-83-08-05686-8

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark). Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Spis treści

Motto

[Wtorek, 14 stycznia 1687 roku]

I. [Połowa października 1686 roku]

Na drugą stronę

Opończa

Nowy alfabet

Trompe l’oeil

Podarunek

Przewiny

Lista Smita

Na Kalverstraat

Przesyłka

Na barce

Zabawy małżeńskie

Gabinet

Schody

Grosze i gromy

Żona

Wymiany

Zdradzona

II. [Listopad 1686 roku]
Na odwrót
Decyzje
Opowieści
Osiem lalek
Zapisane na wodzie
Chłopak na lodzie
Buntowniczka
Lis wpada w gorączkę
Pęknięcia

III. [Grudzień 1686 roku]
Plamy
Słodki oręż
Pustki
Świadek
Dusze i trzosy
Ucieczka
Podkowa
Ukryte ciała
Zerwana kotwica

IV. [Styczeń 1687 roku]
Zarodniki
Stadhuis
Verkeerspel
Okruch nadziei
Dzikie bestie muszą zostać poskromione
Spektakl
Gulden i lalka
Przybysz
Bajarz
Córki
Drzwi się zamykają
Puste pokoje
Zaraza w ogrodzie
Stopniowalność istnienia
Kamień młyński

V. [Niedziela, 12 stycznia 1687 roku]

Nowa Holandia

Słowniczek

Porównanie zarobków pod koniec XVII wieku w Amsterdamie

Przykładowe wydatki domowe zamożnego amsterdamczyka pod koniec XVII wieku

Podziękowania

Dla Lindy, Edwarda i Pipa

Petronella Oortman, *Domek dla lalek*, © Rijksmuseum, Amsterdam

„Rozchwyćcież srebro, rozchwyćcież złoto, i niezmierne bogactwa, i cokolwiek najkosztowniejszego ze wszystkich klejnotów drogich”.

KSIĘGA NAHUMA 2, 9 [1]

„A gdy on wychodził z kościoła, rzekł mu jeden z uczniów jego: Nauczycielu! Patrz, jakie to kamienie, i jakie budowania? A Jezus odpowiadając rzekł mu: Widzisz te wielkie budowania? Nie będzie zostawiony kamień na kamieniu, który by nie był rozwalony”.

EWANGELIA WEDŁUG
ŚWIĘTEGO MARKA 13, 1–2

(Wszystkie cytaty pochodzą z podkreślonych fragmentów w domowej Biblii Brandtów).

1. Cytaty z Pisma Świętego podano w przekładzie Biblii Gdańskiej (przyp. tłum.). [wróć]

WTOREK, 14 STYCZNIA 1687 ROKU
STARY KOŚCIÓŁ, AMSTERDAM

Pogrzeb ma być skromny, bo zmarła nie miała przyjaciół. Lecz słowa są w Amsterdamie jak woda: dostają się wszędzie i powodują zepsucie. Wschodni narożnik kościoła pełen jest ludzi. Kobieta widzi całą scenę z bezpiecznych stalli chóru, patrzy, jak członkowie gildii wraz z żonami gromadzą się nad otwartym grobowcem — przypominają mrówki krzątające się wokół plastra miodu. Dołączają do nich urzędnicy Kompanii Wschodnioindyjskiej, kapitanowie statków, regentki, cukiernicy — i on, nadal w tym swoim kapeluszu z szerokim rondem. Kobieta próbuje wzbudzić w sobie litość dla niego. Ale litość, w przeciwieństwie do nienawiści, można odłożyć na później.

Malowane sklepienie kościoła — jedyna rzecz, która oparła się reformatorom — wznosi się nad nimi niczym przewrócony kadłub wspaniałego statku, zwierciadło duszy miasta. Wymalowany na wiekowych belkach Chrystus Sędzia trzyma miecz i lilię, złoty frachtowiec pruje fale, Najświętsza Maria Panna tkwi nieruchomo na sierpie księżyca.

Podnosi sąsiednie siedzisko, a jej palce drżą na odsłaniającej się drewnianej przypowieści. Na płaskorzeźbie mężczyzna z pożądliwym grymasem na twarzy sra workiem z monetami. Co się zmieniło? — myśli.

A jednak…

Nawet zmarli są dziś obecni, płyty grobowe pod stopami żałobników kryją jeden szkielet na drugim, kości i proch. Pod posadzką znajdują się szczęki kobiet, i kość miedniczna kupca, i wydrążone żebra tłustego notabla. Są tam też malutkie trupki, czasem mniejsze od bochenka chleba. Zauważa, jak ludzie odwracają spojrzenie od tego skondensowanego smutku, jak odsuwają się od każdej małej płyty, i myśli, że nie może ich za to winić.

W tłumie kobieta dostrzega tę, dla której tutaj przyszła. Dziewczyna stoi nad otworem w świątynnej posadzce całkiem wycieńczona, pogrążona w żalu. Ledwie zauważa tych, którzy się przyszli pogapić. Przyodziani w kir grabarze idą wzdłuż nawy, trumna na ich ramionach chwieje się jak futerał na lutnię. Patrząc po twarzach, można by pomyśleć, że niektórzy

mają jakieś zastrzeżenia co do tego pogrzebu. To sprawka Pellicorne’a, myśli kobieta. Tej samej starej trucizny sączonej do ucha.

Zwykle takie procesje mają ściśle ustalony porządek — na przodzie burmistrzowie, prosty lud za nimi — ale tego dnia nikt nie zaprząta sobie tym głowy. Kobieta przypuszcza, że takich zwłok nie było jeszcze w żadnym z domów bożych tego miasta. To takie rzadkie, takie wyzywające. Amsterdam nie istniałby, gdyby nie ryzyko, lecz teraz miasto łaknie pewności, gładkiego przejścia przez życie, strzeże swoich pieniędzy i wygód ślepym posłuszeństwem. Powinnam była wyjechać wcześniej, myśli. Śmierć podeszła za blisko.

Krąg się rozstępuje, kiedy grabarze torują sobie drogę. Bez ceremonii spuszczają trumnę do dołu; dziewczyna staje nad krawędzią. Ciska w ciemność bukiecik kwiatów, a szpak trzepocze skrzydłami, wzlatując pod sufit wzdłuż bielonej ściany kościoła. Głowy odwracają się w roztargnieniu, lecz dziewczyna ani drgnie, podobnie jak siedząca w stallach kobieta. Obie patrzą na kreślące łuk płatki, podczas gdy Pellicorne intonuje ostatnią modlitwę.

Kiedy grabarze zasuwają nową płytę na miejsce, służąca klęka nad znikającą czeluścią i zaczyna szlochać. Wyczerpana dziewczyna również nie ma siły powstrzymać łez, a ten brak godności i klasy spotyka się z ogólną dezaprobatą. Dwie kobiety odziane w jedwab stają koło stalli i szepczą do siebie:

— Znaleźliśmy się tutaj właśnie z powodu takiego zachowania — mruczy jedna.

— Jeśli są tacy przy ludziach, za zamkniętymi drzwiami na pewno zachowują się jak zwierzęta — odpowiada jej przyjaciółka.

— Racja. Ale chętnie zamieniłabym się z muchą gapiącą się na to ze ściany, bzzzz!

Tłumią chichot, a kobieta w stallach zauważa, że zbielały jej kłykcie dłoni zaciśniętej na wsporniku.

Posadzka kościoła zostaje ponownie zapieczętowana, krąg się rozprasza, zmarli znów są na dystans. Dziewczyna jak witrażowa święta, która zeskoczyła z okiennej szyby, w końcu zauważa obecność nieproszonych obłudników. Ludzie zaczynają ze sobą gadać, zmierzając w stronę wyjścia i krętych ulic miasta, a pochód zamykają dziewczyna i jej służąca, które w milczeniu idą ramię przy ramieniu wzdłuż nawy i wychodzą. Większość mężczyzn powróci do swoich kantorków i sklepów, ponieważ utrzymanie

bogactwa Amsterdamu wymaga nieustannej pracy. Ciężka harówka przyniosła nam chwałę — mówi przysłowie — ale lenistwo zepchnie nas z powrotem do morza. A w tych czasach podnoszące się wody wydają się podchodzić coraz bliżej.

Gdy kościół pustoszeje, kobieta opuszcza stalle. Przyspiesza kroku, nie chce, żeby ktoś ją zauważył.

— Wszystko może się zmienić — mówi, a jej głos odbija się echem od ścian.

Gdy odnajduje nowo położoną płytę, widzi, że to pośpiesznie wykonana robota: granit wciąż jest cieplejszy niż inne grobowce, a ryte dłutem litery nadal pokrywa warstewka pyłu. Nie do wiary, że w ogóle doszło do czegoś takiego…

Przyklęka i sięga do kieszeni, by dokończyć to, co zaczęła. To jej osobista modlitwa: domek tak maleńki, że mógłby zmieścić się w dłoni, a w nim dziewięć pokoi i pięć ludzkich postaci; rzemiosło tak niebywałe, jakby powstało poza czasem. Ostrożnie umieszcza swój dar tam, gdzie w jej zamyśle zawsze miał się znajdować, i błogosławi chłodny granit zesztywniałymi palcami.

Popycha drzwi kościoła, odruchowo wypatrując kapelusza z szerokim rondem, płaszcza Pellicorne’a, spowitych w jedwabie kobiet. Wszyscy rozpłynęli się jak we mgle i mogłaby pomyśleć, że została tu całkiem sama, gdyby nie furkot skrzydeł uwięzionego szpaka. Czas nagli, ale kobieta przytrzymuje przez chwilę otwarte drzwi. Lekceważąc jej starania, ptak odfruwa jednak za ambonę.

Kobieta zamyka chłodne kościelne wnętrze i zwracając twarz ku słońcu, oddala się od pierścieniowatych kanałów w stronę morza. Szpaku, przemawia do niego w duchu, jeśli sądzisz, że tam będziesz bezpieczniejszy, to nie ja będę tą, która cię wyswobodzi.

I

POŁOWA PAŹDZIERNIKA 1686 ROKU
KANAŁ PAŃSKI (HERENGRACHT),
AMSTERDAM

„Nie pragnij łakoci jego;
Bo są pokarmem obłudnym”.

KSIĘGA PRZYPOWIEŚCI
SALOMONOWYCH 23, 3

Na drugą stronę

Petronella Oortman stoi na progu domu swego nowo poślubionego męża i stuka do drzwi kołatką w kształcie delfina, nagle onieśmielona spowodowanym przez siebie łomotem. Nikt się nie zjawia, choć się jej spodziewają. Termin był ustalony, listy napisane — papier jej matki lichy w porównaniu z kosztownym welinem Brandta. Nie, myśli, to nie najlepsze powitanie. Zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę krótką jak okamgnienie ceremonię ślubną w poprzednim miesiącu — żadnych girland, weselnego kielicha, nocy poślubnej. Nella kładzie swój kuferek i klatkę dla ptaków na stopniu. Wie, że będzie musiała to później ubarwić w liście do domu — kiedy już znajdzie schody na piętro, pokój, biurko.

Odwraca się w stronę kanału, bo pod ceglanym murem po jego drugiej stronie rozlega się śmiech wioślarzy. Chuderlawy chłopak wpadł na kobietę z koszykiem ryb, półżywy śledź ześlizguje się po rozłożystej spódnicy handlarki. Ostry krzyk wieśniaczki przenika Nellę do kości. „Dureń! Dureń!”, wrzeszczy kobieta. Chłopiec jest niewidomy i szuka ryby na ziemi po omacku, jakby to był srebrny amulet; ma szybkie palce, nie traci rezonu. Łapie swoją zdobycz i rechocząc, biegnie wzdłuż kanału z wyciągniętym przed siebie wolnym ramieniem, gotowy do ewentualnej obrony.

Nella gratuluje mu w myślach i stoi dalej zwrócona twarzą do słońca, chłonąc to rzadkie październikowe ciepło, póki się da. Tę część Herengracht nazywają Złotym Zakrętem, ale dzisiaj ten szeroki odcinek wydaje się szarobury i zwyczajny. Wznoszące się nad szlamowatymi wodami kanału kamienice wyglądają niesamowicie. Zapatrzone we własne symetryczne odbicia na wodzie, dostojne i piękne, są jak klejnoty w koronie dumnego miasta. Ponad dachami natura robi co w jej mocy, by temu sprostać — obłoki w kolorze szafranu i moreli potwierdzają chwałę republiki.

Nella odwraca się z powrotem do drzwi, teraz lekko uchylonych. Czy już przedtem były niedomknięte? Nie jest pewna. Popycha je i zagląda do środka. Od marmurowej posadzki bije chłód.

— Johannesie Brandt! — woła głośno, lekko spłoszona.

Czy to jakaś gra? — zastanawia się. Będę tak stała do maja. Peebo, jej aleksandretta, uderza szybko skrzydełkami w pręty klatki, słabe popiskiwanie ptaka opada szybko na marmury. Nawet ucichły teraz za nimi kanał jakby wstrzymuje oddech.

Nella jedno wie na pewno, zaglądając głębiej w mrok. Ktoś ją obserwuje. Daj spokój, Nello Elżbieto, karci siebie w myślach, przekraczając próg. Czy mąż weźmie ją w ramiona i pocałuje, czy tylko uściśnie jej dłoń, jakby załatwiał interesy? Na ślubie nie zrobił żadnej z tych rzeczy, otoczony przez jej nielicznych krewnych; z jego rodziny nie było nikogo.

Żeby pokazać, że wiejskie dziewczyny też wiedzą, co to dobre maniery, schyla się i zdejmuje pantofelki — wykwintne, skórzane, oczywiście najlepsze, jakie ma, choć po co jej one, nie ma teraz pojęcia. Godność, orzekła jej matka, ale godność jest taka niewygodna. Rzuca pantofle na podłogę w nadziei, że hałas kogoś wywabi, a może odstraszy. Matka mówi, że Nella ma wybujałą wyobraźnię, „Nella w obłokach” — tak ją często nazywa. Porzucone pantofelki leżą zawiedzione, a dziewczyna czuje się po prostu głupio.

Na dworze nawołują się dwie kobiety. Nella odwraca się, ale przez otwarte drzwi widzi tylko plecy jednej z nich — jest bez czepka, o złocistych włosach, wysoka, odchodzi w stronę ostatnich promieni słońca. Włosy Nelli też się rozwichrzyły w podróży z Assendelftu, wiatr wyswobodził spod czepka pojedyncze kosmyki. Jeśli je teraz odgarnie, wyjdzie na to, że jest jeszcze bardziej zdenerwowana, niż chciałaby po sobie pokazać, dlatego pozwala im dalej łaskotać się w twarz.

— Cóż to, będziemy mieli menażerię?

Głos, stanowczy i dźwięczny, płynie z ciemności. Nelli cierpnie skóra, bo choć jej przypuszczenia się potwierdziły, wcale nie czuje się przez to pewniejsza. Patrzy, jak postać wyłania się z mroku, z wyciągniętą przed siebie dłonią — czy w proteście, czy w powitalnym geście, trudno orzec. To kobieta, wyprostowana i szczupła, ubrana w głęboką czerń, w wykrochmalonym i uprasowanym idealnie białym czepku na głowie. Ani jedno pasmo włosów nie zdołało się spod niego wymsknąć. Roztacza wokół delikatny, zaskakujący zapach gałki muszkatołowej. Oczy ma szare, usta poważne. Jak długo tutaj stała? Peebo skrzeczy z ożywieniem.

— To Peebo — wyjaśnia Nella. — Moja papużka.

— Widzę — odpowiada kobieta, patrząc na nią z góry. — Albo raczej słyszę. Mniemam, że nie masz ze sobą żadnych innych stworzeń.

— Mam małego pieska, ale został w domu…

— To dobrze. Narobiłby tylko bałaganu. Podrapałby meble. Te małe pieski to kaprys Francuzów i Hiszpanów — zauważa kobieta. — Są równie niepoważne jak ich panowie.

— I brzydkie jak szczury! — dodaje drugi głos z głębi korytarza.

Kobieta marszczy czoło, na chwilę zamykając oczy, a Nella ogarnia ją spojrzeniem, zastanawiając się, kto jeszcze jest świadkiem tej rozmowy. Jestem od niej młodsza o jakieś dziesięć lat, myśli, chociaż skórę ma gładką. Gdy kobieta, mijając Nellę, podchodzi do drzwi, w jej ruchach widać wdzięk, pewność siebie i stanowczość. Rzuca przelotne, aprobujące spojrzenie na buciki ustawione równo przy drzwiach i z zaciśniętymi wargami zagląda do klatki. Peebo stroszy piórka w przestrachu.

Nella postanawia odwrócić uwagę kobiety, podając jej dłoń na powitanie, lecz nieznajoma wzdryga się pod dotknięciem.

— Mocne kości jak na siedemnastolatkę — stwierdza.

— Jestem Nella. I mam osiemnaście lat — prostuje Nella, cofając rękę.

— Wiem, kim jesteś.

— Naprawdę mam na imię Petronella, ale w domu wszyscy wołają na mnie…

— Dotarło już za pierwszym razem.

— Jesteś gosposią? — pyta Nella. W mroku korytarza ktoś z trudem tłumi śmiech. Kobieta ignoruje to, patrząc na zewnątrz w perłowe przedwieczorne niebo. — Czy jest tu Johannes? Jestem jego nową żoną.

Kobieta wciąż się nie odzywa.

— Wzięliśmy ślub przed miesiącem, w Assendelfcie. — Nella nie daje za wygraną. Zresztą co innego jej pozostaje?

— Brata nie ma w domu.

— Brata?

Znów chichot dobiegający z ciemności. Kobieta patrzy Nelli prosto w oczy.

— Jestem Marin Brandt — oznajmia, jakby Nella powinna wiedzieć, o co chodzi. Wzrok Marin jest może surowy, ale Nella słyszy nutkę wahania w jej głosie. — Nie ma go tutaj. Myśleliśmy, że będzie. Ale go nie ma.

— A gdzie jest?

Marin znowu patrzy w niebo. Jej otwarta lewa dłoń jak liść zagarnia powietrze i z cienia przy schodach wychodzą dwie postacie.

— Otto — mówi.

Skóra Ottona jest ciemna, cała ciemnobrązowa. Szyja ponad kołnierzykiem, nadgarstki i dłonie wystające z rękawów — wszędzie niekończący się ciemny brąz. Wystające kości policzkowe, podbródek, szerokie czoło, każdy cal. Nella jeszcze nigdy nie widziała takiego człowieka.

Marin wygląda, jakby czekała na jej reakcję. Spojrzenie dużych oczu Ottona nie zdradza, że zauważył nieskrywaną fascynację Nelli. Kłania się jej, a ona dyga, przygryzając wargę, aż smak krwi przypomina jej, że powinna się opanować. Nella patrzy, jak jego skóra lśni niczym wypolerowany orzech, jak wokół głowy sterczą jego nastroszone czarne włosy. To obłok miękkiej wełny, a nie takie przylizane i tłuste strąki jak u innych mężczyzn.

— Ja…

Peebo zaczyna świergotać. Otto wyciąga ręce, w jego szerokich dłoniach spoczywa para chodaków.

— Dla pani — mówi.

Mówi z amsterdamskim akcentem, ale wymawia słowa tak, że stają się ciepłe i płynne. Nella bierze od niego chodaki, a jej palce muskają skórę mężczyzny. Niezdarnie wsuwa stopy w buty na grubej podeszwie. Są na nią za duże, ale nie ośmiela się tego powiedzieć, przynajmniej teraz jej stopy nie dotykają chłodnego marmuru. Zaciśnie skórzane paski później, na piętrze — o ile w ogóle tam dotrze, o ile przepuszczą ją przez sień.

— Otto jest na służbie u mojego brata — wyjaśnia Marin, ze spojrzeniem ciągle utkwionym w Nelli. — A to Cornelia, nasza służąca. Zaopiekuje się tobą.

Cornelia postępuje krok naprzód. Jest trochę starsza od Nelli — ma może dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat — i nieco wyższa. Wita Nellę nieprzyjaznym uśmiechem, błękitnymi oczami lustruje młodą żonę, dostrzega drżenie jej dłoni. Nella uśmiecha się, onieśmielona jej ciekawością, i usiłuje wydobyć z siebie kurtuazyjne podziękowanie. Jest zarazem wdzięczna i zawstydzona, kiedy Marin w końcu oznajmia:

— Zaprowadzę cię na górę. Pewnie chcesz zobaczyć swój pokój.

Nella kiwa głową, a w oczach Cornelii pojawia się iskierka rozbawienia. Radosny świergot z klatki wznosi się i odbija od ścian, Marin zaś szybkim ruchem ręki daje Cornelii do zrozumienia, że ptak będzie musiał zostać w kuchni.

— Ale opary z gotowania… — protestuje Nella. Marin i Otto zwracają się ponownie w jej stronę. — Peebo lubi światło…

Cornelia podnosi klatkę i zaczyna huśtać nią jak wiadrem.

— Uważaj, proszę — mówi Nella.

Marin posyła Cornelii tylko szybkie spojrzenie i służąca zmierza już do kuchni, przy akompaniamencie wątłego popiskiwania Peebo.

*

Na górze Nella czuje się przytłoczona przepychem swojego nowego pokoju. Marin rozgląda się po nim z niezadowoleniem.

— Cornelia przesadziła z tymi haftami — gdera. — Jednak mamy nadzieję, że Johannes ożeni się tylko raz.

W pomieszczeniu są poduszki z inicjałami, nowa narzuta i dwie pary niedawno odświeżonych zasłon.

— Ciężki aksamit jest potrzebny, bo nie przepuszcza mgieł znad kanału — stwierdza Marin. — To był kiedyś mój pokój — dodaje, podchodząc do okna, by wyjrzeć na gwiazdy, które zaczęły pojawiać się na niebie. Kładzie dłoń na szybie. — Ma lepszy widok, dlatego postanowiliśmy oddać go tobie.

— O nie — protestuje Nella. — W takim razie powinnaś tu zostać.

Stoją naprzeciwko siebie, otoczone mnóstwem haftów, masą pościeli z wyszytym inicjałem B, jak Brandt, okolonym liśćmi winorośli, usadowionym w ptasim gnieździe albo wyrastającym z kwietnika. Literki B wyglądają, jakby zjadły jej panieńskie nazwisko, ich brzuszki są grube i wydęte. Nella czuje się niepewnie, ale z obowiązku przesuwa palcem po tym wełnianym darze, już teraz ciążącym jej na sercu.

— Czy w twojej wspaniałej siedzibie rodowej, w Assendelfcie, jest ciepło i sucho? — pyta Marin.

— Bywa wilgotno — odpowiada skwapliwie Nella, schylając się, żeby poprawić chodaki przywiązane niezgrabnie do stóp. — Tamy czasem puszczają. Nie da się jednak powiedzieć, żeby była wspaniała…

— Może nie mamy tak starego rodowodu jak wy, ale cóż to znaczy wobec ciepłego, suchego, zadbanego domu? — przerywa jej Marin. Nie jest to pytanie.

— Masz rację.

— *Afkomst seyt niet*. Pochodzenie się nie liczy — kontynuuje Marin, akcentując słowo „nie” dźgnięciem palcem w poduszkę. — Pastor Pellicorne tak się wyraził zeszłej niedzieli, a ja zanotowałam to na pierwszej stronie naszej Biblii. Poziom wód się podniesie, jeśli nie będziemy ostrożni. — Wygląda, jakby otrząsała się z zamyślenia. — Pisała do nas twoja matka — dodaje. — Chciała koniecznie opłacić twoją podróż. Nie mogliśmy na to pozwolić. Wysłaliśmy po ciebie barkę, naszą drugą barkę. Nie czujesz się obrażona?

— Ależ skąd, nie.

— Dobrze. Bo w tym domu „druga” znaczy świeżo pomalowana i z kajutą wyścielaną bengalskim jedwabiem. Johannes używa tej pierwszej.

Nella zastanawia się, gdzie też podziewa się jej mąż, który zamiast wrócić na czas, by ją powitać, pływa sobie barką. Myśli o Peebo, który jest sam w kuchni, w pobliżu ognia, w pobliżu garnków.

— Macie tylko dwoje służących? — pyta.

— To wystarczy — stwierdza Marin. — Jesteśmy kupcami, nie wałkoniami. Biblia powiada, że człowiek nie powinien pysznić się swoim bogactwem.

— Tak, prawda.

— To znaczy, jeśli zostało mu cokolwiek, czym mógłby się pysznić. — Marin spogląda na nią surowo, a Nella odwraca wzrok.

Światło w pokoju zaczyna przygasać. Marin zakłada osłonkę na świece. Są tanie, łojowe. Nella wolałaby bardziej wonny wosk pszczeli. Pachnące mięsem, kopcące świece są dla niej w tym domu zaskoczeniem.

— Cornelia wyszyła twoje nowe nazwisko chyba wszędzie, gdzie się dało — rzuca Marin przez ramię.

Owszem, myśli Nella, przypominając sobie nienawistne, badawcze spojrzenie służącej. Pewnie ma palce pokłute do krwi — i kogo za to ukarze?

— Kiedy wraca Johannes? Dlaczego go nie ma? — pyta.

— Twoja matka pisała, że nie możesz się doczekać, aż rozpoczniesz żywot małżonki w Amsterdamie — oznajmia Marin. — Czy to prawda?

— Tak. Ale do tego trzeba męża.

Zapada lodowata cisza, w trakcie której Nella zastanawia się, gdzie jest mąż Marin. Może schowała go w piwnicy? Tłumi nagłą chęć wybuchnięcia śmiechem i tylko uśmiecha się do jednej z poduszek.

— To wszystko jest takie piękne — mówi. — Naprawdę nie musiałaś.

— To robota Cornelii. Ja mam dwie lewe ręce.

— Jestem pewna, że to nieprawda.

— Zabrałam swoje obrazy. Uznałam, że te będą bardziej w twoim guście.

Marin wskazuje ręką na ścianę, gdzie odmalowana olejną farbą para ptaków łownych zwisa z haka — same pióra i pazury. Dalej na ścianie jest malowidło rozciągniętego zająca, myśliwskiego trofeum. Obok piętrzy się namalowany stos ostryg na talerzu w chińskie wzory, w cieniu przewróconego kieliszka z winem i półmiska przejrzałych owoców. Jest coś niepokojącego w tych ostrygach, w ich obnażonych wnętrzach. W jej rodzinnym domu matka wieszała na ścianach pejzaże i sceny z Biblii.

— Ten należy do mojego brata — informuje ją Marin, wskazując na obraz przedstawiający wazon przepełniony kwiatami, bardziej wyrazistymi niż na żywo, przesadnie kolorowymi, z połówką owocu granatu przycupniętą niżej, przy ramie.

— Dziękuję. — Nella zastanawia się, ile czasu zajmie jej obrócenie obrazów do ściany, zanim położy się spać.

— Zapewne zechcesz zjeść dzisiaj tutaj, na górze — oznajmia Marin. — Tyle godzin byłaś w podróży.

— Tak, to prawda. Byłabym wdzięczna. — Nella wzdryga się w duchu na widok zakrwawionych dziobów ptaków, ich szklistych oczu, które oznaczają, że mięso niebawem zacznie odchodzić od kości. Gdy na nie patrzy, ogarnia ją ochota na coś słodkiego.

— Masz może marcepan?

— Nie. Cukier to… Nie używamy go w dużych ilościach. On zaraża ludzkie dusze chorobą.

— W domu matka wałkowała marcepan w różne kształty.

Marcepan był zawsze w spiżarce; to jedyna skłonność, w której pani Oortman przypominała swego męża. Syreny, statki i naszyjniki ze słodkich klejnotów, wilgotna migdałowa masa rozpływająca się w ustach. Już nie należę do matki, myśli Nella. Pewnego dnia będę lepić słodkie figurki dla innych małych, spoconych rączek, dla głosików domagających się przysmaków.

— Każę Cornelii przynieść ci herenbrood i trochę goudy — mówi Marin, wyrywając Nellę z zamyślenia. — I kielich reńskiego.

— Dziękuję. Wiesz może, kiedy wróci Johannes?

Marin wysuwa podbródek i pociąga nosem.

— Cóż to za zapach?

Nella odruchowo kładzie dłoń na dekolcie.

— Czy to ja?

— Ty?

— Matka kupiła mi wodę perfumowaną. Olejek liliowy. O to ci chodzi?

Marin kiwa głową.

— Chyba tak — odpowiada. — Lilie. — Pokasłuje lekko. — Wiesz, co mówią o liliach.

— Nie wiem. Co?

— Co wcześnie zakwita, to wcześnie gnije.

Mówiąc to, Marin zamyka drzwi.

Opończa

O czwartej nad ranem następnego dnia Nella wciąż nie może zasnąć. Osobliwość nowego otoczenia, lśniącego i haftowanego, zasnutego zapachem dymiącego łoju, nie pozwala jej się uspokoić. Obrazy pozostały na widoku, bo nie miała odwagi odwrócić ich do ściany. Leży bezsennie, a myśli w jej skołatanej głowie krążą wokół wydarzeń, które doprowadziły do jej przyjazdu tutaj.

Dwa lata temu, kiedy umarł pan Oortman, w Assendelfcie mówili, że był człowiekiem, który nie omijał żadnego browaru. Nella nie znosiła aluzji, że jej papa był co najwyżej spitym Priapem, okazało się to jednak przygnębiająco prawdziwe. Ojciec zostawił im w spadku garść długów — zupa zrobiła się cieńsza, mięso chudsze, a służący odchodzili jeden po drugim. Ojciec nigdy nie „zbudował arki", co było powinnością każdego Holendra w walce z podnoszącym się morzem. „Musisz poślubić kogoś, kto potrafi utrzymać grosz w trzosie", stwierdziła jej matka, biorąc do ręki pióro. „Ale nie mogę dać nic w zamian", odparła wtedy Nella. Matka cmoknęła z dezaprobatą: „Spójrz na siebie. Co więcej my, kobiety, mamy?".

Ta konstatacja wprawiła Nellę w osłupienie. To, że została tak umniejszona przez własną matkę, sprawiło jej ból, a smutek po utracie ojca zastąpił dziwny żal nad sobą samą. Jej młodsze rodzeństwo, Carel i Arabella, przebywało wciąż na dworze i tam bawiło się dalej w piratów albo w kanibali.

Nella od dwóch lat ćwiczyła się w byciu damą. Zaczęła chodzić z gracją — choć narzekała, że nie ma gdzie, i po raz pierwszy poczuła, że chciałaby się w końcu wyrwać ze swojej wsi, w której zaczęła widzieć co najwyżej sielankowe więzienie, mimo ogromu rozciągniętego nad nią nieba. W ciaśniej niż kiedykolwiek zasznurowanym gorsecie doskonaliła swoją grę na lutni, poruszając zgrabnie palcami po gryfie, na tyle zatroskana o matczyne nerwy, by nie wszczynać buntu. W lipcu tego roku poszukiwania matki, prowadzone za pośrednictwem ostatniego ze znajomych ojca w mieście, nareszcie zakończyły się sukcesem.

Przyszedł list, zaadresowany starannym, wyrobionym pismem. Matka nie pozwoliła jej go przeczytać — ale po tygodniu Nella dowiedziała się, że ma zagrać dla kupca nazwiskiem Johannes Brandt, przybyłego aż z Amsterdamu. Gdy słońce zniżało się nad brązowiejącymi równinami Assendelftu, nieznajomy siedział w ich popadającym w ruinę domu i słuchał jej gry.

Nella miała wrażenie, że był poruszony, a kiedy skończyła, powiedział, że bardzo mu się podobało. „Uwielbiam lutnię — zwrócił się do niej. — To piękny instrument. Mam dwie, wiszą u mnie na ścianie, ale od lat nikt na nich nie grał".

A kiedy Johannes Brandt — trzydziestodziewięcioletni „istny matuzalem", jak zakrzyknął Carel — poprosił ją o rękę, zdecydowała się przyjąć oświadczyny. Odmowa byłaby dowodem niewdzięczności i niewątpliwej głupoty. Co innego jej pozostawało, jeśli nie — jak ujęła to Marin — żywot małżonki?

Po wrześniowej ceremonii w Assendelfcie, gdy zapisano ich imiona w księgach parafialnych, i po krótkim obiedzie u Oortmanów Johannes wyjechał. Tłumaczył, że trzeba dostarczyć towar do Wenecji i że musi to zrobić osobiście. Nella i jej matka pokiwały głowami ze zrozumieniem. Był taki czarujący z tym swoim krzywym uśmiechem, otaczała go aura władzy. W noc poślubną młoda małżonka spała, jak przez wszystkie poprzednie lata, z wiercącą się u boku siostrą. Ale wszystko idzie ku lepszemu, myślała, wyobrażając sobie, jak wznosi się nad Assendelftem i odradza jako nowa kobieta — żona, a później…

Z zamyślenia wyrywa ją szczekanie psów w sieni. Nella słyszy męski głos — to Johannes, jest tego pewna. Jej mąż jest tutaj, w Amsterdamie — trochę spóźniony, ale jest. Nella siada w małżeńskim łożu i niewyraźnie powtarza swoje kwestie: „Jakże jestem rada. Dojechałeś bezpiecznie? Tak? Co za szczęście, och, co za szczęście".

Nie ośmiela się jednak zejść na dół, nagle spięta, przejęta myślą, że zaraz go zobaczy. Lęk budzi się w jej brzuchu, a Nella zastanawia się, jak by tu zacząć. Wreszcie wzuwa chodaki, narzuca szal na koszulę nocną i skrada się korytarzem.

Słychać pazury psich łap smyrgających po kafelkach. Psy przyniosły w sierści zapach morza, ogonami tłuką o meble. Marin pierwsza zeszła do Johannesa i Nella słyszy, jak rozmawiają.

— Nigdy tego nie powiedziałem, Marin — mówi Johannes. Jego głos jest niski, oschły.

— Mniejsza o to. Cieszę się, że cię widzę. Modliłam się o twój bezpieczny powrót.

Gdy Marin wychodzi z cienia, by mu się przyjrzeć, płomyk trzymanej przez nią świecy pełga i tańczy. Przechylona przez balustradę Nella obserwuje nieznajomy, zwalisty kształt podróżnego płaszcza Johannesa, jego zaskakująco grube palce, jak u rzeźnika.

— Wyglądasz na wyczerpanego — kontynuuje Marin.

— Wiem, wiem. Ta londyńska jesień…

— Jest straszna. A więc byłeś w Anglii. Pozwól. — Wolną ręką Marin pomaga mu zdjąć płaszcz. — Ależ ty schudłeś! Tak długo cię nie było.

— Nie jestem chudy. — Odsuwa się. — Rezeki, Dhana! — woła, a psy biegną za nim jak wierni kompani. Nella powtarza w myślach te dziwnie brzmiące imiona. Rezeki, Dhana. W Assendelfcie Carel nazwał ich psy Kinol i Limo, mało oryginalnie, ale za to świetnie oddając ich charakter i wygląd.

— Bracie — odzywa się Marin — ona tu jest.

Johannes przystaje, lecz się nie odwraca. Opuszcza ramiona, głowa opada mu trochę niżej.

— Aha — mówi. — Rozumiem.

— Lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś tu był, kiedy przyjechała.

— Na pewno poradziłaś sobie doskonale.

Marin milknie, a milczenie narasta między jej bladą twarzą a nieruchomą bryłą pleców jej brata.

— Nie zapomnij.

Johannes przeczesuje sobie włosy palcami.

— Jakże mógłbym? — odpowiada.

Marin wygląda, jakby miała powiedzieć coś jeszcze, ale tylko oplata się ramionami.

— Okrutnie zimno — zauważa.

— To idź już spać. Ja muszę jeszcze popracować.

Zamyka drzwi, a Marin narzuca sobie opończę brata na ramiona. Nella wychyla się jeszcze bardziej, patrząc, jak Marin zanurza twarz w długich fałdach materiału. Poręcz skrzypi i kobieta jednym ruchem zrzuca z siebie płaszcz, patrząc w górę, w ciemność. Nella zamiera, a gdy Marin otwiera szafę przy wyjściu z korytarza, wraca chyłkiem do swojego pokoju.

Trochę później, słysząc trzask zamykanych drzwi do sypialni Marin na końcu korytarza, Nella schodzi ukradkiem głównymi schodami. W korytarzu zatrzymuje się przy szafie, spodziewając się, że zobaczy powieszony płaszcz, ten jednak leży porzucony na podłodze. Nella przyklęka i bierze go do ręki. Ma zapach wilgoci, zapach zmęczonego mężczyzny i miast, które widział. Powiesiwszy opończę na haku, Nella podchodzi do drzwi, za którymi zniknął jej mąż, i puka.

— Na miłość boską — słychać zza drzwi. — Pomówimy rano.

— To ja. Petronella. Nella.

Po chwili drzwi otwierają się i staje w nich Johannes z twarzą ukrytą w cieniu. Jest barczysty — Nella nie przypomina sobie, żeby był tak władczy w pustawym kościele w Assendelfcie.

— *Esposa mía* — mówi.

Nella nie wie, co to znaczy. Gdy Johannes wycofuje się z powrotem w krąg światła świec, Nella widzi, że jego twarz jest opalona i ogorzała od słońca. Tęczówki jego oczu są jak u Marin, prawie przezroczyste. Mężowi daleko do księcia z bajki, jego włosy są tłuste u nasady, matowo-metaliczne.

— Jestem — odzywa się Nella.

— W istocie. — Wskazuje ruchem ręki na jej koszulę nocną. — Powinnaś już spać.

— Przyszłam się z tobą przywitać.

Podchodzi i całuje ją w rękę. Jego wargi są miększe, niż się spodziewała.

— Porozmawiamy rano, Nello. Rad jestem, że dojechałaś bezpiecznie. Bardzo rad.

Ma rozbiegane spojrzenie, jego wzrok nigdzie nie zatrzymuje się na dłużej. Nella zastanawia się, dlaczego tak opadł z sił, i wyczuwa w powietrzu woń piżma, intensywną i niepokojącą. Johannes wycofuje się w żółtą poświatę pomieszczenia, które wygląda na jego gabinet, i zatrzaskuje za sobą drzwi.

Nella odczekuje chwilę, spoglądając w górę, w egipskie ciemności głównych schodów. Marin na pewno już śpi, myśli. Zajrzę tylko, żeby sprawdzić, czy z moją papużką wszystko dobrze.

Schodzi na palcach po schodach do pomieszczeń kuchennych i znajduje klatkę z ptakiem wiszącą przy otwartym palenisku. Dogasający żar oświetla łagodnie metalowe pręty. „Wszystkie służące są niebezpieczne — stwierdziła kiedyś jej matka — ale te z miasta są najgorsze”. Nie wyjaśniła

dokładnie, co miała na myśli. Ale przynajmniej Peebo żyje, siedzi na żerdce z nastroszonymi piórkami, podskakuje i cmoka, wyraźnie ożywiony jej obecnością. Nella pragnie zabrać papugę na górę, ale wyobraża sobie, co mogłaby zrobić Marin wobec takiego aktu nieposłuszeństwa. Oczyma wyobraźni widzi, jak Cornelia układa na talerzu dwa maleńkie udka w girlandzie zielonych piórek.

— Dobranoc, Peebo — mówi szeptem.

Za oknem jej sypialni nad Herengracht podnosi się mgła, księżyc nad kanałem wygląda jak wytarta moneta. Nella zaciąga zasłony i otula się szalem, po czym siada w rogu pokoju, wciąż lekko przestraszona swoim ogromnym łożem. Jej świeżo poślubiony mąż to majętny człowiek, który rozdaje karty w Amsterdamie, pan morza i wszystkich jego bogactw. „Życie jest trudne, gdy nie jest się żoną”, zauważyła jej matka. „Dlaczego?”, zainteresowała się Nella. Widziała, jak nieustająca złość matki na ojca nagle przerodziła się w popłoch na wieść o jego pośmiertnych długach, i była ciekawa, dlaczego pani Oortmanowa tak bardzo chce wpakować swoją córkę w coś równie ryzykownego. Matka spojrzała na nią jak na obłąkaną, lecz tym razem wyjaśniła: „Ponieważ Seigneur Brandt to pasterz tego miasta, a twój ojciec był tylko baranem”.

Nella patrzy na srebrny dzban stojący z boku, na gładki mahoniowy sekretarzyk, turecki dywan, na obrazy. Piękny zegar z wahadłem łagodnie odmierza czas. Na jego tarczy są słońca i księżyce, wskazówki ma z filigranu. To najpiękniejszy zegar, jaki Nella widziała w życiu. Wszystko wydaje się nowe, mówi o bogactwie, a tego języka Nella jeszcze nie opanowała. Domyśla się, że teraz będzie musiała. Zbiera z podłogi porozrzucane poduszki i kładzie je na jedwabnej narzucie w kolorze głębokiej czerwieni.

Gdy krwawiła po raz pierwszy, w wieku dwunastu lat, matka powiedziała jej, że ta krew to „zabezpieczenie przed dziećmi”. Nella nigdy nie sądziła, że można w tej kwestii czuć się bezpiecznie, słysząc niosące się przez wieś wrzaski kobiet w bólach porodowych, a czasem widząc trumny odprowadzane wkrótce potem do kościoła.

Miłość była czymś znacznie mniej konkretnym niż czerwone plamy na lnianych szmatkach. Miesięczna krew nigdy nie wydawała się jej związana z tym, czym według domysłów Nelli mogła być miłość — ulokowana w ciele, a jednocześnie poza nim. „To właśnie miłość, Petronello”, oznajmiła pani Oortman, przyglądając się, jak Arabella tuli małego Limo

z taką siłą, że niemal zdusiła w nim psie życie. Kiedy grajkowie we wsi śpiewali o miłości, rzeczywiście wspominali o bólu ukrytym pośród jej bogactw. Prawdziwa miłość była jak kwiatek w trzewiach, o płatkach wywróconych na drugą stronę. Dla miłości można zaryzykować wszystko — to słodycz zawsze zaprawiona kroplą goryczy.

Pani Oortman nieustannie narzekała na brak w okolicy odpowiednich kandydatów do ręki Nelli — miejscowych chłopaków nazywała przeżuwaczami siana. Miasto — i Johannes Brandt — to gwarancja przyszłości jej córki.

„A co z m i ł o ś c i ą, matko? Czy go pokocham?”

„Dziewczynie marzy się miłość! — wykrzyknęła teatralnie pani Oortman do łuszczących się murów ich domu. — Ptasiego mleczka, ze śmietanką na dodatek, jej się zachciewa”.

Nella usłyszała, że dobrze będzie, jeśli opuści Assendelft, i Bóg jej świadkiem, że o niczym tak nie marzyła, jak o ucieczce stamtąd. Miała już szczerze dość zabawy w okręty z Carelem i Arabellą. Ale to nie powstrzymuje fali rozczarowania, jaka wzbiera w niej teraz, gdy siedzi przy swoim pustym małżeńskim łożu w Amsterdamie niczym pielęgniarka przy chorym. Jaki sens ma jej pobyt tutaj, skoro mąż nawet się z nią porządnie nie przywitał? Gramoli się na puste posłanie i wtula w poduszki, a resztki pewności siebie opuszczają ją powoli na wspomnienie pogardy na twarzy Cornelii, napięcia w głosie Marin i obojętności Johannesa. Jestem dziewczyną, myśli Nella, która nie zakosztowała bynajmniej ptasiego mleczka, nie mówiąc o śmietance.

Dom ciągle wydaje się przebudzony, mimo nieludzkiej pory. Nella słyszy szczęk drzwi wejściowych, otwieranych i zamykanych, a chwilę później odgłos innych drzwi, gdzieś nad nią. Dobiegają ją szepty, tupot stóp drepczących po podłodze, aż wreszcie pokoje spowija głęboka cisza.

Nasłuchuje, strapiona, a wąska smuga księżycowego blasku połyskuje na namalowanym zającu i zgniłym granacie. Ta cisza jest zwodnicza, jakby sam dom oddychał. Nella nie ośmiela się jednak wstać z łóżka po raz drugi — nie w pierwszą noc. Wspomnienia z minionego lata, gdy grała na lutni, zacierają się, a jedyne, co przebiega jej teraz przez głowę, to słowa sprzedawczyni śledzi: „dureń, dureń”, i jej skrzekliwy, prostacki głos.

Nowy alfabet

Rozchyliwszy zasłony, by wpuścić poranne słońce, Cornelia staje w nogach łóżka Nelli.

— Jaśnie pan przyjechał z Londynu — mówi do drobnej stopy wystającej spod skotłowanej pościeli. — Będziecie jeść razem śniadanie.

Głowa Nelli podnosi się błyskawicznie z poduszki; jej twarz jest lekko opuchnięta, jak u cherubinka. Słyszy wszystkie służące znad Herengracht, jak zmywają brud ze schodów przed kamienicami — ich szczotki na kijach brzęczą w wiadrach jak głuche dzwonki.

— Jak długo spałam? — pyta.

— Wystarczająco długo — odpowiada służąca.

— Mogłabym leżeć w tym łożu przez trzy miesiące. Ktoś mógłby mnie zaczarować.

Cornelia śmieje się mimo woli.

— To dopiero czary.

— Co masz na myśli?

— Nic takiego, pani. — Rozkłada ręce. — Wstań. Muszę cię ubrać.

— Nie spałaś długo.

— A no nie. — W głosie Cornelii pobrzmiewa zuchwalstwo i ta poufałość sprawia, że Nella traci rezon. Żadna ze służących jej matki nie odzywała się do niej w taki sposób.

— Słyszałam w nocy drzwi od frontu — mówi. — I drugie, nade mną. Jestem tego pewna.

— Niemożliwe — orzeka służąca. — Toot zamknął je, zanim poszłaś na górę, pani.

— Toot?

— Tak nazywam Ottona. On uważa, że przezwiska są głupie, ale ja tam je lubię. — Cornelia bierze koszulkę i wkłada ją Nelli przez głowę, a potem stroi ją w błękitną suknię przetykaną srebrem. — Jaśnie pan za nią zapłacił — mówi głosem pełnym podziwu, ale jej podniecenie podarunkiem dla Nelli szybko znika: rękawy są za długie, a gorset stanowczo zbyt obszerny, niezależnie od tego, jak ciasno Cornelia próbuje go zasznurować.

— Pani Marin posłała szwaczce twoje wymiary, pani — cmoka z dezaprobatą Cornelia, ściągając sztywny gorset najciaśniej, jak się da, skonsternowana kilometrami zwisającej luźno wstążki. — Pani matka zamieściła je w liście. Co ja zrobię z tym całym zbywającym materiałem?

— W takim razie szwaczka musiała się pomylić — stwierdza Nella, spoglądając na swoje ręce tonące w rękawach. — Matka przecież zna mój rozmiar.

*

Kiedy Nella wchodzi do jadalni, Johannes rozmawia z Ottonem, mamrocząc nad jakimiś opasłymi dokumentami. Na widok żony kłania się, z wyrazem lekkiego rozbawienia na twarzy. Kolor jego oczu jakby stężał — z rybich stały się kamienne. Marin sączy wodę z cytryną, wzrok ma zawieszony na ogromnej ściennej mapie nad głową brata. Fragmenty lądu unoszą się na bezkresnych papierowych oceanach.

— Dziękuję ci za suknię — odważa się powiedzieć Nella. Otto odchodzi w róg pokoju i czeka z rękami pełnymi papierów Johannesa.

— To zapewne jedna z tych — odpowiada jej mąż. — Zamówiłem kilka. Ale nie wygląda tak, jak sobie wyobrażałem. Czy nie jest trochę za duża? Marin, nie sądzisz, że jest nieco za duża?

Marin zajmuje miejsce przy stole i kładzie sobie serwetkę na kolanach — idealny biały kwadrat wygląda jak obluzowany kafelek na czarnej powierzchni jej spódnicy.

— Obawiam się, że tak, panie — odzywa się Nella. Drżenie słyszalne w jej głosie jest zawstydzające. Gdzie to się stało, w jakim miejscu na linii porozumienia między Assendelft a Amsterdamem ciało panny młodej tak się komicznie skurczyło? Spogląda na mapę na ścianie z postanowieniem, że nie będzie skubać swoich absurdalnie długich rękawów. Oto Nowa Holandia, z palmami wzdłuż wybrzeża, turkusowym morzem i hebanowymi twarzami zapraszającymi gapiów.

— Nic to — stwierdza Johannes. — Cornelia ją zwęzi. — Obejmuje dłonią szklankę piwa. — Usiądź i zjedz coś.

Na talerzu, pośrodku obrusa z adamaszku, leżą bochenek czerstwego chleba i chuda ryba.

— Dzisiaj jemy skromnie — wyjaśnia Marin z wzrokiem utkwionym w szklance brata. — W geście pokory.

— Albo dla rozkoszy umartwienia — mruczy Johannes, nabijając śledzia na widelec. Ciszę w jadalni zakłóca tylko delikatny odgłos jego przeżuwania. Bochen chleba leży jak bryła między nimi, suchy, nietknięty. Nella próbuje zdusić lęk i wpatruje się w swój pusty talerz, zauważając, jak szybko aura smutku pojawiła się wokół jej męża. „Pomyśl o tym wszystkim, co będziesz jadła, Nello — powiedział jej brat Carel. — W Amsterdamie podobno opychają się truskawkami maczanymi w złocie”. Ależ byłby zawiedziony.

— Marin, skosztuj tego piwa, jest doskonałe — odzywa się w końcu Johannes.

— Przyprawia mnie o niestrawność — odpowiada Marin.

— Typowa strawa amsterdamczyka: pieniądz i wstyd. Człowiek przestaje sobie ufać. No, dalej, bądź dzielna. Odwaga to w dzisiejszych czasach rzecz nader rzadka w tym mieście.

— Nie czuję się dobrze i tyle.

Johannes śmieje się na te słowa, lecz twarz Marin jest ściągnięta grymasem.

— Papista — rzuca.

W trakcie tego kształcącego w cnocie śniadania Johannes nie przeprasza żony za swoją nieobecność w chwili jej przyjazdu. Rozmawia tylko z siostrą, tymczasem Nella jest zmuszona podwinąć rękawy, żeby nie wpadały jej do talerza z kawałkiem tłustej ryby. Otto słyszy, że może odejść, i kłania się, ostrożnie trzymając w dłoniach stosy dokumentów.

— Zajmij się tym, Otto — mówi Johannes. — Dziękuję.

Nella zastanawia się, czy kupcy, z którymi handluje Johannes, też mają służących takich jak Otto, czy może jest on wyjątkiem. Szuka na twarzy chłopaka jakichś oznak skrępowania, ale on wydaje się zadowolony i pewny siebie.

Ceny kruszcu w sztabach, malarstwo jako waluta, niedbałość niektórych ładowaczy przenoszących jego towary z Batawii — Marin łapczywie łyka smakowite kąski, które wyciąga od Johannesa. Ten chwilami zdaje się niechętnie nimi dzielić, toteż Marin skwapliwie korzysta z tej łaskawości, która może szybko zniknąć. Johannes rzuca siostrze strzępy o sprzedaży tytoniu, jedwabiu i kawy, cynamonu i soli. Opowiada o wprowadzonych niedawno przez szogunat ograniczeniach w wywozie złota i srebra z wyspy Dejima, o długofalowych szkodach, jakie mogą one wyrządzić, choć VOC [1] obstaje twardo przy tym, że ważniejszy jest zysk niż duma.

Nella czuje się odurzona natłokiem informacji, natomiast Marin wydaje się nie tracić głowy. Co nowego na temat układu o handlu pieprzem z sułtanem Bantamu i jakie będzie to miało konsekwencje dla Kompanii Wschodnioindyjskiej? Johannes opowiada o rozruchach plantatorów goździków na wyspie Ambon, gdzie na rozkaz VOC nadmiernie zadrzewiono okolicę. Kiedy Marin dopytuje o konkretne przyczyny ich niezadowolenia, Johannes marszczy brwi.

— Sytuacja na pewno już uległa zmianie, a my nie mamy o niczym pojęcia.

— Z tym, Johannesie, zbyt często jest problem. — Wypytuje o jedwabie, które mają zostać dostarczone krawcowi w Lombardii. — Kto zdobył prawa do importu?

— Nie pamiętam.

— Kto, Johannesie? No kto?

— Henry Field. Z angielskiej Wschodnioindyjskiej.

Marin uderza pięścią w stół.

— Ci A n g l i c y. — Johannes spogląda na nią bez słowa. — P o m y ś l, co to wszystko znaczy, bracie. Pomyśl. Ostatnie dwa lata. Pozwala się, by kto inny miał z tego korzyść. Nawet nie…

— Ale za to Anglicy kupują nasze płótna z Haarlemu.

— Skąpiąc przy tym niemiłosiernie.

— To samo mówią o nas.

Od kruszców przez Anglików po sułtanów, zasób słownictwa Marin budzi prawdziwe zdumienie. Johannes z pewnością przekracza zakazaną granicę — ale też jaka inna kobieta zna tyle szczegółów na temat VOC?

Nella czuje się niewidzialna i zlekceważona — to jej pierwszy dzień tutaj, a nikt nie zadał jej ani jednego pytania, choć przynajmniej ta merkantylna rozmowa daje jej okazję, by przyjrzeć się nowemu mężowi spod półprzymkniętych powiek. Ta opalona skóra… Ona i Marin wyglądają przy nim jak zjawy. Nella wyobraża sobie Johannesa w pirackim kapeluszu, gdy jego statek pruje granatowe fale jakiegoś dalekiego morza.

Posuwa się jeszcze dalej — wyobraża sobie męża bez ubrania i tę rzecz, którą ma dla niej pod stołem. Matka uprzedziła ją, czego może się spodziewać jako żona — wznosząca się rózga boleści, szansa, że ból nie potrwa zbyt długo, wilgotny śluz cieknący po udach. W Assendelfcie jest za dużo baranów i owiec, by nie wiedzieć, co się dokładnie wtedy dzieje. „Nie chcę być tego rodzaju żoną”, oświadczyła matce. „Innego rodzaju nie ma”,

brzmiała odpowiedź. Patrząc na minę córki, pani Oortman złagodniała nieco, objęła Nellę i poklepała ją po brzuchu. „Kluczem jest twoje ciało, mój skarbie. Twoje ciało to klucz”. Na pytanie Nelli, co miałaby nim otworzyć i w jaki sposób, matka się zawahała. „Będziesz miała dach nad głową, Bogu dzięki”.

W obawie, że tamtych dwoje może dojrzeć na jej twarzy cień przemykających wspomnień, Nella wbija wzrok w talerz.

— Dość już o tym — mówi Marin, a Nella wzdryga się, jakby szwagierka czytała w jej myślach. Johannes ciągle mówi o Anglikach, kręcąc szklanką z bursztynowym piwem na dnie.

— Mówiłeś z Fransem Meermansem o cukrze jego żony? — zagaduje Marin. Jego milczenie sprawia, że pochmurnieje. — Ten cukier zalega w składzie, Johannesie. Przypłynął z Surinamu przeszło tydzień temu, a ty do tej pory nie powiedziałeś im, co masz zamiar z nim zrobić. Meermansowie się niecierpliwią.

Johannes odstawia szklankę.

— Twoje zainteresowanie nowym majątkiem Agnes Meermans mnie zadziwia — mówi z przekąsem.

— Nie jej majątek mnie martwi. Wiem, że Agnes bardzo chce zatrząść n a s z y m domem.

— Zawsze te twoje podejrzenia! Chce, żebym rozprowadził jej cukier, bo wie, że jestem najlepszy.

— To sprzedaj go i skończ z nimi raz na zawsze. Pamiętaj, o co toczy się gra.

— Że też z wszystkiego, co mogę sprzedać, upatrzyłaś sobie ten cukier! A co z lekkerheid, Marin, z tą nieprzepartą chętką na słodycze. Co by na to powiedział ten twój pastor?

Johannes zwraca się do żony:

— Widzisz, Nello, moja siostra jest zdania, że cukier nie jest dobry dla duszy, ale i tak chce, żebym go sprzedał. Jak się na to zapatrujesz?

Nella przypomina sobie swoją odrzuconą prośbę o marcepan i czuje przypływ wdzięczności za to nagłe zainteresowanie męża. Dusze i sakiewki, myśli, tych dwoje jest opętanych myślą o duszach i sakiewkach.

— Ja tylko staram się utrzymać głowę nad wodą — mówi Marin ze ściśniętym gardłem. — Boję się Boga, Johannesie. A ty? — Nella zauważa, jak kurczowo Marin ściska widelec, niczym maleńki trójząb. — Proszę cię, po prostu sprzedaj ten cukier, bracie — mówi Marin, nieświadoma

badawczego wzroku Nelli. — O tyle dobrze dla nas, że nie ma gildii handlarzy cukrem. Możemy dyktować ceny. Pozbądź się tego towaru, i to szybko. Tak będzie najlepiej.

Johannes wpatruje się w nietknięty bochen, nadal spoczywający na środku adamaszkowego obrusa. Nella słyszy, jak burczy jej w brzuchu, i ściska go odruchowo, jakby to miało pomóc.

— Otto nie pochwaliłby naszego nowego rodzaju wolnego handlu — mówi Johannes, a jego spojrzenie mknie ku drzwiom.

Marin dźga widelcem adamaszek.

— To Holender. Pragmatyk. W życiu nie widział plantacji trzciny.

— Prawie widział.

— Rozumie n a s z e interesy równie dobrze jak my. — Marin przeszywa go spojrzeniem swoich szarych oczu. — Nie sądzisz?

— Nie wypowiadaj się za niego — karci ją Johannes. — Pracuje dla mnie, nie dla ciebie. A ten obrus kosztował trzydzieści guldenów, więc z łaski swojej przestań robić dziury we wszystkim, co mam.

— Byłam na nabrzeżu — zmienia temat Marin. — Burmistrzowie utopili wczoraj rano trzech mężczyzn, jednego po drugim. Powiesili im na szyjach ciężarki, wsadzili do worków i strącili do wody.

Gdzieś w głębi korytarza rozlega się brzęk talerza.

— Rezeki, niegrzeczny pies! — dobiega głos Cornelii, ale Nella zauważa, że oba psy Johannesa śpią kamiennym snem w rogu pokoju. Mężczyzna przymyka oczy, a Nella zastanawia się, co wspólnego mają ci tonący mężczyźni z zapasami cukru, poglądami Ottona albo niejaką Agnes Meermans.

— Wiem, jak toną ludzie — mówi Johannes cicho. — Zapominasz, że większość życia spędziłem na morzu.

W głosie Johannesa słychać ostrzegawczy ton, lecz Marin nie przestaje.

— Zapytałam człowieka, który sprzątał nabrzeże, dlaczego burmistrzowie ich utopili. Powiedział, że nie mieli guldenów, żeby obłaskawić Boga.

Milknie, bez tchu. Johannes, dziwnie posmutniały, osuwa się na krześle.

— Zdawało mi się, że Bóg przebacza wszystko, czy nie tak, Marin? — pyta, ale nie wygląda na to, żeby chciał usłyszeć odpowiedź.

Powietrze jest rozgrzane, a atmosfera nabrzmiała. Zjawia się Cornelia, z rumieńcami na twarzy, i sprząta talerze. Johannes podnosi się z krzesła.

Trzy kobiety spoglądają na niego wyczekująco, on jednak wychodzi z jadalni, tylko machając ręką. Marin i Cornelia zdają się rozumieć ten gest. Marin bierze książkę, którą przyniosła z sobą na śniadanie. Nella podpatruje tytuł — to dramat Hoofta *Prawdziwy głupiec*.

— Jak często on wyjeżdża? — pyta Nella.

Marin odkłada książkę, cmokając z niezadowoleniem, bo kartka źle się zagięła na stole.

— Brat wyjeżdża, wraca, wyjeżdża i tak w kółko. — Wzdycha. — Przekonasz się sama. Ale to nie jest trudne. Każdy by sobie dał radę.

— Nie pytałam, czy to jest trudne. Kto to jest Frans Meermans?

— Cornelio, jak tam dzisiaj papużka Petronelli? — zmienia temat Marin.

— Dobrze, proszę pani. Dobrze. — Cornelia unika wzroku Nelli. Dziś nie ma chichotów ani szelmowskich uwag. Wygląda na znużoną, jakby coś ją gryzło.

— Peebo potrzebuje świeżego powietrza — wtrąca się Nella. — W kuchni jest okropny zaduch. Chciałabym dać mu polatać u mnie w pokoju.

— Podziobie nam coś wartościowego — oponuje Marin.

— Na pewno nie.

— Wyleci przez okno.

— Zamknę je.

Marin energicznie zatrzaskuje książkę i wychodzi. Służąca prostuje się i odprowadza swoją panią spojrzeniem, mrużąc niebieskie oczy. Po chwili wahania też opuszcza jadalnię. Nella opada z powrotem na krzesło, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w mapę Johannesa. Drzwi są otwarte i słychać Marin i Johannesa szepczących przed gabinetem.

— Chryste Panie, Marin. Nie masz nic lepszego do roboty?

— Masz teraz żonę. Dokąd się wybierasz?

— Mam też interesy.

— Jakie interesy możesz mieć w niedzielę?

— Marin, czy tobie się zdaje, że ten dom prowadzi jakiś magik? Muszę sprawdzić, jak tam cukier.

— Nie wierzę ci — cedzi Marin przez zęby. — Nie dopuszczę do tego. — Nella czuje, jak między rodzeństwem rośnie napięcie.

— Kto inny pozwoliłby siostrze tak się do siebie odzywać? Twoje słowo nie jest najwyższym prawem.

— Nie. Ale jest mu bliższe, niż ci się zdaje.

Johannes wychodzi zamaszystym krokiem z domu, a Nella słyszy aksamitny świst powietrza, z którym zamyka drzwi frontowe, jeszcze raz odcinając świat zewnętrzny. Nella wystawia głowę za drzwi i przygląda się szwagierce stojącej w korytarzu. Marin zasłania twarz rękami, zgarbiona, cierpiąca.

1. Skrót VOC odnosi się do holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, znanej w języku niderlandzkim jako Vereenigde Oost-Indische Compagnie. Została założona w 1602 roku i posiadała setki statków, handlując z Afryką, Europą, Azją oraz wyspami archipelagu indonezyjskiego. W 1669 roku VOC miała 50 tysięcy pracowników, sześćdziesięciu *bewindhebbers* (partnerów) oraz siedemnastu regentów. W 1671 roku akcje VOC na Giełdzie Amsterdamskiej osiągały 570 procent swojej nominalnej wartości. Dzięki sprzyjającym warunkom rolniczym oraz materialnej potędze Zjednoczonych Prowincji Niderlandzkich biedota tego kraju żywiła się ponoć znacznie lepiej niż ludzie tego samego stanu w Anglii, Italii, Francji i Hiszpanii. Bogaci jadali zaś najlepiej z wszystkich. [wróć]

Trompe l’oeil

Gdy Marin wraca na górę i odgłos jej kroków niknie w jej pokoju, Nella zakrada się do sutereny, gdzie Peebo świergotem przyzywa swoją panią. O dziwo klatka jej papużki wisi teraz w tej oficjalnej, nieużywanej kuchni. Tutaj się nie gotuje — do tego służy kuchnia robocza mieszcząca się po drugiej stronie korytarza. W kuchni oficjalnej, o niesplamionych ścianach, wolnej od szczękania garnkami i rondlami, eksponuje się tylko należącą do Brandtów kolekcję chińskiej porcelany. Nella zastanawia się, jak długo już Peebo oddycha czystym powietrzem i — co bardziej intrygujące — kto zdobył się na ten akt miłosierdzia.

Otto siedzi przy stoliku i nieśpiesznie poleruje srebrne sztućce, których będą używać przy kolacji. Jest niewysoki, ale ma szerokie barki i wygląda, jakby nie mieścił się na krześle. Widząc ją w progu, wskazuje ruchem ręki na klatkę Peebo.

— Hałaśliwy ptaszek — odzywa się.

— Przepraszam. Trzymałabym go u siebie, ale…

— Lubię to ćwierkanie.

— Ach, to dobrze. Dziękuję, że go tu przeniosłeś.

— To nie ja, jaśnie pani.

Jaśnie pani. Jak cudownie brzmią te słowa w jego ustach. Jego koszula jest nieskalanie czysta, starannie odprasowana, bez plam czy zwisających nitek. Ramiona okryte perkalem poruszają się z naturalnym wdziękiem. Ile może mieć lat? Trzydzieści, może odrobinę mniej. Jego buty lśnią jak u generała. Wszystko, co z nim związane, jest takie świeże, egzotyczne. Być nazwaną jaśnie panią w swoim własnym domu przez służącego w tak nienagannym stroju wydaje się Nelli nagle kulminacyjnym punktem całego jej istnienia. W jej sercu wzbiera wdzięczność, lecz Otto zdaje się tego nie zauważać.

Zarumieniona Nella podchodzi do klatki i zaczyna głaskać papużkę przez pręty. Peebo wydaje delikatny odgłos, coś jak „ik-ik”, i zaczyna przeczesywać sobie piórka dziobem, jakby czegoś szukał.

— Skąd on jest? — pyta Otto.

— Nie wiem. Wuj go kupił.

— Czyli nie wykluł się z jajka w Assendelfcie?

Nella kręci głową. Nic tak promiennego i nietutejszego nie mogłoby przyjść na świat w Assendelfcie. Czuje lekkie zakłopotanie, a jednocześnie przyjemny zawrót głowy: Otto zna nazwę jej miasteczka. Co jej matka, starzy dziadkowie na rynku, małe dzieci szkolne pomyśleliby o tym człowieku?

Otto bierze widelec i przeciera miękką szmatką każdy ząbek po kolei, a Nella ściska pręty klatki, aż bieleją jej opuszki palców, i wyciągając szyję, wędruje wzrokiem po kafelkach na ścianie, wypolerowanych i równych aż po sam sufit. Ktoś na nim namalował obraz, który zwodzi oko — wygląda jak szklana kopuła sięgająca niemożliwego nieba.

— Jaśnie pan Brandt polecił to zrobić — wyjaśnia Otto, podążając za jej spojrzeniem.

— Sprytne.

— To sztuczka — odpowiada. — Przy tej wilgoci szybko się złuszczy.

— Marin mówiła, że w tym domu jest sucho. I że pochodzenie nic nie znaczy.

Otto się uśmiecha.

— Wobec tego ona i ja się nie zgadzamy.

Nella się zastanawia, które ze stwierdzeń Marin miał na myśli. Lustruje wzrokiem ogromne półki wbudowane w ścianę, trzy potężne szklane szyby chroniące rozmaite talerze i przedmioty z porcelany. Nigdy jeszcze nie widziała tak bogatej kolekcji. W domu mieli maleńki zbiór fajansów z Delft i właściwie już niewiele ponad to, jako że większość trzeba było sprzedać.

— Świat jaśnie pana w serwisie talerzy — tłumaczy Otto. Nella próbuje wychwycić w jego głosie ślad dumy albo zazdrości, lecz bez powodzenia. Ton Ottona jest rozmyślnie neutralny. — Delft, Dejima, Chiny — ciągnie. — Porcelana stołowa od morza do morza.

— Czy mój mąż nie jest wystarczająco bogaty, żeby ktoś podróżował za niego?

Otto, wpatrzony w ostrze polerowanego właśnie noża, marszczy brwi.

— Trzeba pilnować swojego majątku, nikt tego za ciebie nie zrobi. Przecieknie ci przez palce, jeśli nie będziesz uważać. — Kończy, składając miękką szmatkę w równy kwadrat.

— Czyli ciężko pracuje?

Otto wykonuje spiralny ruch palcem w kierunku fałszywej szklanej kopuły nad ich głowami, ku temu złudzeniu głębi, i mówi:

— Jego udziały stale rosną.

— A co się stanie, kiedy osiągną szczyt?

— To, co zawsze. Czara się przelewa…

— I co wtedy?

— Ano wtedy — odpowiada — myślę, że płyniemy albo toniemy. — Bierze dużą łyżkę do zupy i spogląda na swoje odbite w wypukłym srebrze, skurczone i zniekształcone rysy.

— Wypływasz z nim na morze?

— Nie.

— Dlaczego? Jesteś u niego na służbie.

— Już nie żegluję.

Nella zastanawia się, od jak dawna Otto żyje na tym stworzonym ręką ludzką lądzie, odgrodzony od mokradeł przez głębokie poldery i determinację. Marin nazwała go Holendrem.

— Duch jaśnie pana ciągnie go ku morzom — podejmuje Otto. — A mój nie, jaśnie pani.

Nella wyjmuje dłoń z klatki Peebo i siada przy kominku.

— Skąd tyle wiesz o duchu mojego męża?

— Czyż nie mam oczu ani uszu?

Nella jest zaskoczona. Nie spodziewała się takiej bezceremonialności — ale w końcu Cornelia też nie krępuje się mówić, co myśli.

— Oczywiście, że masz, chciałam…

— Morze to coś innego niż ziemia, proszę jaśnie pani — przerywa jej Otto. — Żaden jego skrawek nie pozostaje taki sam.

— Otto.

Marin stoi w drzwiach. Otto wstaje, sztućce leżą rozłożone przed nim jak lśniący arsenał.

— Otto pracuje — mówi Marin do Nelli. — Ma dużo do zrobienia.

— Ja tylko pytałam o pracę pana Brandta.

— Zostaw to — Marin zwraca się do Ottona. — Musisz wysłać te pisma.

Po czym odwraca się i odchodzi.

— Pani — szepcze Otto, gdy kroki Marin cichną w oddali — nie trzeba trącać pszczelego ula. Można zostać pokąsanym.

Nella nie ma pojęcia, czy to rada, czy raczej rozkaz.

— Ja bym trzymał tę klatkę zamkniętą, proszę jaśnie pani — dodaje, wskazując ruchem głowy w kierunku Peebo. Wychodzi po schodach

z kuchni, a Nella wsłuchuje się w odgłos jego kroków, miękkich i idealnie miarowych.

Podarunek

Przez następne dwie noce Nella czeka na Johannesa, żeby położył na niej dłonie i rozpoczął nowy rozdział w jej życiu. Zostawia drzwi sypialni uchylone, a klucz zawieszony na grubej dębowej desce — lecz gdy budzi się rano, klucz, tak samo jak ona, jest nietknięty. Johannes zdaje się pracować do późna. W nocy Nella słyszy skrzypienie otwieranych drzwi frontowych, podobne odgłosy budzą ją też często o brzasku, kiedy horyzont rozjaśnia się od pierwszych promieni słońca. Mętne światło sączy się jej do oczu, gdy podnosi się na łóżku, po czym uświadamia sobie, że nadal jest sama.

Gdy się ubierze, spaceruje bez celu po pokojach na dole i na piętrze. Na tyłach domu niedostępne dla gości pokoje mają skromniejszy wystrój, bo cały przepych zachowano dla tych, których okna wychodzą na ulicę. Te komnaty od frontu wyglądają najpiękniej, gdy nikogo w nich nie ma i nikt nie rysuje mebli ani nie zostawia śladów ubłoconych butów na wyglansowanych podłogach.

Nella zagląda za marmurowe filary i do pustych kominków, błądząc niewprawnym okiem po obrazach — tyle ich tutaj! Statki z masztami podobnymi do krucyfiksów wznoszących się do nieba, pejzaże z gorących krajów, jeszcze więcej więdnących kwiatów, przewrócone czaszki niczym gnijące bulwy warzyw, wiole z zerwanymi strunami, szaleństwa w oberżach, złote półmiski, szkliwione kielichy z muszli. Gdy ogląda to wszystko, robi jej się niedobrze. Tapeta ścienna ze złoconej skóry ciągle jakby trochę zalatuje wieprzem, przywodząc jej na myśl podwórza wiejskich gospodarstw w Assendelfcie. Odwracając się, by nie przypominać sobie miejsca, które — jak jej się zdawało — tak bardzo chciała opuścić, Nella staje oko w oko z biblijnymi scenami na olbrzymich gobelinach, zawieszonych na boazerii: Maria i Marta z Jezusem, wesele w Kanie Galilejskiej, zaradny Noe i jego solidna arka.

W tej oficjalnej kuchni Nella dostrzega dwie należące do Johannesa lutnie, które Cornelia regularnie poleruje i wiesza na ścianie wykładanej kafelkami. Wyciągając rękę, aby zdjąć jedną z haka, Nella wzdryga się z przestrachem, gdy karząca dłoń dotyka jej ramienia.

— To nie jest do grania — warczy Marin. — To arcydzieło rzemiosła. Zniszczysz je swoim brzdąkaniem.

— Śledziłaś mnie? — Kiedy Marin nie odpowiada, Nella opukuje lutnię. — Struny obwisły. Wskutek zaniedbania.

Nella obraca się na pięcie i sztywnym krokiem wchodzi po schodach. Pokój Marin na końcu korytarza na piętrze pozostał niezbadany, Nella zerka w stronę dalekiej dziurki od klucza, zastanawiając się, jakaż to surowa cela musi się tam mieścić. W przypływie furii omal nie wchodzi do środka. Kim jest Marin, by jej czegoś zabraniać? W końcu to przecież Nella jest panią tego domu.

Wraca jednak do siebie i wpatruje się z przestrachem w poplamione krwią pióra namalowanych ptaków, ich jaszczurowate dzioby i wygięte nozdrza. Dobry Boże, Marin nie cierpi nawet muzyki! Czy nie wie, że lutnie nie są po to, by wisieć na ścianie?

Marin rozmawia z nią w zasadzie tylko po to, by udzielić jej napomnienia albo wygłosić kazanie oparte na fragmentach z rodzinnej Biblii, zazwyczaj druzgoczących. Kiedy gromadzi wszystkich domowników w holu, aby wysłuchali czytania z Pisma Świętego, Nella nie posiada się ze zdumienia, że jest to zadanie Marin. W jej domu czynił to ojciec — o ile był trzeźwy — a po jego śmierci Carel, trzynastoletni i dobrze wyćwiczony, czytał Biblię swoim siostrom i matce.

Kiedy indziej Marin zasiada w salonie na obitym zielonym aksamitem krześle i uzupełnia księgę rachunkową. Nowa szwagierka Nelli wydaje się tak skrupulatnie pilnować domowych rachunków, jakby pionowe rubryki były jej własną pięciolinią, a cyfry nutami, do których milczącej melodii pląsają ich pieniądze. Nella chce się dowiedzieć czegoś więcej o interesach męża, o cukrze Fransa i Agnes Meermansów, ale rozmowa z Marin to droga przez mękę.

Trzeciego dnia zakrada się jednak chyłkiem do salonu, gdzie siedzi Marin z głową pochyloną jak podczas modlitwy. Podchodząc bliżej, dostrzega na kolanach Marin rozłożoną jak zwykle domową księgę rachunkową.

— Marin?

Szwagierka podnosi wzrok. Nella, która nigdy dotąd nie zwracała się do niej po imieniu, czuje dziwny ciężar tego aktu odwagi, tej nieudanej próby wejścia w zażyłość.

— Słucham. — Marin ostentacyjnie kładzie pióro na otwartych kartach, a dłonie opiera na zdobiących krzesło misternych rzeźbieniach w kształcie liści. Z twardego spojrzenia jej szarych oczu Nella odgaduje, że rozmowa przy lutni nie została jej zapomniana. Czuje na sobie badawczy wzrok starszej kobiety i wzbiera w niej panika. Z końcówki pióra Marin ścieka kropla atramentu.

— Czy tak już będzie zawsze?! — wybucha Nella.

Bezceremonialne pytanie zagęszcza atmosferę, a twarz Marin zastyga w maskę.

— To znaczy jak?

— Bo… nigdy go nie widuję.

— Jeśli masz na myśli Johannesa, to zapewniam cię, że on istnieje.

— Gdzie dokładnie pracuje? — Nella tak prowadzi rozmowę, by Marin musiała udzielić konkretnej odpowiedzi. Jej pytanie odnosi dziwny skutek: plecy Marin prawie niezauważalnie sztywnieją.

— W paru miejscach — odpowiada Marin, marszcząc brwi, opanowanym i ściśniętym głosem. — Na giełdzie, w porcie, w kancelariach VOC przy Oude Hoogstraat.

— A… co konkretnie tam robi?

— Żebym to ja wiedziała, Petronello…

— Przecież wiesz. Wiem, że wiesz…

— Obraca błoto w złoto, a wodę w guldeny — przerywa jej Marin. — Sprzedaje towary innych z zyskiem. Załadowuje swoje statki i wyprawia je w morze. Zdaje mu się, że jest ulubieńcem wszystkich. Nic więcej nie wiem. Przysuń mi garnek z żarem, mam nogi zimne jak lód.

To chyba najdłuższa wypowiedź Marin, odkąd się poznały.

— Zawsze możesz rozpalić w kominku — odpowiada dziewczyna, przesuwając jeden z małych pojemników z żarzącym się węglem w kierunku Marin, która przytrzymuje go stopą. Ponieważ Marin milczy, mówi dalej: — Chciałabym zobaczyć, gdzie pracuje. Niedługo wybiorę się go odwiedzić.

Marin zamyka księgę rachunkową, zatrzaskując w środku pióro, i wpatruje się w jej wytartą skórzaną oprawę.

— Nie radzę.

Nella wie, że powinna przestać zadawać pytania, ponieważ słyszy tylko „nie” i „nie”. Ale nie może się powstrzymać.

— Czemu nie?

— Jest zapracowany.

— Marin…

— Matka chyba mówiła ci, że tak będzie? — warczy Marin. — Nie poślubiłaś miejscowego rejenta.

— Ale Johannes…

— Petronello! On musi pracować. A ty musiałaś za kogoś wyjść.

— Ty nie musiałaś. Ty nie wyszłaś za mąż.

Marin zaciska szczęki, a Nella czuje przebłysk triumfu.

— Nie — przyznaje Marin — ale zawsze miałam wszystko, czego chciałam.

*

Nazajutrz rano Marin wybiera fragment z Księgi Przysłów, siarczysty akapit z Hioba, a kończy na przejrzystych wodach Ewangelii Łukasza.

„Ale biada wam bogaczom! Bo już macie pociechę waszą.

Biada wam, którzyście nasyceni! Albowiem łaknąć będziecie.

Biada wam, którzy się teraz śmiejecie! Bo się smucić i płakać będziecie”.

Mówi szybko, niezbyt melodyjnie, jakby zawstydzona brzmieniem własnego głosu, odbijającego się echem od tych niekończących się czarnych i białych płytek na posadzce; ściska dłońmi pulpit jak tratwę. Nella podnosi oczy, gdy jej szwagierka monotonnie recytuje, i próbuje dociec, dlaczego Marin jeszcze tu jest, niezamężna, bez złotej obrączki na palcu. Może nie znalazł się mężczyzna dość wytrzymały, by znosić jej cięgi? Nella rozkoszuje się smakiem tej złośliwej myśli.

Więc to ma być moja nowa rodzina? — pyta samą siebie. Wydaje się nieprawdopodobne, aby któreś z nich kiedykolwiek się śmiało — wyjąwszy może ukradkowe chichoty w mankiet. Obowiązki Cornelii zdają się nie mieć końca. Jeśli akurat nie gotuje na dole jesiotra, to poleruje dębowe i palisandrowe meble albo zamiata hektary podłóg na piętrze, trzepie prześcieradła, czyści do połysku szybę po szybie. Wszyscy wiedzą, że znój czyni człowieka cnotliwym — chroni dobrych Holendrów przed niewolą niechlujstwa i niebezpiecznego zbytku — a mimo to Cornelia ma w sobie coś, co nie wydaje się wcale takie czyste.

Otto słucha wypowiadanych słów z zamyśloną miną. Napotykając wzrok Nelli, pośpiesznie odwraca spojrzenie. Kontakt między ludźmi w chwili

duchowej refleksji wydaje się czymś niemalże grzesznym. Johannes splótł dłonie w modlitewnym geście i nie odrywa wzroku od drzwi.

Nella wraca do siebie i próbuje napisać list do matki, wyjaśnić swoje położenie. Słowa jednak stawiają opór, nie chcą oddać jej najgłębszych odczuć. Młoda małżonka nie jest w stanie opisać swojej konsternacji, swoich rozmów z Marin, męża, który włada wszystkimi językami, nie zna tylko języka miłości, ani służących, którzy ukrywają swoje światy i których śmiech jest sam w sobie nieznanym językiem. Rysuje więc esy-floresy imion — Johannes, Otto, Toot — oraz podobiznę Marin z ogromną głową, po czym zgniata papier w kulkę i rzuca do ognia, nie trafiając.

Godzinę później z dołu, od strony głównych schodów dobiegają męskie głosy, szczekanie psów i śmiech Johannesa. Nella wygląda przez okno na bulwar nad kanałem i widzi trzech silnych czeladników z linami przerzuconymi przez ramiona. Wychodzą z domu z podwiniętymi rękawami.

Kiedy Nella opuszcza swój pokój, Marin jest już w korytarzu.

— Johannesie — dociera do Nelli jej szept — coś ty najlepszego wymyślił?

Nella skrada się cicho wzdłuż podestu schodów i wydaje stłumiony okrzyk, widząc, co trzej mężczyźni zostawili w sieni.

Na kafelkach stoi komoda, olbrzymia, wyniosła konstrukcja, o połowę wyższa od Johannesa; potężny kredens wsparty na ośmiu zaokrąglonych, solidnych nóżkach i zasłonięty od przodu dwiema aksamitnymi kurtynami w musztardowym kolorze. Przesunąwszy pulpit na Biblię do kąta, żeby sobie zrobić miejsce, Johannes staje obok mebla. Opiera na nim dłoń i spogląda w górę na lśniące drewno z uśmiechem. Wydaje się Nelli odmłodzony, przystojniejszy niż kiedykolwiek przedtem.

Marin podchodzi do kredensu ostrożnie, jakby ten mógł się na nią przewrócić albo zacząć się ruszać. Rezeki cofa się z groźnym warczeniem.

— Czy to jakiś żart? — pyta Marin. — Ile to kosztowało?

— Choć raz nie rozmawiajmy o pieniądzach, siostro — mityguje ją Johannes. — Kazałaś mi znaleźć rozrywkę…

— …ale nie coś tak monstrualnego! Czy te portiery były farbowane s z a f r a n e m?

— Rozrywkę? — odzywa się Nella ze schodów. Marin odwraca się gwałtownie w jej stronę z osłupiałą miną.

— To dla ciebie — wyjaśnia Johannes. — Prezent ślubny. — Poklepuje boczną ścianę komody; kotary jakby lekko drgają.

— Co to takiego, panie?

— Z dębiny i wiązu. Wiąz to mocne drewno — tłumaczy Johannes, jakby jego młodej żonie właśnie o to chodziło. Popatruje na Marin. — Używane także do produkcji trumien.

Marin zaciska wargi w cienką kreskę.

— Gdzieś ty to znalazł, Johannesie?

Mężczyzna wzrusza ramionami.

— Człowiek w porcie wspomniał, że zostało mu parę kredensów po zmarłym stolarzu. Kazałem go pokryć szylkretem i dodać cynowe ornamenty.

— Po coś to zrobił? — obrusza się Marin. — Petronella nie potrzebuje niczego takiego.

— To dla jej edukacji — wyjaśnia Johannes.

— Mojego czego?

Johannes wyciąga rękę w stronę Rezeki, ale suczka odsuwa się gwałtownie od swojego pana.

— Spokojnie, piesku. Spokojnie.

— Nie podoba się jej — wyrokuje Cornelia, która zeszła za Nellą po schodach.

Nella zachodzi w głowę, czy Cornelia miała na myśli ją, czy psa. Służąca trzyma przed sobą miotłę jak kij, jak gdyby spodziewała się ataku.

— Edukacji? — prycha Marin. — Jakąż to potrzebę edukacji ma Petronella?

— Rzekłbym, że przemożną — odparowuje Johannes.

Wcale nie, myśli Nella. Mam osiemnaście lat, nie osiem.

— Ale co to jest, panie? — dopytuje, próbując ukryć konsternację.

Wreszcie Johannes sięga po kotary i rozsuwa je teatralnym, zamaszystym gestem. Kobietom zapiera dech. Odsłania się wnętrze kredensu, podzielone na dziewięć segmentów — jedne wyłożone wytłaczaną złotem tapetą, inne drewnianą boazerią.

— To ten dom — szepcze Nella.

— Twój dom — poprawia ją Johannes z zadowoleniem.

— Dużo łatwiejszy w utrzymaniu — zauważa Cornelia, wyciągając szyję, by zajrzeć do pokojów na piętrze.

Dokładność, z jaką odtworzono wnętrze domu, jest niesamowita — jak gdyby ktoś pomniejszył ich kamienicę i przekroił na pół, odsłaniając wnętrzności. Tych dziewięć pomieszczeń, od kuchni dla służby przez bawialnię aż po poddasze, gdzie z dala od wilgoci przechowywane są torf i drewno na opał, to doskonałe repliki.

— Ma jeszcze ukrytą piwniczkę — chwali nabytek Johannes, unosząc podłogę między dwiema kuchniami, pod którą ukazuje się schowana komórka. W oficjalnej kuchni wymalowano nawet na suficie identyczne *trompe l'oeil*. Nella przypomina sobie, jak Otto w rozmowie z nią wskazał palcem na tę łudzącą głębię. „Czara się przelewa", powiedział.

Rezeki okrąża kredens z warczeniem.

— Ile za to zapłaciłeś, Johannesie? — docieka Marin.

— Sam kredens kosztował dwa tysiące — odpowiada brat łagodnie. — Razem z kotarami trzy.

— Trzy tysiące guldenów?! Trzy t y s i ą c e? Gdyby właściwie je ulokować, z takiej sumy rodzina mogłaby żyć latami.

— Marin, sama nie przeżyłaś roku za dwa tysiące, mimo tych twoich obiadów ze śledziem w roli głównej. Poza tym mamy umowę z Meermansami, więc czym tu się martwić?

— Gdybyś coś robił w tej sprawie, nie musiałabym się martwić…

— Ten jeden raz łaskawie się ucisz.

Marin niechętnie odstępuje od drewnianej konstrukcji. Z kuchni wychodzi Otto i przygląda się nowemu nabytkowi z zainteresowaniem. Johannes sprawia wrażenie trochę przybitego, jakby przeczuwając, że pożałuje tego gestu.

Szylkretowe wykończenia przypominają Nelli jesień w Assendelfcie, pomarańcze i brązy uchwycone w ruchu, gdy Carel brał ją za ręce i wirował z nią pod drzewami. Na całej powierzchni, nawet na nóżkach, osadzono delikatne, cynowe zdobienia, których płynne linie oplatają kredens siecią żyłek. Drewno i szylkret budzą osobliwy dreszcz. Nawet dotyk aksamitnych kurtyn ma dziwną moc.

W Assendelfcie Nella znała bogatsze dzieci, które dostawały podobne domki dla lalek, lecz nigdy tak okazałe jak ten. Zanim ojciec przepił wszystkie pieniądze, istniała szansa, że Nella też będzie miała taką szafkę — oczywiście mniejszą — która miałaby służyć nabieraniu wprawy w radzeniu sobie z utrzymaniem spiżarek, bielizny stołowej, służby, mebli. Teraz gdy jest zamężna, chciałaby myśleć, że już tego nie potrzebuje.

Nella przyłapuje Johannesa na tym, że się jej przygląda.

— Podłoga w przedpokoju jest dokładnie taka sama — zauważa pojednawczo, wskazując ruchem ręki posadzkę, wykładaną białymi i czarnymi kafelkami. Delikatnie kładzie palec na miniaturowych kwadracikach w domku.

— Włoski marmur — informuje Johannes.

— Nie podoba mi się — stwierdza Marin. — I Rezeki też nie.

Johannes nie wytrzymuje.

— Taki już gust mają suki.

Marin płonie rumieńcem i wybiega z domu jak burza, trzaskając frontowymi drzwiami.

— Gdzie ona się wybiera? — pyta Cornelia z przestrachem. Razem z Ottonem obserwują przez okno od ulicy, jak ich pani się oddala.

— Sądziłem, że będzie to dobra niespodzianka — oznajmia Johannes, obracając się znowu w stronę kredensu.

— Ale… — odzywa się Nella — co mam z nim zrobić, panie?

Johannes spogląda na nią z lekkim zakłopotaniem.

— Czy ja wiem? — Pociera aksamitne kotary między palcem wskazującym a kciukiem, po czym je zasuwa. — Coś wymyślisz.

Johannes znika w swoim gabinecie, słychać zgrzyt przekręcanego klucza. Otto i Cornelia śpiesznie schodzą do kuchni. Sama, jeśli nie liczyć Rezeki biegającej ze skomleniem wokół ścian w holu, Nella przygląda się podarunkowi i żal ściska jej serce. Jestem na to za stara, myśli. Kto będzie oglądał to dzieło, kto będzie siedział na tych krzesełkach, żywił się woskowaną strawą? Nie ma w tym mieście przyjaciół ani krewnych, którzy mogliby przyjść i wydawać okrzyki zachwytu na widok kredensu — to pomnik jej niemocy, jej powstrzymanej kobiecości. „To twój dom”, powiedział jej mąż — ale kto może mieszkać w tych maleńkich pokoikach, w tych dziewięciu ślepych zaułkach? Któryż to mąż kupuje żonie taki prezent, nawet tak pięknie wykonany?

— Nie trzeba mi takiej edukacji — mówi na głos. Rezeki skowyczy. — Nie ma się czego bać — uspokaja ją Nella. — To tylko zabawka.

Może z tych kurtyn dałoby się wykroić kapelusz? — myśli, rozsuwając je.

Gdy staje przed odsłoniętym wnętrzem, ogarnia ją dziwny niepokój. Pusta skorupa z wiązu i szylkretu zdaje się ją obserwować, jakby pokoje

były czyimiś oczyma. Z kuchni dobiegają podniesione głosy, głównie Cornelii, i cichsze odpowiedzi Ottona. Nella jeszcze raz nieśmiało kładzie dłoń na drewnie. W porównaniu z aksamitem drewno chłodzi, wydaje się twarde jak polerowany kamień.

Skoro Marin wyszła, a tych dwoje jest na dole w kuchni, mogłaby pójść po Peebo i dać mu sobie polatać. Johannes nawet nie zauważy i miło będzie patrzeć, jak jej Peebulek szybuje pod sufitem. Gdy jednak odwraca się od kredensu w stronę głównych schodów, znów nasuwa się jej myśl o dziurce od klucza w drzwiach pokoju Marin, daleko na końcu korytarza na piętrze. Zapomnij o obeldze, jaką jest ten domek dla lalek, perswaduje sobie Nella, zasuwając kotary w musztardowym kolorze. Możesz iść, gdzie ci się podoba.

Porzucając prezent od Johannesa, Nella z bijącym sercem wspina się po schodach do pokoju Marin, zapomniawszy o papużce. Szybko jednak opuszcza ją wszelka śmiałość. A jeśli mnie przyłapią? — zastanawia się i przebiega korytarzem tak szybko, jak tylko pozwalają jej na to spódnice. Odżywa w niej dziecięca wyobraźnia. Co się ze mną stanie?

Ale gdy mocnym pchnięciem otwiera ciężkie drzwi pokoju Marin i staje na skraju jej sanktuarium, niesłychany widok, który ukazuje się jej oczom, przezwycięża wszelką roztropność.

Przewiny

Wciąż tkwiąc na progu, Nella nie może uwierzyć w to, co widzi. Zawartość tego małego jak zakonna cela pokoiku mogłaby wypełnić cały klasztor, a Nella zastanawia się, jak chętnie Marin zrezygnowała ze swojej przestronnej komnaty na rzecz czegoś takiego.

Z sufitu zwisa wylinka olbrzymiego węża, udrapowana niczym proporzec, papierowa w dotyku. Pióra wszystkich możliwych kształtów i deseni, niegdyś należące do najbardziej egzotycznych ptaków, muskają jej wyciągnięte palce. Nella odruchowo szuka wzrokiem zielonych piór i z ulgą konstatuje, że żadne nie przypomina upierzenia Peebo. Motyl większy od jej dłoni jest przyszpilony do ściany, na błękitnym tle jego skrzydeł rysują się czarne zawijasy. Pokój jest pełen najróżniejszych woni; najmocniej pachnie gałka muszkatołowa, ale czuć także cierpki zapach drewna sandałowego, goździków i pieprzu, wręcz przenikający ściany — zapach tropików i niebezpieczeństwa.

Nella przechodzi dalej. Na prostych drewnianych półkach leży zbieranina pożółkłych czaszek zwierząt, których nawet nie jest w stanie rozpoznać — długie szczęki, spiczaste czerepy, mocne, ostre zęby. Pancerze chrząszczy, błyszczące jak ziarenka kawy, opalizujące w blasku świec, lśnią czernią z domieszką czerwieni. Odwrócona skorupa żółwia kołysze się delikatnie pod dotykiem dłoni dziewczyny. Suszone rośliny i jagody, strączki z nasionami, same nasiona — źródło tych odurzających zapachów — są wszędzie. To nie jest typowy amsterdamski pokój, chociaż ujawnia pociąg amsterdamczyków do gromadzenia rzeczy. Oto bogactwo republiki zamknięte w czterech ścianach.

Jest też mapa kontynentu afrykańskiego, olbrzymiego, a prawie zupełnie nieznanego. Na środku zachodniego wybrzeża zakreślono miejsce o nazwie Porto-Novo. Wokół znajdują się napisane starannym pismem Marin pytania: „Pogoda? Pożywienie? Bóg?”. Jest też mapa Indii, a na niej jeszcze więcej kółeczek i strzałek znaczących miejsca, z których do tego pokoju dotarły okazy flory i fauny. „Wyspy Korzenne 1676, Batawia 1679, Jawa 1682” — wszystkie te podróże, których Marin z pewnością nie odbyła.

Na stole pod oknem leży otwarty notatnik, który, jak się wydaje, zawiera szczegółową klasyfikację wszystkich tych rzeczy. Pismo Marin jest bardziej potoczyste niż jej mowa i Nella przypomina je sobie z koperty przesłanej jej matce przed kilkoma miesiącami. Znowu czuje na plecach zimny dreszcz winowajcy — strasznie chce zostać i dowiedzieć się więcej, a zarazem przeraża ją pułapka, którą zastawiła sama na siebie. Taka ze mnie pani tego domu jak mała Arabella w Assendelfcie, myśli.

Jeszcze dalej na półce stoi dziwna lampa z popiersiem kobiety i skrzydłami ptaka. Nella dotyka zimnego, grubego metalu. Obok lampy piętrzy się sterta książek — z ich kart bije ilasty zapach wilgoci i świńskiej skóry. Nella bierze do ręki książkę leżącą na szczycie sterty, zbyt zaciekawiona gustem czytelniczym Marin, by myśleć o tym, że ktoś może wejść po schodach.

To dziennik z podróży zatytułowany *Nieszczęsny rejs statku Batavia*. Większość mieszkańców Zjednoczonych Prowincji zna historię buntu Corneliszoona, niesławnego uwięzienia Lucretii Jans na pokładzie statku oraz jej zamieszania w sprawę zamordowania rozbitków. Nella nie jest wyjątkiem, choć jej matka nie znosiła co sprośniejszych aspektów całej historii.

„Przez tę Jans damy już tak dużo nie pływają, i całe szczęście — stwierdził ojciec Nelli, kiedy jeszcze żył. — Kobiety na pokładzie przynoszą pecha”.

„Przynoszą jedynie to, co dostały od mężczyzn”, podsumowała pani Oortman.

Nella zamyka książkę, odkłada ją na miejsce i wodzi palcami po zaokrąglonych, wystających grzbietach. Tyle tu książek — i chociaż chciałaby przeczytać wszystkie tytuły, wie, że nie może dłużej zwlekać. Marin musi wydawać na to swoje hobby bajońskie sumy, domyśla się Nella, pocierając palcami luksusowy gruby papier.

Pod *Nieszczęsnym rejsem* jest książka Heinsiusa, który, jak wszyscy wiedzą, został wygnany z kraju za zabójstwo. Już samo jej posiadanie graniczy z przestępstwem, więc to, że Marin ma egzemplarz, zdumiewa Nellę. Jest również in folio edycja *Almanachu* Saeghmana, są *Choroby dziecięce* Stephanusa Blakaarta oraz *Pamiętne relacje z podróży Nieuw Hoorna* autorstwa Bontekoego. Nella wertuje tę ostatnią. Opowieści Bontekoego to historie o morskich wojażach i niebezpieczeństwach, pełne fantastycznych drzeworytów, szkieletów rozbitych statków,

widowiskowych wschodów słońca i zachłannych mórz. Jeden z drzeworytów przedstawia brzeg morza, a w dali wielki okręt kołyszący się na falach. Na pierwszym planie stoją naprzeciwko siebie dwaj mężczyźni. Ręce i nogi pierwszego są zakreskowane na czarno; w nosie ma kolczyk, a w dłoni trzyma dzidę. Drugi jest odziany na starodawną modłę holenderską. Ich twarze mają jednak ten sam wyraz. Beznamiętne, uwięzione w swojej własnej, zamkniętej orbicie doświadczeń, a otchłań między nimi jest szersza niż morze na horyzoncie.

Grzbiet książki nie jest sztywny, co świadczy o tym, że była często w użyciu. Gdy Nella wyciąga rękę, by odłożyć ją z powrotem na stosik, ze środka wypada zapisany odręcznie karteluszek. Podnosi go z podłogi, a słowa, które widzi, sprawiają, że krew uderza jej do głowy.

„Kocham Cię. Kocham. Z przodu i z tyłu, z każdej strony — kocham".

Czuje łaskotanie na podniebieniu. Oszołomiona, odkłada książkę z powrotem, ale nie wypuszcza z ręki tej nadzwyczajnej notki. Na skrawku są jeszcze inne słowa — nakreślone pośpiesznie, lecz nie pismem Marin, roztańczone.

„Jesteś słońca blaskiem, gdy przez okno wpada, ogrzewa mnie, gdy w nim stoję.

Jedno dotknięcie trwa tysiące godzin. Ukochana…"

Ramię Nelli przeszywa nagły ból — ktoś ściska je mocno i nie chce puścić. To Marin. Blada jak ściana, obraca Nellę jak lalkę z gałganków. Arkusik sfruwa na podłogę. Nella przydeptuje go, gdy Marin odciąga ją od regału.

— Oglądałaś moje książki? — syczy Marin. — Przyznaj się, oglądałaś?

— Nie… ja…

— Owszem. Otwierałaś je?

— Ależ skąd…

Marin poprawia chwyt, ręka drży jej z wysiłku.

— Marin. — Nella łapie oddech. — To boli. Sprawiasz mi ból.

Marin nie rozluźnia uścisku jeszcze przez kilka sekund, aż wreszcie Nella się wyrywa.

— Wszystko powiem mężowi! — krzyczy. — Pokażę mu, co zrobiłaś!

— Nie lubimy zdrajców — dyszy Marin. — Idź. Ale już.

Nella wycofuje się chwiejnym krokiem i w pośpiechu wpada wprost na wężową wylinkę.

— To, co tu widzisz, nie jest twoje! — woła za nią Marin. Trzaska drzwiami, a zapach przypraw się ulatnia.

Bezpieczna na wyspie własnego łóżka, Nella mruczy w poduszkę. Czuje suchość w ustach i wciąż nie może uwierzyć w to, co się stało. „Jedno dotknięcie trwa tysiące godzin”. Ten atrament to sekretny nektar, wszak Marin nie ma męża.

Pismo było nierówne, Nella jest pewna, że nie należało do Marin. Nie powinnam była tam się zapuszczać, myśli. Może nawet Marin czaiła się w ciemnościach, żeby złapać ją na gorącym uczynku? Oczyma wyobraźni widzi, jak Marin wiesza ją na sznurze na jednej z belek pod sufitem. Chodaki spadają z jej wirujących stóp pośród piór, jej zimne ciało ogrzewają wpadające przez okno promienie słońca.

Marin zaczyna się przeobrażać w umyśle Nelli. Wyrasta jak feniks ze swoich ponurych, czarnych sukni, spowita wonią gałki muszkatołowej — nie dla niej lilie i inne subtelności. Pachnąca przyprawami, symbolem miasta, Marin jest córą jego potęgi — tajną badaczką map, komentatorką roślin i zwierząt — a także komentatorką czegoś jeszcze, co trudno zmieścić w jednej kategorii. Nella wyobraża sobie woń przypraw bijącą od skóry Marin siedzącej po drugiej stronie obrusa z adamaszku, słowa, którymi instruuje brata, jak ma prowadzić interesy. Kim jest ta kobieta? „Z każdej strony — kocham”.

Tuż przed świtem Nella skrada się na palcach do nieużywanej kuchni. Dom tonie w ciszy — nawet Otto i Cornelia jeszcze śpią. Bez wahania bierze klatkę Peebo i zanosi papużkę do swego pokoju, przeświadczona, że od tej pory musi mieć ją na oku.

Lista Smita

Nad głową Nelli Peebo trzepocze skrzydełkami i fruwa po pokoju, świergocząc z radości, jego czarne oczka błyszczą.

— Marin mogłaby ci ukręcić łebek — mówi do swojej papużki, owijając się ciaśniej szalem dla ochrony przed porannym chłodem, i próbuje ocenić realność tej groźby. W świetle dnia wydaje się ona niedorzeczna, lecz zasady tego domu są palcem na wodzie pisane. Albo będę pływać, albo utonę, myśli Nella. Siniak, który wczoraj pojawił się na jej ręce jak malutka plamka po winie, boli naprawdę, gdy się go naciska. To niewiarygodne. Czy Johannes nie widzi zachowania swojej siostry? Nie zrobił nic, żeby poskromić Marin, pomimo jej oczywistej niechęci do jego młodej żony.

Nagłe pukanie do drzwi sprawia, że żołądek podchodzi jej do gardła.

— Wejść — mówi, poirytowana niepokojem w swoim głosie.

Marin, wyglądająca blado, staje niepewnie w progu. Nella podnosi się i pozwala szalowi opaść, odsłaniając ciemniejący siniak. Marin sztywnieje i przenosi wzrok na papużkę, przycupniętą w nogach łóżka. Trzyma przy piersi książkę, smukłe palce zaciskają się na jej grzbiecie.

— Będę go trzymać u siebie — oświadcza Nella.

— Masz. — Z tym jednym słowem, wypowiedzianym łamiącym się głosem, Marin wyciąga rękę i podaje jej książkę.

— Co to?

— *Lista Smita*. Spis wszystkich rzemieślników i kupców w mieście.

— Po co mi on? — pyta Nella, wyjmując książkę z rąk Marin.

— Do urządzenia twojego domu.

— Którego, Marin?

— Jeśli zostawisz szafę pustą, zmarnujesz dar Johannesa, a to grzech rozrzutności. Musisz coś z nim zrobić.

— Nic nie muszę robić…

— Proszę — mówi śpiesznie Marin. — Oto weksle z pieczęcią i podpisem mego brata. — Wyjmuje plik z książeczki, mnąc kartki ze zdenerwowania. — Każdy sprzedawca, u którego coś kupisz, może wziąć swój weksel do Stadhuis i tam go wymienić. Wystarczy, że wpiszesz kwotę i złożysz swój podpis. — Marin wyciąga weksle w kierunku Nelli, jak

gdyby odpychała diabła. — Nie więcej niż tysiąc guldenów na weksel — dodaje.

— Czemu to robisz, Marin? Zdawało mi się, że według Biblii nie powinno się obnosić ze swym bogactwem — mówi Nella, ale czuje się podekscytowana tymi pieniędzmi. Nie oddaliła się aż tak, jakby chciała, od tamtego strasznego dnia, kiedy umarł papa, a Arabella znalazła w słoju na monety jedynie guzik i przewróconego na grzbiet pająka. Marin nigdy nie zrozumiałaby, jaką ulgę mogą dawać pieniądze.

— Weź to i już, Petronello.

Znów rośnie między nimi mur wrogości. Gdy Nella posłusznie odbiera weksle od Marin, zauważa, jak mizernie wygląda jej szwagierka. Jeśli to gra, obie jesteśmy przegrane, zauważa w myślach, lecz gdy pociera palcami o papiery kredytowe, czuje ich niewidzialną moc.

— Co powie na to mój mąż?

Na twarzy Marin widać zmęczenie.

— Spokojna głowa. Brat wie, jakie niebezpieczeństwa niesie ze sobą próżnowanie.

Po wyjściu Marin Nella stara się odsunąć od siebie myśli o szwagierce i miłosnym liściku. Przenosi *Listę Smita* na sekretarzyk i otwiera ją. Układ księgi jest przejrzysty, profesje są wymienione w porządku alfabetycznym. Aptekarze, astronomowie, cukiernicy, dostawcy okrętowi, libreciści, ślusarze — to tylko nieliczni z rozmaitych rzemieślników, którzy zapłacili Marcusowi Smitowi za przywilej pojawienia się na tych kartach. Sami napisali swoje ogłoszenia, bez żadnych ograniczeń, jak to ma być zrobione.

Kanał za oknem tętni życiem. Przewoźnicy na łodziach krzyczą do siebie, że powietrze jest ostre, zapowiada zimę, w odległym zakątku sprzedawca pieczywa zachwala głośno swoje towary, dwoje dzieci bawi się w serso, wesoło się nawołując. Wewnątrz panują jednak prawie niczym niezakłócona cisza i bezruch, jedyny dźwięk w jej pokoju to lekkie tykanie złotego wahadła. Nella dalej wertuje księgę, a jej uwagę przykuwa wpis pod M:

„MINIATURZYSTA
Zamieszkały w Domu pod Słońcem na Kalverstraat
Pochodzący z Bergen
Praktyka u wielkiego zegarmistrza z Brugii Lucasa Windelbrekego
WSZYSTKO, A NIC PRZECIE”.

To jedyny wpis pod hasłem „Miniaturzysta”; Nelli podobają się jego zwięzłość i niecodzienny ton. Nie ma pojęcia, gdzie się znajduje Bergen, czym zajmuje się miniaturzysta, ani tym bardziej czy zegarmistrza można nazwać wielkim. Ten miniaturzysta nie pochodzi z Amsterdamu, tyle wiadomo. Co za tym idzie, nie może należeć do żadnego z cechów rzemieślniczych w tym mieście — a podejmowanie pracy zarobkowej, którą mogą wykonywać tylko obywatele zapisani do cechów, jest nielegalne. Dowiedziała się tego od ojca. Pochodził z Lejdy i twierdził, że za jego osobistą klęskę należy winić drakońskie prawa cechowe, a nie dzbany z piwem. Tylko czy istnieje coś takiego jak cech miniaturzystów? Nella jest zaskoczona, że ogłoszenie w ogóle znalazło się na *Liście Smita*.

Wolna od obecności Marin, Nella czuje się umocniona w swoim buncie. Szwagierka nawet nie przeprosiła za to, że ścisnęła jej rękę niczym krnąbrnemu dzieciakowi. Marin ze swoimi mapami i apodyktycznością, Johannes i jego ciągłe zamykanie drzwi, Cornelia i Otto — ich wspólny kuchenny azyl, ich milczący język szatkowania, polerowania, plask zmywaka do podłogi, błysk noża…

Nella wzdryga się, rozpaczliwie pragnąc uwolnić się od własnych myśli i tego, co Marin nazwała niebezpieczeństwem próżnowania. Nie dba o domek dla lalek — to obraza dla jej kobiecości. A jednak… Kiedy przenosi wzrok na karty weksli, uświadamia sobie, że w całym swoim życiu nawet nie widziała takiej ilości pieniędzy, a co dopiero mówić o możliwości ich wykorzystania.

Peebo krąży dookoła kosztownych malowideł Johannesa, a Nella bierze pióro z sekretarzyka i daje ujście swojej furii w nagłym wybuchu natchnienia:

Wielmożny Panie!

Widziałam Pański anons w *Liście Smita* i pragnę zwrócić się do Pana o pomoc.

Posiadam domek składający się z dziewięciu pomieszczeń, w pomniejszeniu, przeznaczony do eksponowania w specjalnym kredensie. Przedkładam Panu trzy poniżej opisane prośby i wyczekuję odpowiedzi. Jedyne, czego się domyślam, to że jest Pan mistrzem w sztuce tworzenia rzeczy małych. Spis poniższy nie jest bynajmniej pełny, a ja posiadam obfite środki, z których mogę zapłacić.

Pozycja I: lutnia wraz ze strunami
Pozycja II: kielich ślubny wypełniony konfetti
Pozycja III: pudełko marcepanów
Dziękuję z góry,

Petronella Brandt,
Dom pod Delfinem, Herengracht

Jej nowe nazwisko wydaje jej się okrojone, obcesowe w porównaniu z tym, które nosiła przez osiemnaście lat. Pisząc je, wciąż jeszcze czuje się nieswojo, jakby nakładała kostium, który co prawda należy do niej, ale nie pasuje. Skreśla je i zamiast niego umieszcza słowa: „Z podziękowaniem, Nella Oortman”. Zauważy to, myśli, i pewnie będzie się śmiał. Wsuwa liścik do kieszeni wraz z wekslem opiewającym na trzysta guldenów i schodzi do kuchni zobaczyć, czy uda jej się podkraść Cornelii z poharatanego blatu roboczego coś na późne śniadanie. Bułkę, plaster mięsa, cokolwiek, byle nie śledzia.

Cornelia właśnie faszeruje gęś marchwią, napychając ją brutalnie. Otto ostrzy szpilki i nakłuwa nimi orzechy włoskie. Nella jest ciekawa, po co to robi, ale nie pyta, domyślając się, że Otto, jak to on, uchyli się od odpowiedzi. Na ogniu bulgocze sos. Cornelia i Otto są zupełnie jak małżeństwo w swojej wiejskiej chatce, szykujące codzienną strawę. Nella znów czuje ich nieskrępowaną zażyłość i robi się jej przykro. Trzyma mocno liścik w kieszeni, starając się czerpać otuchę z sabotowania podejmowanych przez Johannesa i Marin prób okiełznania nowo przybyłej. O tak, Marin, umebluję swój dom, przemawia do niej w myślach, wszystkim tym, czego tak się brzydzisz.

— Czy to boli, jaśnie pani? — zagaduje Cornelia. Obierki z marchwi zwisają w jej dłoniach jak ubłocone, pomarańczowe serpentyny.

Nella zbiera fałdy szala i owija się ciaśniej.

— Co masz na myśli?

— Twoją rękę.

— Szpiegowałaś mnie?

Otto rzuca Cornelii karcące spojrzenie, ta jednak wybucha śmiechem.

— Ona jest jak krab, co wyłazi ze skorupy, żeby kogoś uszczypnąć, pani! Nie zważamy na nią i ty też nie powinnaś! — Cornelia odkłada obierzyny. — Zabrałaś papugę — mówi niemalże z podziwem. — Coś ci powiem.

Jaśnie pani Marin nosi się tylko na czarno, ale pod spodem… o, to już całkiem inna historia!

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Cornelio… — mówi Otto z przyganą w głosie.

— Ano, mówię o p o d s z e w c e — ciągnie Cornelia, która najwyraźniej uparła się, by zarzucić na Nellę przynętę. — Sobole futro i aksamit, i to pod każdą suknią. Moja pani, ta sama, co to nam cytuje Ezechiela: „Uczynię wstręt pysze mocarzów”, potajemnie chodzi w futrach.

— Naprawdę? — zaśmiewa się oszołomiona Nella. W przypływie ulgi pozwala opaść szalowi.

Cornelia na widok sińca gwiżdże.

— Ładnie to nie wygląda — mówi, spoglądając na Ottona. — Ale zblednie. Jak wszystko inne.

Nella, która liczyła na bardziej matczyną reakcję, teraz czuje się głupio.

— Czy zeszłej nocy znowu nie spaliście do późna? — sonduje.

— Niby dlaczego, pani? — Cornelia ciska skórki z marchwi w ogień i bierze szmatę. Nella czuje, jak przyjazna atmosfera ulatnia się z każdym kolejnym słowem padającym z jej ust.

— Jestem pewna, że słyszałam czyjeś głosy.

Cornelia wgapia się w wiadro pełne brudnej wody.

— Zbyt żeśmy byli zmęczeni, żeby słyszeć głosy — ucina Otto.

Dhana przydreptuje z ciemności i trąca nosem dłoń Nelli, po czym przewraca się na grzbiet i wystawia brzuch do pogłaskania; na futrze ma małą czarną plamkę. Cornelia przygląda się tej manifestacji uczuć.

— Nie robi tego przed nikim — zauważa z nutką zazdrości w głosie.

Nella kieruje się w stronę schodów na górę.

— Jaśnie pani, proszę! — woła Cornelia. W wyciągniętej ręce trzyma gorącą bułeczkę z masłem, którą Nella od niej bierze. Pojednawcze gesty przybierają w tym domu istotnie dziwne formy.

— Dokąd idziesz, pani? — pyta Otto.

— Wychodzę. To chyba mi w o l n o, prawda? Idę na Kalverstraat.

Na te słowa Cornelia ciska szmatę do wiadra. Woda chlusta o brzeg, jej tafla pęka jak lustro.

— A wiesz, pani, gdzie to? — pyta Otto łagodnie.

Nella czuje, jak krople stopionego masła spływają jej po nadgarstkach.

— Znajdę — mówi śpiesznie. — Dobrze się orientuję w terenie.

Otto i Cornelia wymieniają jeszcze jedno ukradkowe, tym razem przeciągłe spojrzenie. Nella zauważa, jak Otto prawie niedostrzegalnie kręci głową.

— Pójdę z tobą, pani — deklaruje Cornelia. — Potrzebuję odetchnąć.

— Ale…

— Przyda ci się wierzchnie okrycie — dodaje Otto. — Bardzo dziś zimno.

Ale Cornelia już bierze swój szal i wyprowadza Nellę na zewnątrz.

Na Kalverstraat

— Jezusie słodki — mruczy pod nosem Cornelia. — Otto miał rację. Okropna zima nam się szykuje. Po co chcesz iść na Kalverstraat, pani?

— Żeby zostawić komuś wiadomość — odpowiada Nella, dotknięta bezceremonialnością, z jaką indaguje ją Cornelia.

— Komu?

— To nieistotne. Pewnemu rzemieślnikowi.

— Aha. — Cornelia dygocze. — Musimy niedługo przywieźć mięso, zrobić zapasy co najmniej do marca. Dziwne, że nie przysłał nam choćby połcia.

— Kto nie przysłał nam choćby połcia?

— Mniejsza o to — odpowiada Cornelia, spoglądając w stronę kanału i biorąc Nellę pod rękę. Przytulają się do siebie dla ochrony przed zimnem i raźnym krokiem podążają wzdłuż Herengracht w kierunku centrum. Ziąb nie jest jeszcze nie do wytrzymania — ale mróz już puka do drzwi. Czując rękę Cornelii przeplecioną przez jej ramię, myśli, jak niecodzienne jest to ich zetknięcie. W Assendelfcie służba nigdy nie zdobywała się na takie przyjacielskie gesty wobec pracodawców. Większość była im wręcz niechętna.

— Czemu Otto nie poszedł z nami? — dopytuje Nella, a kiedy Cornelia nie odpowiada, nie daje za wygraną: — Widziałam, odmówił.

— Woli być tam, gdzie mu najłatwiej — stwierdza Cornelia.

— Najłatwiej? — Dziewczyna się śmieje.

Służąca marszczy brwi, a Nella ma nadzieję, że nie usłyszy kolejnego „mniejsza o to”. Ale gdy mowa o Ottonie, Cornelia robi się wylewna.

— Toot mówi, że jego szczęście jest jak miecz obosieczny — tłumaczy. — Bo on niby tu jest, a jednak go nie ma.

— Nie rozumiem.

— Trafił jako niewolnik na portugalski statek, pani. Z Porto-Novo w Dahomeju popłynął do Surinamu. Rodzice mu zmarli. Jaśnie pan akurat był w Kompanii Zachodnioindyjskiej, sprzedawał miedź rafineriom cukru.

— I co dalej?

— Pan wzruszył się losem Toota i sprowadził go do Amsterdamu.

— Czyli Johannes go kupił.

Cornelia przygryza wargę.

— Guldeny czasem działają szybciej niż modły.

— Tylko nie mów tego przy Marin.

Cornelia puszcza tę uwagę mimo uszu; wydaje się, że szansa na dalsze zwierzenia przepadła.

— Otto miał szesnaście lat, jak tu przyjechał — podejmuje po chwili Cornelia — a ja dwanaście i ten dom był dla mnie tak samo nowy jak dla niego.

Nella próbuje wyobrazić sobie ich oboje, stających po raz pierwszy na progu, tak jak ona. Czy Marin już wtedy czaiła się w zakamarkach holu? Jaki świat zostawił za sobą Otto? Marzy, by go o to zapytać, lecz ma wątpliwości, czy chciałby o tym opowiadać. Nella słyszała o drzewie zwanym palmą, ale nie potrafi wyobrazić sobie skwaru w Porto-Novo, świata Surinamu. Wszystko to musiał zamienić na ceglane mury, kanały i język, którego nie znał.

— Dziś już jest z niego niczego sobie holenderski pan — ciągnie Cornelia — choć niektórzy mają na ten temat inne zdanie. — Nella dostrzega nieznany, ostry ton w jej głosie. — Jak tu przyjechał, przez miesiąc nic tylko milczał. I słuchał, zawsze słuchał. Ta skóra jak ziarna kawy. Widziałam, jak mu się przypatrywałaś, pani — dodaje trochę szelmowsko.

— Nieprawda — protestuje Nella.

— Każdy to robi. Większość jak żyje nie widziała kogoś takiego. Panie, kiedy jeszcze do nas zachodziły, zostawiały mu we włosach swoje śpiewające ptaszki, jakby to było gniazdo. Nie cierpiał tego. — Cornelia milknie na chwilę. — Nic dziwnego, że pani Marin nie znosi twojej papugi.

Idą dalej, na uliczkach po obu stronach kanału panuje dziwna cisza, po bokach dzielącej je leniwej, szaroburej wody powoli tworzy się cienka warstewka lodu. Nella próbuje wywołać w myślach obraz młodego czarnoskórego mężczyzny z głową pełną ptasich treli i kobiece palce zanurzające się w jego czuprynę. Trochę jej wstyd, że jej fascynacja nim jest tak widoczna. Johannes traktuje go jak każdego innego człowieka, a Otto właśnie nim jest — ale ten głos, ta twarz… Nikt w Assendelfcie by w to nie uwierzył.

— Dlaczego panie już do was nie zachodzą? — pyta.

Nie otrzymuje jednak odpowiedzi, gdyż Cornelia zatrzymała się przed cukiernią z szyldem przedstawiającym dwie głowy cukru i nazwiskiem „Arnoud Maakvrede” nad drzwiami.

— Wstąpmy — proponuje służąca. Choć Nella chciałaby wreszcie okazać, że to ona tu rządzi, czuje zapach wypieków i nie potrafi mu się oprzeć.

Powietrze wewnątrz jest cudownie rozgrzane. Za łukiem na tyłach sklepu Nella dostrzega zażywnego mężczyznę w średnim wieku, czerwonego na twarzy i spoconego od gorąca, które bucha z pieca. Na ich widok mężczyzna przewraca oczami.

— Hanno, przyszła twoja przyjaciółka! — wykrzykuje w powietrze.

Pojawia się kobieta nieco starsza od Cornelii, w starannie odprasowanym czepku, ze śladami mąki i cukru na sukni. Twarz jej się rozpromienia.

— Koraliku! — woła.

— K o r a l i k u? — dziwi się Nella.

Cornelia się rumieni.

— Witaj, Hanno.

— Gdzie się podziewałaś? — Hanna ruchem ręki zaprasza je obie na ławkę w najchłodniejszym zakątku cukierni i wiesza na drzwiach napis „Zamknięte”. Roztacza wokół zapach cynamonu.

— Na Boga, co ty wyprawiasz, kobieto? — obrusza się mężczyzna.

— Och, Arnoud… Pięć minut! — uspokaja go Hanna. Mierzą się nawzajem wzrokiem, po czym on wraca do pieca i zaczyna wybijać gniewny rytm blachami do pieczenia.

— Dziś miodownik — mruczy pod nosem Hanna — a po południu jeszcze marcepan. Lepiej go unikać.

— Ale unikać go teraz oznacza widywać go częściej potem — zauważa Cornelia z zatroskaną miną.

Hanna obrzuca ją szybkim spojrzeniem.

— Teraz ty tu jesteś i to z tobą chcę się widzieć.

Nella rozgląda się dookoła: lśniące drewniane podłogi, wypucowana lada, ciastka zdobiące witrynę, ułożone jedne na drugich niczym prezenty, którym nikt by się nie oparł. Zastanawia się, po co Cornelia ją tu przyprowadziła, zamiast pójść prosto na Kalverstraat, ale zapach słodkich ciast jest przecież zniewalający. No i kim jest Koralik — ta delikatniejsza, milsza osoba wyczarowana przez żonę cukiernika? To nagle pojawiające się nowe imię jest dziwne, kłóci się z dotychczasowym wyobrażeniem Nelli

o naturze Cornelii. Nella przypomina sobie, co usłyszała od niej pierwszego ranka, o nazywaniu Ottona „Toot”. „On myśli, że przezwiska są głupie, ale ja tam je lubię”.

Papier do pakowania ciast wygląda na drogi i ma najróżniejsze kolory: szkarłatny, indygo, trawiastozielony, biały jak chmury. Cornelia spogląda znacząco na Hannę i ruchem podbródka daje jej sygnał, który kobieta łapie w lot.

— Pani, zapraszam — zwraca się Hanna do Nelli. — Proszę się rozejrzeć.

Nella zaczyna posłusznie spacerować po cukierni, przyglądając się gofrom, herbatnikom z przyprawami, syropom cynamonowym i czekoladowym, ciastom cytrynowym i pomarańczowym, roladom z owocami. Obserwując przez przejście z łukowatym sklepieniem, jak Arnoud opukuje schłodzone blachy z opornym miodownikiem, usiłuje dosłyszeć ściszone głosy Hanny i Cornelii.

— Frans i Agnes Meermansowie zażyczyli sobie, żeby mój pan go rozprowadził — mówi Cornelia. — Wiedzą, jak daleko za granicę sięgają jego interesy. A pani Marin go w tym wspiera. Mimo że nie cierpi cukru, mimo że to i c h cukier.

— Mogliby na tym zbić majątek.

Cornelia pociąga nosem.

— Niby tak. Ale coś mi mówi, że mają inne powody.

Hanna ignoruje te słowa, bardziej zainteresowana handlowym aspektem sprawy.

— Czy nie lepiej sprzedać go tutaj? Tyle cukru w tym mieście zaprawiają mąką, kredą i Bóg wie czym jeszcze tylko dlatego, że nie ma cechu, który by powściągnął tych szubrawców. Na Nes i na ulicy piekarzy są cukiernicy i piekarze, którym przydałby się lepszy surowiec.

Arnoud klnie głośno, wydobywając wreszcie miodownik z formy.

— Niech pani skosztuje! — woła Hanna raźno do Nelli. Sięga za ladę i wyjmuje małą, wymiętą paczuszkę. Nella, skonfundowana współczuciem w oczach starszej kobiety, odpakowuje prezent: to usmażona kulka ciasta, posypana cukrem i cynamonem.

Dziękuje, po czym przenosi wzrok z powrotem na Arnouda, który dokłada właśnie do pieca, i udaje całkowicie pochłoniętą tym, co robi pulchny cukiernik.

— Hanno, coś mi się zdaje, że to się dzieje znowu — szepcze Cornelia jeszcze ciszej.

— Poprzednio nie byłaś pewna.

— Wiem, ale…

— Nic nie poradzisz, Koraliku. Spuszczamy głowę i nie patrzymy, tak nas uczyli.

— Haniu, chciałabym…

— Ciii… Weź to, proszę. To już prawie ostatek.

Nella odwraca się w porę, by spostrzec w palcach Hanny zawiniątko, które znika prędko w fałdach spódnic Cornelii.

— Czas nagli — mówi Cornelia, wstając. — Musimy jeszcze złożyć wizytę na Kalverstraat. — Waży ostatnie słowo i twarz jej pochmurnieje.

Hanna ściska dłoń Cornelii.

— No nic, kopnij w drzwi także za mnie — mówi. — Moje pięć minut minęło. Muszę iść pomóc Arnoudowi. Tak łomocze tymi blachami, że jeszcze kto pomyśli, że wykuwa zbroje.

Na dworze Cornelia przyspiesza kroku.

— Kim jest dla ciebie Hanna? — pyta Nella. — Czemu woła na ciebie Koralik? I o co chodzi z tym kopaniem w drzwi?

Lecz Cornelia jest pochmurna i milcząca; rozmowa z Hanną nieoczekiwanie napełniła ją smutkiem.

Kalverstraat, ulica Krowia, jest długa, położona z dala od kanału i tętni życiem. Wielu przekupniów handluje tam swoimi towarami. Cieląt ani krów już tu nie sprzedają, ale wśród straganów z perkalami i suknem, sklepów bławatnych i aptek unosi się cierpki zapach końskiego łajna.

— Co się stało? — pyta Nella.

— Nic, proszę jaśnie pani — odpowiada wreszcie ponurym tonem Cornelia. Ale Nella już zauważyła niewielki dysk słoneczny wyryty na kamiennej tabliczce osadzonej w ceglanym murze. Pokryty świeżą złotą farbą, jest jak ciało niebieskie, które zstąpiło na ziemię — jasne kamienne promienie wystrzelają na wszystkie strony z błyszczącej kuli. Nella chciałaby jej dotknąć, ale jest za wysoko. Pod słońcem wyryto maksymę: „Co tylko człek widzi, zabawką mu się mieni”.

— „I tak dzieckiem zostaje na wieczne czasy” — dopowiada ze smutkiem Cornelia. — Od lat nie słyszałam tego porzekadła. — Rozgląda się po ulicy, jakby czegoś szukała.

Nella stuka do małych, niepozornych drzwi, ledwo widocznych pośród panującego tu rozgardiaszu, i wyczekuje pojawienia się miniaturzysty.

Nikt nie otwiera. Cornelia przytupuje z zimna.

— Pani, nikogo tam nie ma.

— Jeszcze chwilkę — mówi Nella i puka ponownie. Dom ma cztery okna wychodzące na ulicę i Nelli wydaje się, że w jednym z nich przesuwa się czyjś cień, ale nie jest pewna. — Jest tam kto?! — woła, ale nikt nie odpowiada.

Nie ma rady; wsuwa liścik wraz z wekslem pod drzwi, tak głęboko, jak to możliwe. Dopiero po chwili orientuje się, że Cornelii już nie ma obok niej.

— Cornelio?! — krzyczy, omiatając wzrokiem Kalverstraat.

Imię służącej zamiera jej w gardle. Kilka stóp od drzwi domu miniaturzysty zauważa kobietę, która się jej przygląda. Albo raczej świdruje ją wzrokiem. Stoi bez ruchu pośród kłębiącego się tłumu, wpatrując się intensywnie w twarz Nelli. Dziewczyna po raz pierwszy w życiu czuje się tak, jakby ktoś rozkładał ją na czynniki pierwsze — badawcze spojrzenie przeszywa ją niczym snop światła i napełnia nagłą świadomością własnego ciała. Kobieta się nie uśmiecha, ale chłonie Nellę wzrokiem, jej piwne oczy wydają się niemal pomarańczowe w bladym południowym świetle, jej odsłonięte włosy są jak bladozłota smuga.

Dreszcz, ostra jasność przenika Nellę. Owija się ciaśniej szalem, a kobieta nie przestaje jej się przyglądać. Wszystko wokół wydaje się rozjaśnione, wyraźniejsze — choć słońce wciąż kryje się za chmurami. Nella przypuszcza, że ten nagły chłód bije od starych cegieł i zawilgoconych kamieni. Możliwe, ale te oczy… Nikt jeszcze nie patrzył na Nellę w ten sposób, z taką spokojną, przeszywającą ciekawością.

Chłopiec pchający taczkę przebiega obok, omal jej nie potrącając.

— Mało nie zmiażdżyłeś mi stopy! — woła za nim Nella.

— O, w życiu! — odkrzykuje chłopiec.

Kiedy odwraca się z powrotem, kobiety już nie ma.

— Proszę zaczekać! — krzyczy, ruszając w górę Kalverstraat, wypatrując włosów o barwie lśniącej pszenicy. Ale słońce wyziera zza chmur i razi ją w oczy. — Czego pani ode mnie chce?

Pewna, że widziała, jak kobieta znika w wąskim zaułku, z jeszcze większą determinacją przedziera się przez tłum. Zagłębia się w ciemną uliczkę i serce jej podskakuje na widok majaczącej przed nią postaci — ale

to tylko Cornelia. Stoi ze zbolałą miną u wielkich drzwi frontowych, dygocząc.

— Co ty wyprawiasz? — dopytuje Nella. — Widziałaś kobietę z jasnymi włosami?

Cornelia wymierza szybkiego kopniaka w płycinę drzwi.

— Robię to co roku! — rzuca. — Żebym pamiętała, jakie mam szczęście.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Cornelia mruży oczy.

— Kiedyś tu mieszkałam.

Pomiędzy wąskie mury zaułka nie dociera hałas sklepikarzy z Kalverstraat, a Nella opiera się o kopnięte drzwi. Nad ościeżnicą widnieje tabliczka przedstawiająca grupkę dzieci ubranych w czerń i czerwień, oficjalne kolory miasta, skupioną wokół ogromnego gołębia. Poniżej biegną słowa smętnej rymowanki:

Dom nasz w szwach pęka, bo coraz nas więcej
By nas nie łajali, otwórz trzos czym prędzej.

— W sierocińcu? Cornelio…

Ale służąca już zmierza do wylotu uliczki, z powrotem do życia, światła i gwaru. Nella może jedynie podążyć za nią, choć wciąż nie może się otrząsnąć z dziwnego wrażenia, jakie wywołało w niej spojrzenie jasnowłosej kobiety.

*

Po powrocie na Herengracht Nella odkrywa, że Marin kazała przenieść domek dla lalek do jej pokoju. Wciągnięto go przez okno od frontu, bo był za szeroki, by zmieścić się w drzwiach sypialni.

— No przecież nie mógł zostać w holu — tłumaczy, rozsuwając musztardowe kotary, które ukazują dziewięć pustych pokoi. — Jest stanowczo za duży. Zasłaniał światło.

Pokój Nelli, oprócz nachalnej obecności nowego mebla, przesycony jest teraz zapachem lilii. Tej nocy Nella odkrywa, że ktoś przewrócił buteleczkę jej perfum z Assendelftu, a olejek rozlał się w tłustą kałużę pod jej łóżkiem.

— To tragarze — mówi Marin, kiedy Nella pokazuje jej odłamki szkła, prosząc o wyjaśnienie. Nella przyjmuje je bez przekonania i w miejscu, gdzie rozlały się perfumy, rzuca na podłogę parę haftowanych ślubnych poduszek z nadzieją, że wchłoną zapach. Cieszy się, że nie musi już oglądać tych drwiących małżeńskich symboli.

Gdy się kładzie, woń nieprzemyślanego prezentu od matki wierci ją w nosie. Peebo świergocze w klatce, a Nella myśli o Ottonie i Cornelii. Młody niewolnik i sierota. Jak dziewczynie udało się dostać na Herengracht? Czy została „uratowana” tak samo jak Otto? Czy ja też zostałam uratowana? — pyta samą siebie. Jak dotąd nie czuje, że udało się jej uciec od poprzedniego życia. Wręcz przeciwnie.

W ciemnościach sypialni wywołuje z pamięci obraz jasnoblond włosów i niezwykłych oczu kobiety na Kalverstraat. Wydawało się, jakby obdzierała Nellę ze skóry, niczym jedno z tych zwierząt na obrazach Johannesa, a potem jakby krok po kroku rozbierała jej ciało na kawałki. Ale też Nella poczuła się zarazem tak niebywale s k o n c e n t r o w a n a. Dlaczego ta kobieta stała tam, na tej najruchliwszej z miejskich ulic, i tylko się gapiła — nie miała nic lepszego do roboty? I dlaczego patrzyła akurat na nią?

Przed zaśnięciem Nella wyobraża sobie wielkie srebrne talerze. Johannes obraca nimi na kijkach, z twarzą zwróconą w stronę sufitu i głębi, która nie istnieje. Ledwie pogrążyła się w tym wciągającym jak wir koszmarze, gdy nagle obudził ją krótki piskliwy odgłos, jak skomlenie zranionego psa. Może to Rezeki, myśli, wybita ze snu, a serce wali jej jak młotem.

Znowu zapada cisza, ciężka jak z adamaszku, a Nella odwraca się w stronę pustej szafy. Wygląda monumentalnie, jakby czuwała nad nią w rogu pokoju od zawsze.

Przesyłka

Trzy dni później Cornelia wraz z Marin wybrały się w końcu do rzeźnika. Kiedy Nella zapytała, czy może do nich dołączyć, szwagierka odpowiedziała bez namysłu: „Załatwimy to szybciej we dwie”. Johannes poszedł do siedziby VOC na Oude Hoogstraat, a Otto sadzi teraz w ogrodzie bulwy i nasionka na przyszłoroczną wiosnę. Ogród to jego domena. Często można go tam zastać, jak wycina nowe kształty żywopłotów albo rozmawia z Johannesem o wilgotności gleby.

Gdy Nella przechodzi przez hol z garścią orzeszków, które podkradła dla Peebo, szybkie pukanie do drzwi frontowych sprawia, że serce nieomal wyskakuje jej z piersi. Chowa orzeszki do kieszeni, odsuwa rygiel i uchyla ciężkie drzwi.

Na progu stoi młody człowiek, niewiele starszy od niej. Oddech więźnie Nelli w gardle. Chłopak rozstawił nogi szeroko, jakby chciał zagarnąć całą przestrzeń. Jego bladą twarz wieńczy korona ciemnych, potarganych włosów, a idealnie symetryczne policzki są wyrzeźbione z godną podziwu precyzją. Jest ubrany modnie, ale zarazem niedbale. Mankiety koszuli wystają z rękawów grubego skórzanego płaszcza, trzewiki zaś, jeszcze nowsze niż płaszcz, ciasno opinają łydki. Tasiemki koszuli są luźne i na trójkącie skóry widocznym w rozcięciu materiału można dostrzec kilka piegów. Jego ciało jest niczym opowieść, która zaczyna się raptownie i zmierza do niepewnego finału. Nella nie puszcza framugi drzwi z nadzieją, że chłopak jest nią równie olśniony, jak ona nim.

— Przesyłka dla pani — mówi młodzieniec z uśmiechem. Nellę zaskakuje jego głos. Chłopak ma niecodzienny akcent, niemelodyjny, monotonny. Mówi po niderlandzku, ale wyraźnie słychać, że nie jest to jego ojczysty język.

Rezeki przybiega w podskokach, zaczyna szczekać i warczy, gdy nowo przybyły próbuje pogłaskać ją po łbie. Nella spogląda na jego puste ręce.

— Dostawcy wchodzą drzwiami na dole — mówi.

Chłopak znowu się uśmiecha.

— Oczywiście — odpowiada. — Ciągle zapominam.

Nella, zaniepokojona jego urodą, chciałaby dotknąć tych kości policzkowych, choćby tylko po to, by je zaraz odepchnąć. Wyczuwa za plecami czyjąś obecność i odwraca się. Ciężkim krokiem zbliża się Johannes i staje między Nellą a posłańcem.

— Johannes? Myślałam, że jesteś w pracy. — Nella nie kryje zdumienia. — Dlaczego…?

— Co tu robisz? — zwraca się Johannes do chłopaka zduszonym głosem, prawie szeptem. Nie zwraca uwagi na zdziwioną minę Nelli i zagania warczącą Rezeki z powrotem do domu.

Młodzieniec nonszalancko wsuwa dłoń pod kurtkę, ale też prostuje się nieco i zmniejsza rozkrok.

— Przyniosłem przesyłkę — wyjaśnia.

— Dla kogo?

— Dla pani Nelli Oortman.

Chłopak wymawia nazwisko panieńskie Nelli szczególnie starannie, wytrzymując spojrzenie Johannesa, a Nella wyczuwa napięcie męża. Młodzieniec wyciąga zza pazuchy paczuszkę, na której Nella dostrzega wymalowane tuszem słońce. Czyżby miniaturzysta już zrobił to, o co prosiła? — zastanawia się, opierając się przemożnemu pragnieniu, by wyrwać mu z rąk zawiniątko i pognać z nim na górę.

— Twój pan szybko pracuje — zauważa, modląc się o odrobinę zimnej krwi. To przesyłka dla mnie, myśli, nie dla mojego męża.

— O jakim panu ona mówi? — dopytuje chłopaka Johannes.

Chłopak śmieje się i wręcza jej pakunek, a Nella przyciska go do siebie.

— Jestem Jack Philips, do pani usług. Z Bermondsey — przedstawia się, ujmując jej dłoń. Składa na niej suchy, szybki pocałunek, a muśnięcie jego warg na chwilę elektryzuje Nellę.

— Ber-mond-sey? — powtarza Nella. Nie potrafi skojarzyć z tym niezwykłym słowem żadnego obrazu ani przypisać temu niezwykłemu chłopcu żadnego znaczenia.

— Spod Londynu. Pracuję dorywczo dla VOC — wyjaśnia Jack. — A czasem na własny rachunek. W moim kraju byłem aktorem.

W głębi korytarza słychać Rezeki, jej szczekanie odbija się echem od zachmurzonego nieba.

— Kto ci za to zapłacił? — pyta Johannes.

— Ludzie z całego miasta płacą mi za doręczanie przesyłek, jaśnie panie.

— A tym razem kto?

Jack cofa się o krok.

— Twoja małżonka, panie — odpowiada. — Twoja żona.

Jack kłania się Nelli, schodzi wolnym krokiem po schodach i oddala się.

— Chodź, Nello — ponagla ją Johannes. — Zamknijmy drzwi przed wzrokiem ciekawskich.

W domu zastają Ottona, który czeka na nich na szczycie schodów wiodących do kuchni z grabiami w ręce; ich ostre zęby połyskują w świetle.

— Kto to był, panie?

— Nieważne — rzuca w odpowiedzi Johannes, a Otto kiwa głową.

Johannes kieruje spojrzenie na Nellę, która wzdryga się na widok jego postury — wydaje się teraz większy niż w ciasnym przedpokoju.

— Co jest w tej przesyłce?

— Sprzęty do domku, który od ciebie dostałam — oznajmia, zastanawiając się, co by powiedział, gdyby zobaczył lutnię, marcepan i ślubny kielich.

— Ach tak. Doskonale.

Nella czeka na dalsze pytania, ale bez skutku, do tego Johannes nie wydaje się choćby w najmniejszym stopniu poruszony.

— Mogę ją rozpakować na górze? Mógłbyś przyjść i popatrzeć — proponuje z nadzieją, że mąż się zgodzi. — Mógłbyś zobaczyć, jak twój ślubny prezent się powiększa.

— Muszę wracać do pracy, Nello. Nie będę ci zakłócał spokoju — odpowiada z nerwowym uśmiechem, machając ręką w kierunku swojego gabinetu.

Nie chcę spokoju, myśli Nella. Zrezygnowałabym z niego bez żalu, gdybyś tylko zechciał poświęcić mi trochę uwagi.

Lecz Johannes już poszedł — a Rezeki, jak zwykle, podreptała za nim.

*

Wciąż zaniepokojona obrazem Jacka Philipsa z Bermondsey, Nella siada na swoim ogromnym łożu z paczuszką na kolanach. Przesyłka ma średnicę talerza obiadowego, jest pękata, zapakowana w gładki papier i przewiązana sznurkiem. Wokół namalowanego słońca wypisano wielkimi czarnymi literami:

KAŻDA KOBIETA ARCHITEKTEM
WŁASNEGO LOSU.

Nella czyta to zdanie dwa razy, zaintrygowana, z przyjemnym łaskotaniem w brzuchu. Kobiety niczego nie budują, a już na pewno nie własny los, myśli. Losy nas wszystkich są w rękach Boga — ale kobiet zwłaszcza wtedy, gdy mężowie wezmą je w obroty, a porody wymaglują do cna.

Wyciąga pierwszy przedmiot i waży w dłoni malutką srebrną szkatułkę. Na jej wieczku wyryto litery N i O, otoczone girlandą kwiatów i winnych pnączy. Nella delikatnie uchyla wieczko, a miniaturowe, dobrze naoliwione zawiasy nie wydają żadnego dźwięku. W środku kryje się równiutki blok marcepanu o długości ziarnka kawy, a kubki smakowe Nelli ożywają na myśl o słodkiej masie migdałowej. Wbija w nią paznokieć i kładzie palec na czubku języka. Marcepan jest prawdziwy, nawet aromatyzowany wodą różaną.

Wyjmuje następny przedmiot. To lutnia, nie dłuższa od jej wskazującego palca — z prawdziwymi, nastrojonymi strunami i wydętym pudłem rezonansowym, by pomieściły się w nim dźwięki. Nigdy nie widziała czegoś podobnego — takiego mistrzostwa, troski, tak kunsztownych drobiazgów.

Trąca struny niepewnie, naraz zdumiona, gdy dźwięczy cichy akord. Przypomina sobie melodię, którą zagrała dla Johannesa w Assendelfcie, i wygrywa ją ponownie.

Znów sięga do pakunku i wyjmuje zamówiony kielich ślubny. Jest zrobiony z cyny; mężczyzna i kobieta trzymają się za ręce, otaczając jego brzeg, a średnica naczynia nie jest większa niż ziarenko. Wszyscy nowożeńcy w tym kraju piją z takich kielichów — ona i Johannes także powinni byli to uczynić we wrześniu. Nella wyobraża sobie, jak oboje stoją w starym sadzie jej ojca i pociągają po łyku reńskiego wina, a na głowy sypią im się ryż i płatki kwiatów. Ten maleńki kielich upamiętnia coś, co się nigdy nie wydarzyło. To, co miało być wyrazem buntu wobec Marin, teraz napawa Nellę bezbrzeżnym smutkiem.

Zbiera papierki z opakowań, żeby je wyrzucić, i dopiero wtedy spostrzega, że w środku jest coś jeszcze. To chyba jakaś pomyłka, myśli, a jej smutek przeradza się w ciekawość. Wszystko, o co prosiła, już leżało na łóżku.

Przechyla paczuszkę i na narzutę wypadają jeszcze trzy zawiniątka. Gmera przy pierwszym i odkrywa dwa prześliczne drewniane fotele. Na podłokietnikach wyrzeźbiono lwy wielkości bożych krówek, oparcia obciągnięte są zielonym aksamitem i nabijane miedzianymi gwoździkami. Na poręczach wiją się morskie potwory, zaplątane w liście akantu. Nella uprzytamnia sobie, że już gdzieś widziała te krzesła. W zeszłym tygodniu w salonie na dole na jednym z nich siedziała Marin.

Lekko podenerwowana, odpakowuje następną rzecz. W fałdach płótna kryje się coś malutkiego, lecz masywnego. Uwalnia przedmiot: to kołyska z drewna dębowego, z misternymi kwietnymi intarsjami, blaszanymi biegunami i koronkową firaneczką, częściowo zasłaniającą budkę. To skromne drewniane cudo, lecz na jego widok ściska Nellę w gardle. Kładzie kolebkę na dłoni, a ona kołysze się idealnie miarowo i jakby samoczynnie.

To na pewno pomyłka, myśli, te przedmioty są przeznaczone dla kogoś innego. Fotele, kołyska — być może są to rzeczy, które kobiety zwyczajowo zamawiają do zminiaturyzowanych replik swoich domów, ale ona o nie nie prosiła. Na pewno nie. Rozrywa trzecie zawiniątko i pod jeszcze jedną warstwą błękitnego materiału znajduje parę miniaturowych piesków. Dwa whippety nie większe niż ćmy, pokryte jedwabiście miękkim szarym futerkiem, z łebkami wielkości groszku. Między nimi leży kość do obgryzania, czyli pomalowany na żółto goździk — jego zapach nie pozostawia wątpliwości. Nella podnosi zwierzątka i przygląda się im bliżej; krew zaczyna krążyć szybciej w jej żyłach. To nie są jakieś tam psy. To Rezeki i Dhana.

Nella upuszcza je szybko, jakby ją pokąsały, i zeskakuje z łóżka. W tonącym w mroku nieoświetlonym rogu pokoju czeka na umeblowanie domek dla lalek. Kotary nadal są rozsunięte, jak podkasane niestosownie spódnice. Nella obrzuca szybkim spojrzeniem rozrzucone pieski. Te same kształty i umaszczenie boków, te cudownie gładkie uszy.

— Spokojnie, Nello Elżbieto — upomina samą siebie. — Kto powiedział, że to te same pieski, które wylegują się w kuchni przy piecu?

Ogląda obydwa miniaturowe zwierzaki pod światło. Ich ciałka są lekko gąbczaste, z wyraźnie zaznaczonymi stawami, obciągnięte szarą, mysią skórką i miękkie w dotyku jak płatek ucha. Kiedy Nella je odwraca, na moment nieruchomieje. Na brzuszku jednego z psów widnieje mała czarna plamka, dokładnie w tym samym miejscu co u Dhany.

Nella rozgląda się po pokoju. Czy ktoś tu jest? Stara się za wszelką cenę zachować rozsądek. Oczywiście, że nie, myśli, przecież nigdy nie czułam się bardziej osamotniona. Kto mógłby pokusić się o taki podstęp? Cornelia nie miałaby pieniędzy na takie gierki ani czasu, żeby je obmyślić. Otto też nie — zresztą chyba nie napisałby samowolnie do obcej osoby?

Nella ma wrażenie, jakby jakaś tajemnicza siła wtargnęła w jej życie, jakby ktoś obserwował ją pilnie w jej głupocie młodej żony. To Marin, myśli. Mści się na mnie za ślub z Johannesem i za to, że wchodzę jej w drogę. Rozlewa moje liliowe perfumy, zabrania marcepanu, boleśnie ściska mnie za ramię. To przecież ona dała mi *Listę Smita*. Czemu nie miałaby zapłacić miniaturzyście, żeby mnie nastraszyć? Dla niej to tylko jeszcze jedna próżniacza rozrywka.

Z drugiej strony… „Próżniaczy” i „rozrywka” to nie są słowa, które kojarzą się z Marin Brandt, i Nella szybko dochodzi do wniosku, że jej teoria nie ma sensu. Marin je jak ptaszek i robi zakupy jak zakonnica, nie licząc książek i okazów, zapewne zagarniętych po podróżach Johannesa. To nie może być sprawka Marin, ponieważ wiąże się z wydawaniem pieniędzy. Mimo wszystko gdy Nella zerka jeszcze raz na niezamówione przedmioty, woli myśleć, że to jednak szwagierka. Bo jeśli nie ona, myśli, to cóż nieznanego mogłam na siebie sprowadzić?

Ktoś zajrzał do życia Nelli i wytrącił ją z równowagi. Jeśli te rzeczy nie trafiły do niej przez pomyłkę, to kołyska jest szyderstwem z jej nieodwiedzanego łoża małżeńskiego i stanu, który powoli nabiera cech wiekuistego dziewictwa. Kto zdobyłby się na taką impertynencję? Psy do złudzenia przypominające te biegające po ich domu, odtworzone z pietyzmem krzesła, niedwuznaczna kołyska — jak gdyby miniaturzysta podglądał jej życie z ukrycia.

Kładąc się z powrotem do łóżka, Nella zdaje sobie sprawę z niepokoju, jaki wywołują w niej te miniaturki. Ciekawość miesza się w niej teraz z narastającym przerażeniem. Tak nie może być, myśli. Nie dam się zastraszyć ani z daleka, ani z bliska.

Wsłuchuje się w nieustające tykanie wahadła, otoczona tymi wszystkimi zagadkowymi nabytkami, i pisze drugi liścik do miniaturzysty.

„Wielmożny Panie!

Dziękuję za zamówione przedmioty, dostarczone dzisiaj przez Jacka Philipsa z Bermondsey. Pański kunszt jest niebywały. Dokonuje Pan cudów

opuszkami swoich palców. Marcepan jest wyjątkowo smaczny”.

Pióro Nelli zawisa nad kartką, lecz już za chwilę, zanim dziewczyna zdąży się rozmyślić, na papier wylewa się potok rozgorączkowanych słów.

„Jednak powiększył Pan przesyłkę w sposób, którego nie przewidywałam. Te whippety być może są dziełem przypadku, Wielmożny Panie, jako że wielu mieszkańców tego miasta posiada takie psy. Ja jednak nie zaliczam się do «wielu mieszkańców», a te psy, kołyska i fotele nie są moje. Jako żona szanowanego i wpływowego kupca VOC nie pozwolę się zastraszyć rękodzielnikowi. Dziękuję za Pańską pracę i poświęcony mi czas, lecz jestem zmuszona przerwać naszą współpracę ze skutkiem natychmiastowym.

Pańska w dobrej wierze

Petronella Brandt”.

Nella wzywa Cornelię i jak najszybciej, zanim zdąży zmienić zdanie, przekazuje jej zapieczętowany list. Niewykluczone, że jeszcze się rozmyśli. Może w ten sposób coś odrzuciłam, rozmyśla. Wyzwanie, jakiś ukryty sens tych niespodzianek, którego nie będzie mi dane odkryć. Czy nie poczuję cienia żalu? Skądże, perswaduje sobie. To tylko twoja wyobraźnia.

Cornelia odczytuje adres.

— Znów ten rzemieślnik? — pyta.

— Nie otwieraj — poleca jej Nella, a służąca kiwa głową, uciszona jej naglącym tonem.

Dopiero gdy Cornelia wyruszyła już na Kalverstraat, Nella uświadamia sobie, że nie zwróciła niezamówionych rzeczy. Układa te dodatkowe elementy jeden po drugim w domku, gdzie pasują jak ulał.

Na barce

Nazajutrz Cornelia tryska energią.

— Dalej, jaśnie pani! — woła, wpadając do jej sypialni tuż przed Marin. — Zrobimy porządek z tymi niesfornymi kosmykami. Wsuniemy pod czepek, schowamy je przed światem!

— O czym ty mówisz, Cornelio?

— Johannes zabiera cię dziś na ucztę do Cechu Złotników — wtrąca się Marin.

— Czy to był jego pomysł? — pyta Nella.

Marin przenosi wzrok na domek dla lalek, ale kotary chronią teraz jego wnętrze przed wścibskimi spojrzeniami.

— Ależ oczywiście. Johannes uwielbia uczty — zapewnia. — Uznał, że wypada, abyś mu towarzyszyła.

Teraz na pewno zacznie się przygoda, myśli Nella, mój mąż wypływa swoją małą tratwą na miotane sztormem morza najznakomitszego amsterdamskiego towarzystwa i ten najwytrawniejszy z żeglarzy będzie tam moim przewodnikiem.

Odsuwając myśli o miniaturowych pieskach i kołysce, Nella schyla się, sięga pod łóżko, bierze na palce odrobinę olejku liliowego i na oczach Marin rozciera go sobie na szyi.

Po wyjściu szwagierki wypytuje Cornelię, jak było na Kalverstraat.

— Znów nikt nie otworzył — odpowiada służąca. — Wsunęłam list pod drzwi.

— Nie widziałaś nikogo w Domu pod Słońcem?

— Nikogo, proszę pani. Za to Hanna przesyła pozdrowienia.

*

— Marin, czemu nie zdecydowałaś się iść? — pyta Johannes wieczorem, czekając na barkę. Ma na sobie wspaniały strój z czarnego aksamitu, wykrochmaloną białą koszulę z kołnierzem oraz wysokie buty z cielęcej skóry, wypolerowane na połysk przez Ottona, który czeka ze szczotką do ubrań w dłoni.

— Zważywszy wszystko inne, wydaje mi się, że powinieneś pokazywać się z żoną — odpowiada Marin, wbijając w niego wzrok.

— Co znaczy: „zważywszy wszystko inne”? — pyta niespokojnie Nella.

— Rozmawiaj z ludźmi, Johannesie — mówi Marin. — Pochwal się nią…

— Przedstawię cię w towarzystwie, Nello — przerywa siostrze Johannes, patrząc na siostrę spod oka. — Zdaje mi się, że właśnie to Marin miała na myśli.

— I pomów z Fransem Meermansem. Będziesz się z nim dziś widział — dodaje Marin z ponurą miną. — Zaproś ich oboje na kolację.

Ku zaskoczeniu Nelli Johannes kiwa głową. Jak może pozwalać siostrze tak się do siebie odzywać?

— Johannesie, czy możesz mi przyrzec…

— M a r i n… — Johannes nie wytrzymuje wreszcie tonu jej głosu. — Czy kiedykolwiek popełniłem jakiś błąd w interesach?

— Skądże — wzdycha Marin. — Przynajmniej jak dotychczas.

*

Nella czuje się tak, jakby jej brzuch był koszem pełnym złowionych ryb. Zasycha jej w ustach. W czasie tego krótkiego rejsu łódką do Cechu Złotników ona i jej mąż są po raz pierwszy razem poza domem. Ma wrażenie, że utonie w ciszy, lecz głos w jej głowie brzmi tak donośnie, że jest przekonana, iż Johannes też go słyszy. Chce zapytać o pełen map pokój Marin, o Ottona i statek z niewolnikami. Chciałaby opowiedzieć mu o maleńkich whippetach, kołysce, przepięknej miniaturowej lutni. Nie powie mu o kobiecie na Kalverstraat, która tak się jej przypatrywała — tę małą tajemnicę chciałaby zachować dla siebie — ale tak czy inaczej jej usta nie chcą drgnąć.

Mąż zaczyna z roztargnieniem czyścić sobie paznokcie. Półksiężyce brudu opadają na dno łodzi. Johannes przyłapuje ją na tym, że mu się przygląda.

— Kardamon — wyjaśnia. — Włazi za paznokcie. Tak samo sól.

— Rozumiem.

Nella wciąga głęboko w płuca powietrze, ślady woni tych miejsc, w których bywał, zapach cynamonu wchłonięty przez pory skóry Johannesa. Jej mąż wydziela tę samą, jakby lekko piżmową woń, którą

wyczuła w jego gabinecie tamtego wieczoru, kiedy przyjechał po raz pierwszy do ich wspólnego domu. Ogorzała twarz mężczyzny, jego za długie włosy, wypłowiałe i sztywne od słońca i wiatru, budzą w niej krępującą tęsknotę — nie tyle pragnienie jego ciała, ile chęć przekonania się, jak to jest położyć się nareszcie we dwoje w łożu małżeńskim. Prezent w postaci domku, a teraz wspólna podróż do cechu — może stanie się to dziś, po uczcie? Oboje upojeni winem wreszcie to zrobią.

Tafla wody jest tak gładka, a przewoźnik na tyle wprawny, że wydaje się, jakby to domy się poruszały, a nie łódka. Nella, bardziej nawykła do jazdy konnej, czuje się nieswojo z powodu tego leniwego, niby spokojnego tempa, gdy ona sama bynajmniej spokojna nie jest. Próbuje zdusić swoje zdenerwowanie, ściskając dłonie. Jak mogę cię pokochać? — to pytanie, ogromne i niemożliwe do zignorowania, nie przestaje kołatać jej w głowie, gdy na niego patrzy.

Stara się skupić myśli na tym, jak będzie wyglądać sala bankietowa: pełna rozproszonego światła, talerze niczym ogromne monety, twarze gości odbijające się w każdej powierzchni.

— Co wiesz o cechach rzemieślniczych? — pyta Johannes, wyrywając ją z zamyślenia.

— Nic — odpowiada Nella.

Johannes przyjmuje jej ignorancję skinieniem głowy, a Nella przygląda się, jak świadomość jej niewiedzy powoli do niego dociera, i wyrzuca sobie, że nie sprawia wrażenia mądrzejszej.

— Cech Złotników obraca wielkimi sumami pieniędzy — podejmuje Johannes. — To jeden z najbogatszych. Gildie dają rzemieślnikom ochronę w ciężkich czasach, terminy dla uczących się zawodu i ułatwiają sprzedaż, ale jednocześnie regulują godziny pracy i kontrolują rynek. Z tego powodu Marin tak nalega na sprzedaż cukru.

— Nie bardzo rozumiem.

— Rynek handlu cukrem, podobnie jak czekoladą i tytoniem, a także brylantami, jedwabiem czy książkami, jest otwarty. Nie regulują go cechy. Ceny mogę wyznaczać ja sam, albo mogą to zrobić Frans i Agnes Meermansowie.

— To po co wybieramy się do złotników?

Johannes szczerzy zęby.

— Na darmową kolację. Nie, żartuję. Chcą, żebym poszerzył swój patronat, a dobrze by było, gdyby zobaczyli, jak to robię. Jestem jak dziura

w murze, która prowadzi do magicznego ogrodu.

Nella zastanawia się, jak magiczny jest ten jego ogród, jak szeroko Johannes może otworzyć swoją sakiewkę. Marin była tak zaniepokojona na wzmiankę o tym, ile kosztował domek dla lalek, a Otto… Co on takiego powiedział? „Czara się przelewa”. Głuptasie, karci siebie w myślach. Mieszkasz teraz na Herengracht.

— Wygląda na to, że Marin bardzo na tym zależy, żebyś sprzedał cukier Fransa Meermansa — odważa się zagadnąć i natychmiast żałuje swojej decyzji. Zapada dłuższe milczenie, a Nella myśli, że wolałaby umrzeć, niż dłużej je znosić.

— Plantacja należy do Agnes Meermans — mówi wreszcie spokojnym tonem Johannes. — Ale zarządza nią Frans. Ojciec Agnes zmarł rok temu, nie doczekawszy się męskiego potomka… co nie znaczy, że nie pracował nad tym do ostatniego tchnienia. — Johannes milknie, widząc rumieńce na policzkach Nelli. — Wybacz. Nie chciałem być ordynarny. Jej ojciec był potworem, mimo to Agnes dostała po nim w spadku wiele akrów pól trzciny cukrowej. Te głowy cukru z dnia na dzień zdeprawowały ją i Fransa. Na to tylko czekali.

— To znaczy na co?

Johannes się krzywi.

— Na sprzyjające okoliczności. Trzymam te głowy w swoim składzie i zgodziłem się je sprzedać. Moja siostra nie przestaje wątpić, czy mi się to uda.

— Dlaczego?

— Bo Marin siedzi w czterech ścianach i miewa różne pomysły, ale nie ma pojęcia, na czym polega handel w praktyce. Zajmuję się tym od dziesiątków lat… za długo — wzdycha. — Tam gdzie trzeba się skradać ostrożnie, ona wpada jak słoń.

— Rozumiem — mówi Nella, choć nie ma pojęcia, co to takiego słoń. Słowo to brzmi jak nazwa polnego kwiatu, ale Johannes chyba nie zamierzał komplementować siostry.

— Johannesie, czy Marin… p r z y j a ź n i się z Agnes?

Johannes parska śmiechem.

— Znają się od dawien dawna, a czasem trudno jest kochać kogoś, kogo się zna zbyt dobrze. Niech to ci wystarczy za odpowiedź. Nie bądź taka zdziwiona.

Uwaga Johannesa kłuje Nellę jak odłamek lodu.

— Naprawdę tak uważasz?

— Kiedy poznajesz kogoś od podszewki, Nello… kiedy przejrzysz urocze gesty, uśmiechy… i ujrzysz ten żałosny strach, który kryje się w każdym z nas… wtedy pozostaje tylko wybaczać. Wszyscy rozpaczliwie tego potrzebujemy. A Marin… nie umie wybaczać. — Mężczyzna urywa. — W tym społeczeństwie są… drabiny i Agnes uwielbia się po nich wspinać. Sęk w tym, że widok z góry nigdy jej nie zadowala. — W jego oku pojawia się szelmowski błysk. — Mniejsza o to. Stawiam guldena, że Frans będzie miał na głowie największy kapelusz na sali i że to Agnes kazała mu go włożyć.

— Czy żony często bywają na tych bankietach?

Johannes się uśmiecha.

— Obecność kobiet jest zazwyczaj *proibido*, z wyjątkiem szczególnych okazji. Choć trzeba zauważyć, że damy z Amsterdamu cieszą się większą wolnością niż Francuzki bądź Angielki.

— Wolnością?

— Mogą chodzić same ulicami. Pary mogą nawet trzymać się za ręce. — Milknie znowu, wyglądając przez bulaj. — To miasto to nie więzienie, jeśli umiesz wytyczyć sobie właściwą ścieżkę. Obcokrajowcy mogą się zżymać, z tymi swoimi: *well, I never* i *alors*, ale jestem pewien, że to dlatego, że nam zazdroszczą.

— Naturalnie — odpowiada Nella, znów nie rozumiejąc obcojęzycznych słów ani tego, o co mu chodzi. *Proibido*. W ciągu krótkiego czasu, który spędziła w nowym domu, wielokrotnie miała już okazję usłyszeć, jak Johannes wtrąca obcojęzyczne wyrażenia, i Nella czuje się zafascynowana za każdym razem, gdy to robi. Nie sprawia przy tym wrażenia, jakby się popisywał — raczej szuka czegoś, co nie jest dostępne w jego ojczystym języku. Nella uświadamia sobie, że żaden mężczyzna — właściwie nawet żaden człowiek — jeszcze nigdy nie rozmawiał z nią tak jak on dzisiaj. Pomimo tych tajemniczych aluzji Johannes traktuje ją jak równą sobie, spodziewa się, że Nella go zrozumie.

— Chodź no tutaj — mówi do niej.

Posłusznie, z lekkim przestrachem Nella przysuwa się do niego i delikatnie unosi podbródek, wyciągając szyję. Patrzy na Johannesa i oboje mierzą się wzrokiem jak pan i niewolnik na rynku. Johannes ujmuje w dłonie jej twarz i obwodzi nimi kontury jej młodych policzków. Nella pochyla się do przodu. Opuszki palców Johannesa są stwardniałe, ale Nella

przecież na to czekała. Jej skóra pulsuje pod jego dotykiem. Zamyka oczy, przypominając sobie słowa matki: „Dziewczynie marzy się miłość. Ptasiego mleczka ze śmietanką na dodatek”.

— Lubisz srebro? — pyta Johannes.

— Tak — odpowiada szeptem. Nie zepsuje tej chwili dziewczęcym świergotaniem.

— Nie ma nic piękniejszego na tym świecie niż srebro — oznajmia Johannes. Odrywa dłonie od jej twarzy, a Nella natychmiast otwiera oczy, zawstydzona nienaturalną pozycją swojego ciała. — Każę sporządzić naszyjnik na tę szyję.

Jego słowa toną w chaosie jej myśli. Nella odsuwa się, pocierając szyję, jakby próbowała przywrócić w niej krążenie krwi.

— Dziękuję — odpowiada machinalnie.

— Jesteś teraz moją żoną. Powinniśmy cię stroić.

Johannes uśmiecha się do niej, ale to zdanie brzmi w jej uszach jakoś brutalnie, a w brzuchu ściska ją strach. Nie znajduje nic, co mogłaby na to odpowiedzieć.

— Nie zrobię ci krzywdy, Petronello.

Nella wygląda przez bulaj w stronę szeregu przesuwających się fasad kamienic. Zaciskając mocno uda, wyobraża sobie moment penetracji — czy jest w niej coś, co pęknie, czy będzie tak bolało, jak się tego obawia? Bez względu na wszelkie możliwe przykre odczucia wie, że nie da się tego uniknąć, trzeba to przetrwać.

— Naprawdę — zarzeka się Johannes. — Mówię poważnie.

Teraz to on pochyla się w jej stronę. Uchwytna woń soli i kardamonu, jego dziwnej, obcej męskości, jest prawie obezwładniająca.

— Nello, słuchasz mnie?

— Ależ tak. Jestem, Johannesie… Ja… nie zrobisz mi krzywdy.

— Dobrze. Nie musisz się niczego obawiać z mojej strony.

Po tych słowach odsuwa się i wpatruje w kamienice nad kanałem. Nella przypomina sobie rycinę w książce podróżniczej Marin: tubylec i najeźdźca, między nimi otchłań niezrozumienia. Zapadła noc. Nella ogląda światła innych, mniejszych łódek i czuje się zupełnie sama.

Zabawy małżeńskie

Komnata bankietowa Cechu Złotników jest duża i wypełniona po brzegi ludźmi. Twarze zlewają się w jedną plamę oczu, ust i piór podskakujących na rondach kapeluszy. Wokół narasta brzęk sreber trącających o srebra, męski śmiech odbija się od ścian, kontrapunktowany przez subtelniejsze kobiece chichoty. Wokół rozłożone są monstrualne ilości jedzenia. Długie złączone stoły, przykryte drapowanym białym adamaszkiem, uginają się pod ciężarem półmisków z drobiem i indykami, od kandyzowanych owoców, pasztecików z pięcioma rodzajami farszu, srebrnych kandelabrów. Johannes bierze Nellę pod rękę i przyciska mocno do swego boku. Okrążają ten oszałamiający wybór dań, trzymając się blisko ścian wyłożonych ciemnym mahoniem. Wydaje się, jakby w ślad za nimi biegły przez salę szepty i chichoty.

Pozostałe cechowe żony zdążają na swoje miejsca bez wahania, najwyraźniej wiedzą, gdzie usiąść. Wszystkie odziane są w czerń, ich dekolty zakrywają koronkowe żaboty, widać tylko przebłysk białej skóry. Zwłaszcza jedna kobieta strzela spojrzeniem, jej oczy lśnią w blasku świec jak dżety, skupiając się na Nelli. Jakże odmienny jest ten wzrok od tego, którym patrzyła na nią kobieta na Kavlerstraat.

— Uśmiechnij się i usiądź przy mnie — szepcze Johannes, posyłając kobiecie niechętny uśmiech. — Zjedzmy coś, zanim stawimy czoło ludziom.

Nella nie może się oprzeć wrażeniu, że mogłaby być tu zjedzona żywcem, gdyby nie obfitość potraw.

Zajmują miejsca przy stole, na którym podano na pierwsze danie kraba.

— Odnajduję się w różnych smakach — stwierdza Johannes, unosząc widelec do krabów. Nella wpatruje się w lśniące srebrne półmiski i tęgie dzbany z winem, zastanawiając się, co ma na myśli. W obecności tylu innych ludzi jego niesnaski z Marin idą w zapomnienie. Johannes jest towarzyski, świadomy spojrzeń zgromadzonego towarzystwa i gawędzi ze swoją młodą żoną, jak gdyby spędzili razem ze dwie dekady, przemierzając wszystkie oceany świata.

— Nasiona kminku w świeżym serze przypominają mi, że jestem zdolny do zachwytu — mówi głośno Johannes. — Bardzo lubię masło z Delftu, takie delikatne i kremowe, tak różne od wszystkich innych. Sprzedaję chińską porcelanę w Delfcie i kupuję je w kawałkach. A piwo śliwkowe Cornelii z majerankiem uszczęśliwia mnie bardziej niźli podpisany kontrakt. Musi zrobić go trochę także dla ciebie.

— Moja matka takie warzy — odpowiada Nella, a odgłosy uczty, chrupanie i brzęki, zaczynają ją zniechęcać. Czuje się zmęczona wewnętrzną energią tej komnaty, wysuszona jak kawałki kandyzowanych owoców na stołach.

— Figi i kwaśna śmietana na wczesne letnie śniadanie — ciągnie Johannes, zatopiony w swoim świecie — to szczególna przyjemność, która przenosi mnie z powrotem w dzieciństwo. Smaki to jedyne, co z niego dziś pamiętam. — Obrzuca Nellę spojrzeniem. — Ty bez wątpienia pamiętasz swoje, wszak było to tak niedawno.

Nella się zastanawia, czy ten przytyczek był celowy, czy może to objaw zdenerwowania przebywaniem wśród ludzi, pod bacznym okiem innych. Tak czy inaczej nie ma ochoty zgodzić się z mężem. W tym momencie dzieciństwo wydaje jej się niewiarygodnie odległe. Zastąpiły je niepewność i niezbyt silne, lecz ustawiczne rozczarowanie. Strach ściskający ją w brzuchu przeradza się w mdlący niepokój, nie może znieść kakofonii sali bankietowej, timbre’u rozmowy, całej tej inwazji obcości.

— Opuściłam kołyskę dawno temu — mówi szeptem, myśląc o nieproszonym podarunku miniaturzysty, coraz bardziej zdezorientowana.

— Jedzenie jako nośnik pamięci — kontynuuje Johannes. — Pożywienie samo w sobie stanowi język. Pasternak, rzepa, por, endywia… Chrupię je sobie, kiedy nikt nie słyszy. A, i ryby! Flądra, sola, płastuga, dorsz to moje ulubione, ale nie pogardzę niczym, co przynoszą nam w darze morza i rzeki opływające Republikę.

Nella wyczuwa coś opiekuńczego w jego sposobie mówienia, jak gdyby miał nadzieję, że jego słowa uchronią jej umysł przed tym rozgardiaszem.

— Co jadasz, gdy jesteś na oceanach? — zagaduje, zebrawszy się na odwagę, by podjąć tę grę.

Johannes odkłada widelec.

— Innych ludzi.

Nella skwapliwie parska śmiechem, nieśmiały dźwięk pada między nich i ląduje na obrusie. Johannes wkłada do ust następny kawałek kraba.

— Kanibalizm to jedyny sposób, żeby przetrwać, kiedy skończy się jedzenie — wyjaśnia — chociaż osobiście wolę kartofle. Mam ulubioną tawernę w tym mieście, na Wschodnich Wyspach, nieopodal mojego składu. Podają tam pieczone kartofle o najbardziej puszystym miąższu. — Dźga kraba na talerzu. — To moje sekretne miejsce.

— Już nie sekretne, właśnie mi je zdradziłeś.

Johannes odejmuje widelec od ust.

— Rzeczywiście — przyznaje. — Co racja, to racja.

Wygląda na zaskoczonego jej spostrzeżeniem i odwraca wzrok w kierunku kraba. Nie mając nic do powiedzenia, Nella również studiuje rozgrzebane mięsiwo, szczypce w atramentowym kolorze, skorupę nabierającą coraz gniewniejszego odcienia czerwieni. Johannes odrywa odnóża i wydłubuje widelczykiem ostatnie resztki włóknistego białego mięsa, jednocześnie pozdrawiając na odległość jednego ze złotników. Nella odważa się przełknąć mały kęs. Mięso ma słonawy smak i wchodzi jej między zęby.

Po wydłubaniu skorupy do czysta Johannes przeprasza żonę i odchodzi od stołu.

— To nie potrwa długo — mówi, wzdychając. — Interesy. — W jego ustach brzmi to jak przykry obowiązek. Staje w kącie sali, pośród grupki innych mężczyzn.

Nella czuje się bez niego zupełnie bezbronna, obnażona, ale obserwuje z zafascynowaniem przemianę, jakiej zdaje się ulegać jej mąż. Jeśli Johannes odczuwa zmęczenie rozmowami o pracy, zleceniach i sytuacji na rynku, to umiejętnie je skrywa. Jakże jest przystojny w porównaniu z innymi, mimo ich wspaniałych płaszczy i skórzanych trzewików. Śmiech wzbija się ponad ich kapelusze, odrzucają głowy do tyłu — a wśród tych wszystkich nalanych twarzy i rumianych policzków, wąsów i bród upstrzonych drobinkami kraba stoi Johannes, ogorzały i uśmiechnięty.

Mogłabym go pokochać, myśli Nella. Bycie żoną takiego mężczyzny nie powinno nastręczać wielu problemów. A miłość musi nadejść, inaczej nie przeżyję. Może wykiełkuje powoli, jak jedno z ozimych nasionek Ottona.

Do Johannesa zaczynają schodzić się terminatorzy, pokazują mu swoje dzieła, a on unosi każdy przedmiot — srebrne dzbany i wazy — z delikatnym respektem. Każdy jego komplement wprawia młodzieńców w euforię. Inni kupcy odstępują o krok i obserwują bystrym wzrokiem, jak Johannes wszczyna dyskusję artystyczną o przewadze grawerunków

o tematyce marynistycznej nad kwiatowymi. Sprawia wrażenie kogoś, kto zna się na rzeczy, spostrzegawczego, niezwykłego pod każdym względem. Notuje nazwiska, chowa do kieszeni srebrne puzderko, poleca terminatorowi przyjść na spotkanie w VOC.

Nella spogląda akurat na drugie danie — miskę małży polanych baranim bulionem i sosem cebulowym — kiedy kobieta o agresywnym spojrzeniu rusza przed siebie. Ma wyprostowaną sylwetkę, jasne włosy utrefione w misterną fryzurę, zwieńczoną czarną aksamitną opaską wysadzaną perełkami. Nella dziękuje w myślach Bogu za Jego małe cuda, a konkretnie za umiejętności krawieckie Cornelii, dzięki którym suknia na nią pasuje.

Kobieta zatrzymuje się przy stole i skłania głęboko.

— Mówili, żeś młoda.

Nella zaciska palce na krawędzi miski.

— Mam osiemnaście lat.

Kobieta prostuje się, tocząc wzrokiem po sali.

— Byliśmy ciekawi, jak wyglądasz — ciągnie tym samym przyciszonym głosem. — Teraz widzę, że w wyborze żony Brandt kierował się tymi samymi kryteriami co zawsze. Oortman to b a r d z o stare nazwisko. A jak to rzekł Eklezjasta? Lepsze jest imię dobre niżeli maść wyborna! — Jej ton jest pełen troski, uznania, ale jest w nim coś, co trafia Nellę w czuły punkt.

Dziewczyna usiłuje podnieść się z ławy, lecz blat stołu i jej obfite spódnice skutecznie jej w tym przeszkadzają. Kobieta czeka cierpliwie na ukłon, przyglądając się zmaganiom Nelli. Wyswobodziwszy się nareszcie z wąskiej luki między stołem na kozłach a ławą, Nella kłania się nisko, zbliżając twarz do czarnej spódnicy z wypukłym wzorem, rozpostartej przed nią niczym skrzydła wrony, która dopadła swą ofiarę.

— Nie trzeba, dziecko — mówi kobieta. Za późno, jaśnie pani, myśli Nella. — Jestem Agnes, żona Fransa Meermansa. Mieszkamy Pod Lisem, przy Prinsengracht. Frans ubóstwia polować, sam wybrał dla nas ten znak.

To nagłe zwierzenie zawisa między nimi niezręcznie, a Nella kwituje je tylko uśmiechem, nauczywszy się już od Marin, że milczenie daje minimalną przewagę.

Agnes unosi rękę do włosów, a Nella widzi to, co miała zobaczyć — pierścienie zdobiące każdy z jej palców. Malutkie rubiny, ametysty, zielony błysk szmaragdu. To takie nieholenderskie, te wszystkie szlachetne kamienie na widoku — większość kobiet nosi klejnoty schowane głęboko w fałdach ubioru. Nella próbuje sobie wyobrazić tak upierścienione dłonie

Marin. Nie doczekawszy się od Nelli odpowiedzi, Agnes uśmiecha się kwaśno i podejmuje na nowo:

— Właściwie jesteśmy sąsiadkami, z tego samego *gebuurte*.

Mówi w dziwnie wymuszony sposób, jej słowa brzmią niespontanicznie, jakby miała w zwyczaju ćwiczyć wdzięczne pozy przed lustrem. Nella wpatruje się w zapadniętą aureolę drobnych pereł otaczających wyniosłą głowę kobiety. Perły są wielkości zębów mlecznych i połyskują w roztańczonym blasku kandelabrów.

Agnes jest może trochę starsza od Marin, lecz jej pociągła, gładka twarz nie wygląda na steraną życiem — żadnych pieprzyków, przebarwień od słońca, żadnych ciemnych podkówek pod oczyma, śladów mozołu czy troski o dzieci. Sprawia wrażenie eterycznej, jakby niezamieszkanej — przeczą temu tylko ciemne oczy, które mrugają szybko, po czym przymykają się do połowy jak u rozleniwionej kotki. Agnes lustruje srebrną suknię Nelli, jej wąską talię.

— Skąd pochodzisz? — pyta.

— Z Assendelftu. Na imię mam Petronella.

— To pospolite imię, nosi je wiele kobiet w tym mieście. Podobało ci się w Assendelfcie?

Nella zauważa ledwo dostrzegalne przebarwienia na zębach Agnes. Zastanawia się nad najlepszą odpowiedzią, jakiej można by udzielić tej kobiecie, która wyraźnie ją sprawdza.

— Opuściłam je ledwie jedenaście dni temu, pani, a wydaje się, jakby to było dziesięć lat.

Agnes się zaśmiewa.

— Czas jest dla młodych jak świeca, co nie chce zgasnąć. Jak Marin cię znalazła?

— Znalazła mnie?…

Agnes znowu wybucha śmiechem, przerywając Nelli, a cała jej odpowiedź zamyka się w pogardliwym prychnięciu. To nie jest rozmowa, to raczej Agnes wypuszcza strzały i obserwuje, jak trafiają w cel. W jej głosie pobrzmiewa nieustające rozbawienie, lecz Nella nie ma wątpliwości, że pod tą sztucznie podtrzymywaną butą drzemie coś innego, czego Nella nie umie jeszcze nazwać. Patrzy Agnes prosto w oczy i uśmiecha się, ukrywając zakłopotanie za bielszym, młodszym uzębieniem.

Zapachy duszonego drobiu i gotowanych owoców, chlust wina nalewanego z dzbanów próbują wedrzeć się pomiędzy kobiety, lecz

magnetyczne przyciąganie Nelli sprawia, że Agnes odsuwa od siebie wszystko inne.

— Żona dla Johannesa Brandta — mówi pani Meermans z westchnieniem, łagodnie acz stanowczo naciskając ramię Nelli, by zmusić ją do zajęcia razem z nią miejsca na ławie. — Ileż to czasu minęło. Marin musi być bardzo rada, zawsze mówiła, że on musi mieć potomków. Ale Brandt był bardzo niechętny wobec dziedziców.

— Nie rozumiem?

— Mawiał, że to ruletka. „Brzydkie, choć spomiędzy pięknych nóg, krnąbrne, choć dobrze pilnowane, i głupie mimo mądrych rodziców”. Niby zabawny, jak to Brandt. Ale to przecież nie są żarty.

Wydaje się to niegrzeczne, a nawet wielce zuchwałe z jej strony, że posługuje się tylko nazwiskiem Johannesa i mówi o nim z taką swobodą. Nella czuje się dotknięta, oniemiała, nie potrafi sobie wyobrazić, w jakich okolicznościach Johannes mógłby rozmawiać z tą dziwną kobietą o swoim potomstwie.

Agnes podnosi dzban i nalewa wino do dwóch kielichów. Kobiety siedzą przez kilka chwil w milczeniu, obserwując postępujące upojenie zebranych, porto rozchlapywane na adamaszkowe obrusy, błyski uprzątanych półmisków, nakładanie ostatków jedzenia.

— Złoty Zakręt — mówi Agnes, przeglądając Nellę wzrokiem jak talię kart — dla kogoś z Assendelftu musi wydawać się tak odległy jak Batawia. — Zakłada za ucho wyimaginowany kosmyk, a jej upierścienione palce znowu połyskują.

— Trochę tak.

— Ale małżeństwo z miłości, tak jak i moje, to wielka rzadkość! Frans mnie rozpieszcza — mówi konspiracyjnym szeptem. — Tak jak Brandt będzie rozpieszczał ciebie.

— Mam nadzieję — odpowiada Nella, choć czuje się głupio.

— Mój Frans to dobry człowiek — ciągnie Agnes.

To nieproszone spostrzeżenie zawisa w powietrzu jak wyzwanie, a Nella dziwi się tej osobliwej zaczepce. Może właśnie taka jest konwersacja w modnym towarzystwie: wojownicza, denerwująca, tylko udająca swobodną pogawędkę.

— Poznałaś już Murzyna? — ciągnie niezrażona Agnes. — Toż to f e n o m e n. W mojej posiadłości w Surinamie jest ich wielu, ale nie miałam okazji żadnego poznać.

Nella upija łyk wina.

— Masz na myśli Ottona? Byłaś kiedy w Surinamie?

Agnes parska śmiechem.

— Ależ jesteś urocza!

— Czyli nie byłaś?

Uśmiech zamiera Agnes na ustach. Pani Meermans wygląda wręcz na przybitą.

— To, że cały majątek przeszedł w nasze ręce, to cudowny przykład Bożej dobroci, pani. Żadnych czyhających braci, rozumiesz? Wszystkim zawiaduję sama. Nie powinnam zatem narażać swojego życia podczas trzymiesięcznego rejsu, skoro Bóg powierzył mi cukier papy. Jak mogłabym czcić jego pamięć, uwięziona gdzieś Bóg wie gdzie, na jakimś statku?

Wino wierci Nellę w nosie. Agnes pochyla się w jej stronę.

— Przypuszczam, że Murzyn nie jest może niewolnikiem w ś c i s ł y m sensie — mówi. — Brandt nie życzył sobie, byśmy tak go nazywali. Kilka znanych mi regentek ma w Amsterdamie po jednym. Ja bym chciała takiego, co gra na jakimś instrumencie. Skarbnik generalny ma ich t r o j e, w tym jedną kobietę, która gra na wioli! Co, jak się zdaje, dowodzi, że można dziś kupić wszystko pod słońcem. Zastanawiamy się, co to oznacza dla Brandta. To takie do niego podobne: sprowadzić Murzyna do domu…

— Agnes — dobiega ich czyjś głos, a Nella pośpiesznie wstaje. — Proszę — mówi stojący przed nimi mężczyzna, dając znak ręką, że nie oczekuje od niej dygania w tej ciężkiej tafcie.

Agnes splata zwinne palce na podołku.

— Mój mąż, seigneur Meermans — przedstawia go. — A oto Petronella Oortman.

— Petronella Brandt — prostuje on, rozglądając się po komnacie. — Wiem.

Przez moment ta scena — stojący mężczyzna i kobieta u jego boku, odziani w bogactwo, połączeni niewidzialnymi więzami — to najdoskonalszy obraz małżeństwa, jaki Nella kiedykolwiek widziała. Ich jedność jest onieśmielająca.

Frans Meermans jest nieco młodszy od Johannesa, lecz wiatr ani słońce najwyraźniej nigdy nie smagały jego olbrzymiej twarzy. Jego gładko ogolona, szeroka szczęka mogłaby zgryźć naraz chyba z pięć małży. W ręku trzyma kapelusz, którego rondo jest szersze niż wszystkich pozostałych.

Gulden dla ciebie, Johannesie, myśli Nella, ciekawa, jakie jeszcze zakłady wygrywa jej mąż.

Meermans to mężczyzna z gatunku tych, którzy szybko obrastają w tłuszcz, przewiduje dziewczyna. Nic dziwnego, zważywszy na jedzenie podawane w miejscach takich jak to. Pachnie trochę mokrym psem i dymem drzewnym, jego woń wydaje się dziksza niż owocowy zapach pomady jego żony.

Pochyla się do przodu i podnosi lśniącą łyżkę.

— Zajmujesz się produkcją sreber? — pyta.

Agnes uśmiecha się cierpko na ten cienki żart, po czym zagaja:

— Pomówimy dzisiaj z Brandtem?

Meermans odruchowo podnosi głowę i błądzi spojrzeniem po sali. Johannes odłączył się od grupy w pobliżu stołu Nelli i nie ma go w zasięgu wzroku.

— Koniecznie — odpowiada Frans. — Cukier leży w jego składzie już prawie dwa tygodnie.

— Musimy… musisz uzgodnić warunki. To, że ona nie lubi słodyczy, nie znaczy, że inni też nie lubią. — Agnes prycha z dezaprobatą i nalewa sobie kolejny kielich wina, a jej dłoń drży prawie niezauważalnie.

Nella się podnosi.

— Muszę odszukać męża.

— Właśnie nadchodzi — mówi pani Meermans sztywno. Jej mąż ściska mocniej brzeg kapelusza. Agnes powoli wykonuje głęboki ukłon, gdy Johannes się zbliża. Frans natomiast prostuje plecy i wydyma pierś.

— Madame Meermans. — Johannes się kłania. Mężczyźni nie witają się jak należy.

— Seigneur — szepcze Agnes, obrzucając szybkim spojrzeniem jego gustownie skrojony, drogi płaszcz. Nella nie może się oprzeć wrażeniu, że Agnes stara się z wszystkich sił nie ulec pokusie wyciągnięcia ręki i pogłaskania jego aksamitnych wyłogów. — Widzę, że wyczyniasz dziś czary, jak zawsze.

— Ja nie czaruję, pani. Jestem sobą.

Agnes spogląda na męża, który wydaje się zaprzątnięty studiowaniem obrusa. Jakby wyczuwając na karku jej wzrok, Meermans się odzywa:

— Pragniemy omówić sprawy… — Milknie niespodziewanie, a Nella dostrzega cień przygnębienia na jego częściowo zasłoniętej twarzy.

— Kiedy się sprzeda? — pyta Agnes natarczywie.

— Już niebawem, pani.

— Nie wątpię, seigneur. Nie śmiałabym…

— Korupcja van Riebeecka na Goede Hoop, ci przeklęci mali możnowładcy na naszych wysuniętych placówkach — tłumaczy Johannes. — Łapówkarze z Batawii, czarny rynek na Wschodzie… Odbiorcy z utęsknieniem czekają na dobry produkt, a ja rozpowiadam, że takiego właśnie mogą się spodziewać od pani, madame. Indie Zachodnie uratują nam skórę, tak myślę… ale nie wezmę waszego cukru na giełdę. Parkiet to cyrk, maklerzy są jak oszalałe harpie. Ten cukier wymaga starannego, kontrolowanego wypuszczenia na rynek za granicą…

— Tylko nie w Anglii! — zastrzega Agnes. — Nie znoszę Anglików. Ileż przysporzyli kłopotów memu ojcu w Surinamie…

— Wszędzie, tylko nie w Anglii — zapewnia Johannes. — Jest przechowywany w dobrych warunkach — dodaje swobodnie. — Możesz pójść i sprawdzić, jeśli zechcesz, pani.

— Jest pan doprawdy wyjątkowy, seigneur, nalegając na sprzedaż za granicą — zauważa Meermans. — Większość porządnych Holendrów wolałaby zatrzymać taki skarb w kraju, a zważywszy na jego jakość, moglibyśmy uzyskać dobrą cenę.

— Jestem zdania, że taka *amour-propre* mija się z celem — ripostuje Johannes. — Nie pomaga nikomu. Za granicą uważają nas za niegodnych zaufania. Nie mam chęci wpisywać się w ten obraz. Czyż nie lepiej rozsławiać wasz cukier poza krajem?

— Pokładamy ufność w tobie, panie, na dobre i na złe.

— Trzymam jedną głowę u siebie w domu — przerywa Agnes pojednawczo. — Jest taka… taka niezwykle solidna. Twarda jak diament, słodka jak szczeniak. Tak mawiał mój ojciec. — Bawi się koronką przy szyi. — Nie mogę się zdobyć na to, by ją rozłupać.

Nella kiwa się, wpatrując się w męty na dnie swojego kielicha, lekko wstawiona.

— Popłynę dla was do Wenecji — zapowiada Johannes. — Jest tam mnóstwo kupców. To nie najlepsza pora roku na import waszego cukru, ale bądźcie spokojni: znajdzie się dość Wenecjan skorych do zakupu.

— Wenecjan? — Agnes traci oddech. — P a p i s t ó w?!

— Jej ojciec pracował w pocie czoła, seigneur Brandt — burczy Meermans — żeby nie napełniać katolickich żołądków.

— Ale gulden jest tak samo cenny, nieważne, z jakiej kieszeni, czyż nie? Prawdziwy człowiek interesu o tym wie. Wenecjanie i Mediolańczycy jedzą cukier tak jak my, Holendrzy, oddychamy…

— Chodźmy — zwraca się Frans do żony. — Jestem zmęczony. I przejedzony. — Wsadza na głowę kapelusz, jak przykrywkę na własne myśli. Agnes stoi wyczekująco, a niezręczne milczenie gęstnieje.

— Zatem dobrej nocy — odzywa się w końcu Johannes z szerokim uśmiechem, ale w jego oczach też widać zmęczenie.

— Z Bogiem — rzuca Agnes, otaczając męża ramieniem. Gdy oboje oddalają się wzdłuż krytych mahoniem ścian, mijając poplamione obrusy, powywracane srebrne dzbany i resztki jedzenia, Nella czuje narastający niepokój.

— Johannesie — zwraca się do męża — Marin wspominała, że mamy zaprosić…

Johannes kładzie dłoń na jej ramieniu, a dziewczyna ugina się pod jej ciężarem.

— Nello — wzdycha — takich ludzi trzeba zawsze zostawiać z poczuciem niedosytu.

Lecz gdy Agnes ogląda się przez ramię i rzuca jej pełne wyższości spojrzenie, Nella nie jest tego taka pewna.

Gabinet

W drodze powrotnej Johannes leży rozciągnięty jak foka wyrzucona na brzeg na obitej jedwabiem ławie w kajucie barki.

— Masz tyle znajomości, Johannesie. Ludzie cię podziwiają.

Mężczyzna się uśmiecha.

— Sądzisz, że zawracaliby sobie mną głowę, gdybym nie był bogaty?

— A jesteśmy bogaci? — wyrywa się jej, przy czym troska w jej głosie jest aż nazbyt wyczuwalna, pytajnik wybrzmiewa zbyt głośno i oskarżycielsko.

Johannes odwraca się twarzą do żony, włosy więzną mu pod przyciśniętym do ławy policzkiem.

— Co się stało? — pyta. — Nie przejmuj się Marin ani tym, co mówi. Ona uwielbia się zamartwiać.

— Nie chodzi o Marin — odpowiada Nella i od razu zadaje sobie pytanie, o kogo w takim razie.

— To, że ktoś mówi ci coś z pasją w głosie, nie znaczy od razu, że mówi prawdę. Bywałem zamożniejszy, bywałem też biedniejszy. To nigdy nie robi widocznej różnicy. — Mówi wolniej, otumaniony jedzeniem i wyczerpany ucztą. — Mojego majątku nie da się dotknąć, Nello. On jest w powietrzu, raz się wydyma, raz rozwiewa. Potem znowu rośnie. Mogę dzięki niemu nabywać rzeczy materialne, lecz on sam jest niepochwytny, jak chmura.

— Ale mężu, czy istnieje coś bardziej materialnego niż moneta?

Johannes ziewa i przymyka oczy, a Nella wyobraża sobie pieniądze męża jako mgłę, która gęstnieje bądź się rozwiewa w sposób niemożliwy do przewidzenia.

— Johannesie, muszę ci coś wyznać — zaczyna i milknie. — Zatrudniłam miniaturzystę…

Lecz gdy podnosi wzrok, widzi, że jej męża z przejedzenia zmorzył sen. Ma ochotę nim potrząsnąć, zadać mu więcej pytań. W przeciwieństwie do Marin on zawsze udziela jej interesujących odpowiedzi. Po wyjściu Agnes i Fransa wydawał się rozkojarzony, błądził gdzieś wzrokiem, zatopiony w swoich myślach, po raz kolejny odmawiając jej tam wstępu. Dlaczego

Meermans, w porównaniu ze swoją żoną, okazywał tak niewielki entuzjazm w kontaktach z Johannesem? Czemu Johannes nie zaprosił ich do domu?

Nella wyczuwa na dłoniach pozostałości zapachu kwiatowej pomady Agnes. Burczy jej w brzuchu, ukrytym pod koronkową halką, i żałuje, że nie zjadła więcej. Wiek Johannesa widać po tym, jak opadają mu powieki, a podbródek przybliża się do piersi. A jednak jej mąż ma wyraziste rysy i w wieku trzydziestu dziewięciu lat mimo wszystko wygląda jak książę z bajki. Nella rozmyśla o tych napadach milczenia, jakie następują u niego po beztroskiej gadaninie, zanim odda się jeszcze mroczniejszym dumaniom. Przymyka oczy i kładzie dłoń na swoim płaskim brzuchu. „Z tobą i Brandtem będzie tak samo”.

Wraca do niej wspomnienie liściku miłosnego znalezionego w pokoju Marin. Skąd się tam wziął, ile dni — a może lat — przeleżał między kartami jej książki? Zastanawia się, jak Marin go czyta — z przyjemnością czy z pogardą? Miękki dotyk soboli pod jej sztywnym czarnym gorsetem. Na półce zamiast bukietu ślubnego pożółkła czaszka. Nie. Nikt nie rozpieściłby Marin. Nie pozwoliłaby na to.

Nella unosi dłoń w półmroku i ogląda swoją obrączkę ślubną; jej paznokcie połyskują jak bladoróżowe muszelki. W Assendelfcie może i był tylko jeden miejski plac, ale przynajmniej ludzie na nim słuchali tego, co miała do powiedzenia. Tutaj czuje się marionetką, naczyniem, w które inni wlewają swoje myśli. I to nie mężczyznę poślubiła, lecz cały ten świat. Złotnicy, szwagierka, dziwne znajomości, dom, w którym czuje się zagubiona, i ten w miniaturze, napawający ją przerażeniem. Ten świat z pozoru ma tak wiele do zaoferowania, a mimo to Nella ma nieodparte wrażenie, że coś jest jej stopniowo odbierane.

Kiedy wchodzą do domu, zwraca spojrzenie ku mężowi, zdecydowana coś powiedzieć — ale oto Johannes, pochylony, wita się z Rezeki. Nie ulega wątpliwości, że to jego ulubienica: mężczyzna przesuwa sztywną dłonią po łebku psa, a Rezeki szczerzy kły bez agresji, z zadowoleniem. Nikt nie zapalił świec w korytarzu. Przestrzeń tonie w mroku, przez wysokie okna nie pada blask księżyca.

— Nakarmili cię, moja piękna? — pyta Johannes łagodnym, pełnym miłości głosem. Suczka w odpowiedzi bije grubym ogonem o kafelki na podłodze, a Johannes chichocze.

Ten chichot irytuje Nellę — to jej powinien poświęcać uwagę, nie zwierzęciu.

— Dobrze, w takim razie położę się spać — oznajmia mężowi.

— Koniecznie — odpowiada on, prostując plecy. — Na pewno jesteś zmęczona.

— Nie, Johannesie, nie jestem.

Patrzy na niego uporczywie, aż wreszcie Johannes odwraca wzrok.

— Muszę sporządzić notatki na temat ludzi, których dziś poznałem. — Oddala się w stronę swojego gabinetu, a Rezeki natychmiast rusza za nim.

— Ona dotrzymuje ci towarzystwa? — woła za nim Nella. Jedenaście dni samotności jako żona, myśli. To więcej, niż Bogu zabrało stworzenie świata.

— Pomaga mi — stwierdza Johannes. — Jeśli próbuję rozwiązać jakiś problem bezpośrednio, nie udaje mi się, ale kiedy się nią zajmuję, odpowiedź przychodzi sama.

— Zatem ci się przydaje.

Johannes się uśmiecha.

— O, tak.

— A ile zapłaciłeś za Ottona? Czy on też się przydaje? — pyta zdenerwowana chłodnym, skrzekliwym głosem.

Johannes pochmurnieje, a Nella czuje, jak krew uderza jej do głowy.

— Co ta Agnes ci naopowiadała? — pyta.

— Nic takiego — rzuca w odpowiedzi Nella, ale nie sposób zaprzeczyć, że słowa Agnes dotknęły ją do żywego.

— Ja tylko opłaciłem z góry jego pobory — mówi opanowanym tonem.

— Czy Otto sądzi, że dałeś mu wolność?

Johannes wysuwa do przodu szczękę, a na jego twarzy pojawia się wyraz zdecydowania.

— Czy przeszkadza ci, Petronello, że on mieszka tutaj z nami?

— Skądże. Ja tylko… Nie chciałam… Chodziło mi o to…

— To jedyny służący, jakiego kiedykolwiek miałem i będę miał — ucina Johannes.

Odwraca się. Nie odchodź, myśli Nella. Gdy odejdziesz, stanę się niewidzialna, tutaj, w tym korytarzu, i nikt już nigdy mnie nie odnajdzie. Wskazuje na psa, siedzącego posłusznie przy jego boku.

— To Rezeki czy Dhana? — pyta.

Johannes unosi brwi, głaszcząc zwierzątko z czułością.

— Widzę, że nie uważałaś. To Rezeki. Dhana ma plamkę na brzuszku.

Wiem, myśli Nella, widząc oczyma wyobraźni miniaturowego pieska czekającego w domku na piętrze. — Dziwne mają imiona.

— Jak na przybyszy z Sumatry całkiem zwykłe.

— Co znaczy: Rezeki? — Nella czuje się taka młoda i głupia.

— Fortuna — odpowiada Johannes, wślizguje się do gabinetu i zamyka za sobą drzwi.

Nella wpatruje się w ciemności na korytarzu i czuje zimny powiew, jakby gdzieś poza wyłożonym marmurowymi płytkami holem otwarły się inne drzwi. Włos jeży jej się na karku. Ktoś czai się w mroku.

— Jest tu kto?! — woła.

Z głębi kuchni dobiegają słabe głosy, naglące szepty, czasem brzęk patelni. Uczucie, że jest obserwowana, nieco słabnie, a te odgłosy, choć odległe, niosą ukojenie. Tonący w ciemnościach dom sprawia, że Nella traci wyczucie proporcji, i jakby tylko po to, by się uspokoić, wyciąga rękę i dotyka solidnego drewna na framudze drzwi gabinetu męża. Kiedy słyszy dźwięk, który brzmi w jej uszach jak cichy wdech, a coś ociera się o rąbek jej spódnicy, Nella wali pięściami w drzwi gabinetu.

— Nie teraz, Marin.

— To ja, Nella!

Johannes nie odpowiada, a Nella wpatruje się w mrok, usiłując zapanować nad trwogą.

— Johannesie, p r o s z ę c i ę, wpuść mnie.

Kiedy drzwi w końcu się otwierają, ze środka bije tak ciepła złota poświata, że Nella jest bliska płaczu.

Uderza ją to, że gabinet wydaje się zdecydowanie najprzytulniejszy spośród wszystkich pomieszczeń tego domu. Oto miejsce o ściśle określonym celu, które dobrze go zna. Nella nigdy nie czuła się bliżej męża niż właśnie podczas tych chwil spędzonych tutaj. Gdy przekracza próg, a on zamyka za nią drzwi, próbuje otrząsnąć się z lęku, który dopadł ją na korytarzu.

— Nikogo tam nie ma, Nello — zapewnia Johannes. — To tylko ciemność. Czemu nie pójdziesz do łóżka?

Nella zastanawia się, skąd wiedział o jej strachu, podobnie jak o tym, że Agnes speszyła ją swoimi domysłami na temat Ottona. Gdy obserwuje cię Johannes, to tak, jakby patrzyła na ciebie sowa. Człowiek czuje się przygwożdżony.

Na dworze się rozpadało i deszcz bębni łagodnie o szyby w nocnym powietrzu, miarowy i swojski. W ciasnym gabinecie czuć cierpki, jakby papierowy zapach. Wysoki, drewniany stół, przymocowany na zawiasach do ściany, jest zawalony rulonami, są też na nim złota podstawka na kałamarz i pióro. Na niskim suficie widać bure sińce od świecowego dymu, a esy-floresy na tureckim dywaniku z długim włosem są ledwo widoczne pod stertami luźnych kartek zapisanych w nieznanych językach. Wokół rozrzucone są okruchy czerwonych woskowych pieczęci, niektóre wdeptane w dywan.

Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie mapy, więcej niż u Marin. Nella przypatruje się konturom Wirginii i reszty Ameryk, *Mare Pacificum*, Wyspom Korzennym, Japonii. Każda mapa porysowana jest cienkimi liniami tworzącymi siatkę rombów. Króluje tu precyzja, nie ma miejsca na tęskne pytania. Pod oknem stoi ogromna, zamknięta na kłódkę szkatuła wyrzeźbiona w ciemnym drewnie.

— Tu przechowuję guldeny — mówi Johannes, siadając na taborecie.

Nella żałuje, że Johannes nie ma w sobie więcej z wilka niż z sowy. Pomogłoby jej to poczuć się pewniej w swojej roli, albo może podpowiedziało, jaką powinna być żoną.

— Chciałam… ci podziękować — mówi łamiącym się głosem. — Za domek. Mam tyle planów…

— Nie dziękuj — mówi, znów machając lekceważąco ręką. — Przynajmniej tyle mogę zrobić.

— Mimo wszystko chciałam okazać ci wdzięczność — nie ustępuje Nella.

Próbuje naśladować wdzięk Agnes Meermans, drżącą ręką dotykając czule rękawa jego koszuli. Pragnie, aby ta jedność, ten obraz małżeństwa, się ziścił. On nie reaguje. Nella czuje się jak dziecko szarpiące dorosłego za rękaw.

— Tak? — mamrocze Johannes.

Nella kładzie dłoń na wierzchu jego uda. Nigdy przedtem nie dotykała w ten sposób żadnego mężczyzny, a już na pewno nie kogoś tak imponującego. Czuje przez grubą wełnę potężne, umięśnione ciało.

— Kiedy mówisz tymi wszystkimi językami, fascynujesz mnie — wyznaje.

Natychmiast orientuje się, że palnęła coś głupiego. Johannes wstaje.

— Co mówisz? — odburkuje.

Wygląda na tak skonsternowanego, że Nella przykłada dłonie do ust, jakby chciała wycofać powiedziane przed chwilą słowa.

— Ja tylko… to było tylko…

— Podejdź — przerywa żonie i ku jej zaskoczeniu niezdarnie głaszcze ją po włosach.

— Wybacz — mówi, choć nie wie, co miałoby jej zostać wybaczone. Johannes pochyla się i przytrzymując ją za wąskie ramiona, całuje w usta.

Nella jest tak zaszokowana, gdy uderza ją niepokojący, gorący oddech o zapachu wina i kraba, że musi zmobilizować wszystkie siły, by nie zesztywnieć w jego uścisku. Lekko rozchyla wargi, choćby po to, żeby zmniejszyć nacisk jego ust. Johannes trzyma ją dalej — a ona szybko, zanim strach weźmie górę, decyduje się sięgnąć do tasiemki z przodu jego spodni. Jeśli jest to coś, co muszą robić wszystkie kobiety, myśli, to w miarę nabywania wprawy na pewno staje się to znacznie przyjemniejsze.

Nella ledwie wyczuwa tę ukrytą wypukłość, o której nic nie wie. Ale to nie podnosząca się rózga boleści, którą obiecywała jej matka, tylko raczej zwinięty robak albo…

Wydaje się, że jej palce uruchomiły sprężynę i Johannes wypuszcza ją z ramion, odskakując aż do krawędzi biurka.

— Nello — wykrztusza. — O Boże.

— Mę…

— Wyjdź! — krzyczy. — W tej chwili.

Nella wycofuje się chwiejnym krokiem, żegnana karcącym szczeknięciem Rezeki, a Johannes zatrzaskuje za nią drzwi z impetem. Nella słyszy szczęk klucza w zamku, a lęk, który ogarnął ją przedtem w ciemnym korytarzu, wraca potężną falą i dziewczyna pędzi po schodach na górę, do swojego pokoju.

Dom dla lalek stoi w rogu i gdy Nella rozsuwa kurtynę, kołyska w jego wnętrzu lśni w blasku księżyca niczym obelga. Dziewczyna uderza mebel w nóżkę, lecz drewno i szylkret nie ustępują, słyszy tylko chrzęst kości. Skowyczy z bólu, ale powstrzymuje łzy. Kuśtykając po pokoju, odwraca do ściany obrazy męża. Upolowanego zająca, zgniły granat — wszystkie, co do jednego.

Schody

— Dlaczego obrazy wiszą tył na przód? — pyta Cornelia, odwracając najbliższy na właściwą stronę. Namalowana gąsienica, wyłażąca z granatu, pełznie w kierunku brzegu ramy. Służąca wzdryga się, patrząc na domek dla lalek. — Możesz się nauczyć żyć tutaj, pani — mówi cicho. — Musisz tylko chcieć.

Nella patrzy na nią jednym otwartym okiem, a wspomnienie wczorajszego upokorzenia uderza w nią wezbraną falą i przygważdża ją do łóżka. Wciska twarz w poduszkę. Czy to Cornelia przemykała się zeszłej nocy korytarzem, przysłuchując się jej klęsce? Myśl, że ktoś mógł widzieć jej małżeńskie upokorzenie, jest druzgocąca.

Czuje się odtrącona. Waliłaby głową o ścianę, gdyby mogła w ten sposób wybić sobie z niej niemądre myśli o prawdziwej miłości, małżeńskim łożu, śmiechu, dzieciach. Kiedy Cornelia odwraca następny obraz, rozłupaną ostrygę na tle głębokiego indygo, Nelli wydaje się, jakby ściany napierały na nią obrazami martwych zwierząt łownych i przekwitłych kwiatów.

— Coś mi się zdaje, że Marin próbowała ci wcisnąć najgorsze obrazy — stwierdza Cornelia. Jeszcze jeden okruch, przynajmniej tyle: uśmiech, strzęp informacji od służącej, Marin i jej przebiegłość ujawniona przez kogoś jeszcze chytrzejszego.

Służąca rozsuwa zasłony, a wszystkie sprzęty odcinają się wyraźnie w późnopaździernikowym świetle poranka. Ze skwaszoną miną zzuwa chodak i wysuwa do przodu drobną stópkę.

— Wierz mi lub nie, jaśnie pani — mówi — ale mnie też męczą się stopy. — Opiera się o ścianę i zaczyna rozmasowywać sobie spód stopy. — Męczą się jak diabli.

Nella siada na łóżku. W Assendelfcie nie było takiej służącej jak ona. Z jaką swobodą Cornelia robi i mówi rzeczy, które nie uszłyby jej na sucho nigdzie indziej. Mówi dziarsko, potoczyście, a przyjemność płynąca z rozmasowywania sobie stóp wydaje się zbyt wielka, by trapić się tym, co pomyśli jej pani. Może to specyfika tego domu, ta pobłażliwość, której nie pojmuję, myśli Nella. Życie tutaj rzeczywiście jest tył na przód — niby wszystko na odwrót, a rzuca światło na każdego z nich. Ależ pocerowane są

pończochy Cornelii: siateczka równych ściegów, a między nimi poprzecierana wełna. Czy Marin nie mogła dać jej lepszych? Nella przypomina sobie uwagę Johannesa o jego nieuchwytnym bogactwie.

Wraca mgliste wspomnienie dotyku Johannesa — pełnego rezerwy, obojętnego. Nella się wzdryga. Patrząc, jak Cornelia odwraca z powrotem malowidło z rozciągniętym zającem, czuje na skórze igiełki żalu. Nie masz o niczym pojęcia, chciałaby jej powiedzieć. Spróbuj być mężatką.

— Cornelio — zagaduje — dlaczego Marin tak bardzo zależy na sprzedaniu cukru Agnes? Czy jesteśmy biedni?

Cornelia patrzy na nią z szeroko otwartymi ustami.

— B i e d n i? Pani, to niedorzeczne! Kobiety w całym mieście oddałyby wszystko, żeby być na twoim miejscu…

— Cornelio, nie praw mi morałów, tylko odpowiedz na pytanie.

— …i mieć męża, który traktuje cię z szacunkiem, zabiera na uczty, kupuje suknie i domki dla lalek za trzy tysiące guldenów… Karmi nas, wypytuje o nas. Otto powie ci to samo, pani.

— Otto wspomniał kiedyś, że „czara się przelewa”.

— No cóż, jaśnie pan ma w sobie wiele rzeczy godnych podziwu — wyrzuca z siebie szybko Cornelia. — Wychował Toota jak własnego syna. Kto inny zrobiłby coś takiego? Służący, który włada francuskim i angielskim? Który potrafi sporządzić mapę, sprawdzić jakość beli wełny z Haarlemu?…

— Ale co Otto może zrobić z tą całą wiedzą? Co może zrobić każde z nas?

Cornelia czuje się nieswojo pod jej spojrzeniem.

— Po mojemu, pani, dopiero wchodzisz w dorosłe życie. Proszę. — Służąca sięga do kieszeni na przodzie fartucha i kładzie na łóżku Nelli sporej wielkości paczuszkę. — Leżała na progu, zaadresowana do ciebie… Co się stało?

— Nic… — Nelli łamie się głos. Na kapie leży niezamówiony pakunek z wyrysowanym symbolem słońca.

— Zapewne ucieszy cię, jaśnie pani, że nie będzie dzisiaj śledzia — kontynuuje Cornelia, przyglądając się paczce z zaciekawieniem. — Zimowe konfitury i masło śmietanowe. Pan poprosił o wczesną wieczerzę. — Podnosi zabłąkany chodak i wsuwa go z powrotem na bucik.

— Naturalnie — mówi z przekąsem Nella. — Wszak odnajduje się w jedzeniu. Zejdę niedługo.

Gdy Cornelia zamyka za sobą drzwi, Nella delikatnie bierze zawiniątko w dłonie. Nie prosiłam o to, myśli. W liście wyraźnie dałam do zrozumienia, że chcę, by miniaturzysta zaniechał dalszej pracy. Ma to w pamięci, a mimo to rozrywa papier. Kto nie otworzyłby takiej paczki? — przekonuje sama siebie. Pamięta wyraźnie treść swojego listu. „Jako żona szanowanego i wpływowego kupca VOC nie pozwolę się zastraszyć rękodzielnikowi”.

Ze środka wyfruwa liścik, a na nim słowa:

WALCZĘ, BY POWSTAĆ.

— Doprawdy, panie miniaturzysto? — prycha głośno Nella.

Przechyla paczuszkę i na kapę wypada zbiór maleńkich przedmiotów domowego użytku. Żelazka długie jak dwa ziarnka jęczmienia, maciupeńkie koszyki, tkane worki, parę beczułek, zmywak do podłogi na kiju, piecyk z kratą do suszenia ubrań. Naczynia kuchenne, maluteńkie nożyki do ryb i widelce, haftowana poduszka, zwinięty w rulon gobelin, a na nim obraz dwóch kobiet i mężczyzny. Nella nie ma wątpliwości, że to ta sama tkana scena, która wisi na ścianie gabinetu Johannesa na dole — z Martą i Marią, sprzeczającymi się o Jezusa. Strach zaczyna się w niej mieszać z oburzeniem.

W malutkiej złoconej ramie wymalowano farbami olejnymi wazon z kwiatami; jest nawet pełznąca gąsienica. To pospolity motyw, pociesza się Nella, usiłując zachować spokój, gdy patrzy na ten sam obraz naturalnej wielkości, przed chwilą odwrócony przez Cornelię z powrotem od ściany. Jest też kilka prześlicznie oprawionych książek — niektóre nie większe niż moneta o wartości stuivera, zapisane nieczytelnym pismem. Nella je kartkuje, niemal spodziewając się w środku liściku miłosnego — ale nic tam nie ma. Są też dwie małe mapy Indii i Biblia z wielkim B na okładce.

Jej uwagę zwraca osobne zawiniątko, a w nim coś prześwitującego przez materiał. W jego fałdach znajduje malusieńki złoty kluczyk zawieszony na wstążce. Huśta nim w chłodnym porannym powietrzu. Jest piękny — nie dłuższy niż paznokieć jej małego palca, z misternie wyrzeźbionym wzorem na trzonku. Za mały, by otworzyć jakiekolwiek drzwi, myśli Nella — bezużyteczny, choć ozdobny.

W paczuszce nie ma nic więcej — żadnego listu, wyjaśnienia, tylko to dziwnie buńczuczne motto i lawina podarków. Cornelia zarzekała się, że

dostarczyła miniaturzyście list z prośbą o zakończenie pracy. Dlaczego jej nie posłuchał?

Gdy jednak ogląda te drobiazgi — tak niecodziennie piękne, nie wiadomo, po co stworzone — zastanawia się, czy aby na pewno chce, żeby miniaturzysta zostawił ją w spokoju. On sam wyraźnie nie ma takiego zamiaru.

Delikatnie rozmieszcza nowe przedmioty w domku, jeden po drugim. Przelotne uczucie wdzięczności, jakiego doznaje, zbija ją z tropu.

*

— Gdzie się wybierasz? — pyta Marin, gdy godzinę później Nella przechodzi korytarzem.

— Nigdzie — odpowiada Nella. Myślami jest już w Domu pod Słońcem i poznaje odpowiedzi kryjące się za jego drzwiami.

— Mam nadzieję — kwituje Marin. — Pastor Pellicorne ma dziś kazanie w Starym Kościele. Pomyślałam, że zechcesz go wysłuchać.

— Johannes się wybiera?

Nie, Johannes oświadczył, że musi być na giełdzie i śledzić najnowsze transakcje. Nella zastanawia się, czy przypadkiem mąż nie chce się w ten sposób wymówić od nabożeństwa.

Rozczarowana, że nie mogła pójść na Kalverstraat, Nella celowo trzyma się z tyłu za Marin, która tak stuka obcasami o bruk, jakby doznała od niego osobistego afrontu. Rezeki, szczęśliwa tak naprawdę tylko w obecności swojego pana, jest na giełdzie z Johannesem. Nella nie chciała zostawić Dhany samej i whippet drepcze teraz posłusznie u jej boku, z czarnym mokrym noskiem skierowanym w stronę swojej nowej, przybranej pani.

— Często zabieracie psy do kościoła? — pyta Cornelię Nella.

Służąca potakuje.

— Jaśnie pani Marin mówi, że nie można im ufać, gdy są same.

— Mogłabym zabierać Peebo.

— Cóż za niedorzeczność — rzuca Marin przez ramię, a Nella dziwi się, jak doskonały słuch ma szwagierka.

Dzień jest rześki, terakotowe dachy lśnią prawie jak cynober, w chłodzie nie czuć smrodu bijącego od kanału. Mijają je terkoczące powozy, trakty wodne roją się od łodzi pełnych mężczyzn, kobiet, tobołków z towarami,

gdzieniegdzie widać nawet owce. Idą w górę Herengracht, skręcają w Vijzelstraat i przechodzą przez most na ulicę Oude Turfmarkt, prowadzącą do Starego Kościoła. Nella spogląda tęsknie w kierunku miejsca, gdzie planowała pójść, dopóki Cornelia jej nie napomni, że „jeśli jaśnie pani nie będzie patrzyła przed siebie, jaśnie pani się potknie na bruku”.

Ludzie gapią się na nich z łódek, z okien, z traktu biegnącego wzdłuż kanałów. Z każdym ich krokiem, kiedy mijają wysokie, smukłe domy kupców jedwabnych na Warmoestraat, kiedy przechodzą obok witryn sklepów z włoską majoliką, z jedwabiami z Lyonu, z hiszpańską taftą, z porcelaną z Norymbergi i płótnem z Haarlemu, amsterdamczycy posyłają im znaczące spojrzenia. Przez chwilę Nella się zastanawia, czym sobie na to zasłużyli, i wtedy dostrzega, jak Ottonowi sztywnieje kark. Służący woła na Dhanę, żeby uwiązać ją na smyczy.

— O, mówi ludzkim głosem! — dobiega Nellę czyjś komentarz, powitany salwą śmiechu.

Nie ma twarzy, na której nie malowałoby się zdziwienie, kiedy przechodzi Otto. Niektóre miny zastygają w wyrazie podejrzliwości, inne w pogardzie albo jawnym lęku. Na jednych maluje się tępa fascynacja, na innych obojętność, ale tych jest zdecydowanie mniej. Gdy cała czwórka skręca z Warmoestraat na tyły Starego Kościoła, mężczyzna z bliznami po ospie, siedzący na niskiej ławeczce przy wejściu, wykrzykuje na widok przechodzącego Ottona:

— Ja nie mogę znaleźć roboty, a wy dajecie pracę temu zwierzęciu?!

Marin drży lekko, za to Cornelia przystaje, cofa się i unosi pięść na kilka centymetrów od jego dziobatej twarzy.

— To jest Amsterdam, pryszczu! — krzyczy. — Wygrywa najlepszy!

Nella wybucha nerwowym, zduszonym śmiechem, który zamiera jej na wargach, kiedy mężczyzna podnosi swoją pięść do twarzy Cornelii.

— To jest Amsterdam, suko. Najlepszy jest ten, kto ma najlepszych przyjaciół.

— Cornelio, trzymaj język za zębami — napomina ją Marin. — Chodźmy.

— A jemu powinno się język uciąć!

— C o r n e l i o! Słodki Jezu, czy wszyscy jesteśmy zwierzętami?

— Toot mieszka tu już dziesięć lat, a nic się nie zmieniło — mruczy służąca, wracając do swojej pani. — Zdawałoby się, że powinni się

przyzwyczaić.

— „Pryszczu”? Cornelio! Jak tak można? — strofuje ją Marin, ale Nella wychwytuje w jej głosie wyraźną nutkę aprobaty.

Otto spoziera w kierunku horyzontu, daleko poza zabudowaniami Amsterdamu. Nie patrzy na Pryszcza.

— Dhana! — woła. Pies w końcu staje, podnosi łebek i truchta w jego stronę. — Pilnuj się, dziewczynko.

— Mówisz do mnie czy do Dhany? — wzdycha Cornelia, strapiona.

Ludzie dalej wybałuszają oczy, ale nikt więcej nie zdobywa się już na komentarz. Nella zauważa, że przyglądają się również Marin. Wyjątkowo wysoka jak na kobietę, z długą szyją i dumnie uniesioną głową, siostra Johannesa Brandta jest jak galion na dziobie żaglowca, pozostawiającego za sobą fale obracających się głów. Nella próbuje spojrzeć na nią ich oczami: oto idealna Holenderka, nienagannie ubrana, urodziwa, idąca zdecydowanym krokiem. Jedyne, czego jej brakuje, to mężczyzna u jej boku.

— Johannes nie poszedł z nami do kościoła. Dlaczego? — Nella słyszy słowa Marin skierowane do Ottona. Gdy ten milczy, Marin zwraca się w stronę dziewcząt. — Zaprosił Meermansów na wieczerzę? — pyta Nellę.

Nella waha się, o krok od kłamstwa.

— Jeszcze nie — odpowiada.

Marin przystaje, bo nie potrafi ukryć gniewu, z ustami rozdziawionymi w niewypowiedzianą literę O, i rzuca Nelli oskarżycielskie spojrzenie szarych oczu.

— Przecież nie mogłam go zmusić — broni się Nella.

— Dobry Boże — jęczy Marin, wdeptując w brudną kałużę. Rusza naprzód, zostawiając w tyle pozostałych troje. — Czy zawsze muszę sama wszystkiego pilnować?

Grosze i gromy

Nella nigdy wcześniej nie była w Starym Kościele.

— Czemu akurat teraz? — pyta szeptem Cornelię. — Czy nie wystarcza, że czytamy Biblię w domu?

Cornelia marszczy czoło, bo Marin dosłyszała pytanie.

— Boga należy chwalić także publicznie, Petronello — odpowiada Marin.

— Czegóż to człowiek nie musi wycierpieć — mruczy Otto.

Marin udaje, że nie usłyszała.

— To Pellicorne — wyjaśnia, jakby mówiła o swoim ulubionym aktorze. — A civitas patrzy.

W Assendelfcie kościół jest mniejszy, ten wydaje się przy nim monstrualnie wielki. Strzeliste kolumny z białego kamienia podpierają łuki wokół głównej nawy i na środku. W niektórych oknach znajdują się witraże ze scenami z Biblii — promienie słońca przenikające przez świętych z kolorowego szkła rzucają na posadzkę plamy rozmytej czerwieni, złota, bladego indygo, zieleni. Nella miałaby ochotę w nich zanurkować, lecz nazwiska zmarłych wyryte w posadzce przypominają, że to, co wygląda jak woda, to w istocie kamień.

W kościele panuje spory ruch, najwyraźniej żywi też uznają to miejsce za swoje. Nella jest zdumiona dopuszczalnym tutaj hałasem, krążącymi nad ich głowami ploteczkami i uprzejmościami, widokiem matek i ojców, biegających samopas zwierząt i małych dzieci. Szczekanie psów i gaworzenie niemowląt odbija się echem od pobielonych ścian i tylko drewniane krokwie na sklepieniu odrobinę tłumią dźwięki. Jakiś pies załatwia się nieopodal, z nogą raźno podniesioną przy filarze. Gdziekolwiek Nella nie spojrzy, wszędzie widzi światło, jak gdyby na jedną godzinę Bóg skupił swoją uwagę wyłącznie na tym strzelistym wnętrzu i bijących w nim sercach.

Gdy dziewczyna opuszcza wzrok na mrowie ludzi kłębiących się w kościele, nagle czuje przypływ gorąca.

Ta dziwna kobieta z Kalverstraat jest tutaj — siedzi sama na krześle w pobliżu bocznego wejścia, słońce padające przez okno ze zwykłą szybą

rozświetla czubek jej jasnowłosej głowy. Znów pilnie obserwuje Nellę. W tym spojrzeniu nie ma obojętności, ono jest właśnie prawie napastliwe, dociekliwe i zaciekawione — kobieta jednak tkwi w takim bezruchu, że Nella zaczyna podejrzewać, iż cała jej postać to może być jedna z tych nieziemskich, witrażowych świętych.

Nella, ulegając wrażeniu, że została osądzona i nie sprostała oczekiwaniom, czuje się bezsilna wobec jej wzroku. Ale tym razem kobieta omiata spojrzeniem także Ottona, Cornelię i Marin, a nawet Dhanę — jakby brała pod uwagę ich wszystkich. Kiedy Nella mimowolnie unosi rękę w geście powitania, z zamyślenia wyrywa ją głos Marin.

— Jest za stara, żeby wychodzić — dobiega Nellę jej utyskiwanie.

— Kto? — ożywia się Nella, opuszczając dłoń.

— Nasza suka — wyjaśnia Marin, pochylając się. Usiłuje przesunąć Dhanę z miejsca, w którym usiadła. Dhana nie chce się ruszyć, skomle z mordką skierowaną w stronę kobiety, skrobie pazurkami o kamień. — Co ją napadło? — Marin prostuje się, rozcierając sobie dół pleców. — Jeszcze minutę temu zachowywała się normalnie.

Nella ponownie zerka w stronę, gdzie siedziała kobieta, ale zostało tam tylko puste krzesło.

— Gdzie ona poszła? — mówi na głos.

— O kim mówisz, pani? — pyta Cornelia.

Mimo słonecznego blasku w kościele jest bardzo zimno. Gwar narasta, cichnie i wzmaga się znowu, ludzie mrowią się dalej, a krzesło, które zajmowała kobieta, pozostaje puste. Dhana zaczyna szczekać.

— Nieważne — odpowiada Nella. — Spokój! — ucisza Dhanę. — Jesteś w domu bożym.

Cornelia chichocze.

— Obie zachowujecie się za głośno — odzywa się Marin. — Pamiętaj, proszę, że ludzie zawsze patrzą.

— Wiem o tym — mówi Nella, lecz Marin nie ma już obok niej.

Zgodnie z kalwińskim obyczajem ambona ustawiona jest na środku nawy, gdzie gromadzą się grupkami rozgadani wierni.

— Jak muchy na połciu mięsa — gdera Marin, gdy już ją dogonili, sunącą wzdłuż nawy z nieśpieszną godnością. — Nie będziemy siedzieć wśród gawiedzi. Słowo Boże sięga daleko. Nie muszą się przepychać jak czteroletni smarkacze, żeby widzieć pastora Pellicorne’a.

— Im bardziej się starają wyglądać na świętych, tym mniej są przekonujący — stwierdza Otto.

W kąciku ust Marin igra cień uśmiechu, który jednak szybko znika, bo oto w zasięgu jej wzroku pojawiają się Agnes i Frans Meermansowie.

Po lodowato zimnych nagrobnych płytach, spowita obłokiem intensywnej kwiatowej woni, sunie Agnes w swoich ogromnych czarnych spódnicach.

— Przyprowadziły dzikusa — mówi teatralnym szeptem do męża, patrząc z niezdrową ciekawością na Ottona.

— Jaśnie panie, pani — odzywa się Marin, wyciągając psałterz z woreczka przytroczonego do paska i przekładając go z ręki do ręki, jakby próbowała ocenić, czy nadaje się na pocisk. Kobiety dygają. Frans Meermans zgina się w ukłonie, popatrując na smukłe palce Marin przesuwające się nerwowo po wytartej skórzanej oprawie modlitewnika.

— A gdzie brat? — dopytuje Agnes. — Sądny dzień…

— Johannes pracuje. Składa dziś Panu dziękczynienie na inne sposoby — ucina Marin. Meermans prycha. — Tak jest w istocie, seigneur.

— Ma się rozumieć — mówi Meermans. — Giełda znana jest z tego, że stanowi schronienie dla bogobojnych.

— Brat winien jest niedopatrzenia — ciągnie Marin, nie zważając na jego ton. — Na uczcie w Cechu Złotników chciał zaprosić was oboje na wieczerzę, ale głowę ma zaprzątniętą tyloma sprawami — milknie. — Przyjdźcie więc, proszę, i zjedzcie z nami w naszym domu.

Meermans pociąga nosem.

— Niepotrzebne nam…

— Będzie to dla nas prawdziwy zaszczyt, pani — przerywa mu Agnes, a w jej ciemnych oczach czai się podniecenie. — Czyż jednak to nie żona powinna wystosować to zaproszenie?

Nella czuje, że płonie rumieńcem.

— Przyjdźcie jutro wieczerzać — mówi Marin przez ściśnięte gardło.

— Jutro? — wyrywa się Nelli. Ten pośpiech, ta nagłość są tak niepodobne do Marin. — Ale…

— I koniecznie przynieście głowę cukru. Skosztujemy i wzniesiemy toast za wasze przyszłe szczęście.

— Pragniesz skosztować naszego karaibskiego skarbu, pani? — Agnes zanurza podbródek w swoim okazałym futrzanym kołnierzu i świdruje Marin kruczoczarnymi oczami.

Zapada niezręczne milczenie. Marin uśmiecha się, a Nella zauważa, że jest całkiem ponętna, kiedy to robi, nawet jeśli udaje.

— Ależ tak — potwierdza Marin. — Niezmiernie.

— Agnes! — odzywa się Meermans, zamieniając imię żony w ostrzeżenie. — Chodźmy, czas zająć miejsce.

— Przyjdziemy jutro — dodaje Agnes — i przyniesiemy z sobą słodycz, jakiej nigdy nie zasmakowaliście.

Oddalają się, wymieniając po drodze pozdrowienia, powitania i ukłony.

— Mogłabym go udusić — mruczy Marin, odprowadzając ich wzrokiem. Nella zastanawia się, kogo ma na myśli. — Karaibskie skarby, dobre sobie! Jak to możliwe, że Johannes w ogóle przystał na coś takiego?

— Ale czy nie tego właśnie nam trzeba, pani? — mruczy Cornelia. — Sama mówiłaś…

Marin gwałtownie odwraca głowę.

— Nie papuguj mnie moimi własnymi słowami, dziewczyno. Podsłuchujesz pod drzwiami i nie masz o niczym pojęcia. Postaraj się o porządną wieczerzę na jutro i tyle.

Cornelia cofa się wstrząśnięta tą nieoczekiwaną reprymendą i w roztargnieniu głaszcze Dhanę, a jej twarz zastyga w grymasie urażonej dumy. Marin rozmasowuje sobie skronie, powieki ma zaciśnięte z bólu.

— Dobrze się czujesz? — pyta Nella, bo wydaje jej się, że powinna coś zrobić.

Marin patrzy na nią nieobecnym wzrokiem, zmartwiona.

— Dobrze…

— Powinniśmy już usiąść — włącza się Otto. — W prezbiterium są wolne miejsca. — Wygląda jak rozbitek, otoczony ledwo słyszalnymi szeptami, które komentują każdy jego ruch.

Pastor Pellicorne wchodzi na ambonę. Ma ponad pięćdziesiąt lat, jest wysoki i gładko ogolony, nosi krótko, schludnie przystrzyżone siwe włosy i szeroką, lśniąco białą kryzę. Jego wygląd sugeruje, że ma świtę troskliwych służących.

Pellicorne nie zaprząta sobie głowy żadnymi wstępami.

— Haniebne uczynki! — grzmi, przekrzykując szczekanie psów i płacz dzieci, szuranie stóp i dobiegający z zewnątrz skrzek mew. Zapada cisza, wszystkie oczy skierowane są na niego, tylko Otto schyla głowę, skupiony na swoich splecionych dłoniach. Nella popatruje na Agnes, zapatrzoną w pastora niczym zahipnotyzowane dziecko. Jaka ona dziwna, myśli Nella.

W jednej chwili taka wygadana i wyniosła, a zaraz potem taka infantylna, spragniona, by zrobić na innych wrażenie.

— Są w naszym mieście rozliczne zaryglowane drzwi, przez które nie widzimy — ciągnie Pellicorne twardo i nieustępliwie. — Ale nie myślcie, że ukryjecie przed Bogiem swój grzech! — Ściska szczupłymi palcami brzeg ambony. — On o nim wie! — woła nad głowami wiernych. — Nie ma nic ukrytego, co nie zostałoby obnażone. Jego anioły zaglądać będą przez okna i dziurki od klucza serc waszych, a On każe wam zdać sprawę ze swoich uczynków. Nasze miasto wyrosło na bagnach, naszej ziemi dotknął już gniew Boży. Odnieśliśmy triumf, woda została ujarzmiona i stała się sprzymierzeńcem. Ale nie możemy spocząć na laurach, a w naszym zwycięstwie pomogły roztropność i dobrosąsiedzka życzliwość.

— Tak! — woła ktoś z tłumu. Niemowlę uderza w płacz. Dhana skomle i próbuje schować się pod spódnicą Nelli.

— Jeśli nie ściągniemy mocno lejców naszego wstydu — kontynuuje Pellicorne — wszystkich nas pochłonie morze. Bądźcie prawi przez wzgląd na nasze miasto! Wejrzyjcie w swoje serca i rozeznajcie, czym zgrzeszyliście przeciw bliźniemu swemu lub czym zgrzeszył on wobec was!

Pastor robi efektowną pauzę, zachłyśnięty własną prawością. Nella wyobraża sobie, jak wierni otwierają klatki swoich żeber, wgapiają się w pulsujący chaos swoich grzesznych serc i ukradkiem zaglądają do wnętrz sąsiadów, po czym na powrót się zatrzaskują. W rogu kościoła trzepocze skrzydłami szpak. Ktoś powinien go wypuścić, myśli Nella.

— Bez przerwy tu wpadają — szepcze Cornelia.

— Nie pozwólmy, by Jego gniew spadł na nas znowu! — Ze zgromadzenia dobiegają pojedyncze aprobujące chrząknięcia, a wtedy głos Pellicorne’a drży lekko z przejęcia. — Chciwość. Chciwość to zaraza, którą musimy wyplenić. Chciwość to drzewo, a pieniądz jest jego głęboko wrośniętym korzeniem!

— …za który kupiłeś sobie tę wytworną kryzę — mruczy pod nosem Cornelia. Nella traci dech, próbując się nie roześmiać. Ukradkiem spogląda na Fransa Meermansa. Podczas gdy uwaga jego żony skupia się na ambonie, on obserwuje Brandtów.

— Nie łudźmy się, że okiełznaliśmy potęgę mórz. — Pellicorne celowo moduluje głos w monotonny, usypiający pomruk, by za chwilę znowu uderzyć. — Tak, spłynęła na nas obfitość mamony, ale pewnego dnia wszyscy w niej utoniemy. Gdzie będziecie w ten fatalny dzień? W jakim stanie? Opychający się słodyczami i ociekającymi tłuszczem pasztecikami ? Wystrojeni w jedwabie i sznury brylantów?

Nella słyszy wzdychanie Cornelii.

— Żebyż tylko — mamrocze służąca. — Żebyż tylko…

— Strzeżcie się, strzeżcie! — napomina Pellicorne. — To miasto kwitnie! Pieniądz was uskrzydla. Lecz jest też jarzmem na waszych ramionach i radzę wam dobrze, byście spostrzegli siniec wokół swojej szyi.

Marin ma zaciśnięte powieki, jakby miała się rozpłakać. Nella ma nadzieję, że to tylko rodzaj duchowej rozkoszy płynącej z poddania się świątobliwym ostrzeżeniom Pellicorne’a. A Meermans wciąż się gapi. Kiedy Marin otwiera oczy i to zauważa, zaciska palce na psałterzu i wierci się na krześle, z bólem wypisanym na woskowej twarzy. Nella czuje drapanie w gardle, ale nie ma odwagi zakasłać. Pellicorne dochodzi do punktu kulminacyjnego, a wierni skupiają się w krzepnącą masę, wytężając uwagę.

— Cudzołożnicy! Finansiści! Sodomici! Złodzieje! — wykrzykuje pastor. — Strzeżcie się ich, miejcie na nich baczenie! Powiedzcie bliźniemu, gdy nad jego głową zbierają się chmury. Nie dajcie złu przestąpić progu waszego domu, bo gdy zaraza już przyjdzie, trudno będzie się jej pozbyć. Rozstąpi się ziemia pod waszymi stopami, a Boży gniew przeniknie ziemię!

— Tak! — woła ponownie mężczyzna z tłumu. — Tak!

Dhana szczeka z coraz większym ożywieniem.

— Ciiicho! — szepcze Cornelia.

— Jak go uśmierzycie?! — huczy znów Pellicorne na cały głos, z rozpostartymi ramionami, niczym Chrystus na krzyżu. — M i ł u j c i e. Miłujcie dzieci swoje, albowiem są one ziarnami, dzięki którym rozkwitnie to miasto! Mężowie, miłujcie swe żony, żony, bądźcie posłuszne mężom, na wszystko, co święte i dobre. Niech wasze domy będą czyste, a wasze dusze wezmą z nich przykład!

Skończył. Tu i ówdzie słychać westchnienia ulgi, pomruki aprobaty, ktoś się budzi, ktoś rozprostowuje nogi. Nelli zaczyna kręcić się w głowie. Światło pada na płyty grobowe. Bądźcie posłuszne. Mężowie, miłujcie swe

żony. „Ukochana. Jesteś słońca blaskiem, gdy przez okno wpada, ogrzewa mnie, gdy w nim stoję”.

Niemowlę ponownie zanosi się płaczem, a Nella i Marin jednocześnie patrzą w jego stronę — matka próbuje je uciszyć, a gdy się jej to nie udaje, opuszcza zgromadzenie wiernych i wymyka się bocznym wyjściem.

Nella podąża za spojrzeniem Marin i obie zerkają zazdrośnie na prostokąt złocistego słonecznego światła, który ukazuje się w momencie wyjścia kobiety. Wobec tak pełnego napięcia nowego świata Amsterdamu godzina nabożeństwa w tym zimnym miejskim kościele wydaje się trwać rok.

*

Tej nocy w sypialni Nelli blask księżyca kładzie się plamami na domku dla lalek. Zegar z wahadłem tyka jak stłumiony puls, który zdaje się potężnieć w jej uszach. Nella myśli o kobiecie z kościoła.

— Dlaczego się do mnie nie odezwałaś? — pyta na głos, przyglądając się dziewięciu ciemnym pokoikom. — Czego ode mnie chcesz?

Naturalnie odpowiedź nie nadchodzi, a srebrzysty blask prześlizguje się po maleńkich przedmiotach. Jutro, myśli Nella, wybiorę się do miniaturzysty i raz na zawsze załatwię tę sprawę. Chyba nie godzi się wysyłać komuś rzeczy, o które nie prosił? To wkraczanie na zakazany teren.

Nella jest rada, że opuściła Assendelft, owszem — lecz gdzie jest teraz jej dom? Ani tam, na polach, ani tutaj, nad kanałami. Czuje się jak rozbitek dryfujący między własnym ideałem małżeństwa a rzeczywistym stanem rzeczy. Domek dla lalek, piękny i bezużyteczny, przypomina o tym w okrutny sposób.

Rezerwa, z jaką traktuje ją Johannes, ostatnio zaczęła dokuczać Nelli jeszcze bardziej. Tyle razy chronił się na giełdzie, w biurach VOC, w swoim składzie koło ulubionej tawerny, gdzie kartofle mają najbardziej puszysty miąższ. Nie okazuje jej nawet najmniejszego zainteresowania, nie chodzi do kościoła. Marin przynajmniej na tyle zauważa moją obecność, żeby mi zrobić siniaka, myśli Nella. Jakie to absurdalne — być wdzięczną za uszczypnięcie! Jej kotwica opadła, ale nie znalazła gruntu, by się zatrzymać — więc ona sama wypływa na coraz większą głębię beż żadnego oparcia.

Odgłos szeptów sprawia, że Nella zapomina o żalu nad sobą. Podnosi się i wciąż czuje w powietrzu resztki zapachu olejku liliowego. Nawet mnie przestaje się to podobać, myśli. Skrada się przez pokój i wytężając słuch, otwiera drzwi. Na korytarzu panuje okropny ziąb, ale z jego głębi niezaprzeczalnie dochodzą dwa głosy. Wydają się podekscytowane albo przestraszone — a przy tym nieostrożne, bo niosą się po domu.

Nella zastanawia się, czy to wyobraźnia płata jej figla, lecz głosy są realne — w końcu milkną, zamyka się dwoje drzwi, a dom na powrót pogrąża się w ciszy. Nella skrada się korytarzem, wciskając czoło między słupki balustrady, nadaremno wytężając słuch. Ale właściciele głosów jakby wtopili się w wyłożone drewnem ściany.

Nagle rozlega się skrobanie, a Nelli jeżą się włoski na rękach. Ze strachu ssie ją w żołądku. Spogląda w dół — ale to tylko Rezeki. Pies podnosi łebek i zerka na nią, po czym oddala się chyłkiem po kafelkach. Porusza się trochę jak rozlana ciecz, jak pionek staczający się z szachownicy.

Żona

W południe Cornelia ma już za sobą kilka godzin spędzonych w kuchni na przygotowaniach do wizyty Meermansów. Uczta ma być wystawna, dlatego podadzą zimowy drób, doprawiony obficie specjałami z wojaży Johannesa po Dalekim Wschodzie.

Nella zastaje ją przy stole, jak szatkuje dwie ogromne główki kapusty.

— Głodna? — pyta służąca, podnosząc wzrok na Nellę, która zatrzymała się na najniższym schodzie, z Dhaną przy boku.

— Jak wilk! — przyznaje Nella, wypatrując na twarzy Cornelii śladów bezsennej nocy. Służąca wygląda na bardziej podenerwowaną niż kiedykolwiek.

— Wszystko ma być na już! — skarży się Cornelia. — Pani Marin uparła się, że dopóki nie skończę wszystkich dań, mamy się zadowolić suchym chlebem i śledziami. Trzeba przyprawić kapustę. — Na widok miny Nelli mięknie jej serce. — No dobrze. Weź racucha, pani. Przed chwilą zjechały z patelni. — Popycha w jej stronę talerz ze stertą smażonych placuszków oprószonych cukrem.

— Co dała ci Hanna w cukierni swojego męża? — pyta Nella. Dhana przechodzi na swoje legowisko przy piecu, a dłoń Cornelii zatrzymuje się nad resztkami kapusty. Skórę ma obtartą, czerwoną, a paznokcie białe od wody z mydłem.

— Właśnie to jesz, pani — mówi Cornelia, pochylając się w jej stronę. Oczy ma okrągłe i błękitne, a tęczówki obwiedzione czarnym pierścieniem. — Ostatki najprzedniejszego cukru Arnouda. Hanna ma rację, ten sprzedawany w mieście jest w większości okropny. Jaka szkoda, że pan rozprowadza cukier Agnes za granicą.

Zwierzenie Cornelii zrobiło wyłom w pancerzu i teraz Nella czuje w sobie wzbierające ciepło. Nawet kapusta wydaje jarzyć się niczym zielony globus w przyjaznym blasku ognia z otwartego paleniska.

*

Nabierając haust zimnego powietrza, Nella zanosi się kaszlem od zapachu ścieków. Latem odór wionący znad kanału to będzie istny koszmar, myśli, zmierzając w górę Złotego Zakrętu. Na razie jednak ta samotna przechadzka sprawia jej przyjemność — kobiety bez towarzystwa, jak zauważył jej mąż na barce, nie są tutaj aż taką rzadkością, by Nella czuła na sobie krytyczne spojrzenia. Przechodzi Vijzelstraat, przecina Reguliersdwarsstraat, a potem, zapytawszy o drogę, skręca w Kalverstraat i szybko odnajduje słońce nad wejściem, z wypisanym poniżej mottem: „Co tylko człek widzi, zabawką mu się mieni”.

Puka do ciężkich drzwi. Na ulicy nie ma gwaru — ludzie wolą zostać dziś w domach, gdzie jest ciepło. Puka jeszcze raz, a jej oddech zamienia się w parę w zimnym powietrzu.

— Halo?! — woła. Proszę, otwórz, myśli. — H a l o? Nella Oortman. Petronella Brandt. Muszę z panem porozmawiać. Dostałam od pana rzeczy, których nie zamawiałam. Podobają mi się, ale nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi!

Przykłada ucho do masywnego drewna z nadzieją, że usłyszy odgłos kroków. Daremnie, więc cofa się i patrzy w górę, na szyby w oknach. Nie przebłyskują w nich świece, wszystko jest nieruchome — jednak to miejsce niezaprzeczalnie wygląda na zamieszkałe.

Kiedy w oknie pojawia się twarz, Nella odchodzi chwiejnym krokiem na środek Kalverstraat, a wstrząs, jakiego doznała na widok znajomej twarzy, zapiera jej dech. Szyba jest gruba, a szkło krzywe, ale tych włosów nie da się pomylić z żadnymi innymi. To ta sama kobieta, która obserwowała ją w kościele.

Jej srebrzystozłote loki lśnią jak aureola w cieniu ukrytych za szybą wnętrz. Kobieta kładzie dłoń na szybie, jej twarz wygląda jak wyblakła moneta. Zastygła w tej pozie i tylko obrzuca ulicę w dole dziwnym, spokojnym spojrzeniem.

— To ty, pani?! — woła Nella. Kobieta ani drgnie. — Dlaczego…

— Nie wyjdzie — wtrąca się męski głos. — Próżny trud. Mam ochotę donieść na nią władzom.

Nella odwraca się w stronę, skąd dochodzi głos.

— Co takiego?

Mężczyzna siedzi nieopodal, na zewnątrz czegoś, co wygląda na sklep z wełną. Nella przełyka ślinę. To ten człowiek ze śladami po ospie na twarzy — Pryszcz — ten sam, który nazwał Ottona zwierzęciem i został

złajany na ulicy przez Cornelię. Z bliska jego skóra, upstrzona różowawymi kraterami, przypomina gąbkę.

Nella ponownie patrzy w okno. Kobieta odeszła, za szybą nic już nie widać, a dom nagle martwieje, jakby nikt nigdy tam nie mieszkał. Nella podbiega do drzwi i zaczyna walić w nie pięściami, jakby chciała przywrócić budynek do życia.

— Mówię, że ona nie otwiera. Robi, co jej się podoba — zauważa Pryszcz.

Nella odwraca się i opiera plecami o drzwi.

— Kim ona jest? Niechże mi pan powie.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

— Nie mówi za wiele. Ma śmieszny akcent. Nikt nie wie.

— N i k t? Nie wierzę.

— Nie wszyscy zwykliśmy działać pospołu, proszę jaśnie pani — stwierdza. — Ona z nikim się nie zadaje.

Nella przerywa dla nabrania oddechu.

— Na *Liście Smita* pod tym adresem ogłaszał się miniaturzysta. Czy chce mi pan powiedzieć, że mieszka tutaj tylko ta kobieta?

Pryszcz strzepuje kłaczki wełny ze spodni.

— W rzeczy samej, pani. I licho wie, co tam wyprawia.

— Wszystko, a nic przecie — odpowiada Nella.

— Tak się to nazywa w języku dam?

To niemożliwe, aby kobieta żyła samotnie w sercu Amsterdamu, pod czujnym okiem burmistrzów, gildii i purytańskich obłudników takich jak Pryszcz. Jakie myśli kłębią się w tej jasnowłosej głowie, dlaczego rozsyła te oszałamiająco piękne, nieproszone drobiazgi?

Po prostu chcę wiedzieć, myśli Nella, przymykając oczy. Wspomina to trudne do opisania odczucie bycia obserwowaną przez kobietę w kościele, a przedtem tutaj, na Kalverstraat. A więc to kobieta — czy to nie cudowne? Ogarnia ją wstyd na wspomnienie tego, co napisała w drugim liście: „Wielmożny Panie! Jestem zmuszona przerwać naszą współpracę ze skutkiem natychmiastowym”. Wydaje się jednak, że słowa te nie odegrały żadnej roli. Miniaturzystka chyba lubi łamać konwenanse.

— Sama kobieta, jak ta, to może znaczyć tylko jedno — ciągnie Pryszcz. — To ladacznica. Chłopak, który przychodził odbierać od niej paczki, też był z zagranicy. Takie rzeczy nie powinny wychodzić poza Wschodnie

Wyspy. Uczciwy człek, co chce tylko dobrze pracować i żyć, nie powinien być zmuszany…

— Od dawna tu mieszka?

— Trzy miesiące, może cztery. Czemu jest dla ciebie taka ważna?

— Nie jest — zaprzecza Nella, a to kłamstwo zgrzytnęło w jej ustach. Ma taki sam smak jak zdrada. Nella zbiera się w sobie, ma ochotę bronić tej kobiety, choć nie wie dlaczego. — Ani trochę.

Wydaje jej się, że coś się poruszyło w jednym z okien na wyższym piętrze, ale widziała dobrze, przeszkodziło jej odbicie kobiety w oknie naprzeciwko, nad sklepem z wełną, trzepiącej dywanik na ulicę i wyraźnie poirytowanej zamieszaniem pod jej drzwiami.

— Jeśli będziesz z nią mówić, panie…

— Nie będę — przerywa jej Pryszcz. — Ta kobieta ma w sobie diabła.

Nella szpera w kieszeni, wyjmuje guldena i kładzie go w jego obmierzłej dłoni.

— Gdyby jednak się pan zdecydował — odwraca się i woła w kierunku okna — niech jej pan powie, że Nella Brandt przeprasza! I żeby nie zaprzątała sobie głowy jej ostatnim listem. Chcę tylko wiedzieć dlaczego. I niech jej pan powie, że czekam niecierpliwie na to, co jeszcze mi przyśle!

Już w momencie, gdy wykrzykuje te słowa w kierunku okna, zastanawia się, czy są zupełnie szczere. Tylko wdowy i wszetecznice żyją same, jedne z wyboru, inne z konieczności — co w takim razie robi w tym domu miniaturzystka, dlaczego przysyła jej te wszystkie drobiazgi i sama szwenda się po mieście? Nella nie ma pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Bo na pewno nie o zabawki.

Oddala się wzdłuż Kalverstraat. Niewiarygodny fakt istnienia miniaturzystki umyka uwadze ludzi takich jak Pryszcz, myśli. To b ę d z i e nadzwyczajne — czymkolwiek się okaże — już same oczy, jej wzrok, te niesamowite zawiniątka pełne wskazówek i opowieści. Ciarki przebiegają Nelli po karku. Odwraca się szybko, przekonana, że coś ją łączy z Domem pod Słońcem.

Kalverstraat znowu cichnie, nieświadoma cudu kryjącego się w jej sercu.

*

Po powrocie do domu Nella biegnie na górę, do domku dla lalek, i przesuwa palcami po rzeczach zrobionych przez miniaturzystkę. Wydają

się naładowane inną energią, obciążone znaczeniem, którego nadal nie rozumie, a przez to jeszcze bardziej pociągające w swej tajemniczości. Wybrała mnie, myśli Nella, rozpromieniona tym odkryciem, spragniona, by dowiedzieć się czegoś więcej.

Głos Cornelii i jej zbliżające się kroki wyrywają dziewczynę z zadumy. Pośpiesznie zasuwa kotary domku i w tej samej chwili służąca zagląda do pokoju.

— Meermansowie przyjdą nie później jak za godzinę — trajkocze Cornelia — a jaśnie pana jak nie ma, tak nie ma.

Na dole Cornelia i Otto do utraty tchu polerowali, zamiatali, myli podłogi, trzepali zasłony, okładali pięściami poduszki, jak gdyby dom się zdefasonował i potrzebował, by go przywrócić do poprzedniego kształtu, niemożliwego do osiągnięcia. Fajanse i porcelana lśnią w nieużywanej, pokazowej kuchni, macica perłowa mruga z intarsji. Widząc, że wszystkie świece z łoju zastąpiono woskowymi, Nella korzysta z okazji i wdycha ich prześliczny zapach.

— Codzienny kierat powściąga chaos tylko do pewnego stopnia — mruczy do siebie Otto, przechodząc obok. Nella się zastanawia, co mężczyzna ma na myśli.

Marin ubrała swoją najbardziej strojną czerń. Nie zniżyła się do tego, by użyć perfum, ale w tej zbroi suto marszczonych spódnic przechadza się teraz po salonie krokiem długim i miarowym jak wahadło zegara. Obraca w długich palcach psałterz, włosy odgarnęła z twarzy i schowała pod sztywną opaską z białej koronki, a na jej urodziwej twarzy maluje się srogość. Nella siedzi, ubrana przez Cornelię w kolejną z przerobionych sukni, tym razem w kolorze złota.

— Gdzie Johannes? — pyta.

— Przyjdzie — rzuca Marin.

Z każdym niespokojnym krokiem Marin po wyfroterowanej podłodze Nella czuje żal, że nie może wrócić na górę i przejrzeć swoich miniatur w poszukiwaniu jakiejś wskazówki, co miniaturzystka może jeszcze przysłać — jeśli w ogóle cokolwiek — i co oznaczają dołączane do przesyłek maksymy.

Kiedy przychodzą Meermansowie, a do korytarza wdziera się za nimi zimny podmuch powietrza znad kanału, Johannesa ciągle jeszcze nie ma w domu. Otto wypucował wszystkie okna i w szybach odbijają się

migoczące we wczesnym zmroku płomyki dwudziestu świec — ich miodowa woń miesza się z ostrzejszym zapachem octu i ługu.

Nawet jeśli Agnes Meermans zauważyła, że Marin wycisnęła siódme poty ze swoich służących, to powstrzymuje się od komentarzy. Sunie korytarzem idealnie wytworna, w ogóle nie przypomina tamtej zalęknionej dziewczynki z kościoła. Witają się dygnięciem, ich milczenie zakłóca tylko szelest rozłożystych spódnic dotykających posadzki. Frans postępuje naprzód ze zbolałą miną. Ujmuje dłoń Marin, złoto jego obrączki odcina się na tle jej bladej skóry. Wydaje się, jakby czas zwolnił bieg. Wokół migoczą światełka świec.

— Panie — wita go Marin.

— Pani.

— Wejdźcie, zapraszam — mówi, uwalniając rękę i prowadząc gości do bawialni.

— Jest twój Murzyn? — pyta Agnes, lecz Marin udaje, że nie dosłyszała.

Kobiety rozsiadają się wokół kominka, a ilość spowijającego je materiału powoduje, że trwa to dobrych kilka minut. Meermans staje przy oknie i wygląda na zewnątrz. Nella przypatruje się zielonym aksamitnym obiciom krzeseł, miedzianym ćwiekom, rzeźbionym drewnianym lwom — i myśli o ich pomniejszonych kopiach na górze, w domku dla lalek. Jak, u licha, miniaturzystka wpadła na to, by mi je przysłać? — zastanawia się, zdecydowana za wszelką cenę się tego dowiedzieć.

Ale też serce bije jej żywiej ze strachu. Wybrała mnie, ale dlaczego? Kim jest ta kobieta, która przygląda mi się z oddali i komentuje moje życie? Instynktownie kieruje wzrok ku oknom, myśląc, że może dostrzeże tam twarz zaglądającą do środka z ulicy. Lecz na dworze ściemniło się jeszcze bardziej, a zwalista sylwetka Meermansa odstraszyłaby każdego gapia.

— Cornelia powinna zaciągnąć zasłony — decyduje Marin.

— Nie — odzywa się Nella.

Marin patrzy teraz na nią.

— Robi się zimno, Petronello. Tak będzie najlepiej.

— Usiądź przy mnie — włącza się Agnes.

Szeleszcząc spódnicami, Nella posłusznie siada obok, czując się idiotycznie w swojej złotej sukni.

— Wyglądasz jak moneta! — wykrzykuje Agnes, a ten niedorzeczny komentarz, rzucony w powietrze beztrosko, zdecydowanym ruchem, ląduje

z głuchym odgłosem na podłodze.

— Gdzie Johannes? — pyta Meermans.

— Będzie tu lada chwila, panie — zapewnia Marin. — Zatrzymały go nieprzewidziane sprawy.

Agnes popatruje na męża.

— Trocheśmy zmęczeni — mówi.

— Tak? — podejmuje Marin. — A to dlaczego, jaśnie pani?

— Agnes. Mów mi Agnes! Marin, nie rozumiem, dlaczego po dwunastu latach miałabyś tego nie robić. — Agnes zanosi się śmiechem, tym „ha, ha", od którego Nelli cierpnie skóra.

— Agnes — powtarza cicho Marin.

— Głównie ucztowaniem — ciągnie Agnes konspiracyjnym tonem. — Tyle wesel przed zimą… Słyszałaś, że Cornelis de Boer poślubił Annete Dirkmans?

— To nazwisko jest mi obce — odpowiada Marin.

Agnes wysuwa dolną wargę na znak dezaprobaty.

— Zawsze to samo — zwraca się do Nelli, a w jej głosie pobrzmiewają figlarna nagana i celowy przytyk. — Ubóstwiam wesela — kontynuuje. — A wy nie?

Zarówno Marin, jak i Nella kwitują to milczeniem.

— Małżeństwo to… — Agnes urywa z rozmysłem, przyglądając się swoim słuchaczkom.

Dłonie Marin spoczywają na podołku tak nieruchomo, że mogłyby być rzeźbą nagrobną. Nella wyczuwa zgrzyty w tej konwersacji, czuje, że brną w ślepe zaułki. Niewypowiedziane słowa zaplątują się w supeł w jej umyśle. Słychać tylko trzaskanie ognia i od czasu do czasu skrzypienie skórzanych trzewików Meermansa, który przestępuje z nogi na nogę, ciągle stojąc przy oknie.

Z kuchni dolatują zapachy przyrządzanych przez Cornelię dań — kapłonów z gałką muszkatołową i rozmarynem, gołębi z pietruszką i imbirem.

— Muszę wiedzieć — oświadcza znienacka Agnes. Marin patrzy na nią z lekkim przestrachem. — Co Brandt kupił ci w ślubnym darze, Nello?

Nella napotyka wzrok Marin.

— Domek — odpowiada.

Oczy Agnes robią się wielkie jak spodki.

— To szelma! Chatkę myśliwską? My kupujemy chatkę w Bloemendaal!

— Mój jest zdobiony szylkretem — mówi Nella i ta gra zaczyna sprawiać jej przyjemność. — Tylko że w nim nie dałoby się… zamieszkać.

Agnes wygląda na zbitą z tropu.

— A to czemu?

— To nasz dom zmniejszony do rozmiarów kredensu — wtrąca się Marin. Meermans odwraca się od okna.

— A, jeden z tych — mlaska z dezaprobatą Agnes. — Sądziłam, że chodzi o prawdziwy.

— Też masz taki, Agnes? Domek Petronelli ma cynowe ornamenty — mówi Marin.

Agnes znowu zamienia się w małą dziewczynkę, a po jej twarzy przemyka cień lekceważenia.

— Naturalnie, że tak — odpowiada. — Mój jest inkrustowany s r e b r e m.

Harda przechwałka Agnes roztapia się w prostackie, naciągane łgarstwo i rozlewa w ciszy między kobietami. Każda studiuje materiał swojej sukni, nie mogąc się zdobyć na to, by podnieść wzrok.

— Komu zapłaciłaś za umeblowanie swojego? — pyta w końcu Agnes.

Nella się waha. Myśl o tym, że Agnes miałaby pójść na Kalverstraat i nawiązać więź z tą kobietą — ba, dowiedzieć się w ogóle o jej istnieniu — wydaje się nie do zniesienia. Czułaby się tak, jakby ktoś wykradł jej sekretną wiedzę, zabrał to, co najcenniejsze.

Jakby wyczuwając, że trafiła w czuły punkt, Agnes wyciąga szyję w jej stronę.

— Hmm?…

— Ja…

— Matka zostawiła mi parę drobiazgów z dzieciństwa i Petronella z nich korzysta.

— Doprawdy, Marin?

— Zejdę po reńskie — dodaje Marin, ignorując wdzięczność bratowej, która, jak domyśla się Nella, na pewno bije z jej twarzy. — Otto zapomniał je przynieść z piwnicy. — Wychodzi z bawialni, nawołując Ottona.

Agnes odprowadza ją wzrokiem, opadając z powrotem na oparcie krzesła.

— Biedactwo — szepcze. — Biedactwo. — I zwraca się do Nelli z zatroskaną miną: — Nie pojmuję, dlaczego jest taka nieszczęśliwa. — Przysuwa się jeszcze bliżej, biorąc dłoń Nelli w obie ręce. Jej palce są

wilgotne jak skóra żaby wyłowionej ze stawu. — Nasi mężowie, Nello, byli ongiś takimi dobrymi kompanami. — Zaciska dłonie, kamienie z jej przekręconych pierścieni wbijają się Nelli w rękę. — Przeżyli razem jeden z najokropniejszych sztormów w historii Morza Północnego.

— Zanadto zaprzątasz sobie głowę przeszłością, skarbie — odzywa się Frans, ciągle stojący przy oknie. — Czy nie bardziej interesująca jest teraźniejszość?

Agnes chichocze.

— Och, Frans. Nello, twój mąż z pewnością ci opowiadał, że poznali się, kiedy mając dwadzieścia dwa lata, pracowali na statkach VOC? Przekroczyli równik, omijając karaibskie sztormy, gdyż północno-wschodnie wiatry handlowe pchały ich naprzód — recytuje Agnes, jakby opowiadała bajkę wyuczoną na pamięć przez lata powtarzania.

— Moja droga…

— Z takim talentem pracowali na chwałę naszej Republiki! Frans naturalnie odnalazł w końcu swoje powołanie w Stadhuis, ale ceglane mury Amsterdamu nie utrzymały Brandta.

Gdy jej mąż zatrzymuje się przy drzwiach, Agnes śledzi go wzrokiem jak sokół. — Czy Brandt opowiadał ci o Batawii? — pyta Nellę.

— Nie.

— Sprzedał towary i po c z t e r o k r o ć zwiększył sumę, z którą wyruszył. Tak na dobrą sprawę namówił guldeny, by same weszły mu do kieszeni, i powrócił z własną załogą.

Pełen podziwu ton Agnes, zaprawiony nieokreśloną wzgardą, działa hipnotyzująco. I choć te informacje zdają się wprawiać Meermansa w zakłopotanie, Nella chciałaby usłyszeć więcej.

— To było przed siedemnastu laty, Agnes — mówi Meermans, siląc się na serdeczność. — Dzisiaj Johannes lubi opychać się kartoflami na Wschodnich Wyspach.

Ku zdumieniu Nelli wychodzi z bawialni, jak gdyby tutaj mieszkał i orientował się w domu. Nella słyszy jego ciężkie stąpanie cichnące w korytarzu i wyobraża sobie, jak usiadł w jednym ze stojących tam foteli, korzystając z chwili spokoju — od czego, Nella nie umie powiedzieć.

W jednym ma wszakże rację — Agnes jest jedyną poznaną przez Nellę osobą, która lubi wracać do przeszłości. Przeszłość bolała jej matkę, ojca doprowadzała do łez. Reszta Amsterdamu woli patrzeć w przyszłość,

budować ciągle wzwyż, na przekór bagnom, które mogą pochłonąć ich wszystkich.

Agnes wygląda, jakby brakowało jej tchu, ma błędny wzrok. Wypuszczając dłoń Nelli, wzrusza ramionami i z roztargnieniem strzepuje niewidzialną drobinkę kurzu ze spódnicy.

— Tacy już są mężczyźni — zauważa wymijająco, nagle znów dorosła.

— Oczywiście — odpowiada Nella, myśląc, że trudno o bardziej odmiennych mężczyzn niż Frans Meermans i Johannes Brandt.

— Przekazałam głowę cukru twojej służącej — zmienia temat Agnes. — Frans powiedział, że skosztujemy jej po wieczerzy. Myślisz, że Marin da się skusić na łyżeczkę? — Agnes przymyka oczy. — Tyle doskonałego cukru! Frans jest taki… c u d o w n y. Rafinowanie przebiegło bez żadnych przeszkód.

— To twój jedyny spadek po ojcu, mam rację?

Agnes mruga.

— Aktem posłuszeństwa, jaśnie pani Brandt — mruczy — zawsze więcej się zyskuje.

Nella odruchowo odrzuca ten przejaw konfidencji. Rozczarowana gęstniejącą między nimi ciszą Agnes prostuje plecy.

— Co prawda możemy się spodziewać dalszych dostaw, ale to ważne, żeby twój mąż o nas pamiętał — podejmuje. — Pogoda w Surinamie nie zawsze nam sprzyja, a cudzoziemcy bez przerwy napadają na ziemie mego ojca… znaczy nasze. Te zbiory mogą być dla nas jedynym źródłem dochodu jeszcze przez wiele lat.

— Rozumiem, pani. Jesteśmy ogromnie zaszczyceni, że powierzyliście nam tę sprawę.

Agnes wyraźnie łagodnieje.

— Czy odwiedziłaś kiedyś męża w jego biurze? — pyta.

— Nigdy, pani.

— Ja często zachodzę do Stadhuis. Fransowi sprawia przyjemność, kiedy składam mu wizyty… przyłapuję go na gorącym uczynku, że się tak wyrażę. Co za radość widzieć, jak umiejętnie prowadzi sprawy państwowe. Frans to wyjątkowy człowiek. Ale powiedz — ciągnie Agnes — czy Marin zmusza cię do jedzenia jej śledziowych obiadów, tych kulinarnych męczarni w imię duchowej doskonałości?

— My…

— Po jednym śledziu na obiad i proste czarne suknie! — Agnes kładzie dłoń na sercu, ponownie zamykając oczy. — Ale to t u t a j, pani, Bóg widzi nasze najprawdziwsze myśli i uczynki.

— Ja…

— Nie uważasz, że Marin nie wygląda dobrze? — Agnes znienacka otwiera oczy i na nowo przyjmuje zatroskaną minę.

Nella nie wie, co powiedzieć, wyczerpana nieprzewidywalnością swojej rozmówczyni. Zgryzota wydaje się bić od Agnes falami, a zarazem pani Meermans potrafi być tak przekonująca w swojej pewności siebie, że młoda kobieta ma mętlik w głowie. Agnes łaknie czegoś, a Nella nie potrafi jej nasycić.

— Marin zawsze była z nas najsilniejsza — zauważa Agnes z ledwie wyczuwalną nutą złośliwości w głosie.

Nella szczęśliwie nie musi odpowiadać, bo znienacka dobiega je szczekanie Rezeki.

— Ach! — ożywia się Agnes, poprawiając suknię. — Twój mąż wreszcie w domu.

Wymiany

Kolacja, mimo głodu Nelli i talentu kulinarnego Cornelii, jest katorgą. Nad bezmiarem białego obrusa Agnes wychyla trzy kielichy reńskiego i opowiada o świetnych kazaniach pastora Pellicorne’a oraz jego pobożności, o tym, jak ważna jest wdzięczność — a co z tymi drobnymi złodziejaszkami z uciętymi dłońmi, których widuje wypuszczanych z Rasphuis?

— Co to jest Rasphuis? — pyta Nella.

— Męskie więzienie — wyjaśnia Agnes. — Do Spinhuis trafiają niecne kobiety, a w Rasphuis poskramiani są dzicy mężczyźni. Mieszkają tam też szaleńcy — ciągnie, wysuwając szyję i wybałuszając oczy na podobieństwo obłąkanego. Wygląda to wstrząsająco i Frans wbija wzrok w obrus. — Porzuceni przez rodziny, które płacą za to, żeby więzienie zapewniło im bezpieczeństwo. — Wskazuje opierścienionym palcem na Nellę. — Ale największe dzikusy trafiają do izby tortur na samym dole Stadhuis, obok miejskich magazynów złota.

Marin tylko rzuca spojrzenia bratu, który dorównuje Agnes szybkością opróżniania kolejnych kielichów, a gdy Cornelia sprząta ze stołu resztki pierwszego dania, nawet wyprzedza ją o jeden.

Johannes trzyma fason, ale ma szklisty wzrok, nieogolona szczecina srebrzy się na jego opalonej twarzy. Studiuje zawartość swojego talerza z wielką uwagą i wbija widelec w kawałki gołębia oblane sosem imbirowym. Agnes zachowuje się coraz bardziej trzpiotowato, dlatego Meermans przejmuje pałeczkę i stara się zaimponować Brandtom swoim kupieckim gadaniem. Chce dyskutować o soku trzcinowym, o miedzianych narzędziach, głowach cukru, o tym, do jakiego stopnia powinno się karać niewolnika. Johannes chrupie marchewkę z ledwo skrywaną wściekłością.

W końcu uporali się z plackiem ze śliwkami i gęstą śmietaną, wieczerza dobiega końca i nie sposób dłużej unikać prawdziwego powodu, dla którego się tutaj znaleźli. Na znak dany przez Marin Cornelia wnosi głowę cukru na talerzu z chińskiej porcelany, tak niepewnie, jakby niosła noworodka. Za nią wchodzi Otto z tacą łyżeczek.

Nella przygląda się badawczo głowie cukru, stożkowatej, połyskującej bryle o długości jej przedramienia, z gęsto upakowanymi kryształkami.

— Połowa zbioru została sprasowana w głowy na miejscu — mówi Meermans. — A druga połowa była rafinowana w Amsterdamie.

Johannes rozdaje łyżeczki. Każdy bierze po jednej.

— Cornelio, Otto, wy także powinniście skosztować — mówi. — Możecie uchodzić za fachowców.

Agnes drgają nozdrza. Zaciska wargi, gdy Cornelia ostrożnie bierze łyżeczkę, a drugą podaje Ottonowi. Gdy Johannes wyciąga mały nóż sprężynowy i wstaje, by wykonać pierwsze nacięcie, Meermans dźwiga się z krzesła i dobywa sztyletu przytroczonego do pasa. Cornelia robi gwałtowny wdech.

— Pozwól — mówi Meermans, potrząsając ostrzem. Johannes uśmiecha się i siada z powrotem. Marin pozostaje sztywna, jej obie dłonie spoczywają na adamaszkowym obrusie.

Pierwszy biały obrzynek ląduje u podstawy stożka.

— To dla ciebie — mówi Meermans, wręczając go teatralnym gestem żonie. Agnes się rozpromienia, a Meermans rozdaje kolejne wióry, zostawiając Johannesa i Ottona na koniec.

— *Incroyable* — wzdycha, wsuwając do ust swoją porcję. — Twój ojciec może nie doczekał się synów, najdroższa, lecz cukier był dla niego wystarczającą nagrodą.

Nella czuje, jak okrawek rozpuszcza się jej w ustach, słodki i ziarnisty, a po chwili już go nie ma. Z językiem przyklejonym do podniebienia delektuje się pozostawionym przez niego lekkim posmakiem wanilii. Marin trzyma łyżeczkę, nie patrząc na czekającą ją słodycz. Agnes ani na chwilę nie odrywa od niej wzroku, gdy Marin zaciska kłykcie na trzonku, ledwie rozchyla wargi i szybko przełyka.

— Wyjątkowo dobry — wyrokuje z bladym uśmiechem, odkładając łyżkę.

— Skosztujesz jeszcze, madame? — oferuje Agnes.

— Cornelio, co myślisz? — zagaduje Johannes. Marin rzuca służącej ostrzegawcze spojrzenie.

— Bardzo dobry, jaśnie panie. Wyborny. — W głosie Cornelii pobrzmiewa nieśmiałość, której Nella nigdy przedtem nie słyszała.

— A ty, Otto? — zwraca się do niego Johannes.

— Dziękujmy Bogu, ale to pan, panie Brandt, przyniesie nam majątek! — przerywa Agnes. Johannes z uśmiechem przyjmuje jeszcze jeden biały zawijas z lśniącej bryły. Nella przypatruje się, jak Otto delikatnie ociera wargi, wystudiowanymi, oszczędnymi ruchami.

— Kiedy wybierasz się do Wenecji? — pyta Meermans. — Te wszystkie pałace, gondole… To jak drugi dom.

Marin, która skosztowała jeszcze kawałek, odkłada łyżkę na stół.

— Do Wenecji? — pyta.

— Co to gondola, najdroższy? — zwraca się do męża Agnes. Jej głos brzmi głupio, a oczy błyszczą od reńskiego wina i głodu miłości.

— *C'est un bateau* — odpowiada Johannes.

— Co mówisz? — dopytuje Agnes. Nella jest ciekawa, dlaczego tak obstaje przy tych wszystkich obcych językach.

— Wyjadę w ciągu miesiąca — mówi Johannes. — Może zechcesz mi towarzyszyć, Frans? Ach! — dodaje po chwili, podnosząc palec. — Zapomniałem, jak ciężko znosisz pobyt na morzu.

Meermans pociąga nosem.

— Nieliczni dobrze znoszą wzburzone fale.

— Fakt. — Johannes opróżnia kielich. — Ale zawsze się tacy znajdą.

Marin wstaje od stołu.

— Petronello, zagrasz na lutni?

— Na l u t n i? — powtarza Nella. Pamiętając ostrzeżenie Marin, żeby nie trącać strun lutni brata, nie kryje zdziwienia.

— Tak właśnie.

Ich spojrzenia spotykają się po raz trzeci tego wieczoru, a Nella, widząc znużenie na twarzy Marin, powstrzymuje się od protestów.

— Oczywiście, Marin, zagram — odpowiada. — Oczywiście.

*

Gra na lutni jest prawdziwą przyjemnością, ale jeszcze większą przyjemność sprawia Nelli widok twarzy słuchaczy, gdy pośpiesznie nastrojone struny poddają się jej palcom. Ten jeden raz dziewczyna jest obiektem pełnej uznania uwagi i gra czterdzieści minut, wśród krzeseł ustawionych w podkowę. Nawet Otto i Cornelia się przysłuchują.

Nieco pomniejszona głowa cukru znika z powrotem w woreczku Agnes i zapada cisza, przerywana prostymi akordami smutnej pieśni o straconej

miłości. Johannes obserwuje swoją młodą żonę z czymś w rodzaju dumy. Marin, zasłuchana, gapi się w ogień, Agnes kiwa głową bez wyczucia rytmu, a jej mąż wierci się na krześle.

Meermansowie wychodzą niedługo potem, obiecując śledzić postępy Johannesa w listopadzie. Marin zamyka za nimi drzwi.

— Dzięki Bogu już po wszystkim — wzdycha. — Posprzątasz rano — zwraca się do Cornelii, która nie kryje zdumienia, że została zwolniona od całonocnego zmywania naczyń.

Uskrzydlona swoim triumfem, Nella tuli w ramionach lutnię, opierając się o framugę okna w korytarzu. Agnes i Frans schodzą frontowymi schodami.

— Doprawdy, Frans… S z y l k r e t e m. — Agnes nie zadaje sobie trudu, by mówić cicho, a może po tylu kielichach wina nie potrafi ściszyć głosu. — C y n o w e ornamenty.

— Agnes, ucisz się.

— Co za dziwaczny dar ślubny… Jak trudno rozgryźć te wielkie umysły! Muszę sobie sprawić własny domek, Frans. Niedługo będzie nas stać. Muszę się postarać, żeby mój był lepszy.

— Nie powiedziałbym, że Brandt to wielki umysł.

— A widziałeś twarz Marin, kiedy jadła nasz cukier? Chwała Panu! Czekałam na to t y g o d n i a m i. Frans! Bóg się nad nami zlitował…

— Och, ugryź się w język. Jesteś nie do wytrzymania.

Oddalają się, a pani Meermans pogrąża się w ciszy, której nic już nie narusza.

Zdradzona

Cornelia zdążyła rozpalić ogień, kiedy Nella budzi się nazajutrz rano. Ubiera się sama, nie zawracając sobie głowy sztywnym bawetem — woli koszulę i kamizelkę od fiszbinów, którymi skrępowałaby ją Cornelia.

— Czy są dla mnie jakieś przesyłki? — pyta na dole Ottona.

— Nie, pani — oznajmia służący z wyraźną ulgą.

Uwaga Agnes ciągle kołacze się Nelli w głowie. „Fransowi sprawia przyjemność, kiedy składam mu wizyty". Chociaż czuła się pokrzepiona grą na lutni i tym, jak Marin uratowała ją przed gradem pytań Agnes, wczorajszy wieczór zostawił po sobie niesmak.

Nella bynajmniej nie pragnie naśladować Agnes Meermans — ale dopuszcza myśl, że ta kobieta wie więcej o małżeństwie niż ktokolwiek inny w tym domu. Muszę okazywać, że dodaję Johannesowi otuchy, myśli Nella, chwalić go za to, co robi. Może dzięki temu on zacznie niebawem chwalić mnie? Postanawia zaskoczyć męża w pracy, a później jeszcze raz zajść do Domu pod Słońcem. Jeśli Pryszcz nie będzie tam węszył, może miniaturzystka zechce zamienić z nią dwa słowa.

Drzwi do gabinetu Johannesa są otwarte — Nella widzi mapy i pozostałe papiery w dalszym ciągu rozrzucone na podłodze. Choć wszystko inne jest w nieskazitelnym porządku, w domu czuje się przygnębienie, aurę znużenia jak po bitwie.

Nella zagląda do jadalni i staje jak wryta na widok Marin w niekompletnym stroju. Marin otula się ciaśniej podomką, którą narzuciła na spódnicę i bluzę. Jej jasnokasztanowe włosy są rozpuszczone i opadają kaskadą na plecy, wydzielając lekką woń gałki muszkatołowej. To wciąż jest Marin, ale jakby złagodzona. I ubogacona.

— Czy Johannes poszedł już na Oude Hoogstraat? — pyta Nella.

Wchodzi Otto i nalewa kawy do filiżanek, a gorzki zapach wyostrza zmysły dziewczyny. Kilka kropel skapuje z dziobka i na obrusie wykwitają plamy niczym dziewicze wyspy na mapie. Otto nie odrywa od nich wzroku.

— A co? — pyta Marin.

— Chciałam go zapytać, gdzie leży Bergen.

— W Norwegii, Petronello. Nie zawracaj mu głowy.

— Ale…

— A w ogóle skąd to zainteresowanie Bergen? Tam nic tylko handlują rybami.

W korytarzu Cornelia zamiata w skupieniu, z pochyloną głową czarno-białe kafelki przed frontowymi drzwiami. Otto schodzi do kuchni, zapach kawy z dzbanka unosi się za nim w powietrzu. Blade październikowe światło sączy się przez wysokie okna, a świece łojowe, wyciągnięte na nowo ze schowka, już się palą. Gdy Nella odsuwa rygiel i otwiera drzwi, do środka wdziera się podmuch z zewnątrz, a Cornelia przerywa pracę i się prostuje.

— Pani, dopiero ósma — mówi. Głowę ma uniesioną, a kij od miotły ściska jak dzidę. — Dokąd się wybierasz o tak wczesnej porze?

— Mam sprawy do załatwienia — odpowiada Nella, rozdrażniona niedowierzaniem malującym się na twarzy Cornelii. Znów czuje się jak w więzieniu. Kiełkujące poczucie, że i ona coś w tym domu znaczy, jakiego doznała w czasie gry na lutni, szybko ją opuszcza.

— Damy nie mają spraw do załatwienia, jaśnie pani — orzeka służąca. — Powinny znać swoje miejsce.

To jest jak policzek, zniewaga, jakiej nie dopuściłby się żaden służący w Assendelfcie.

— Powinnaś zostać w domu, pani — nie ustępuje Cornelia. Wygląda niemal żałośnie. Nella odwraca się od dymnego zapachu świec i badawczego wzroku Cornelii, żeby odetchnąć powietrzem z zewnątrz. — Gdziekolwiek idziesz, nie powinnaś iść sama — mówi półgłosem służąca, tym razem łagodniej, kładąc dłoń na ramieniu Nelli. — Ja tylko…

— W odróżnieniu do c i e b i e, Cornelio, mogę chodzić, gdzie mi się podoba.

*

Interesująco będzie zobaczyć męża przy pracy, być świadkiem jego starań o umocnienie swego majątku, to jej pomoże go zrozumieć. Nella skręca nad Kloveniersburgwal. Dociera tam zapach morza, a w dali widać maszty wielkich żaglowców. Idąc brzegiem kanału, dziewczyna zastanawia się nawet, czy nie pokazać Johannesowi miniaturek jego ukochanych psów. Na pewno sprawiłyby mu radość.

Przechodzi przez sklepioną bramę do siedziby VOC od strony Oude Hoogstraat, w pobliżu zbrojowni, gdzie pobrzękują tarcze i napierśniki, sortowane według rozmiaru. W tym miejscu bije serce miasta, niektórzy powiedzieliby nawet, że państwa. Ojciec powiedział jej kiedyś, że Amsterdam pokrywał ponad połowę wszystkich wydatków wojennych całego kraju. Wydawał się nieufny wobec bogactwa i potęgi tego miasta, ale w jego głosie słychać było też pełen zadumy podziw.

Nella okrąża pierwszy dziedziniec, idąc pod murami, lekko oszołomiona monotonią powtarzających się cegieł. W przeciwległym rogu rozmawiają dwaj mężczyźni i gdy Nella przechodzi obok, zginają się w głębokim ukłonie. Nella dyga, a tamci przypatrują jej się ciekawie.

— Tu w VOC nigdy nie widujemy kobiet — odzywa się jeden.

— Chyba że nocą — dorzuca jego przyjaciel — takie, co pachną wanilią i piżmem.

— Szukam Johannesa Brandta — odpowiada Nella głosem ściśniętym z zaniepokojenia. Na czole drugiego z mężczyzn widać wysyp czerwonych krost, ledwie wyrósł z krótkich spodni. Bóg zrobił mu na złość swoim pędzlem, myśli Nella.

Mężczyźni wymieniają spojrzenia.

— Trzeba przejść pod tym łukiem i na drugi dziedziniec. To będą ostatnie drzwi na lewo — mówi pierwszy. — Tam wszystko jest poufne — dorzuca — i nie wpuszczają kobiet.

Nella czuje na plecach ich wzrok, gdy przechodzi pod drugim sklepieniem. Puka do najdalszych drzwi na lewo, a gdy nikt nie otwiera, zniecierpliwiona, otwiera je mocnym pchnięciem. W izbie panuje wilgoć — nieliczne meble i ściany przesiąkły solą. W głębi pomieszczenia są spiralne schody i Nella zaczyna się po nich wspinać, coraz wyżej i wyżej, aż dociera na bardziej przestronną, widną kondygnację i długi korytarz, na którego końcu widać kolejne potężne dębowe odrzwia.

— Johannesie?! — woła.

Zawsze to ja go wołam, myśli, zawsze to ja czekam pod jego drzwiami. Biegnie w stronę kancelarii, zwinnie i lekko jak kot, coraz bardziej podekscytowana na myśl o tym, jaką sprawi mu niespodziankę.

— Joha…?

Klamka u drzwi na końcu korytarza stawia opór i gdy Nella naciska ją z całej siły, a drzwi otwierają się z rozmachem, imię męża więźnie jej w gardle.

W głębi pomieszczenia, rozciągnięty na otomanie, leży Johannes. Ma zamknięte oczy, jest zupełnie nagi i unieruchomiony przez burzę ciemnych loków, która unosi się nad jego pachwiną.

Loki wyglądają jak przyczepione do ciała jej męża, tam na dole. Dopiero po chwili Nella zauważa, że to głowa, która się porusza: w górę i w dół, w górę i w dół. Kędzierzawa głowa jest połączona z ciałem — szczupłym torsem, a tors z parą klęczących nóg, na wpół zasłoniętych przez otomanę.

Oczy Johannesa otwierają się na dźwięk zamykanych drzwi i rozszerzają ze zgrozy, gdy dostrzega żonę. Jego ciałem wstrząsa dreszcz. Kędziory unoszą się i Jack Philips zwraca ku niej bladą twarz, z rozdziawionymi ustami i przerażeniem w oczach. Podnosi się i staje po drugiej stronie otomany, jego lśniąca, obnażona pierś przyciąga zaszokowane spojrzenie Nelli.

Johannes porusza się jak pod wodą; zapomina przykryć swoją nagość albo nie może tego zrobić. Jest otępiały i wygląda, jakby nie był w stanie złapać tchu. Ta jego rzecz, jego r o b a k, sterczy niczym maszt — mięsisty, wyprężony, mokry i lśniący. Odpycha Jacka i podnosi się jak przysadzista kurtyzana w swej alkowie. Jego szeroka pierś jest taka owłosiona w porównaniu z chłopcem…

Okno rozwiera się, szare światło dnia rzuca na wszystkich bladą poświatę.

— Nello — zwraca się do niej mąż, ale głowa dziewczyny płonie i ledwo go słyszy. — Nie powinnaś była. Nie wolno ci…

Ktoś jakby zdejmuje z nich urok i Jack rzuca Johannesowi koszulę. Wykonują chaotyczne ruchy — ramiona, palce, kolana — niezgrabnie i w popłochu, a gdy Nella obserwuje ten pośpieszny taniec, uginają się pod nią kolana. Patrzy wzwyż z podłogi i widzi, że mąż zdołał się podnieść. Wyciąga rękę — czy do niej, czy do Jacka, czy po ubrania, nie sposób stwierdzić — jakby próbował uchwycić niewidzialne liny w powietrzu. I jeszcze Jack z Bermondsey — nagi od pasa w górę, przeczesuje palcami loki. Uśmiecha się czy krzywi, a może jedno i drugie naraz? Ta myśl tonie w ogłuszającym huku, który wypełnia jej głowę, dłonie same unoszą się do oczu.

Ostatnia rzecz, jaką widzi, to członek Johannesa, który zaczyna wiotczeć, długi i ciemny na wierzchu jego uda.

Cisza wyje Nelli w uszach, od serca promieniuje ból. Upokorzenie z jednego czarnego ziarenka rozrasta się w tysiące, a poczucie krzywdy,

dotąd tłumione, wreszcie odzyskuje głos.

Nella nie wie, czy mąż ją słyszy.

— Głupi, głupi, głupi — szepcze z zaciśniętymi powiekami. Nogi ma jak z ołowiu, skórę rozpaloną, ciało ciężkie jak kamień młyński. Czuje na sobie ręce obu mężczyzn, podnoszą ją, głowa jej opada do tyłu, widzi pięć białych palców stopy Johannesa. Po raz pierwszy od uszczypnięcia Marin ktoś jej dotyka.

— Nello! — słyszy znajomy głos.

To Cornelia. Cornelia przyszła. Nella pozwala się wywlec z kancelarii i teraz chcą już tylko przepełznąć jak najszybciej niekończącym się korytarzem, jakby obie uciekały przed napierającą falą.

Johannes woła ją po imieniu. Nella słyszy, lecz nie może odpowiedzieć, a nawet gdyby mogła, czyby chciała? Słowa nie chcą wydobywać się z ust, więzną jej w gardle.

Cornelia pokonuje z nią ostatnie schody w dół, każe jej stawiać jedną stopę za drugą, Jezu Chryste, jaśnie pani, chodź, po prostu chodź, zaraz będziemy w domu. Mijają dwóch mężczyzn ciągle stojących na dziedzińcu. Cornelia musi ciągnąć Nellę, osłaniać jej głowę, aby nikt nie zobaczył wyrazu spustoszenia na twarzy jej pani.

Gdy skręcają w Kloveniersburgwal, Nella dławi się od wzbierającej w niej rozpaczy. Cornelia zdecydowanym ruchem zatyka jej usta dłonią, bo płacz wzbudziłby niepożądane zainteresowanie na tych ciasnych, pełnych czujnych oczu uliczkach.

Docierają do domu. Drzwi otwierają się przed nimi z impetem, jakby same z siebie, ale już za moment Nella dostrzega Marin i Ottona czekających w ciemnościach. Kryjąc twarz, chowa się za plecami Cornelii i pozwala jej wprowadzić się po schodach. Kładzie się do łóżka i szarpie niedawno wyhaftowaną ślubną pościel, usiłując oddychać, lecz krztusi się od łez.

Z jej wnętrza, z głębokości, dobywa się wycie — krzyk, który rozdziera powietrze.

Nella czuje, że ktoś głaszcze ją po czole, raz po raz, i przytrzymując jej głowę, wlewa do gardła jakiś płyn. Słyszy własny cichnący skowyt, ostatnie dźwięki zamierają jej na wargach, tymczasem Otto, Marin i Cornelia pochylają się nad nią niczym Mędrcy ze Wschodu nad żłóbkiem, przejęci i zafrasowani.

Nie jestem tą, co trzeba, myśli Nella. I d i o t k a. Nie powinnam była…

Znikają, a Nella leci w dół, obraz jej nagiego męża pogrąża się wraz z nią w ciemnym jeziorze snu.

II

LISTOPAD 1686 ROKU

„Izali zdrój z jednego źródła wypuszcza
i słodką, i gorzką wodę?”

KSIĘGA JAKUBA 3, 11

Na odwrót

Budzi ją słodki zapach, któremu trudno się oprzeć. Nella otwiera oczy i widzi Marin w nogach łóżka, pogrążoną w zamyśleniu, z talerzem wafli na kolanach. Gdy Marin nie zdaje sobie sprawy, że jest obserwowana, wygląda bez porównania łagodniej, z powiekami na wpół przysłaniającymi szare oczy, z opadającą kreską warg. Przez siedem dni przychodziła i siadała w nogach łóżka Nelli, a dziewczyna codziennie udawała, że śpi.

Obraz Johannesa i Jacka Philipsa kołatał się Nelli w głowie całymi dniami, jak ćma, która nie przestaje trzepotać skrzydłami. Nella unieruchomiła ją siłą woli, odurzyła i urwała jej skrzydła. Ćma jednak nie zniknęła.

Co jeszcze obaj robili, zanim pojawiła się w kancelarii — ich łożem rozwinięty atlas, oni jak bogowie nad papierowym światem? Nie jestem zdolna do takiego życia w Amsterdamie, myśli Nella, marząc o tym, by znaleźć się daleko stąd. Czuje się młodsza niż osiemnastolatka i zmordowana, jakby miała lat osiemdziesiąt. Jakby naraz zwaliło się na nią całe życie. Brodzi w morzu domysłów i nie umie wyłowić żadnego sensu. Ależ byłam głupia, wyobrażając sobie, że mogę oswoić Amsterdam, dorównać Johannesowi Brandtowi, myśli. Sama sobie podcięłam skrzydła. Straciłam godność.

Domek dla lalek, niezamieszkany, łypie na nią z rogu pokoju. Ktoś rozsunął kotary i wnętrze wydaje się rosnąć w promieniach słońca rozświetlających jego ściany. Przyciągnął też uwagę Marin, która kładzie talerz z waflami na podłodze i podchodzi do niego powoli, po czym sięga do miniaturowej bawialni. Wyciąga kołyskę i buja nią na dłoni.

— Nie dotykaj jej — warczy Nella. To pierwsze słowa, jakie wypowiedziała od tygodnia. — To nie są twoje rzeczy.

Marin wzdryga się i odkłada kołyskę na miejsce.

— Mam dla ciebie wafle na wodzie różanej — odzywa się. — Z cynamonem i imbirem. Cornelia ma nową blachę do pieczenia.

W kominku buzuje jasny, wesoły płomień. Na zewnątrz na dobre rozgościła się zima, Nella czuje w pomieszczeniu lekki powiew chłodu.

— Nie mówiłaś przypadkiem, że pusty żołądek jest lepszy dla duszy? — odgryza się, choć wcześniej nie gardziła miskami hutspotu i plastrami goudy, które Cornelia zostawiała za drzwiami. Czuje, jak buzuje w niej złość, gotowa lada chwila wybuchnąć.

— Jedz — mówi Marin. — Proszę. Porozmawiamy później.

Nella bierze talerz w deseń w kwiaty i misterne listki. Marin poprawia jej poduszki i wraca na swoje miejsce w nogach łóżka. Wafle są doskonałe, złociste i chrupiące, a smak wody różanej miesza się w ustach Nelli z rozgrzewającym imbirem. Peebo skrzeczy ze swojej klatki w rogu, jakby wyczuwał niechętną przyjemność Nelli.

Co powie Marin, zastanawia się Nella, kiedy jej zdradzę, na czym przyłapałam jej brata?

— Może zechcesz wstać? — Marin brzmi jak królowa próbująca bratać się z chłopką.

Nella wskazuje na kredens z domkiem.

— Domyślam się, że wolałabyś mnie oglądać tam.

— O czym ty mówisz?

— Moje życie tutaj się skończyło.

Marin sztywnieje na te słowa, a Nella popycha w jej stronę talerz z niedojedzonymi waflami.

— Dość już mam twoich rozkazów, Marin. Wszystko rozumiem.

— Czy aby na pewno?

— Owszem. — Nella bierze głęboki oddech. — I jest coś, o czym musisz wiedzieć.

Na bladą twarz Marin wstępuje rumieniec.

— O czym? — pyta z napięciem w głosie. — No, o czym?

Nella czuje, że tajona wiedza daje jej władzę. Splata dłonie na kapie i wpatruje się w pełne powagi, szare oczy Marin.

— Nie bez powodu tkwiłam tutaj cały tydzień. Johannes, twój brat… nie, nie mogę tego powiedzieć.

— Czego?

— Johannes to… s o d o m i t a.

Marin mruga, a zastygły obraz Johannesa z Jackiem odżywa na nowo w pamięci Nelli. Płatek ciasta utyka jej w gardle, a Marin ciągle milczy, studiując hafty na pościeli, pękate B wśród zawijasów listowia i leśnych ptaków.

— Niezmiernie mi przykro, że się zdenerwowałaś — odzywa się wreszcie Marin cicho. — Przyznaję, Johannes jest niepodobny do większości mężów.

W pierwszej chwili Nella nie rozumie. Potem ciarki przebiegają jej po skórze, policzki różowieją, a krew krąży szybciej w żyłach.

— Wiedziałaś? W i e d z i a ł a ś? — Czuje, że zbiera jej się na płacz. To jest chyba jeszcze gorsze niż widok nagiego męża z Jackiem na otomanie w kancelarii. — Boże drogi. Zrobiliście ze mnie błazna… robiliście ze mnie idiotkę, odkąd się tu znalazłam — mówi.

— Nie śmialiśmy się z ciebie, Petronello. W żadnym razie. Nie jesteś żadnym błaznem.

Nella czuje, że odarto ją z godności, z jej ust wydobywają się słowa, o jakie nigdy by siebie nie podejrzewała.

— Upokorzyliście mnie. A ja musiałam się o tym przekonać na własne oczy. Ta wstrętna, obrzydliwa rzecz, którą on robił z tym… chłopcem…

Marin dźwiga się z miejsca i podchodzi do okna.

— Czy brzydzi cię wszystko w Johannesie?

— Co takiego? Owszem. „Sodomici: strzeżcie się ich”, mówił Pellicorne. „Boży gniew przeniknie ten kraj”. Marin! Jestem żoną Johannesa!

Marin rozczapierza palce i przyciska je do szyby, aż ich czubki robią się białe.

— Doskonale pamiętasz to kazanie.

— Wiedziałaś, że Johannes nigdy mnie nie pokocha.

Marin odwzajemnia jej spojrzenie, a kiedy zaczyna mówić, łamie jej się głos.

— Nie wiem, jak mógłby nie. Ja… nie wszystko rozumiem. — Milknie. — Johannes cię lubi.

— Jak pieska albo kotka. A jeszcze bardziej lubi Rezeki. Nie mogę wam wybaczyć tego podstępu, tego wstydu… Wiedziałaś, czym to się może dla mnie skończyć. Te noce, kiedy czekałam…

— Nie uważałam tego za podstęp, Nello. To była okazja. Dla każdego.

— Czy to była w ogóle decyzja Johannesa?

Marin się waha.

— Johannes… nie kwapił się do tego. Nie chciał, ale… dlatego… sama rozpytywałam. Jeden ze znajomych twojego ojca w mieście wspomniał o jego trudnościach finansowych. Twoja matka była zachwycona. Pomyślałam, że każdy na tym skorzysta.

Nella odpycha od siebie talerz, który spada na podłogę, rozbijając się na trzy części.

— A co j a z tego mam, Marin!? — krzyczy. — To ty o wszystkim decydujesz. Ty zamówiłaś moje stroje, ty prowadzisz księgę rachunkową, ty ciągniesz mnie do kościoła, zmuszasz do udziału w ucztach cechowych, gdzie wszyscy mnie wytykają palcami. Byłam taka wdzięczna, gdy pozwoliłaś mi zagrać na lutni! Żałosne. To ja mam być panią tego domu, a niczym nie różnię się od Cornelii.

Marin ukrywa twarz w dłoniach. Powietrze między nimi gęstnieje, a Nella czuje przypływ żywotności, gdy obserwuje zmagania Marin, która za wszelką cenę usiłuje zachować spokój.

— Marin, przestań udawać taką spokojną. To katastrofa. — Łzy stają dziewczynie w oczach i choć próbuje je powstrzymać, spływają jej po twarzy. — Jak mam być szczęśliwa — pyta — z mężem, który będzie się smażył w piekle?

Twarz Marin zastyga w wyrazie furii.

— Milcz. M i l c z. Twoja rodzina nie miała nic prócz nazwiska, ojciec zostawił was żebrakami. Skończyłabyś jako żona wiejskiego chłopa.

— Nie byłoby w tym nic złego.

— Powiedz to za dziesięć lat, kiedy pękną wały, kiedy ręce będziesz miała obtarte do żywego mięsa, a pod nogami będzie ci się plątać dziesięcioro bachorów, które trzeba nakarmić. Potrzebowałaś zabezpieczenia, chciałaś zostać żoną kupca… Petronello? — pyta, gdy Nella milczy. — Co zamierzasz zrobić?

Panika w głosie Marin narasta, a Nella dopiero teraz zaczyna sobie uświadamiać, że w jej ręku nareszcie znalazła się realna władza. Czy Marin myśli, że pójdzie z tym do burmistrzów? Wpatruje się zdumiona w wykrzywioną w grymasie, bladą twarz Marin, a myśl, że ona — osiemnastoletnia dziewczyna z Assendelftu — mogłaby pójść powiedzieć starszym Amsterdamu, że jej szacowny mąż, kupiec, jest we władzy diabła, przyprawia ją o zawrót głowy.

Mogłabyś to zrobić, mówi sobie. Mogłabyś też donieść na Jacka Philipsa. Kto by cię powstrzymał, gdybyś zechciała to zrobić? Mogłabyś jednym zdaniem obrócić w gruzy życie tej kobiety, a siebie uwolnić od upokorzenia.

Jakby czytała jej w myślach, Marin odzywa się ponownie:

— Należysz do tej rodziny, Petronello. Prawda o niej przylgnie do ciebie jak olej do ptasich piór. Czy chcesz znowu życia w nędzy? I co będzie z Ottonem i Cornelią, jeśli wyjawisz nasz sekret?

Rozpościera ręce szeroko, jak skrzydła, a Nella czuje, jak kurczy się w swoim łóżku, które jakby ogromnieje.

— My, kobiety, nie możemy nic, Petronello — oznajmia Marin. — Nic. — W jej oczach płonie blask, jakiego Nella jeszcze nigdy w nich nie widziała. — Jedyne, co możemy zrobić, jeśli mamy szczęście, to próbować naprawiać błędy popełniane przez innych.

— Agnes jest szczęśliwa.

— A g n e s? Och, ona odgrywa swoją rolę, nie wiadomo tylko, co będzie, jak wyczerpie swoje kwestie. Plantacja należała do jej ojca, a Agnes powierzyła ją mężowi. Nie pojmuję, jak może się czuć przy tym wszystkim taka s p r y t n a. A niektóre z nas mogą pracować — Marin zaczyna krzyczeć — zaharowywać się na śmierć, a oni nie zapłacą nam za to ani połowy tego, co mógłby zarobić mężczyzna! Nie możemy mieć domów na własność, nie możemy wnieść sprawy do sądu. Jedyne, co według nich potrafimy robić, to rodzić dzieci, które następnie stają się własnością naszych mężów.

— Ty nie wyszłaś za mąż, ty nie…

— Są kobiety, którym mężowie nie dają spokoju. Dziecko za dzieckiem, aż ich ciała staną się jak pomarszczone worki.

— Mogę być pomarszczonym workiem, bylebym nie była sama! „Dobra żona, męża korona”, czy nie tak się mówi?

— A ile niewiast umiera, wydając na świat dziecko? Ile dziewcząt zamienia się w trupy żon?

— Nie krzycz na mnie! W Assendelfcie też zdarzały się pogrzeby, wiesz? Rozumiem, czym to grozi.

— Petronello…

— Czy moja matka była świadoma, kim on jest? Wiedziała?

Marin, zdyszana, milknie i wygląda przez okno.

— Nie sądzę. Przekonywała mnie, że jesteś dziewczyną z wyobraźnią, silną i zdolną, i że rozkwitniesz w mieście. „Nella się tam odnajdzie”, napisała i dodała, że Assendelft jest za mały jak na taki umysł jak twój. Z radością w to uwierzyłam.

— Może i tak — mówi Nella. — Ale decydowanie o tym, że nigdy nie będę żyła jak normalna kobieta, nie powinno należeć do ciebie.

Szyderczy uśmieszek Marin sprawia, że Nelli cierpnie skóra.

— Co znaczy według ciebie „normalna kobieta”?

— Normalna kobieta wychodzi za mąż… rodzi dzieci…

— To kim ja jestem? Czy nie normalną kobietą? Jak ostatnio sprawdzałam, to byłam nią z całą pewnością.

— Ani ty, ani ja nie jesteśmy normalne.

Marin wzdycha, pocierając dłonią czoło.

— Nie chciałam się zdenerwować. Czasem tracę panowanie nad sobą i nic nie mogę na to poradzić. Wybacz.

Szczery ton tych przeprosin chwilowo rozładowuje atmosferę. Nella, wyczerpana, opada z powrotem na łóżko, a Marin oddycha ciężko.

— Słowa są w tym mieście jak woda — mówi. — Wystarczy, że ktoś rozpuści pogłoskę, a utoniemy.

— Czyli wraz z Johannesem poświęciliście moją przyszłość — wnioskuje Nella — gdy wasza stanęła pod znakiem zapytania?

Marin zamyka oczy.

— To małżeństwo przyniosło ci korzyść, czyż nie?

— W Assendelfcie bym nie utonęła.

— A jednak żyłaś tam jak pod wodą: parę krów, dom, w którym hula wiatr, nuda. Sądziłam, że małżeństwo może być dla ciebie… przygodą.

— Czy nie mówiłaś, że niewiasty nie miewają przygód? — wypala Nella i nagle przypomina się jej miniaturzystka na Kalverstraat. — Czy coś nam grozi, Marin? Dlaczego tak bardzo potrzebujemy pieniędzy za ten cukier? Johannes nie zobowiązałby się go sprzedać, gdyby nie musiał.

— Miej swoich wrogów pod ręką…

— Zdawało mi się, że Agnes Meermans to twoja przyjaciółka.

— Profity z cukru będą dla nas ochroną — odpowiada Marin, ponownie kierując wzrok za okno. — W Amsterdamie Pan Bóg, przy całej swojej chwale, ma ograniczone wpływy.

— Jak możesz tak mówić? Ty, taka pobożna…

— Moja wiara nie ma z tym nic wspólnego. Nie jesteśmy biedakami, ale cukier to nasza tama przeciwko napierającym falom. Ty również nas chronisz, Petronello.

— J a was chronię?

— Naturalnie, że tak. I wierz mi, jesteśmy ci wdzięczni.

Nieporadna wdzięczność Marin rozkwita w Nelli jak kwiat, wypełniając ją poczuciem własnej ważności. Próbuje nie dać po sobie poznać, że

sprawia jej to przyjemność, koncentrując się na zawijasach na narzucie.

— Marin, powiedz mi, co by się stało, gdyby Agnes i Frans dowiedzieli się o Johannesie?

— Mam nadzieję, że okazaliby nam litość. — Marin milknie i przysuwa sobie krzesło. — Choć obawiam się, że byłoby inaczej.

W ciężkiej ciszy Marin składa się jak marionetka — nogi zginają się pod nią, ramiona i szyja wiotczeją, podbródek opada na pierś.

— Zdajesz sobie sprawę, co robią z takimi jak mój brat? — pyta szeptem.

— Nie.

— Topią ich. Świątobliwi panowie z magistratu zakładają im kamienie na szyje i zrzucają do wody. — Fala rozpaczy zdaje się przygniatać Marin. — Ale choćby nawet wciągnęli Johannesa z powrotem i rozpruli jego ciało, i tak nie znaleźliby tego, czego szukają.

— Dlaczego?

Łzy ciekną po jej bladych policzkach, przyciska dłoń do piersi, jakby chciała odepchnąć przypływ żalu.

— Ponieważ… to jest w jego duszy, Petronello. Nie wydobędziesz tego, bo to tkwi w jego duszy.

Decyzje

Godzinę później Nella otwiera drzwi, trzymając w ręce klatkę z Peebo. Wątłe słońce pada przez okno na półpiętrze, nadając ścianie przed nią bladocytrynowy kolor. Nella słyszy Johannesa w alkierzyku Marin, narastający i cichnący szmer ich przyciszonych głosów. Zostawia klatkę na szczycie schodów i skrada się korytarzem.

— Czy nie potrafisz trzymać się z dala od tego człowieka? Strach bierze, kiedy myślę, jak to się może skończyć.

— Marin, on nie ma nikogo.

— Nie doceniasz go. — W głosie Marin słychać zmęczenie. — On nie wie, co to lojalność.

— Zawsze podejrzewasz ludzi o najgorsze.

— Nie podejrzewam, ja to widzę, Johannesie. Wyciśnie z nas ostatni grosz. Ile już mu zapłaciłeś?

— Pomaga nam pilnować cukru. To sprawiedliwy układ. Przynajmniej dzięki temu przestał dostarczać przesyłki i się tu nie kręci.

Nella odlicza sekundy milczenia Marin.

— Jakim trzeba być ślepcem, żeby mieć takie wyobrażenie o świecie — wykrztusza wreszcie szwagierka przez zaciśnięte gardło, tłumiąc w sobie gniew. — Jakim sposobem w składzie miałbyś być mniej na widoku niż tutaj? Powinno się go trzymać jak najdalej od wszystkiego, co ma z nami związek. A jeśli Petronella poskarży się matce… albo burmistrzom?

— Nella ma serce, Marin…

— Którego istnienia prawie nie raczyłeś uznać.

— Mylisz się. Jesteś niesprawiedliwa. Kupiłem domek, suknie, zabrałem ją na bankiet. Co jeszcze miałbym zrobić?

— Dobrze wiesz.

Zapada długie milczenie.

— Uważam — odzywa się w końcu Johannes — że ona jest brakującym fragmentem naszej układanki.

— A tobie grozi, że go utracisz. Tyle szkód narobiłeś, kompletnie cię nie obchodzą potrzeby innych…

— Mnie? Twoja obłuda zapiera dech, Marin. Ostrzegałem cię jeszcze w sierpniu, że nie mógłbym…

— A ja cię ostrzegałam, że jak nie skończysz z Jackiem, stanie się coś strasznego.

Nella nie może tego dłużej słuchać. Wraca na schody i bierze klatkę z Peebo. Schodząc na dół, uświadamia sobie, że nigdy nie czuła się silniejsza — ani bardziej przerażona. Wyobraża sobie Johannesa znikającego w ciemnej toni, z twarzą wykrzywioną w dzikim grymasie, z włosami kłębiącymi się jak szare wodorosty. Jej ręka mogłaby o tym zdecydować. Od lat chroniły ich te ściany i ciężkie frontowe odrzwia — a co się stało, gdy je otworzyli i wpuścili Nellę? „Nie lubimy zdrajców” — słowa Marin ciągle do niej wracają, przypominają o dziwnej wspólnocie, której Nella jest teraz częścią i która czeka, by się przekonać, komu dziewczyna okaże lojalność.

Siada na ostatnim stopniu i stawia obok klatkę. Peebo posłusznie ściska żerdkę pazurkami. Nella szarpie rygiel przy drzwiczkach, które otwierają się z cichym brzęknięciem. Ptaszek podskakuje zaskoczony, jego łebek drga z ciekawości, mrugają paciorki oczek.

Z początku nieśmiały, wreszcie korzysta z okazji i wylatuje. Zatacza koła w ogromnym holu, coraz wyżej i wyżej, pikuje i trzepocze skrzydłami w tej wielkiej jak na niego przestrzeni, jego odchody spadają obficie na posadzkę. I bardzo dobrze, myśli Nella. Niech gówno pokryje te przeklęte kafle.

Odchyla się do tyłu, obserwując Peebo wzlatującego po spirali, znoszonego przez powiew od frontowego okna, które ktoś zostawił uchylone. Papużka śmiga z jednego końca korytarza na drugi. Nella czuje, jak od łopotu jej skrzydeł przemieszcza się powietrze — furkot kostek i piór, otrzepywanie skrzydełek, kiedy Peebo znajduje schronienie gdzieś na krokwiach pod powałą.

Mimo ostrzeżeń matki — tyle kobiet pochowano przed czasem na cmentarzu przykościelnym w Assendelfcie — Nella zawsze sądziła, że pewnego dnia będzie miała dziecko. Teraz dotyka swojego brzucha, wyobrażając sobie tam wypukłość, balon z ciała, w którym rozwija się dziecko. Życie w tym domu jest nie tylko absurdalne — to gra, ćwiczenie z hipokryzji. Kim ona teraz jest? Co ma zrobić?

— Głodna? — pyta ktoś.

Nella podskakuje na widok Cornelii, która wyłania się spod schodów, blada i zdenerwowana. Nie pyta nawet, dlaczego służąca się tutaj kręci. W tym domu nikt nigdy nie jest naprawdę sam, zawsze znajdzie się ktoś, kto patrzy albo się przysłuchuje. Czyż ona sama nie słucha — odgłosów kroków, skrzypienia zamykanych drzwi, pośpiesznych szeptów?

— Nie — odpowiada, choć kiszki grają jej marsza. Mogłaby pochłonąć wszystko, co było na uczcie w Cechu Złotników: jeść, jeść, jeść, łykać każdy kęs, żeby poczuć, że jej istnienie ma jakąś wagę.

— Będzie tak sobie latał? — pyta Cornelia, wskazując na smugę zielonych piór, która ukazuje się im w przelocie, gdy Peebo pikuje, po czym znowu usuwa się w cień.

— Będzie — odpowiada Nella. — Czekał na to, od kiedy tu przybył.

Pochyla się do przodu, a służąca przyklęka przed nią i kładzie obie ręce na jej kolanach.

— Teraz to twój dom, pani.

— Jak można to siedlisko tajemnic w ogóle nazwać domem?

— W tym domu jest tylko jedna tajemnica — ripostuje Cornelia. — Chyba że masz jakąś swoją, pani?

— Nie mam — odpowiada Nella, choć przychodzi jej na myśl miniaturzystka.

— Co by ci dało pozostanie w Assendelfcie, pani? Nigdy o nim nie opowiadasz, to i chyba niespecjalnie za nim tęsknisz.

— Bo nikt mnie o to nie pyta, z wyjątkiem Agnes.

— Podobno mieszka tam więcej krów niż ludzi.

— C o r n e l i o!

Lecz Nella łagodnieje i śmieje się nerwowo, zadumana nad tym, jak odległe wydają się teraz tamten dom, jezioro, wspomnienia z dzieciństwa. Tak bardzo by chciała, żeby ludzie nie byli pod tym względem tacy grubiańscy. Mogłabym zaryzykować powrót, myśli, mama musiałaby mi w końcu wybaczyć, zwłaszcza gdyby usłyszała prawdę. Jeśli zostanę, Johannes będzie dalej urządzał sobie schadzki, narażał się pastorom i sędziom, mając za nic perspektywę wiecznego potępienia za folgowanie swym żądzom. A ja zostanę prawie z niczym. Bez nadziei na macierzyństwo, bez wspólnych sekretów w nocy, bez możliwości prowadzenia domu — chyba że zadowoli mnie ten kredens, w którym nie ma żywej duszy.

A jednak…, myśli Nella. „Walczę, by powstać” — takie przesłanie dostała od miniaturzystki. Assendelft jest mały, a jego mieszkańcy zaściankowi i zapatrzeni w przeszłość. Tutaj, w Amsterdamie, kurtyny domku odsłoniły przed nią nowy, przedziwny świat, zagadkę, którą zapragnęła rozwiązać. Ale przede wszystkim w Assendelfcie nie ma miniaturzystki.

Kobieta z Kalverstraat jest nieuchwytna, nieokreślona, może wręcz niebezpieczna — lecz w tym momencie jej istnienie to jedyna rzecz, którą Nella może nazwać swoją. Jeśli wróci na wieś, nigdy się nie dowie, dlaczego miniaturzystka postanowiła przesyłać jej niespodziewane drobiazgi, nigdy nie pozna kryjącej się za nimi prawdy. Dobrze wie, że chciałaby dalej dostawać te przesyłki. W przypływie fantazji przychodzi jej nawet do głowy, że ich istnienie może utrzymać ją przy życiu.

— Cornelio — zwraca się do służącej — czy wtedy szłaś za mną do kancelarii Johannesa?

Służąca posępnieje.

— Tak, pani.

— Nie lubię, kiedy ktoś mnie śledzi. Ale jestem bardzo rada, że to zrobiłaś.

Cornelia mocno ściska dłoń Nelli.

Opowieści

W kuchni dla służby służąca podaje Nelli kandeel, grzane wino z przyprawami, i nalewa też sobie.

— Nareszcie spokój — zauważa.

— Nie chcę spokoju, Cornelio. Wolałabym męża.

— Krokieciki już pewnie dochodzą — odpowiada służąca, wycierając ręce w fartuch. Bierwiono w palenisku pęka z trzaskiem, sypiąc deszcz żarzących się iskier. Nella odkłada kandeel na stojący obok, zaciągnięty pokostem blat stolika do krojenia. „Nie zrobię ci krzywdy, Petronello", obiecał jej Johannes na barce w drodze do Cechu Złotników. Nella zawsze myślała, że dobroć jest aktem działania. Czy to możliwe, aby niezrobienie czegoś, akt powstrzymania się, również liczyło się jako dobroć?

Nellę uczono, że sodomia to zbrodnia przeciwko naturze. Pod tym względem nie ma większej różnicy między doktryną amsterdamskiego kaznodziei a naukami księdza z jej dzieciństwa w Assendelfcie. Czy to jednak właściwe odbierać komuś życie za coś, co tkwi w jego duszy? Jeśli Marin ma rację i nie da się tego pozbyć, jaki sens ma ten cały ból? Nella upija łyk winnej polewki i pozwala, aby ostry smak przypraw korzennych oddalił ją od koszmarnego obrazu Johannesa na dnie zimnego, czarnego morza.

— Dodałam do nich suszony groszek. Taki miałam pomysł — mówi Cornelia, gdy gorące powietrze bucha z otwartego pieca. Kładzie krokiecik na talerzu, oblewa go sokiem z winogron, bulionem baranim i masłem, po czym podaje Nelli.

— Cornelio, czy był w życiu Marin ktoś, kogo kochała?

— K o c h a ł a?

— Właśnie tak.

Palce Cornelii zaciskają się na brzegach talerza.

— Pani Marin mawia, że lepsze jest złudzenie miłości niż rzeczywistość, lepiej, gdy za nią gonisz, niż kiedy ją schwycisz.

Nella przypatruje się, jak tańczące jęzory ognia wyginają się i znikają.

— Może tak mówić, ale… znalazłam coś. Notkę… liścik miłosny, schowany w jej pokoju.

Twarz Cornelii robi się blada jak kreda. Nella waha się chwilę i postanawia zaryzykować.

— Czy to od Fransa Meermansa? — indaguje.

— Na wszystkie anioły… — dyszy Cornelia, jej głos zanika. — To nie mogło… oni nigdy…

— Cornelio, chcesz, żebym została, prawda? Nie chcesz, żebym zrobiła zamieszanie?

Służąca unosi podbródek i spogląda na Nellę z wyższością.

— T a r g u j e s z się ze mną, pani?

— Może i tak.

Cornelia waha się przez chwilę, a potem przysuwa się ze swoim taboretem i kładzie dłoń na sercu Nelli.

— Przysięgniesz, pani? Przysięgniesz, że nie szepniesz o tym słówka nikomu?

— Przysięgam.

— Zatem ci powiem — odpowiada służąca, ściszając głos. — Agnes Meermans to taka kocica, która chowa pazury. Pyszni się i puszy, ale gdy się jej dokładnie przypatrzysz, pani, zobaczysz smutek w jej oku. Nie ukryje swoich uczuć do Marin, choćby się starała, bo… Marin skradła serce jej męża.

— Skradła serce Fransa?

Cornelia wstaje.

— Nie mogę tak siedzieć i gadać, muszę czymś zająć ręce. Usmażę oliekoecken. — Szykuje miskę migdałów, garść goździków i słój z cynamonem. Gdy zaczyna energicznie miażdżyć orzechy i goździki, jej szepty i aura tajemnicy smakują Nelli jeszcze bardziej niż krokiet na talerzu.

Cornelia wygląda na schody, żeby sprawdzić, czy nikt nie idzie.

— Pani Marin była sporo młodsza od ciebie, pani, kiedy go poznała — zaczyna. — Był znajomym jaśnie pana, pracowali razem jako urzędnicy w skarbcu. Pan miał osiemnaście lat, a pani Marin chyba koło jedenastu.

Nella usiłuje wyobrazić sobie szwagierkę jako dziecko, lecz bez powodzenia. Marin jest taka, jaka była chyba zawsze. Ale Nella zauważa, że coś tu nie gra.

— Ale Agnes mówiła, że Frans i Johannes poznali się w VOC, gdy obydwaj mieli po dwadzieścia dwa lata.

— Zmyślała na poczekaniu… albo Meermans jej nakłamał. W życiu nie pracował w Kompanii. Poznał pana w skarbcu amsterdamskim, a skończył jako prawodawca w Stadhuis. Niezbyt imponujące, co? Sterczeć w urzędzie, kiedy twój kamrat pływa po oceanach z największą kompanią Republiki? Na morzu dostaje mdłości. Wyobrażasz sobie Holendra z chorobą morską, pani?

— No cóż, ja wolę konie od statków — stwierdza Nella.

Cornelia wzrusza ramionami.

— Jedne i drugie mogą zrzucić z siodła. Tak czy owak Meermans poznał panią Marin w Dzień Świętego Mikołaja. Była muzyka, cytry, rogi, wiole… A pani przetańczyła z Meermansem niejeden taniec. Myślała, że to książę, taki był przystojny. Teraz je za dużo, ale wtedy był ulubieńcem dam.

— Skąd o tym wiesz, Cornelio? Czy w ogóle byłaś wtedy na świecie?

Cornelia marszczy brwi, dosypuje mąkę i imbir, miesza ciasto.

— Byłam malutka, mieszkałam w sierocińcu. Ale poskładałam wszystko do kupy, nie widać? D z i u r k i o d k l u c z a — szepcze, spoglądając na Nellę porozumiewawczo błękitnymi oczyma. — Sama do tego doszłam. — Przysuwa sobie miseczkę z jabłkami i obiera każde pojedynczym spiralnym cięciem noża. — Coś jest w jaśnie pani Marin. Ona jest jak supeł, który wszyscy chcielibyśmy rozplątać.

Nella się zastanawia, czy istnieją palce dostatecznie mocne albo zwinne, żeby rozwikłać zagadkę jaśnie pani Marin. Ze swoimi zmiennymi humorami, z tymi momentami nieśmiałej wielkoduszności, ucinanymi oschłym komentarzem, Marin jest najbardziej zawikłana z nich wszystkich.

Cornelia wraca do mieszania ciasta, a Nella czuje, jak serce rośnie jej w piersi. Ta dziewczyna przyszła do kancelarii Johannesa mnie ratować, myśli. Jeśli to prawda, to jest pierwszą prawdziwą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam. Ledwie może się powstrzymać, bo w każdej chwili mogłaby wstać i zarzucić ręce na szyję tej przedziwnej dziewczynie z sierocińca, której talent do gotowania ma moc przynoszenia otuchy.

— Jaśnie pan i Meermans byli dobrymi przyjaciółmi — ciągnie Cornelia — więc Meermans często zachodził do domu na partyjkę *verkeerspel*. Miłość zaczęła się później. Co pani Marin mogła wiedzieć o miłości w wieku jedenastu lat?

— Ja mam prawie dziewiętnaście i nie mogę powiedzieć, bym wiedziała o niej więcej, niż gdy byłam dzieckiem.

Cornelia oblewa się rumieńcem. Nella uświadamia sobie, że z wiekiem człowiek wcale nie staje się pewniejszy siebie. Po prostu ma więcej powodów do zwątpienia.

— Ich rodzice zmarli, kiedy pani miała trzynaście lat, a pan opuścił skarbiec, by wstąpić do VOC — kontynuuje Cornelia. — Meermans natomiast przeniósł się do Stadhuis.

— Co się stało ich rodzicom?

— Ich matka zawsze była chorowita i osłabiona porodami. Ledwo przeżyła narodziny madame. Było oczywiście więcej dzieci… ale żadne nie pożyło długo. W rok po zgonie matki ich ojciec zapadł na gorączkę, a pan wyprawił swój pierwszy statek z VOC do Batawii. Pani Marin liczyła sobie piętnaście lat. Frans Meermans pracował w Stadhuis, ale nie mogła się z nim widywać bez przyzwoitki.

Nella wyobraża sobie męża pod rozgrzanym błękitnym niebem, na gorącym piasku, upstrzonym brzęczącymi muszelkami i kroplami przelanej krwi. Piractwo i przygoda, a tu Frans i Marin na bezludnej wyspie wśród mahoniowych mebli, ciężkich gobelinów, kanałów ze stojącą wodą, bicia dzwonów wzywających na nabożeństwa.

— Pan próbował namówić go do wstąpienia do Kompanii. Nalegał, żeby Meermans chwytał okazję. A pani Marin mówiła: „Nie krytykuj Fransa. Nie każdy ma takie możliwości jak ty, Johannesie, i myślę, że to ci się podoba”.

Cornelia miesza w misce namoczone rodzynki końcem drewnianej łyżki.

— Sęk w tym, że Meermans nie umiał dorównać jaśnie panu. Nie potrafił otwierać właściwych drzwi, nie był dla innych natchnieniem… jego sukcesy były skromne, podczas gdy pan Johannes bardzo się wzbogacił. No a pięć lat później, kiedy pani Marin skończyła dwadzieścia pięć lat, Meermans bez jej wiedzy odwiedził pana. Uciułał pieniądze i poprosił go o jej rękę.

— Czekał aż p i ę ć l a t? I co na to Johannes?

— Odmówił.

— Naprawdę? Pięć lat czekania po to tylko, by usłyszeć odmowę… dlaczego? Meermans nie miał przecież złej opinii, prawda? I chyba szczerze ją kochał.

— Pan nigdy nie robi niczego bez powodu — obrusza się Cornelia, wlewając na patelnię ze skwierczącym tłuszczem pierwszą porcję ciasta.

— Tak, ale…

— Meermans był dość przystojny — przyznaje Cornelia — ale nie cieszył się najlepszą opinią. — Robi pauzę. — Był awanturnikiem i zawsze domagał się więcej, niż mu się należało. A po tym afroncie już się nie pokazywał. Aż do teraz.

Wyławia z tłuszczu świeżo usmażonego pączka i kładzie go delikatnie na tacce oprószonej cukrem.

— Zestrugałam czubek głowy cukru od Agnes — wyjaśnia.

— Może Johannes chciał zatrzymać Marin tam, gdzie jej potrzebował — zgaduje Nella. — Jako marionetkową żonę. Teraz ma dwie.

Na te słowa Cornelia się krzywi.

— Och, Cornelio. Przecież to ona jest nadal panią tego domu. Widzisz, jaka jest surowa, jak trzyma nas wszystkich w ordynku. To powinno należeć do mnie. Chociaż… zauważyłaś, jaka się wydaje ostatnio roztargniona?

Służąca nie odpowiada.

— Nie dostrzegam różnicy, pani — mówi w końcu.

— Czy Marin dowiedziała się, co zrobił Johannes?

— Koniec końców tak, ale Meermans odszedł i poślubił jedną z przyjaciółek pani Marin, Agnes Vynke. — Cornelia wymawia to nazwisko z ponurą dokładnością. — Ojciec Agnes pracował w Kompanii Zachodnioindyjskiej i wzbogacił się w Nowym Świecie. Zakazał jej poślubienia kogoś, kto nie będzie dość majętny. Pan Vynke to był potwór… próbował płodzić synów, choć szedł mu już dziewiąty krzyżyk, żeby tylko Agnes po nim nie dziedziczyła! Ślub z Meermansem to był jej pierwszy i ostatni bunt. Ona ubóstwia Fransa aż do obrzydzenia. Nastawiła inne cechowe żony przeciwko Marin, dla pewności, że to zamknięty rozdział. Chciała mieć trochę władzy, no a potem jej ojcu się zmarło i dostała po nim w spadku te wszystkie pola.

Nella przypomina sobie, jak Cornelia opisywała kiedyś damy, które odwiedzały ich dom i kładły Ottonowi we włosach śpiewające ptaszki — czy Agnes Vynke była jedną z nich i usłyszała od Marin, że ma się tam więcej nie pokazywać?

— Weselisko było huczne — ciągnie Cornelia — opłacone przez Fransa z pożyczonych guldenów, bez dwóch zdań. On jest z tych, co wiecznie toną w długach. Hulanka trwała całe trzy dni… Ale wiesz, pani, co gadają o dużych weselach. Że kryją brak apetytu.

Nella oblewa się rumieńcem. Gdyby to działało w obie strony, to po nędznej ceremonii ślubnej powinni z Johannesem w ogóle nie opuszczać komnaty sypialnej.

— Frans i Agnes są małżeństwem już dwanaście lat… i jak dotąd nie doczekali się potomstwa — opowiada dalej Cornelia. — No a potem wpadła mu w ręce plantacja trzciny cukrowej Agnes! Dla niego to lepsze niż spłodzić dziedzica. Może liczy, że z tego cukru dorobi się majątku, ale to nie zmienia jego miłości do pani Marin.

Cornelia podaje Nelli pierwszy olie-koecken. Jest jeszcze ciepły, a smażona skórka pęka pod naciskiem jej zębów, uwalniając idealnie skomponowaną mieszankę migdałów, imbiru, goździków i jabłek.

— A czy Marin nadal go kocha? — dopytuje Nella.

— Och, bez wątpienia. On co roku przesyła jej prezenty. Prosiaki, kuropatwy, raz nawet udziec jeleni. A pani Marin ich nie zwraca. To jest taka milcząca rozmowa, którą z sobą toczą. Oczywiście to ja muszę potem sprawiać te wszystkie dary: oskubywać, kroić, faszerować, smażyć, dusić… Z naszyjnikiem byłoby mniej roboty. — Cornelia wyciera wnętrze miski po cieście wilgotną ściereczką. — Tak pani Marin dowiedziała się o tym, że pan odrzucił oświadczyny Fransa. Pierwszy podarek nadszedł zaraz po ślubie Agnes.

— Co od niego dostała?

— To było zaraz po moim przybyciu. Pamiętam dokładnie, jak pani Marin stała w korytarzu i trzymała peklowane prosię. Wyglądała jak siedem nieszczęść. „Dlaczego on przysłał mi prezent, Johannesie?”, zapytała, a pan zaprowadził ją do swojego gabinetu i tam, jak się domyślam, wszystko jej wyjaśnił.

— Dobry Boże.

Cornelia ma ponurą minę.

— No i Meermans od tamtej pory przysyła to czy tamto. Nigdy nie dołącza bileciku z nazwiskiem, ale wszyscy wiemy, że to on. — Ociera czoło. — Ale liścik miłosny to inna rzecz — stwierdza. — List miłosny to rzecz niebezpieczna. Przymknij na niego oko, pani, i udawaj, że nigdy go nie widziałaś.

*

Nella wraca na górę, żeby nakarmić Peebo okruszkami olie-koecken, a głowę ma pełną obrazów młodej Marin, rzucającej wstydliwe spojrzenia w stronę swojego księcia z bajki. To jak próby wyobrażenia sobie własnych rodziców jako dwojga młodych ludzi, którzy zakochali się w sobie po uszy i wpadli w sidła miłości. Wolałabym nie wpadać, lecz się wznosić w miłości, myśli Nella. Wolałabym wzlecieć w chmury, nie spadać na ziemię. I wyobraża sobie siebie nieważką, adorowaną, oszalałą w ekstazie.

Krokwie są puste. Nella wędruje po pokojach na parterze, nawołuje Peebo z wyciągniętą ręką, spodziewając się, że papużka lada moment nadfrunie z trzepotem skrzydeł i wyląduje, a ona poczuje jej znajomy ciężar, zobaczy paciorki oczu. Wchodzi na piętro, sprawdzając nawet, czy Peebo przypadkiem nie schował się w domku dla lalek.

— Peebo?! — woła. Drzwi do alkierza Marin są zamknięte, siostra Johannesa próbuje się zdrzemnąć. Nagle przez myśl przebiega jej koszmarny obraz: oskubane truchło, zwisające pióra.

W skąpo umeblowanym gabinecie Johannesa też nie ma nikogo.

— Peebo! — woła jeszcze raz Nella. Przybiega w podskokach Dhana, zawsze chętna przepędzić precz jakiś problem. Nella widzi oczyma wyobraźni papużkę w zębach psa, przypadkową ofiarę, zgodnie z najbardziej okrutnym porządkiem natury. Strach ściska jej żołądek.

— Cornelio?! — krzyczy, zbiegając po schodach. — Widziałaś Peebo?

I wtedy zauważa okno w korytarzu: już nie uchylone, lecz rozwarte na oścież, wpuszcza do domu podmuchy zimnego powietrza.

Osiem lalek

Przez całe popołudnie aż do wieczora Cornelia i Nella nawołują papużkę z jednego końca kanału na drugi, bez skutku. Nie ma jej w domu na krokwiach, nie słychać szelestu skrzydeł. Zdezorientowany i zziębnięty, Peebo nie ma szans długo przetrwać. Od wczoraj temperatura spadła, a lód tworzy cienką warstewkę na Herengracht, Kanale Pańskim. Ostatnia nić jej dawnego życia rozsnuła się po niebie.

— Przepraszam — szepcze Nella. — Tak mi przykro.

Wycieńczona niepokojem i bezsennością po zniknięciu Peebo, nazajutrz rano Nella znajduje pod drzwiami swego pokoju mały bukiecik bladoczerwonych i niebieskofioletowych kwiatów z bilecikiem. Budzi się w niej nadzieja, że to od miniaturzystki, lecz ku jej zdumieniu wielka pierwsza litera jej imienia strzela jak pocisk, za którym mkną dalsze litery, ostro przechylone w kierunku kropki na końcu zdania.

„Nello!

Barwinek na przyjaźni początek, rdest, byś ozdrowiała —

Kupiłbym Ci nową papugę, lecz byłaby to przysługa zbyt mała.

Johannes”.

Nella wdycha zapach kwiatów w półmroku swojej sypialni, ich łagodna woń walczy z żalem i nawracającym poczuciem upokorzenia.

Czy to znaczy, że do końca życia pozostanie żoną tego rozmiłowanego w uciechach, skomplikowanego mężczyzny — nie dzieląc z nim łoża? Johannes będzie zabierał ją z sobą na spotkania towarzyskie, bankiety w cechu, uczty — pragnie nawet zostać jej przyjacielem. Ale czeka ją za to wiele ciągnących się w nieskończoność, samotnych nocy, dni wypełnionych tęsknotą, gdy miłość zamknie się przed nią na dobre. Nella ma nadzieję, że miniaturzystka niebawem coś jej przyśle. Warto się lękać, co przyniesie przyszłość, choćby po to, by się nie troskać niczym innym.

Nella zatyka sobie dwa barwinki za uchem. Nigdy nie sądziła, że do końca życia pozostanie nietknięta, a jednak gdzieś z głębi dociera do niej cienki głosik: „Ulżyło ci, że on tego nie zrobi”. Przypomina sobie wstrząs, jaki przeżyła, widząc Johannesa nago. Od przybycia tutaj niemal całą sobą pragnęła, a nawet próbowała przeistoczyć się w to, co przez długi czas wyobrażała sobie jako prawdziwą żonę, normalną kobietę. Od tak dawna tęskniła za tą przemianą i utrwalała ją sobie w głowie, jednocześnie nie podejmując namysłu nad jej wieloznacznością, że w końcu utraciła ona sens. Teraz jej jasno określone pragnienie znowu rozpada się na fragmenty, głowa tonie we mgle. Co to w ogóle znaczy być prawdziwą żoną?

Pukanie do drzwi zatrzymuje kołowrót myśli.

— Pytałam Ottona — mówi Cornelia, zaglądając zza drzwi. Waha się chwilę na widok podpuchniętych oczu Nelli. — Nie zostawił otwartego okna, ja też nie…

— Nikogo nie obwiniam, Cornelio.

— Może wróci, jaśnie pani.

— Nie wróci. Przez moją głupotę.

— Proszę — mówi Cornelia półgłosem, wręczając jej paczuszkę z narysowanym symbolem słońca. — Zostawiono to dla ciebie pod drzwiami, pani.

Krew szumi Nelli w uszach. Jakby mnie słyszała, myśli, nawet gdy milczę. Co próbuje mi powiedzieć?

— Czy to… Jack ją przyniósł? — pyta, biorąc przesyłkę. Drżą jej palce, nie może się doczekać, kiedy rozerwie papier.

Cornelia krzywi się na dźwięk tego imienia, jej wzrok ślizga się po drżącej dłoni swojej pani.

— Leżała tam, kiedy wyszłam zmyć frontowe schody — odpowiada. — Zdaje się, że Anglik trzyma się ostatnio z dala. Pani… co jest w tych paczuszkach?

Nella wie, że nie jest gotowa podzielić się swoją tajemnicą dotyczącą kobiety z Kalverstraat. Niedawno powiedziała Johannesowi, że spokój to ostatnia rzecz, której by chciała, lecz teraz pragnie spokoju, rozpaczliwie chce zostać sam na sam z tym, co miniaturzystka ma jej do pokazania.

— Nic takiego. Przedmioty, które zamówiłam do domku dla lalek — odpowiada.

— Przedmioty?

— Możesz odejść.

Kiedy Cornelia wychodzi, rzucając jej jeszcze przez ramię ostatnie spojrzenie, Nella wysypuje zawartość paczuszki na łóżko. To, co widzi, przechodzi jej najśmielsze oczekiwania.

Na skrawku niebieskiego aksamitu leży osiem laleczek. Są tak realistyczne, tak delikatne, o niedoścignionej doskonałości, że Nella czuje się jak olbrzymka, gdy bierze jedną do ręki, ostrożnie, jakby się bała, że zgniecie ją w palcach. Na jej dłoni leży Johannes, w opończy w kolorze ciemnego indygo narzuconej na szerokie plecy. Jedną dłoń zaciska w pięść, drugą wyciąga przed siebie w powitalnym geście. Jego włosy, dłuższe niż u prawdziwego Johannesa, sięgają nieco poniżej ramion. Ma ciemne oczy, a cienie na jego twarzy nadają mu wygląd słabszego, niż jest w rzeczywistości. U pasa ma zawieszony ciężki trzos z monetami, prawie tak długi jak jego noga, a poza tym jest szczuplejszy. Trzos obciąża mu biodra, przekrzywiając go w jedną stronę.

Włosy drugiej laleczki, przedstawiającej Nellę, wymykają się spod czepka, zupełnie jak w rzeczywistości. Jej miniaturka ma na sobie schludną popielatą suknię i patrzy prosto przed siebie z lekkim zdumieniem na zastygłej twarzy. W jednej z maleńkich rączek trzyma pustą klatkę dla ptaków, z drzwiczkami otwartymi na oścież. Nella doznaje dziwnego uczucia, jakby ktoś od środka nakłuwał jej skórę szpilkami.

W drugiej ręce laleczka trzyma maciupeńką notkę wykaligrafowaną czarnymi kapitalikami:

WSZYSTKO MOŻE SIĘ ZMIENIĆ.

Nie mogąc dłużej patrzeć na swoją miniaturową podobiznę, Nella przenosi wzrok na Cornelię, zachwycona jej błękitnymi oczami, które taksują ją z iskierką wesołości. Służąca ma dłoń uniesioną do twarzy i gdy Nella przygląda się jej bliżej, okazuje się, że przykłada palec do ust.

Następny jest Otto, z czupryną z pofarbowanej owczej wełny. Wygląda na zwinniejszego od Johannesa i też jest chudszy niż w rzeczywistości. Nella dotyka jego ramion — pod prostą koszulą kryją się wyrzeźbione mięśnie. Jej palce odskakują jak na sprężynie.

— Otto? — mówi na głos i robi jej się głupio, kiedy lalka nie odpowiada.

Następna jest Marin, z szarymi oczami utkwionymi w jakimś niewidzialnym widnokręgu. To bez wątpienia ona — pociągła twarz, poważne usta, które nie chcą wypuścić domagającej się tego myśli. Jej

ubiór jest odpowiednio ponury: czarny aksamit, duży, gładki koronkowy kołnierz. Nella jak zahipnotyzowana przesuwa palcami po cienkich nadgarstkach Marin, jej smukłych ramionach, wysokim czole i sztywnej szyi. Przypominając sobie słowa Cornelii o sekretnej, miękkiej podszewce surowych strojów Marin, Nella sięga palcami pod stanik sukni. Wyczuwa delikatną skórkę z soboli.

Dobry Boże, myśli. O co w tym wszystkim chodzi? Miniaturzystka nigdy jeszcze nie posunęła się tak daleko. Maleńki złoty kluczyk, kołyska na biegunach, dwa psy — wszystko to mogłoby w sumie odzwierciedlać przyjemne aspekty życia w domu kupca. Ale te laleczki to coś zgoła innego. Skąd miniaturzystka może wiedzieć, co Marin nosi pod ubraniem albo że Peebo wyfrunął z domu?

Myślałaś, że jesteś zamkniętą skrzynką wewnątrz innej zamkniętej skrzynki, mówi sobie Nella. Okazuje się jednak, że miniaturzystka widzi cię — widzi nas. Nella przesuwa drżącym palcem po spódnicy Marin (uszytej chyba z najlepszej czarnej wełny dostępnej na rynku), po czym chowa swoją pomniejszoną szwagierkę w najdalszym kącie miniaturowego salonu, za krzesłem, gdzie nikt jej nie zobaczy.

Następna figurka przedstawia mężczyznę tylko trochę niższego od Johannesa, w kapeluszu o szerokim rondzie, z mieczem, w stroju oficera Bractwa Świętego Jerzego. Ma szeroką twarz i choć jego baryłkowaty korpus jest mniej wydatny niż w rzeczywistości, bez wątpienia jest to Frans Meermans.

Następna jest Agnes: talia osy, pierścienie na palcach zrobione z malutkich odłamków kolorowego szkła. Twarz ma węższą, niż zapamiętała ją Nella, jednak czarną opaskę na jej głowie pokrywają znajome białe kropeczki drobnych pereł. Na szyi Agnes wisi sporej wielkości krzyż, a w jednej ręce laleczka trzyma stożkowatą głowę cukru, nie dłuższą od mrówki.

Ze skrawka aksamitu wypada na podłogę ostatnia, ósma figurka. Nelli wyrywa się okrzyk przestrachu, a gdy ją podnosi, od razu staje się jasne, że to Jack Philips, w skórzanej kurtce i białej koszuli z wystającymi mankietami, w wysokich skórzanych butach. Rozwichrzone włosy, pąsowe wargi. Dlaczego miniaturzystka chce mi przypomnieć o tym wstrętnym chłopaku? — zastanawia się Nella. Czemu muszę go mieć w swoim domku?

Laleczki nie odpowiadają i tylko gapią się na nią, małe, ale jakże potężne. Nella stara się z wszystkich sił nie tracić rezonu na widok tych postaci rozłożonych na kawałku aksamitu, wykonanych z taką dbałością i wnikliwością. Rozstawia je jedną po drugiej w niewidocznych zakamarkach miniaturowego domku.

Nie kryją chyba złych zamiarów? Usilnie stara się w to uwierzyć, lecz jest w nich coś, co wykracza poza ramy normalności, są jak komentarz do jej życia, którego nie potrafi do końca zinterpretować. To coś więcej niż proste naśladownictwo.

Pozostała jeszcze jedna paczuszka, owinięta w czarne sukno, mniejsza od pozostałych. Nella ledwie ma śmiałość ją otworzyć, ale ciekawość bierze górę. Kiedy rozwija materiał, robi jej się niedobrze. Na aksamicie leży miniaturowy zielony ptaszek, który popatruje na nią błyszczącymi czarnymi oczkami; ma prawdziwe pióra, podkradzione jakiemuś nieszczęsnemu stworzeniu. Jego malutkie, druciane pazurki pokryte są woskiem — można je wyginać, sadzając papużkę w dowolnym miejscu.

Mój świat się kurczy, myśli Nella, a mimo to staje się trudniejszy do ogarnięcia niż kiedykolwiek przedtem.

Odwraca się raptownie — czy miniaturzystka jest tutaj, w pokoju, i chowa się pod łóżkiem? Nella przykuca, żeby tam zajrzeć, jednym szybkim ruchem odsuwa zasłony, jakby chciała zaskoczyć ją znienacka, zagląda nawet za kurtyny domku dla lalek. Znajduje tylko puste miejsca, które drwią sobie z jej naiwności. Bujasz w obłokach, Nello, mówi sobie, dajesz się ponieść fantazji. A miałaś zostawić tamtą Nellę w Assendelfcie.

Za oknem chodzą ludzie. Nad Herengracht panuje dziś duży tłok, gdyż lód uniemożliwia swobodne podróżowanie po kanale. Handlarka śledziami na rogu przytupuje z zimna, damy i panowie idą w towarzystwie służby, wszyscy opatuleni dla ochrony przed przejmującym chłodem. Niektórzy, przechodząc, podnoszą wzrok na Nellę, a ich twarze, jak płatki śniegu, zwrócone są ku zimowemu niebu.

Nella spogląda teraz w stronę mostu. Tam zaś widzi przebłysk złocistych włosów, jest tego pewna. Ciarki znów przebiegają jej po całym ciele, czuje, jak wszystko w niej wiotczeje. Czy to ona? Z tej strony Herengracht zebrał się spory tłum, by przejść przez most. Nella wychyla się przez okno jeszcze bardziej. Tak, to o n a — rozpoznaje lśniące włosy, zasłaniane przez ciżbę ciemniejszych postaci, poruszających się żwawo w zimowym chłodzie.

— Stój! — krzyczy z okna. — Czemu mi to robisz?

Ktoś chichocze na ścieżce.

— Obłąkana czy co? — dobiega kobiecy głos. Nella czuje, jak pali ją ten niesprawiedliwy, straszny osąd.

Lecz jasne włosy zniknęły, a obydwa pozostawione bez odpowiedzi pytania dźwięczą w powietrzu.

Zapisane na wodzie

Nella pędzi w dół po schodach z nowym, miniaturowym Peebo schowanym głęboko w kieszeni. Ciągle w domowych sabotach, zmierza ku drzwiom frontowym, lecz podniesione głosy Marin i Johannesa dobiegające z jadalni sprawiają, że staje jak wryta. Zastyga na chwilę, nie mogąc się zdecydować, czy pobiec za miniaturzystką, czy przysłuchiwać się awanturze między rodzeństwem.

— Mówiłeś, że popłyniesz, Johannesie, i musisz to zrobić. — Głos Marin jest niski i dziwnie ochrypnięty. — Zamówiłam barkę, która zabierze cię do portu. Cornelia spakowała ci kufer.

— Jakże to? — obrusza się Johannes. — Popłynę za parę tygodni. Mamy dość czasu.

— Jest listopad! Pomyśl, ile cukru potrzeba do ciast, ciasteczek i na przyjęcia o tej porze roku! W grudniu będzie za późno, a wilgoć w składzie nie wyjdzie cukrowi na dobre…

— A wilgoć w moich kościach, kiedy trzeba skakać z łodzi na łódź przy tej pogodzie? Nie masz pojęcia, jaka to nuda ciągle dawać w łapę, jak wyczerpują gadanie po włosku i te obiady z kardynałami, którzy nie potrafią mówić o niczym innym jak tylko o świetności swoich pałaców w Toskanii…

Marin pociąga nosem.

— Masz rację, nic o tym nie wiem. Ale summa summarum byłoby… roztropnie, gdybyś się oddalił.

— Roztropnie? A to czemu? — W głosie Johannesa słychać nutkę przekory. — Co ty znowu knujesz, kiedy mnie tu nie ma?

— To żadne knowania, Johannesie. Będę mogła pozbierać rozproszone myśli. Tak jak Petronella.

— Marin, jestem zmęczony. Mam prawie czterdzieści lat.

— To ty się uparłeś, żeby sprzedać cukier za granicą. Poza tym gdybyś raczył odwiedzić żonę w sypialni, to za piętnaście, szesnaście lat mógłbyś złożyć to wszystko na barki swego syna i na starość wysiadywać w tawernie.

— Co ty powiedziałaś? Mojego s y n a?

Nella może niemal dotknąć ciszy, która zapada między nimi — między rodzeństwem w jadalni a nią za drzwiami — bo jest jak gruba śnieżna pokrywa. Można w niej utonąć. Przyciska policzek do framugi i czeka. Czy rzeczywiście dosłyszała w głosie męża tęsknotę, czy tylko zaskoczenie? Czy Agnes miała rację tamtego wieczoru w Cechu Złotników? „To ruletka” — tak podobno brzmiała wypowiedź Johannesa na temat potomków. Skoro wszystko się może zmienić, myśli Nella, obracając w palcach schowaną w kieszeni miniaturową papużkę, to może ludzie także?

— Marin — wzdycha Johannes, wyrywając Nellę z zamyślenia jak z głębokiej zaspy. — Chciałabyś, żeby każde z nas wiodło doskonały żywot, rozrysowujesz go na mapach, które prowadzą donikąd. Za piętnaście lat przypuszczalnie nie będzie mnie już na tym świecie.

— O nie, bracie, wyraźnie widzę, do czego zmierzamy. I właśnie nad tym boleję.

— Jeśli popłynę, to muszę zabrać Ottona.

— Otto jest nam potrzebny tutaj — stwierdza Marin. — Kto nam będzie przynosił drewno na opał? Same nie damy rady, a nadciągają mrozy.

— Chcesz za mnie prowadzić interesy, a nie udźwigniesz polana? Wobec tego — prycha Johannes, nie doczekawszy się riposty — pozostaje mi tylko jeden kandydat na pomocnika.

— Nawet nie waż się myśleć o…

Nella wpada do pokoju. Widzi męża po raz pierwszy od tamtego momentu w kancelarii. Twarz Johannesa ściąga przelotny grymas bólu, gdy podnosi się z krzesła, niezdarnie szurając nim po podłodze.

— Nello — zwraca się do niej — czy ty…

— Co to? — przerywa mu Nella, wskazując w kierunku Marin, pochylonej w skupieniu nad mapą.

— Mapa Wenecji de Barbariego — odpowiada Marin, patrząc z ukosa na płatki kwiatów zatkniętych za uchem Nelli.

— Udało ci się znaleźć papużkę? — pyta Johannes.

Nella wpycha dłoń do kieszeni.

— Niestety nie.

— Aha. — Mężczyzna milknie, pocierając podbródek w zadumie i patrząc uważnie na Nellę, a potem przenosi wzrok na siostrę. — Zdecydowałem, że muszę udać się do Wenecji i tam poprowadzić negocjacje w sprawie cukru Agnes.

— Do Wenecji? — powtarza Nella. — A czy zdążysz wrócić przed Bożym Narodzeniem?

— Nie mogę tego zagwarantować.

— Ach tak. — Ku własnemu zdziwieniu Nella rozpoznaje w swoim głosie coś na kształt rozczarowania. Marin podnosi głowę.

— Uznaliśmy, że tak będzie najlepiej — komunikuje Johannes.

— Dla kogo?

— Dla cukru — odpowiada.

— Dla nas wszystkich — poprawia go Marin.

Zgodnie z zamierzeniem Marin Johannes wsiada na barkę Kompanii Wschodnioindyjskiej, czekającą przed domem. Popłynie nią do portu, gdzie wsiądzie na statek. Nella stoi na progu. Przechodzi ją dreszcz, gdy mąż niechętnie unosi rękę w jej stronę. Powtarza jego pożegnalny gest — nie macha, tylko trzyma dłoń nieruchomo w zimnym powietrzu.

— Wpięłaś kwiaty we włosy — zauważa.

Nella potakuje. Chłonie wzrokiem jego opaloną skórę, zmarszczki wokół oczu, srebrzystą szczecinę na brodzie.

— Dla ozdrowienia.

Po tych słowach Johannes wydaje się niezdolny, żeby cokolwiek powiedzieć, i w ciągu tej krótkiej, acz pojemnej chwili Nella ma wrażenie, jakby urosła, a jej godność stała się nareszcie czymś, co można wziąć do ręki.

Rezeki wypada z domu w podskokach, szczekając z żalu, że ją porzucono.

— Zabrałeś głowę na próbę? — dopytuje Marin.

— Wystarczy moje słowo — zapewnia Johannes zdławionym z emocji głosem. Kim jest ten mężczyzna, rozmyśla Nella, tak poruszony pożegnaniem ze mną?

— Czemu jej nie weźmiesz? — dopytuje Marin.

— Będzie przeszkadzać — odpowiada Johannes. — Wierzę, że się nią zaopiekujesz.

Nella modli się w duchu, żeby chodziło o psa. Marin jest tak zimna w stosunku do brata, że trudno to znieść. Może miniaturzystka przyśle mi niebawem coś, co rozjaśni obraz tej dziwnej kobiety, myśli Nella, bo miniaturka Marin zdaje się nie zawierać żadnych wskazówek. Dziś wieczorem, mówi sobie. Dziś wieczorem wybiorę się do Domu pod Słońcem.

Marin powoli wraca do środka, jakby chłód zmroził jej stawy. Cornelia przygląda się badawczo niezdecydowanym krokom swojej pani. Nella, która stoi obok Ottona, obserwuje, jak sylwetka jej męża maleje, w miarę jak łódka oddala się od Złotego Zakrętu.

— Nie chciałeś popłynąć do Wenecji? — zagaduje Ottona.

— Już tam byłem, pani — odpowiada Otto ze wzrokiem utkwionym w pienistą smugę za rufą barki jego pana. — Wystarczy raz zobaczyć Pałac Dożów.

— Tak bym chciała go zobaczyć — przyznaje Nella. — Mógł wziąć mnie z sobą.

Kątem oka dostrzega, że Cornelia i Otto wymieniają się spojrzeniami. Wszyscy troje zwracają się w stronę domu i wtedy zauważają Jacka Philipsa, który stoi przy dalszym zakolu kanału. Żołądek podchodzi Nelli do gardła. Jack trzyma ręce w kieszeniach, włosy ma potargane jak zawsze i obserwuje znikającą w oddali łódkę Johannesa z grymasem na twarzy. Otto popycha Nellę na schody, a ona wspiera się na nim, pozwala, by ją prowadził, i tylko słyszy za sobą głuchy odgłos zamykanych przez Cornelię drzwi.

*

Na dworze gęstnieją ciemności zimowego wieczoru. Niebo jest jak głęboka rzeka indygo, gwiazdy nakłuwają jej płynący nurt niczym lampiony. Nella siada przy oknie z miniaturowym Peebo na kolanach. Jack dawno zszedł ze swojego posterunku. Gdzie jest teraz Johannes? Czy popłynie jedną z tych gondoli, czy powróci do Pałacu Dożów? Naturalnie, że tak, domyśla się Nella. Inaczej nie byłby sobą.

Odwraca się do kredensu z domkiem i delikatnie umieszcza Peebo na oparciu jednego z obitych aksamitem krzeseł. „Wszystko może się zmienić”. Nella próbuje nie wyobrażać sobie prawdziwej papużki samej w taką noc, pozostawionej na pastwę jastrzębi i sów. Może miniaturzystka udzieliła jej schronienia — choć z drugiej strony skąd wzięłaby te przycięte zielone piórka? Myśl, że ta kobieta mogła wyskubywać jej pupilowi pióra i zrobić mu krzywdę, jest nie do zniesienia.

Czas się przekonać. O tej godzinie na Kalverstraat będzie strasznie zimno, myśli, narzucając opończę. Poza tym licho wie, ile czasu zajmie namawianie miniaturzystki do wyjścia z domu.

Nella wiesza złoty kluczyk przysłany przez miniaturzystkę na szyi swojej miniaturowej podobizny, którą następnie umieszcza na swoim łóżku, pod prawdziwą kapą.

— Wcale się nie boję — mówi głośno i odwraca się jeszcze raz, dostrzegając błysk kluczyka na dekolcie laleczki. A jednak nie może pozbyć się myśli, że ten drobny gest wobec swojej miniaturki to jedyna rękojmia jej bezpiecznego powrotu.

Nella jeszcze nigdy w życiu nie przebywała po zmroku poza domem. W Assendelfcie o tej porze można było spotkać co najwyżej zabłąkanego lisa włamującego się do kurnika. W Amsterdamie, jak przypuszcza, lisy przybierają bardzo odmienne formy.

Cicho otwiera drzwi i wciąga do płuc cudny zapach lawendy, rozchodzący się w korytarzu wraz z parą, od której wilgotnieje powietrze. Dom jest pogrążony w ciszy, którą zakłóca tylko odgłos chlapania dochodzący z głębi korytarza. Marin, która strzeże swoich sekretów niczym tajnej broni i nosi suknie z soboli, ale żywi się starymi śledziami, chyba bierze nocną kąpiel.

Kąpiel o każdej porze dnia czy nocy to luksus, i Nella dziwi się tej nocnej dyspensie. Nie mogąc się oprzeć pokusie, przemyka bezgłośnie na drugą stronę korytarza i zagląda przez dziurkę od klucza.

Marin jest odwrócona plecami i zasłania Nelli widok na balię, która zajmuje większość wolnej przestrzeni w jej malutkim alkierzu. Kto ją tam wstawił i napełnił po brzegi gorącą wodą? Chyba nie ona sama? Siostra Johannesa nie jest taka szczupła, jak się Nelli wydawało. Od tyłu jej uda i pośladki, zazwyczaj ukryte pod spódnicami, wyglądają na pulchniejsze. Stroje Marin więcej mówią światu, kim chce być, niż ona sama.

Lecz rozebrana Marin to inna istota — o bladej skórze i długich kończynach. Gdy pochyla się, by sprawdzić temperaturę wody, Nella zauważa, że jej szwagierka wcale nie ma małego biustu. Widocznie krępuje go najbardziej bezlitosnymi gorsetami. Jej piersi są pełniejsze i krąglejsze, jakby należały do kogoś innego. To, że ciało należy jednak do Marin, przejmuje Nellę dziwnym niepokojem.

Marin wkłada do miedzianej balii jedną nogę, potem drugą i osuwa się do pozycji leżącej powoli, jakby odczuwała ból. Odchyla głowę do tyłu, przymyka oczy i zanurza się pod wodą. Pozostaje w tej pozycji przez kilka sekund, kopiąc widocznie nogą o boczną ścianę balii, zanim wynurzy głowę, by nabrać powietrza. Ususzone pączki lawendy ślizgają się po

powierzchni wody, uwalniając zapach, a Marin szoruje swoje ciało, aż różowieje jej skóra.

Wilgotne loki na karku szwagierki wyglądają dziewczęco, nadspodziewanie delikatnie. Przed nią, na regale, obok książek i zwierzęcych czaszek, Nella dostrzega miseczkę karmelizowanych orzechów, połyskujących w blasku świec jak klejnoty. Nie pamięta, aby Marin choć raz zjadła publicznie racucha, wafel albo słodką bułeczkę — nic z tych rzeczy, z wyjątkiem cukru od Agnes, który ledwie przełknęła. Czy Marin wykradła je z kuchni, czy może Cornelia została wtajemniczona w te sekretne zachcianki swojej pani?

To takie do ciebie podobne, Marin, myśli Nella, ukrywać w pokoju orzechy smażone w cukrze, a mnie krytykować za to, że lubię marcepan. Cukier i śledzie — te dwie rzeczy to doskonałe podsumowanie tkwiących w niej irytujących sprzeczności.

— Coś ty zrobiła? — rzuca Marin znienacka w przestrzeń. — Coś ty, do licha, zrobiła?

Marin zdaje się czekać, wpatrując się w pustkę, skąd nie dochodzi żadna odpowiedź. Nella nieruchomieje przy dziurce od klucza, bojąc się, że zdradzi ją szelest opończy. Po chwili Marin z pewnym trudem dźwiga się z balii i powoli wyciera najpierw jedną nogę, potem drugą, ręce. Jak na kogoś, kto je jak ptaszek i ogłasza światu, że odmawia sobie słodyczy, wygląda na dobrze odżywioną. Przywdziewa długą lnianą halkę i siada na łóżku na lewo od balii, przebiegając wzrokiem po grzbietach swoich książek.

Nella nie może oderwać od niej oczu. Gdzie się podziały nienaganne spódnice szwagierki, jej czarne bawety, białe półaureole opasek na głowę? Teraz Nella już wie, co kryje się pod spodem, widzi nagą skórę. Marin wyciąga rękę i wyjmuje z jednej z książek skrawek papieru. To liścik miłosny, Nella nie ma wątpliwości — Marin zaczyna rwać go na drobne kawałki, aż zostają z niego tylko białe płatki unoszące się na powierzchni wody. Potem kryje twarz w dłoniach i zaczyna płakać.

Widząc ją w takim stanie, powinnam poczuć się silna, myśli Nella, podczas gdy szloch Marin dźwięczy jej w uszach. A jednak nawet teraz mi się wymyka. Marin, tak samo jak jej ideał miłości, najlepiej próbować złapać w biegu, ścigać ją — bo przyłapana tak jak teraz, staje się jeszcze bardziej nieuchwytna. Ciekawe, jakie by to było uczucie, zdobyć jej

zaufanie — namówić ją, by podzieliła się swoim bólem, i pomóc jej go uśmierzyć.

Nella odwraca się od drzwi w przypływie nagłego smutku. To się nigdy nie stanie. Intymność tej chwili pulsuje w niej, zniechęca do wyjścia na zewnątrz, w ciemność i chłód. Robi się senna. Jutro, obiecuje sobie. Na razie tylko wyjmie spod kapy swoją malutką podobiznę przystrojoną złotym kluczykiem i schowa z powrotem do kredensu miniaturzystki.

Gdy owija się ciaśniej opończą i śpieszy w stronę swojego pokoju, u szczytu schodów przesuwa się cień. Podeszwa stopy z uniesioną piętą znika na powrót w mroku.

Chłopak na lodzie

Na powierzchnię Herengracht wypłynęły zwłoki mężczyzny bez rąk i nóg — tylko korpus i głowa. Robotnicy skuwają lód, żeby je wyłowić, a Marin ich obserwuje, ukryta za frontowymi drzwiami. Kanał przez cały rok służy jako wysypisko, a gdy z nadejściem mrozów zamarza, przeszłe uczynki stają się jawne dla reszty miasta. Johannesa nie ma już drugi tydzień, woda zamarza coraz głębiej i wyłaniają się bardziej prozaiczne rzeczy: połamane meble, nocniki, dziesięć biednych związanych razem kociąt. Nella roi sobie, że ogrzewa je i patrzy, jak wracają do życia, a ich męczarnie okazują się złym snem, niczym więcej. Kiedy straże niosą trupa jak odcięty udziec, Marin domyśla się, że to morderstwo pozostanie niewyjaśnione.

— Zrobiono to w ciemnościach, by tam pozostał — stwierdza. Nella niemal czuje zapach lawendy z kąpieli Marin. Szwagierka wydaje się rozkojarzona: często wygląda przez okna, snuje się po pokojach.

Sama w swojej sypialni, opatulona dwoma szalami, Nella bierze do rąk miniaturowego Jacka Philipsa. Teraz kiedy Johannesa nie ma, wydaje się to łatwiejsze. Jack ma w sobie tę jedyną w swoim rodzaju gibkość, a jego skórzany płaszcz jest pięknie skrojony. Nella pociąga go za włosy, zastanawiając się, czy prawdziwy Jack, gdziekolwiek jest, czuje teraz ból. Wydaje się to możliwe. Mam nadzieję, że rzeczywiście go to boli, myśli Nella. Raptem przenika ją poczucie siły, a wraz z nim pragnienie niszczenia. Nie poddaje mu się wszakże, tylko nagle tym rozradowana odstawia Jacka z powrotem na szczyt kredensu, gdzie figurka przechyla się na bok.

Na dworze sprytne łobuziaki z ulicy ślizgają się na łyżwach po zamarzniętym kanale — ich lekkie ciała nie zagrażają świeżej pokrywie lodu. Przypominają Nelli Carela, jak śmigał i sunął po lodzie, piejąc z radości. Otwiera drzwi frontowe i słyszy, jak nawołują się nawzajem — Christoffel! Daniel! Pieter! Wychodzi na dwór, odruchowo wypatrując na niebie śladu ukochanych zielonych piórek, ale nic tam nie ma.

Jednym z łyżwiarzy jest niewidomy chłopiec, który w dniu przyjazdu Nelli okradł handlarkę śledzi. Koledzy wołają na niego Bert. Chłopak wygląda na niedożywionego, ale i tak wydaje się szczerze cieszyć chwilą

wytchnienia od swojego kalectwa, gdy mknie na łyżwach między przyjaciółmi. Nella zauważa ze zdziwieniem, że ślizga się tak samo szybko jak pozostali — z jedną ręką wyciągniętą na bok, przygotowany na ewentualny upadek. Chłopak oddala się na swoich łyżwach po nieskończonym, zamarzniętym promieniu światła.

Za każdym razem, kiedy Nella planuje wybrać się na Kalverstraat, Marin znajduje jej jakieś zajęcie. Od czasu dostarczenia laleczek i miniaturowego Peebo nie pojawiło się nic nowego i dziewczyna dostrzega u siebie zniecierpliwienie. Kiedy nastaje grudzień, a Johannesa nie ma już dwa tygodnie, Nella oświadcza, że musi wyjść, by kupić prezenty świąteczne dla swojej rodziny. Wstępuje do różnych sklepów i wybiera mediolańską szpicrutę dla Carela oraz porcelanowy wazon na tulipany dla matki — jako potwierdzenie bajeczki o żonie wziętego kupca. Ale na ulicy piekarzy, gdzie poszła z Cornelią w poszukiwaniu najsmaczniejszych pierniczków dla siostry, nie przestaje rozglądać się za kobietą o bladozłotych włosach i chłodnym, czujnym spojrzeniu. Niemal chciałaby być śledzona — żeby poczuć, że naprawdę żyje.

Chce pójść na Kalverstraat, lecz w końcu za sprawą Cornelii lądują w cukierni Arnouda Maakvredego, bo przecież Arabella zasługuje na najlepsze wypieki w Amsterdamie.

— Zakazali pierników — informuje Hanna z ponurą miną. — Przynajmniej tych w kształcie ludzi. Arnoud był taki wściekły, że myślałam, że zniesie jajko… Musieliśmy pokruszyć całe rodziny i sprzedać je po niższej cenie.

— Jak to? Dlaczego?

— Burmistrzowie — odpowiada, jakby to wszystko wyjaśniało. Cornelię przechodzi dreszcz.

Arnoud potwierdza, że istotnie zabroniono wytwarzania czegokolwiek, co przypomina kształtem kobiety, mężczyzn, chłopców albo dziewczynki, a zakaz objął też stragany sprzedawców lalek na Vijzeldam. Mówi, że ma to jakiś związek z katolikami. Fałszywe idole, prymat tego, co niewidzialne, nad tym, co namacalne.

— Kukiełki to dziwne rzeczy — prycha Cornelia.

— Co nie znaczy, że Kościół ma rację — kontynuuje Arnoud. — Pomyślcie tylko o kosztach. Musieliśmy pokruszyć całe familie.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak zacząć je robić w kształcie psów — mówi Hanna, przedsiębiorcza jak zawsze.

Zamiast pierniczków Nella kupuje Arabelli księgę z rycinami owadów. Domyśla się, że siostra wolałaby pyszne ciasteczka od Arnouda, ale lepiej, żeby dostała książkę i trochę się dokształciła. W sierpniu nic podobnego nie przeszłoby ci przez myśl, mówi do siebie. Czuje się odmieniona, jakby uległa jakiemuś czarowi, jakby połknęła przynętę.

W domu Marin mierzy szpicrutę wzrokiem.

— Ile za to zapłaciłaś? Przecież Carel to jeszcze dziecko.

— Tak samo postąpił Johannes, kiedy podarował mi domek — zwraca uwagę Nella, upojona swoimi zakupami, przekonana o swojej sile i bogactwie. — Ja tylko idę w jego ślady.

W trzecim tygodniu nieobecności Johannesa sople zwisają z każdej framugi drzwi, parapetu, nawet z pajęczyn w ogrodzie, jak delikatne kryształowe igiełki. Wszyscy czworo budzą się przemarznięci i kładą do łóżek, dygocząc z zimna. Nella tęskni za wiosną, kwiatami, zapachem świeżo zaoranej ziemi, nowo narodzonymi zwierzętami, cierpką, oleistą wonią jagnięcej wełny. Wyczekuje przy drzwiach na jakąś przesyłkę od miniaturzystki, ale nic nie przychodzi. Przypomina sobie uwagę Hanny o burmistrzach i zakazie obdarowywania się w Boże Narodzenie lalkami i zastanawia się, czy jeszcze kiedykolwiek dostanie coś od tajemniczej artystki.

W swoim pokoju zastaje Marin z rękami w domku dla lalek. Oburzona Nella podbiega do niej i usiłuje zaciągnąć kotarę.

— Nie pytałaś, czy możesz wejść!

— Owszem, nie pytałam — odpowiada Marin. — Byłam ciekawa, jakie to uczucie. — Trzyma coś w dłoni i wydaje się poruszona. — Petronello, czy mówiłaś komuś o nas?

Boże, proszę Cię, myśli Nella. Nie pozwól jej znaleźć swojej podobizny. Marin otwiera dłoń, na której leży Jack Philips, tak piękny jak na żywo.

— Co ty próbujesz z nami zrobić?

— Marin…

— To, że podobają ci się meble i psy, jestem jeszcze jakoś w stanie zrozumieć. Ale lalka w kształcie J a c k a P h i l i p s a?

Ku jej zdumieniu Marin jednym szarpnięciem otwiera okno i wyrzuca przez nie Jacka. Nella podbiega do okna i patrzy, jak koziołkuje w powietrzu. Ląduje na samym środku zamarzniętego kanału, bezwładny i opuszczony wśród ogromu bieli. Nellę przechodzi dreszcz.

— Nie powinnaś była tego robić, Marin — wykrztusza z siebie. — Naprawdę.

— Nie igraj z ogniem, Petronello — rzuca oschle Marin.

To samo mogłabym powiedzieć tobie, myśli Nella, spoglądając rozżalona na osamotnioną laleczkę.

— To mój domek, nie twój! — woła, gdy Marin zamyka za sobą drzwi.

Jack zostaje na zewnątrz, na lodzie. Nella próbuje zachęcić Rezeki, żeby przyniosła lalkę w pysku, ale pies warczy i ucieka ze zjeżoną sierścią. Nella sama by weszła na zamarznięty kanał, ale nie jest tak lekka jak Bert i jego koledzy, a ich nie może o to poprosić, bo się rozbiegli. Wyobraża sobie, jak lód pod nią pęka, a ona tonie, a wszystko dlatego, że chciała ratować lalkę — wiedziona jakimś niezrozumiałym przymusem chronienia jej. Czuje, że powinna trzymać Jacka w pobliżu domku, mieć go na oku, bo tak będzie najbezpieczniej. Wraca niechętnie do domu, przeklinając w duchu Marin.

Tej nocy zapada w niespokojny sen, słowa z podartego przez Marin liściku miłosnego kołaczą się jej w głowie. Wypowiada je Jack, jego angielski akcent rozcina słowa jak łódka na wzburzonych falach. „Jakbym stał w blasku słońca, które grzeje. Kocham Cię z każdej strony… Tysiące godzin”. Jack biegnie korytarzami umysłu Nelli, mokry od lodu, z jedną ze zwierzęcych czaszek Marin na kędzierzawej głowie. Nella budzi się gwałtownie, sen był tak realistyczny, że wydaje się jej, że Jack stoi w rogu sypialni.

Nazajutrz jest szósty grudnia, Dzień Świętego Mikołaja. Gdy Nella rozsuwa zasłony i spogląda przez okno, oddech więźnie jej w gardle. Figurka Jacka siedzi pod drzwiami oparta o futrynę, ogarnięta mroźnym światłem poranka.

Buntowniczka

Kiedy Nella wymyka się na dwór, żeby zabrać z progu zamarzniętą laleczkę, ulica wciąż jeszcze świeci pustkami, a nad lodem unoszą się pasma mgły jak kłęby wydychanej pary.

— Gdzie są wszyscy? — pyta przy śniadaniu, z figurką Jacka w kieszeni. Marin bez słowa delikatnie sprawia śledzia.

— Burmistrzowie znowu dopięli swego — oznajmia posępnie Otto, wnosząc deskę z herenbrood i grubym żółtym krążkiem goudy dla Nelli. Jego skargi na biurokrację kraju brzmią niemal czule. Całkiem jak Johannesa.

Marin odkłada śledzia i miesza kompot w misce — opuszki jej palców zaciśniętych na chochli są sine. Miesza i miesza, wpatrując się w lśniący miąższ macerujących się śliwek.

— Ogłoszono publicznie, że lalki i kukiełki są zabronione — mówi. Nella czuje na nodze wyziębioną figurkę Jacka; zakazany przedmiot robi ciemne, wilgotne koło na wełnie. — Papizm — ciągnie Marin. — Bałwochwalstwo. Haniebna próba wykradzenia ludzkiej duszy.

— Mówisz, jakbyś się ich bała — zauważa Nella. — Prawie jakbyś myślała, że mogą ożyć.

— Właściwie nigdy nie wiadomo — stwierdza Cornelia. Podobnie jak dwie pozostałe kobiety jest opatulona kilkoma warstwami ubrań i zakutana ciasno w swoje chusty z Haarlemu.

— Nie bądź śmieszna — burczy Marin.

Nella wyobraża sobie drobinki cukru przyklejone jak płatki śniegu w kąciku poważnych ust szwagierki, gdy szlocha w następnej kąpieli. Nosząc swoje ukryte futra, racząc się tajnym zapasikiem orzechów w cukrze, chroniąc swego bezbożnego brata, Marin żyje w dwóch światach. Czy jej nieśmiertelna, publicznie okazywana przyzwoitość jest naprawdę bojaźnią bożą, czy może raczej lękiem przed samą sobą? Co kryje się w głębi tego pilnie strzeżonego serca?

Lodowaty wiatr gwiżdże w szczelinach ścian jadalni. Dom istotnie wydaje się bardziej wyziębiony niż zwykle — jakby nocne powietrze napłynęło do środka i już tam zostało.

— Pali się w kominkach — odzywa się Nella — a w ogóle nie czuć różnicy. Zauważyliście?

— Kończą nam się zapasy drewna, to dlatego — mówi Otto.

— Nie zaszkodzi nam, jeśli doświadczymy chłodu — orzeka Marin.

— Tylko czy „doświadczać” zawsze musi znaczyć „cierpieć”, Marin? — pyta Nella.

Wszystkie oczy kierują się na Marin.

— W cierpieniu odnajdujemy swoje najprawdziwsze „ja” — mówi.

Nella schodzi za Cornelią do cieplejszej kuchni dla służby, ciągle z Jackiem w kieszeni. Służąca postukuje słojem z kompotem śliwkowym i potrząsa wałkiem, którym wkrótce zaatakuje ciasto na placek. Otto także zszedł na dół i teraz bierze szmatkę do glansowania batalionu wiosennych trzewików Johannesa, ustawionych w szeregu pod drzwiami kuchni.

— Otto, gwizdniesz trochę torfu ze stryszku? Pani Marin nie zauważy. — Otto kiwa głową z roztargnieniem. — Ona kocha swoje wyrzeczenia, ale my jesteśmy biesiadnikami do szpiku kości! — zauważa Cornelia. — Założę się o wszystkie swoje garnki, że za zamkniętymi drzwiami damy chrupią piernikowych panów, nie bacząc na to, co mówią burmistrzowie.

— A mężowie kosztują podobizn żon — dodaje Nella. Jej żart jest ciężki, zawisa w powietrzu niestrawiony, podobnie jak i całe to gadanie o żonach, o jadalnych mężczyznach, których można trzymać w dłoni. Nella, której nikt nie skosztuje, rumieni się ze wstydu. Próbuje dodać sobie otuchy, snując wizje weselszych scen za drzwiami innych domów, świętowania w domowym zaciszu — wyobraża sobie pokoje udekorowane papierowymi łańcuchami i jedliną, bułeczki prosto z pieca, śmiech i kandeel z cynamonem. To dzieje się dziś w całym mieście, bo to Dzień Świętego Mikołaja, patrona dzieci i żeglarzy, obchodzony z rozmachem ukrytej przekory. *Sinterklaas*, Święty Mikołaj, należy do nich. Tak samo jak ich obżarstwo, tak jak ich grzech.

Trudno w taki dzień wyobrazić sobie Trzech Mędrców zdążających przez rozgrzaną pustynię, by złożyć pokłon mającemu się narodzić Chrystusowi. Nella chciałaby otworzyć na oścież drzwi i okna, wpuścić ducha objawienia. Otwarte okno pomogłoby zachować otwarty umysł.

— Niebawem Boże Narodzenie — cieszy się Cornelia. — A po nim… T r z e c h K r ó l i. — W jej głosie słychać nutkę błogości.

— Co jest takiego szczególnego w Trzech Królach?

— Pan pozwala Tootowi i mnie wystroić się jak jaśniepaństwo i jeść z nim przy jednym stole. Żadnych posług, jak dzień długi. Rzecz jasna, i tak muszę gotować — dodaje. — Pani Marin nie pozwala, żeby aż do tego doszło.

— Naturalnie.

— Zrobię też królewski placek — dodaje Cornelia. — Ukryję w cieście monetę. Ten, komu się trafi, przez cały dzień będzie królem.

Otto wybucha śmiechem, w którym pobrzmiewa dziwna gorycz. To takie do niego niepodobne, że Nella aż odwraca głowę, a gdy na niego patrzy, on unika jej wzroku.

— Przyszło coś do ciebie — oznajmia Marin, schodząc w dół do kuchni.

Nelli serce aż podskakuje na myśl, że to przesyłka od miniaturzystki, ale na widok charakteru pisma ogarnia ją melancholia, zanim jeszcze otworzy list. To niewprawne kulfony matki, która zaprasza córkę i zięcia na święta do Assendelftu. „Carel za Tobą tęskni”. Pętelki i kreski boleśnie przypominają o życiu, które dla Nelli już nie istnieje.

— Pojedziesz? — zwraca się do niej Marin.

Błagalna nuta w jej głosie zaskakuje Nellę. Coś się w Marin zmieniło w ciągu ostatnich trzech tygodni, między jednym a drugim napadem złego humoru ujawnia się jej nowa wrażliwość. Chyba naprawdę chce, żebym została, myśli Nella — poza tym czy zdobyłabym się na powrót w sukni z bengalskiego jedwabiu na płaskim brzuchu, bez rosnącego w środku powodu do dumy, gdy moje małżeństwo to niewiele warte zwycięstwo? Johannes zapewne bez większych zgrzytów odegrałby rolę miłującego męża. Gdy trzeba zachować zimną krew, nie brak mu pewności siebie. Ona za to od razu traci głowę. Chyba oszaleje, jak tylko zobaczy pełną nadziei twarz matki.

— Nie — odpowiada. — Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli zostanę tutaj. Prześlę podarki, które kupiłam. Wybierzemy się w przyszłym roku.

— Wyprawimy coś w rodzaju uczty — podsuwa Marin.

— A śledzi nie będzie ?

— Ani jednego.

Dwie obietnice przefruwają między kobietami jak para ciem, wypełniając powietrze nowym rodzajem energii.

Nella z mieszanymi uczuciami przywraca Jacka na dawne miejsce w domku dla lalek. Ciągle się jej wydaje, że lepiej trzymać go tutaj, mieć na

oku, choć jego obecność nie przestaje być denerwująca. Tego wieczoru pod okna podchodzą jacyś uliczni grajkowie, za pieniądze gotowi zaryzykować śpiewanie na zewnątrz, i Nella wychyla się przez okno w korytarzu, żeby posłuchać ich cichej muzyki. Otto i Cornelia kręcą się w pobliżu, jednocześnie spragnieni widoku muzykantów i przerażeni tym, co powiedziałaby na to Marin.

— Może przyjść straż Bractwa Świętego Jerzego — mówi Cornelia. — Powinnaś zobaczyć ich szable, pani. Patrolują miasto niby dla utrzymania porządku, ale bywa, że leje się krew.

— Rozbijają ludziom skrzypce? Muszę to zobaczyć — stwierdza Nella oschle.

Cornelia się śmieje.

— Mówisz jak jaśnie pan.

Marin mówi Nelli, aby zamknęła okno i zaciągnęła zasłony.

— Ludzie zobaczą, jak wychylasz się z okna jak praczka… albo jeszcze co gorszego — syczy, gdy Cornelia oddala się chyłkiem. Marin chodzi nerwowo po nieoświetlonej sieni, za plecami Nelli, ale ona nie przestaje słuchać muzyków, podobnie jak Otto, stojący nieco dalej. Melodia fletu przyspiesza, a dobosz wybija na naprężonej świńskiej skórze mocny, natarczywy rytm, który odpowiada uderzeniom serca Nelli. Otto co prawda mówi, że lepiej nie trącać pszczelego ula, ale Nella tłumaczy sobie, że zawsze zostanie w niej coś z wiejskiej dziewczyny. Myśli o Jacku na piętrze — wszyscy oni, zamknięci w miniaturowych izdebkach, na coś czekają. Nie, decyduje Nella. Nie boję się niczego, co ma żądło.

Lis wpada w gorączkę

Nazajutrz rano, pokrzepiona swoim muzycznym buntem oraz decyzją o pozostaniu na święta w Amsterdamie, Nella planuje wybrać się na Kalverstraat z najdłuższym jak dotąd listem do miniaturzystki.

„Wielmożna Pani (wiem, że jesteś Panią — masz rozmownych sąsiadów)!

Pragnę podziękować za osiem laleczek, a także miniaturkę mojej papużki. Jestem pewna, że to Ty obserwowałaś moją rozpacz z mostu na Herengracht, gdy dotarło do mnie, że oto utraciłam ostatnią żywą więź z dzieciństwem. Czy miniaturka mojej papużki to pociecha, czy może surowa lekcja?

Czy wiesz, Pani, czego dopuścił się Twój chłopiec na posyłki, jakiego stał się sprawcą nieszczęścia? Śmiem przypuszczać, że to Ty położyłaś figurkę Anglika z powrotem pod naszymi drzwiami — czy jesteś dumną wytwórczynią, czy dokucznicą, nie umiem ocenić. Przykro mi, że Twoje wspaniałe dzieło ciśnięto na lód, lecz Twe zamiary pozostają tajemnicą i niektórym puszczają nerwy.

Doszły mnie słuchy, że burmistrzowie starają się zakazać wykonywania podobizn ludzi we wszelkich formach. Ciekawa jestem, czy boisz się ich gniewu — z tymi światami, które stwarzasz, z tymi maleńkimi figurkami, które wkradły się do mojej głowy i ani myślą ją opuścić. Od jakiegoś czasu niczego mi nie przesłałaś i choć rzeczywiście martwię się, co jeszcze możesz mi podarować, to bardziej niepokoi mnie, że mogłabyś tego w ogóle zaprzestać.

Mniemam, że nadal mogę u Ciebie zamawiać przedmioty. Przeto zrób dla mnie łaskawie planszę do *verkeerspel* — mej ulubionej gry strategii i przypadku. Nie wracam do rodzinnego domu na święta, a w moim życiu brakuje takich rozrywek. Racz mnie zatem zadowolić miniaturową wersją.

Pewnego dnia się spotkamy, Ty, Pani, i ja. Nalegam na to. Jestem pewna, że do tego dojdzie. Czuję, że mnie prowadzisz, jasna gwiazdo, lecz moją nadzieję mąci strach, że Twoje światło może nie być dobroczynne. Nie spocznę, póki nie dowiem się o Tobie więcej, tymczasem jednak niech te listy zastępują głębszą znajomość.

W załączeniu przesyłam kolejny weksel, na pięćset guldenów. Niech będzie on oliwą na oporne zawiasy drzwi Twego domu.

Z podziękowaniami i nadzieją…”

Nella podpisuje list: „Petronella Brandt”.

Wygląda przez okno, by się zachwycić białą połacią lodu. Miasto pokryte szronem jest piękne, powietrze rozrzedzone, cegły bardziej czerwone, a szyby w malowanych framugach wyglądają jak niewinne oczy. Ku swemu zdumieniu dostrzega na ścieżce wzdłuż kanału śpieszącego dokądś Ottona. Zaciekawiona, nie zaprząta sobie głowy śniadaniem i wymykając się z domu bez płaszcza, rusza za nim.

Otto przecina plac Dam, mijając wyniosły nowy gmach Stadhuis, ratusza miejskiego, gdzie zatrudniony jest Frans Meermans i gdzie być może właśnie teraz pracuje. Sprzedaj cukier jego żony, Johannesie, myśli Nella, posyłając mężowi milczący komunikat, gdy biegnie po piasku, którym posypano bruk, by ułatwić ludziom przejście. Znowu przypomina sobie Marin w kąpieli, rzucającą w przestrzeń pytanie: „Coś ty zrobiła?”. Byłoby lepiej, gdyby Meermansowie w ogóle nie pojawili się w ich życiu.

Po tym, jak minął Dzień Świętego Mikołaja, którego obchodzenie zostało ustawowo zabronione, mieszkańcy Amsterdamu wydają się znowu korzystać z życia. Słońce stoi wysoko, dzwony Starego Kościoła biją wśród skrzących się dachów, a ich muzyka brzmi wspaniale. Dźwięki czterech dzwonów wysoko wzbijają się pod niebo, ogłaszając zbliżające się narodziny Dzieciątka, a jeden, o niższym tonie — Boży głos, głęboki, prawdziwy i przeciągły — niesie się pod zgiełkiem tamtych. Jakaś muzyka jednak może grać głośno, w imię powszechnego posłuszeństwa.

W powietrzu rozchodzi się zapach duszonego mięsa. Otto mija stragan z grzanym korzennym winem, rozstawiony buńczucznie przed samym wejściem do kościoła. Pastor Pellicorne przepędza winiarzy, podczas gdy amsterdamczycy spoglądają tęsknie na stół na krzyżakach, uginający się od ciężaru waz z ich ulubionym napitkiem.

— Patrzcie go! Bardziej spięty niż świński tyłek — mruczy ktoś. — Gildia to urządziła, burmistrzowie dali zgodę.

— Pierwej Bóg, potem gildie, przyjacielu — odpowiada jego towarzysz, udając solenny ton.

— Tak by chciał Pellicorne, żeby się nam wydawało.

— Głowa do góry. Patrz — mówi drugi, odsłaniając ukryte pod płaszczem dwa nieduże dzbanki parującego czerwonego płynu. — I to z kawałkiem pomarańczy!

Oddalają się czym prędzej w bardziej ustronne miejsce, a Nella cieszy się, że uszło im to na sucho, a jeszcze bardziej, że nie zatrzymali się, by pogapić się na Ottona. Gdy pada na nią wzrok Pellicorne’a, udaje, że go nie zauważyła.

Otto wchodzi do Starego Kościoła z pochyloną głową. Nella drży, wstępując do środka, gdyż w świątyni jest jakby zimniej niż na zewnątrz. Choć przyszła tutaj za Ottonem, mimowolnie rozgląda się za blond włosami, za złotym punktem w buro-białym wnętrzu. Poklepuje list schowany w kieszeni. Czy w tym świątecznym czasie miniaturzystka nie mogłaby tu znowu przyjść — by powspominać swoją rodzinę w Norwegii, by modlić się o łaskawość burmistrzów? Wyobraźnia Nelli zaczyna snuć różne nici i wyszywać nimi rozmowy, których fragmenty pofastrygowała. Kim jesteś, dlaczego jesteś, czego chcesz? Problem w tym, że gdy Nella chce do niej podejść, ona momentalnie znika. A mimo to pojawia się często, patrzy i czeka. Nella zastanawia się, która z nich jest myśliwym, a która zwierzyną łowną.

Nie odrywa wzroku od Ottona. Krzesła otaczające ambonę są przeważnie puste, gdzieniegdzie tylko widać pojedyncze osoby, które zapewne nie mają dokąd pójść. Zwykle, rzecz jasna, nabożeństwa gromadzą wspólnotę, ludzie dokładają starań, by inni widzieli ich na modlitwie, jakby dodawało to mocy ich pobożności. Otto siada, a Nella — której chłopak nie widzi — okrąża go i przygląda mu się zza filara.

Jego wargi poruszają się gorączkowo. To nie jest pogodna modlitwa, ale żarliwa, zapamiętała. To zdumiewające, że przyszedł tu sam — skąd u niego potrzeba pokazania się w domu Bożym, zważywszy na to, kim jest i co może się zdarzyć? Nella widzi, jak Otto załamuje ręce, a jego ciało wyraża trwogę. Coś jednak powstrzymuje ją przed podejściem do niego. Byłoby nie w porządku przerywać komuś w takim stanie.

Nella drży z zimna, a jej spojrzenie błądzi po krzesłach, wzdłuż białych ścian, wędruje aż do sklepienia pokrytego starymi katolickimi malowidłami. Tak bardzo pragnie zobaczyć miniaturzystkę. Może ukrywa się tu właśnie teraz, obserwując ich oboje?

Za jej plecami odzywają się organy, ich dudnienie wstrząsa nią do żywego. Nella nie przepada za grzmiącymi organami, woli subtelniejszy

dźwięk lutni albo piskliwy, beztroski flet. Kot, który przyszedł szukać ochrony przed zimnem, przemyka po nagrobkach z nastroszoną sierścią. Jego ruch sprawia, że Otto podnosi głowę, a Nella chowa się z powrotem za filar. Zatyka uszy przed hukiem organów i przymyka oczy, ogarnia ją oszołomienie.

Czyjaś dłoń dotyka jej rękawa. Nella zaciska powieki jeszcze mocniej, nie ma odwagi spojrzeć. Oto chwila, na którą czekała — to ta kobieta, nareszcie przyszła.

— Pani Brandt — słyszy czyjś głos.

Dziewczyna otwiera oczy. Stoi przed nią Agnes Meermans, chudsza niż ostatnim razem, kiedy Nella ją widziała. Jej pospolita twarz wydłużyła się i połyskuje blado pośród króliczego i lisiego futra, którymi jest otulona. Nie puszcza rękawa Nelli.

— Pani Brandt? — powtarza. — Czy wszystko dobrze? Nie włożyłaś nawet płaszcza. Przez chwilę myślałam, że zstąpił na ciebie Duch Święty!

— Pani Meermans. Przyszłam… się pomodlić.

Agnes bierze Nellę pod rękę, narzucając na nią jeden ze swoich szali.

— A nie po to, by popilnować swojego dzikusa? — szepcze, wskazując ruchem ręki za filar, gdzie siedzi Otto. — Bardzo mądrze. Ostrożności nigdy za wiele, Nello. Co z nim, że wygląda na tak strapionego? — Agnes się śmieje, znowu słychać to jej oschłe „ha ha”. — No chodź — ponagla i owija teraz Nellę jednym ze swoich lisów, trochę za ciasno. Zapach owocowej pomady znowu uderza Nellę w nozdrza. Futrzany kołnierz jest zimny i wilgotny.

— Ostatnio nie widujemy Marin zbyt często w kościele — zauważa Agnes, poprawiając jej okrycie. Sprawia wrażenie, jakby nie mogła uspokoić palców, a Nella dostrzega, jak nagie są tym razem, pozbawione pierścieni. Agnes wydaje się przez to na wpół obnażona. Organy milkną znienacka, a pani Meermans wygląda nieswojo, jakby pod jej pilnie strzeżoną fasadą coś pękło. — Brandta też nie — ciągnie. — Ani ciebie, pani.

— Mój mąż jest w podróży.

Agnes drgają nozdrza.

— W podróży? Frans nic mi nie wspominał.

— Może nie wiedział. Z tego, co mi wiadomo, pracuje na waszą rzecz, pani. Popłynął do Wenecji. — Próbuje wyrwać się Agnes. — Muszę wracać, pani Meermans. Marin nie czuje się dobrze.

Chociaż marzy o ucieczce, natychmiast żałuje swojej wymówki. Agnes otwiera szeroko oczy.

— Dlaczego? Co jej dolega?

— Zimowa niedyspozycja.

— Ale Marin nigdy nie choruje — dziwi się Agnes. — Mogłabym wysłać do was mojego medyka, ale Marin nie ma do nich zaufania.

Organy odzywają się znowu, dźwięki następują po sobie w sposób, który w uszach Nelli brzmi jak łoskot, przeciwieństwo harmonii.

— Dojdzie do siebie, pani. O tej porze roku łatwo o przeziębienie.

Agnes ponownie kładzie dłoń na rękawie Nelli.

— Powiesz to Marin. Cały mój spadek ciągle zalega w jego składzie na Wschodnich Wyspach. — Agnes prawie syczy. — Uprawa trzciny cukrowej jest nieprzewidywalna, pani. Kto wie, kiedy możemy się spodziewać następnych zbiorów. Twój mąż nie sprzedał ani głowy z tego, co zdołaliśmy wyprodukować. A teraz zdaje się, że popłynął do Wenecji z p u s t y m i r ę k a m i! Nam potrzebne są pieniądze.

— Wyekspediuje cukier niebawem, jestem pewna. Jego słowo wystarczy…

— Frans zaszedł do składu i widział to na własne oczy. Nie mogłam wyjść ze zdumienia, gdy mi o tym powiedział. Jest tego pod sam strop! Agnes, powiedział do mnie, niedługo to zawilgotnieje, a nasze pieniądze zgniją, zanim w ogóle trafią w nasze ręce.

Nella wyczuwa narastające wzburzenie rozmówczyni, a dźwięki organów wibrują jej w piersi. Zagląda za filar, szukając wzrokiem Ottona, ale nigdzie go nie ma.

— Zapewniam cię, pani…

— Mój mąż nie znosi, kiedy traktuje się go jak głupca — warczy Agnes. — Miał wątpliwości, czy Johannes Brandt to właściwy człowiek do tego zadania, ale ja nalegałam. Brandtom się zdaje, że mogą mieć wszystko, a to bzdura. Nie śmiej się z niego, pani. Ani ze mnie.

Agnes puszcza ją równie niespodziewanie, jak ją złapała, a Nella patrzy, jak śpieszy wzdłuż nawy kościoła, zgarbiona i dziwnie pozbawiona wdzięku. Otwiera małe boczne drzwi i znika.

Nella postanawia, że najlepiej będzie wrócić do domu i opowiedzieć Marin o tej niepokojącej rozmowie. Miniaturzystka kolejny raz schodzi na dalszy plan, nieodwiedzona. Każę Cornelii przekazać mój list, myśli. Ciągle kręci

jej się w głowie od gniewu Agnes. Opuszcza kościół i kieruje się z powrotem w stronę Herengracht.

Gdy w pośpiechu dociera do domu, by opowiedzieć o wszystkim Marin, orientuje się, że coś jest nie tak. Drzwi frontowe są otwarte na oścież, a ze środka zieje przepaść nieoświetlonego holu. Dobiega stamtąd szczekanie psów, ale nie słychać żadnych ludzkich głosów. Nella zatrzymuje się, a potem bezszelestnie wchodzi po schodach i staje przy drzwiach.

Najpierw dostrzega jego buty. Najdelikatniejsza skórka cielęca, teraz już lekko starta z wierzchu. Na ich widok robi jej się niedobrze. Zdjęta zgrozą, patrzy, jak Jack Philips, rozgorączkowany, z wypisaną na twarzy złością, przemierza wykładany płytkami korytarz.

Pęknięcia

Stają naprzeciwko siebie. Jack jest nieogolony, wymizerowany, a jego promieniejąca niegdyś skóra teraz wydaje się ziemista. Pod wpatrzonymi w nią oczami widnieją fioletowe podkowy. Mimo wszystko nadal jest przystojny, w skórzanym płaszczu i rozchodzonych butach. Ostatnio gdy Nella widziała go z tak bliska, był nagi od pasa w górę i błyszczący od potu jej męża. To wspomnienie pozbawia ją tchu.

Cornelia przybiega od strony schodów do kuchni i usiłuje wypchnąć go za drzwi.

— Chwileczkę! Mam coś dla ciebie, pani! — krzyczy Jack, podnosząc ręce do góry jak jakieś niewiniątko. Nella przypomina sobie jego osobliwy angielski akcent, jego niezdolność do utrzymania rytmów niderlandzkiego. Sięga za pazuchę, a Cornelia napina się jak kot. — Wróciłem do doręczania przesyłek — oznajmia.

— Jak to? Miałeś doglądać naszego cukru — odzywa się Nella. — Johannes mówił…

— Piszczysz jak mysz.

Staje z ręką wyciągniętą przed siebie, jak gdyby paczka, którą jej wręcza, mogła zatuszować tę obelgę. Pakunek jest mniejszy niż poprzednio — ale jest — ze znajomym symbolem słońca narysowanym czarnym tuszem. Nella wyrywa mu go z ręki, nie chcąc, by jego palce go dotykały.

Cornelia gna po schodach na górę, blada ze strachu jak ściana.

— Muszę z nim pomówić — oświadcza Jack. — Czy już wrócił? Johannesie, jesteś tam?! — woła w kierunku drzwi do gabinetu w głębi korytarza.

Na piętrze słychać skrzypnięcie otwieranych drzwi, potem syczący szept Cornelii.

— Naprawdę popłynął do Wenecji? — dopytuje Jack. — Cały on.

Nella oblewa się rumieńcem, słysząc te słowa — oznakę specyficznego rodzaju poufałości między dwoma mężczyznami, kolejnego, jakiego jej odmówiono.

— Wymienił nasz plac Dam na Rialto. — Jack szczerzy zęby. — Więcej świeżych ryb. — Podchodzi do niej, w jego głosie brzmi senna

natarczywość: — Uwierzyłaś, gdy ci powiedział, że płynie tam, żeby pracować?

— Jak śmiesz przychodzić…

— Wiem o nim więcej, niż sama kiedykolwiek się dowiesz, pani. W Wenecji nikt nie pracuje. W Mediolanie już prędzej. Ale Wenecja jest pełna ciemnych kanałów, kurtyzan i chłopców, co jak ćmy lgną do tych, którzy świecą najjaśniej.

Ciało Nelli staje się lekkie, zahipnotyzowane głosem Jacka. Możliwe, że w swoim kraju był dobrym aktorem. Czuje, że jej serce, maleńkie jak groszek, obija się o klatkę żeber.

— Co się tam dzieje? — W głosie Marin dobiegającym ze szczytu schodów słychać władczy ton. — Dlaczego drzwi wejściowe są ciągle otwarte?

Na dźwięk jej głosu Jack wychodzi z mroku i rozkłada szeroko ręce. Jest naprawdę piękny, myśli Nella, taki dziki. Nie potrafi oderwać od niego wzroku.

— Petronello, zamknij drzwi — komenderuje Marin.

— Nie chcę być zamknięta w…

— Rób, co każę, Petronello. Ale już.

Nella zatrzaskuje drzwi frontowe drżącą ręką. Korytarz zamienia się w pogrążoną w półmroku arenę — Nella boi się myśleć, czego będzie świadkiem. Zastanawia się, czy Johannes jest rad, że znalazł się z dala od tego nieokiełznanego chłopaka, czy może tęskni za jego hipnotyzującą obecnością i wibrującym głosem. Nagle słyszy dźwięk przypominający odgłos patroszenia i odwraca się.

Jack zagłębił długi, wąski sztylet w płótnie z martwą naturą. Bujne kwiaty i owady zwisają rozbebeszone jak rana, z dziwnie sterczącymi płatkami. Cornelia, która stoi na schodach za Marin, wydaje głuchy jęk.

— Przestań natychmiast! — wrzeszczy Nella. Panuj nad swoim głosem, napomina się od razu, on ma rację, piszczysz jak mysz. Czyż nie jesteś panią tego domu? Przewraca się jej w żołądku, ma sucho w ustach. — Otto! — próbuje krzyknąć, ale z jej ust dobywa się ledwie szept.

— Panie Philips!

Głos Marin za to dźwięczy jak lód. Zimne tchnienie spływa na sam dół i mrozi Jacka. Najwyraźniej chłopak nie jest jedynym aktorem w tym pomieszczeniu. Marin ulega przemianie, skupiona bez reszty na ciemnowłosym młodzieńcu, który wtargnął do jej królestwa.

— Ile razy mówiłam, że masz tu nie przychodzić? — pyta. Jej słowa niosą się echem w korytarzu, potęgując grozę tego spotkania.

Jack wraca na środek korytarza, a Marin staje u podnóża schodów, zupełnie nie zwracając uwagi na obraz. Chłopak opuszcza ostrze, po czym spluwa na posadzkę.

— Posprzątaj to — mówi Marin.

Jack potrząsa przed sobą sztyletem.

— Twój brat wyruchałby psa, gdyby cena była godziwa.

— Panie Philips…

— Podobno tobie też robi dobrze… bo nikt inny nie chce.

Marin podnosi dłoń.

— Nie stać cię na mniej wyświechtaną obelgę? — pyta, coraz bardziej zbliżając otwartą dłoń do wierzchołka ostrza jego sztyletu. Jack cofa się nieznacznie, teraz ostry czubek dzieli od jej skóry nie więcej niż cal.

— No, pokaż, jaki jesteś hardy — zachęca drwiąco. — Odważysz się utoczyć mi krwi? O to ci chodzi?

Jack ściska sztylet mocniej, a kiedy Marin kładzie otwartą dłoń na samym jego wierzchołku, z rozmachem odsuwa ostrze.

— Suka — syczy. — Powiedział, że musi mnie zwolnić. Niby kto o tym zdecydował?

— Uspokój się, Jack — mówi Marin cichym, opanowanym głosem. — Już to przerabialiśmy. Nie zachowuj się jak dziecko, tylko powiedz, ile mam ci zapłacić, żebyś dał nam spokój.

— Co mi z waszych pieniędzy? Przyszedłem pokazać, co się dzieje, kiedy się mieszasz w nie swoje sprawy. — Z dzikim okrzykiem kieruje ostrze do siebie, a Marin błyskawicznie, ledwie Nella jest w stanie zauważyć ruch jej ręki, wymierza mu siarczysty policzek. Jack opuszcza ramiona i gapi się na nią w napięciu.

— Widzisz, jaki jesteś słaby? — syczy Marin, choć Nella widzi, że szwagierka dygocze. — Niepodobna ci zaufać choćby na godzinę.

Jack pociera dłonią policzek, zbierając się w garść.

— To przez ciebie się mnie pozbył.

— Nie zajmuję się takimi sprawami — odpala Marin. — Johannes jest wolnym człowiekiem, a ty zdecydowałeś się mu zawierzyć. To natomiast należało do mego ojca — dodaje, wskazując na sztylet.

— Dostałem go od Johannesa.

Marin wyjmuje z kieszeni zwitek wymiętych banknotów i wręcza mu, ledwie muskając palcami jego dłoń.

— Nie masz tu czego szukać — oświadcza.

Jack głaszcze guldeny z namysłem, po czym znienacka przyciąga Marin do siebie i mocno całuje ją w usta.

— O Boże — szepcze Nella.

Cornelia i Nella jednocześnie ruszają w jej stronę z tym samym zamiarem, by ich rozdzielić, lecz Marin podnosi rękę, jakby chciała powiedzieć: „Nie zbliżajcie się, ta transakcja musi się dokonać”.

Cornelia zatrzymuje się, z pełnym grozy niedowierzaniem malującym się na twarzy. Marin, sztywna, nie zarzuca chłopcu rąk na szyję, lecz pocałunek wydaje się trwać całe wieki. Dlaczego on to robi? — myśli Nella. I dlaczego Marin mu na to pozwala? Jednocześnie mimo woli zastanawia się, co musi czuć teraz Marin, jaki jest dotyk tych pięknych warg.

Drzwi frontowe otwierają się z rozmachem i ukazuje się w nich Otto, który wrócił z kościoła. Widok splecionych w uścisku Marin i Jacka wprawia go w osłupienie. Wygląda, jakby coś w nim pękło. Rusza w ich stronę i choć Nella krzyczy: „Uważaj, on ma nóż!”, nie zatrzymuje się.

Słysząc wrzask dziewczyny, Jack odstępuje od Marin, która chwiejnym krokiem wraca w stronę schodów.

— Stara megiera smakuje jak ryba — rzuca szyderczo w twarz Ottonowi.

— Wynoś się — syczy Otto. — Zanim cię zabiję.

Jack przypada do frontowych drzwi.

— Możesz się ubierać jak lord, ale zawsze będziesz tylko dzikusem — rzuca jeszcze w jego stronę.

— Plugastwo. — Głos Ottona brzmi tubalnie jak głos pastora Pellicorne’a.

Jack zastyga w bezruchu.

— Co takiego, chłopcze? Coś ty powiedział?

Otto zbliża się do Jacka.

— Otto! — woła Marin.

— On się ciebie pozbędzie, dzikusie — mówi Jack. — Wie, co narobiłeś, i ma zamiar…

— Toot! Odejdź od niego! Nie bądź głupi!

— …mówi, że czarnemu nie można ufać.

Otto unosi pięść.

— Nie! — krzyczy Cornelia, a Jack kuli się w oczekiwaniu na cios.

Lecz Otto kładzie tylko delikatnie dłoń na piersi Jacka. Jak żelazne piórko, które przygważdża podskakującą w rytm oddechu pierś Anglika.

— Nic dla niego nie znaczysz, chłopcze — mruczy Otto. — Wynoś się.

Służący cofa dłoń i w tym samym momencie Rezeki wpada w podskokach z powrotem na korytarz. Warczy na Jacka, choć uszy płasko położyła po sobie. Przywiera brzuchem do posadzki i próbuje go odstraszyć.

— Rezeki! — krzyczy Otto. — Zostaw!

Błysk paniki w oczach Jacka skłania Nellę do mówienia.

— Jack — zwraca się do niego nagląco — Jack. Obiecuję, powiem Johannesowi, że byłeś…

Lecz Jack już wbił sztylet w czaszkę Rezeki.

Jakby wszyscy znajdowali się pod wodą i nie mogli oddychać. Ostrze pruje z odrażającym zgrzytem futro i mięso, a Rezeki osuwa się na podłogę.

Rozlega się zawodzenie, najpierw ciche, potem narastające, a Nella uświadamia sobie, że dobiega z ust Cornelii, która zataczając się, podchodzi do leżącego psa.

Rezeki zaczyna się dusić. Jack wbił sztylet tak mocno, że Cornelia nie jest w stanie go wyciągnąć. Na posadzce, jak szkarłatna spódnica, rozpościera się plama ciemnej krwi. Służąca czule ujmuje łebek zwierzęcia w drżące dłonie. Rezeki charczy, zaczerwieniony język zwisa z jej szeroko otwartego pyska. Gdy jej łapy ściąga jeszcze jeden, ostatni skurcz, Cornelia przytula ją mocno do siebie, jakby chciała zatrzymać uchodzące z niej ciepło.

— Umarła — szepcze Cornelia. — Jego psinka nie żyje.

Otto zagradza Jackowi drogę, jego sylwetka wypełnia framugę zamkniętych drzwi wejściowych. Jack wyrywa sztylet z głowy Rezeki i nowa fala krwi wylewa się na podłogę.

— Z d r o g i! — grzmi, i puszczając się biegiem przez korytarz, głową uderza Ottona w pierś.

Lśni wzniesione ostrze. Zwierają się ze sobą, szamoczą — wtedy następuje moment, którego Nella nie rozumie — po czym Jack odstępuje chwiejnym krokiem. Patrzy po sobie z przerażeniem w oczach.

Odwraca się w stronę Nelli, a ona widzi sztylet sterczący z jego piersi, nieco poniżej obojczyka — blisko serca. Jego dłonie fruwają wokół rękojeści jak dwie ćmy.

— Mój Boże! — krzyczy Marin jakby z oddali. — Boże, błagam, nie!

Wtedy Jack zatacza się jak nowo narodzone źrebię, z wyciągniętymi rękami słania się na nogach i osuwa na posadzkę, czepiając się spódnic Nelli. Klęczą razem na biało-czarnych płytkach, jego koszula rozkwita jaskrawą czerwienią i nawet ziemista woń zmieszanej krwi człowieka i psa nie przesłania cierpkiego zapachu jego moczu.

— Otto! — chce zawołać Nella, lecz z jej gardła wychodzi tylko ochrypły szept. — Coś ty zrobił?

Jack przyciąga Nellę do siebie, a ona czuje twardą, parzącą rękojeść ściśniętą między ich ciałami. Jack łka jej do ucha.

— Krwawię — jęczy. — Nie chcę umrzeć.

— Jack…

— Wstawaj! — krzyczy Marin. — Wstawajże!

— Marin, on umiera…

— Pani Nello — szemrze Jack, ściskając ją jeszcze mocniej, jakby kurczowo trzymał się życia.

— Wszystko będzie dobrze — mówi Nella. — Sprowadzimy medyka.

Słyszy jego głos stłumiony przez czepek, ale wyraźnie rozpoznaje w nim śmiech.

— O pani! — szepcze Jack. — Ale z ciebie dziecko. Ta pieprzona igła to za mało, żeby mnie zamordować.

Mija chwila, zanim Nella zaczyna rozumieć jego słowa, tymczasem Jack dźwiga się na nogi. Słaniając się, dopada drzwi frontowych, wciąż z nożem w piersi, chwieje się jak żeglarz w tawernie, upojony swoimi dokonaniami. Nella nie potrafi połączyć w jedno przesiąkniętej krwią koszuli, wystającej rękojeści i żałosnych błagań o życie z takim tupetem, z taką makabryczną uciechą, że ją nabrał.

Otto cofa się o krok, zbaraniały. Jack otwiera sobie drzwi i poruszając się wolno w wątłym świetle, odwraca się twarzą do nich, a następnie składa głęboki ukłon, gmerając przy rękojeści. Z grymasem wyjmuje sztylet z rany, uradowany przerażeniem na twarzy Nelli.

— Będzie mi potrzebny — charczy, tamując krwawienie jedną ręką, w drugiej podnosząc połyskujące szkarłatne ostrze. — Jako dowód, że próbowano mnie zamordować.

— Szkoda, że nie znalazł twojego serca — rzuca Nella.

— Dobrze je ukryłem — odgryza się z triumfalnym uśmiechem. Rozwichrzone kosmyki lepią mu się do skroni, a sztylet w dłoni ocieka

krwią. Odwraca się i zbiega niezdarnie po schodach.

Marin, ciągle z bladoczerwonym śladem ust Jacka na twarzy, opiera się plecami o ścianę.

— Słodki Jezu — szepcze ze wzrokiem utkwionym w Ottonie. — Słodki Jezu, ratuj nas.

III

GRUDZIEŃ 1686 ROKU

„Usta jego nader słodkie, a wszystek jest pożądany.
Taki ci jest miły mój, i taki przyjaciel mój, o córki Jeruzalemskie!”

PIEŚŃ SALOMONA 5, 16

Plamy

— Pan znalazł Rezeki w worku — mówi Cornelia w korytarzu głosem zduszonym z żalu, patrząc, jak Nella wkłada sztywne zwłoki psa do worka na zboże. — Gdzieś na tyłach VOC, osiem lat temu. Wszystkie szczenięta były martwe… wszystkie oprócz niej.

— Cornelio, będziemy potrzebować szmaty, soku z cytryny i octu.

Służąca kiwa głową. Na marmurowych kafelkach wciąż widoczne są ślady wytartej krwi, ale służąca się nie rusza. Rama obrazu zaatakowanego przez Jacka stoi oparta o boazerię. Marin poleciła wyjąć z niej rozdarty obraz. „Pan nie zwróci uwagi”, perswadował jej Otto, lecz Marin była nieugięta. „Nie chodzi o niego — odparła. — Nie mogę patrzeć na obraz w tym stanie”. Otto dokończył więc dzieła Jacka i lekko drżącą ręką odciął płótno od drewna.

Teraz Marin i Otto rozmawiają w kuchni ściszonymi głosami. To moja wina, myśli Nella, to ja przyniosłam figurkę Jacka z powrotem, kiedy Marin ją wyrzuciła. Następnego ranka leżał na schodach przed domem — omen, zapowiedź tego, co miało nastąpić. Jeśli to miniaturzystka tam go położyła, jako straszliwą wróżbę tego, co miało się wydarzyć w holu — choć czemu miałaby to zrobić? — to skąd ten upór, aby ta jadowita kreatura w ogóle znalazła się w pobliżu?

— Cornelio — mówi w końcu, otrząsając się z zamyślenia — musimy to posprzątać.

Nella usiłuje upchnąć nogi Rezeki w worku, są jednak za długie.

Kiedy Nella i Cornelia schodzą do kuchni ze zwłokami Rezeki, której łapy sterczą nieelegancko z worka, wśród lśniących garnków panuje atmosfera jak po bitwie. Tak blisko Bożego Narodzenia mord na ukochanym psie pana domu sprawia wrażenie pierwszego aktu jakiegoś makabrycznego karnawału. Zabójca jest gdzieś na zewnątrz, nie wiadomo gdzie, zraniony nie tylko na ciele.

Otto kładzie drżące dłonie na starym dębowym stole. W głowie Nelli kłębią się niezliczone myśli. Pragnie go pocieszyć, on jednak nawet na nią

nie patrzy. Dhana osunęła się przy palenisku i skomle, wpatrując się w worek trzymany przez Nellę.

— Czy możemy pochować ją teraz? — pyta Cornelia błagalnym tonem.

Zapada niezręczne milczenie.

— Nie — decyduje Marin.

— Ale zacznie śmierdzieć…

— Zanieś ją do piwnicy, bez dyskusji.

Ale to Nella kładzie Rezeki delikatnie w ciemnościach, na wilgotnej, gliniastej ziemi i kartoflach.

— Moje biedactwo — szepcze zdławionym głosem. — Z Bogiem, maleńka.

— A jeśli Jack doniesie o tym, co zrobiłem? — mówi Otto, kiedy Nella wraca do kuchni. — Na dowód ma nóż i ranę, poza tym umie mleć ozorem. Wspomniał o dowodach i próbie morderstwa. Straż mnie zaaresztuje. A co będzie, jak zapytają Jacka, po co tutaj przyszedł?

— Otóż to! — odzywa się Marin, uderzając pięścią w stół. — Wiem co nieco o Jacku Philipsie. Ceni sobie własne życie. To bufon, ale nie poszedłby z tym do władz. Sam na siebie podpisałby w ten sposób wyrok śmierci i świetnie o tym wie. Jest Anglikiem, sodomitą i na dodatek byłym aktorem. Nie wyobrażam sobie trzech innych rzeczy, których nasi burmistrzowie bardziej by nienawidzili.

— On jest bez grosza, pani. Czego się nie robi, mając nóż na gardle? — pyta Otto i twarz mu tężeje. — Jeśli zapytają, co u nas robił, pan będzie w to zamieszany.

Kręci głową, a Cornelia, która krząta się po kuchni, przynosi kosz herenbrood, trochę listków cykorii i przekornie słoneczny trójkątny ser z Goudy. Nella kroi ser, a służąca krząta się przy piecu. Dziś na kolację nie będzie kartofli ani grzybów, bo Cornelia nie może patrzeć na drzwi do piwnicy, a co dopiero tam zejść. Nella stara się, jak może, koncentrować na odgłosach domowej krzątaniny — brzęku patelni, skwierczeniu szklonej na maśle cebuli, strzelaniu podsmażanego bekonu. Ten nieregularny, lecz stały rytm jest lepszy niż świąteczne melodie ulicznych grajków.

Cornelia kładzie przed nimi plastry podsmażonego bekonu, a Nella zauważa, jak bardzo służąca pobladła ze zmartwienia.

— Pan mnie uratował — mówi Otto. — Wszystkiego mnie nauczył. I patrzcie, jak się mu odwdzięczyłem. Rezeki…

— To sprawka Jacka, nie twoja. I nie ma tu mowy o żadnej wdzięczności — kwituje Marin. — Mój brat kupił cię dla własnej przyjemności.

Cornelia upuszcza ciężki rondel do zlewu i klnie pod nosem.

— Zatrudnił mnie, pani — obstaje przy swoim Otto.

Marin wyciera kawałkiem chleba tłuszcz z bekonu na talerzu, ale go nie zjada. Nella nie może odgadnąć jej nastroju. Szwagierka wydaje się zdecydowana nie pozwolić, by te wydarzenia ją przytłoczyły, ale to przecież wciąż jest ona, dlatego prowokuje jak zawsze.

— Chłopak żyje — burczy. — Nikogo nie zabiłeś. Johannes bardziej będzie się przejmował Rezeki niż tobą.

Otto wygląda na tak urażonego, jakby to jego ugodzono w pierś.

— Naraziłem was! — wybucha. — Naraziłem was wszystkich na niebezpieczeństwo.

Marin sięga po jego dłoń. To niesamowity widok — ich palce, ciemne i jasne, razem — i Cornelia nie może oderwać od nich wzroku. Otto wycofuje się i wchodzi po schodach na górę, a Marin odprowadza go zmęczonym spojrzeniem, pobladła.

— Petronello, musisz się przebrać — mówi ledwie dosłyszalnym szeptem.

— Czemu? Co ze mną nie tak?

Marin wskazuje na nią palcem, a kiedy Nella spogląda w dół, widzi, że jej gorset i koszula są upstrzone brązowymi plamami krwi Anglika.

*

Na górze Nella siedzi w samej bieliźnie, dygocząc, podczas gdy Cornelia ściera gąbką ślady krwi Jacka. Otula Nellę podomką, a potem prosi, by pozwoliła jej odejść.

— Martwię się o Ottona, pani. Nie ma poza mną nikogo, z kim mógłby pogadać.

— Wobec tego idź koniecznie.

Nella oddycha z ulgą, gdy zostaje sama. Wracają do niej wszystkie wydarzenia dzisiejszego poranka, a towarzyszące im napięcie objawia się teraz bólem całego ciała — nadal czuje na rękach wspomnienie uścisku Jacka. Wyjmuje z domku dla lalek swoją maleńką podobiznę, porzuconą w miniaturowej kuchni, i ściska ją w palcach, jakby to miało jej pomóc odepchnąć ból. Gdy zaciska dłoń na miniaturce, pobolewają ją żebra i przez

moment wierzy, że nie ma różnicy między wykonaną przez miniaturzystkę laleczką, pomniejszoną wersją Nelli, a jej własnym ludzkim ciałem. Bo kim w końcu jestem, myśli, jeśli nie wytworem własnej imaginacji? Twarz malutka jak fasolka wpatruje się w nią jednak, nic nie mówiąc, tymczasem wzburzenie Nelli i żal wciąż trwają.

Na jej łóżku leży ostatnia przesyłka od miniaturzystki, przyniesiona przez Jacka zaledwie kilka godzin temu. Nella o mało nie zostawiła jej pod krzesłem w korytarzu, niepewna, czy chce ją rozpakować, a teraz, gdy znowu na nią patrzy, strach ściska ją za gardło. Ale kto miałby otwierać te paczki, jeśli nie ona? Myśl, że mógłby to zrobić ktoś inny, jest nie do zniesienia.

Jeśli miniaturzystka jest dziwną nauczycielką, która nie daje za wygraną, to Nella czuje się teraz jak wyjątkowo oporna uczennica. Nie udało jej się odgadnąć znaczenia tych lekcji i tęskni za czymś, co wyjaśni jej, czego miniaturzystka od niej oczekuje.

Rozpakowuje zawiniątko. W środku jest tylko jeden przedmiot.

Na jej dłoni leży maleńka plansza do *verkeerspel*. Trójkątne pola nie są po prostu namalowane, lecz wyłożone drewnem — są też pionki w malusieńkim woreczku. Ich zapach zdradza, że to ziarna kolendry, przekrojone na pół i pomalowane na czarno albo na czerwono.

Nella zostawia planszę i gmera w kieszeniach spódnicy. Długiego listu, który napisała dzisiejszego ranka, zaadresowanego do miniaturzystki i zawierającego prośbę o planszę do gry w *verkeerspel*, już tam nie ma. Przecież go miałam, myśli. Miałam go dzisiaj ze sobą. Kiedy poszłam za Ottonem do kościoła, czułam go w kieszeni, potem rozmawiałam z Agnes, a kiedy wróciłam do domu, Jack już spacerował w holu. A po tym wszystkim zupełnie zapomniałam o liście.

Czas jakby stopniał, przestał cokolwiek znaczyć. Nella przechyla pakunek i wylatuje z niego arkusik.

NELLO,
RZEPA NIE WYROŚNIE DOBRZE
NA TULIPANOWYM ZAGONIE.

Zwróciła się do mnie po imieniu, myśli Nella, lecz przyjemność z tego odkrycia przekreśla to dziwaczne, obcesowe zdanie, które następuje dalej. Czuje narastające zażenowanie. Czy miniaturzystka twierdzi, że jestem

r z e p ą? — zastanawia się. Rzepy i tulipany to dwie zupełnie odmienne rośliny, dedukuje Nella, pierwsze są praktyczne i nieskomplikowane, te drugie zaś dekoracyjne i wyhodowane przez człowieka.

Odruchowo dotyka swojej twarzy, jakby kaligraficzne pismo na skrawku papieru miało moc przemienienia jej policzków w zwartą, krągłą bulwę nudnego warzywa z Assendelftu. Miniaturzystka to błyskotliwa, pełna wdzięku, barwna postać, a jej moc przyciąga spojrzenia. Czy chce mnie ostrzec, żebym trzymała się z dala od tego miejsca, rozmyśla Nella, dać mi do zrozumienia, że mogę nigdy nie znaleźć w tym sensu?

Sięga do domku dla lalek, wyciąga podobiznę Jacka i zdejmuje z niego skórzany płaszcz. Między kciuk i palec wskazujący ujmuje jeden z maciupeńkich nożyków do ryb, po czym wbija go w jego pierś jak szpilkę, na tyle blisko krtani, żeby mógł się udusić. Ostrze wchodzi w miękkie ciało przyjemnie gładko, jak srebrna strzała.

Odkłada Jacka z powrotem na miejsce — teraz jego lalkowa figurka trafniej oddaje ich obecną rozpaczliwą sytuację — i podnosi figurkę przedstawiającą Rezeki.

— Johannes powinien był zabrać cię z sobą — mówi do laleczki. Jak ma powiedzieć mężowi o tym, co spotkało jego ulubione zwierzę? Podaruję mu tę miniaturkę na pamiątkę, myśli Nella i zaraz pojawia się wyrzut sumienia: to mu będzie przypominać o prawdziwej naturze Jacka.

Gdy zaczyna głaskać pieska po łebku, jej palce zastygają nagle między jego łopatkami. W tym miejscu na maleńkim ciałku znajduje się nieregularna czerwona plamka, podobna do krzyżyka. Nella podchodzi do okna i sprawdza, ale rzeczywiście, tego rdzawego koloru nie sposób pomylić z niczym innym. Serce zaczyna bić mocniej i zasycha jej w gardle. Nie potrafi sobie przypomnieć, czy to znamię było tam jeszcze wczoraj, bo nie przyglądała się zbyt uważnie.

Może to przypadek, może drobinka czerwonej farby skapnęła na łebek psa, gdy miniaturzystka wymachiwała pędzlem. Może nie zauważyła, gdy kropka wsiąkała w krzywiznę czaszki. Maleńka Rezeki stoi chwiejnie na dłoni Nelli, z wyciągniętym łebkiem, a plamka na jej karku wygląda jak znak jakiegoś upiornego chrztu. W izbie panuje ziąb, a splamione ciałko Rezeki sprawia, że Nellę przechodzi dreszcz do szpiku kości.

Próbuje zapanować nad oddechem, skupiając się na myśleniu. Miniaturzystka chyba nie przewidziała tego, że Otto wbije sztylet w ramię

Jacka — ponieważ podobizna Anglika przyszła do niej bez żadnych znaków szczególnych. Tę historię musiałam opowiedzieć za nią. A zatem te figurki to echa czy zapowiedzi — a może po prostu trafne domysły?

Musisz pójść na Kalverstraat, mówi sobie. Tym razem nic nie może ci przeszkodzić — i tym razem zaczekasz do skutku. Choćbyś musiała cały dzień wystawać przed jej domem w towarzystwie Pryszcza.

Nella odkłada pieska do kredensu z uczuciem lekkich mdłości, gdyż przypominają jej się strzępy rozmowy Cornelii i Marin o papistowskich idolach. Cornelia stwierdziła, że nigdy nie można być pewnym, czy te rzeczy nie ożyją, a wizerunek Rezeki wydaje się w tym momencie emanować jakąś dziwną, nieokreśloną siłą. A teraz jeszcze domek — od drewnianej konstrukcji jakby bije poświata, taki bogaty jest szylkret, a wnętrza tak wystawne. Nella wpatruje się we własną podobiznę, trzymającą maleńką klatkę dla ptaków, tę pozłacaną pułapkę, pustą w środku. Recytuje w myślach poprzednie wiadomości od miniaturzystki: „Wszystko może się zmienić. Każda kobieta architektem własnego losu. Walczę, by powstać”.

Kto tu walczy, żeby powstać, zastanawia się Nella, i kto jest architektem — miniaturzystka czy ja? Przypomina sobie dawne, pozostawione bez odpowiedzi pytanie — dlaczego ta kobieta jej to robi? Bezimienna miniaturzystka żyje poza społeczeństwem, jego zasady jej nie dotyczą, ale czy jesteś tulipanem, czy rzepą, myśli Nella, i tak wszyscy w końcu przed kimś odpowiadamy. Rezeki jest martwa, Peebo uciekł, Jack pozostaje na wolności, a cukier Agnes nasiąka wilgocią na Wschodnich Wyspach. Nella ma wrażenie, że pogrąża się w chaosie, i jedyne, czego pragnie, to poczucie, że ma nad czymś kontrolę.

Miniaturzystka musi jej pomóc. Ona wie. W tym domu wszyscy za bardzo się boją, żeby zrobić cokolwiek poza wyrzucaniem lalek przez okno, co oczywiście nie pomaga. Nella przynosi pióro i papier. Pisze:

„Wielmożna Pani!

Rzepa rośnie w ukryciu, tulipan zaś rozkwita ponad nią. Służy on temu, by cieszyć oko, ta pierwsza zaś odżywia ciało — obie rośliny jednakże czerpią korzyść z ziemi. Każda ma swoje odrębne zastosowanie i nie jest wartościowsza od drugiej”.

Nella się waha, ale po chwili, trochę mimowolnie, dodaje: „A czyż tulipan nie zwiędnie, Pani? Czyż jego płatki nie opadną na długo, zanim rzepa wyłoni się z ziemi, ubłocona, lecz triumfująca?”.

Martwi się, czy to nie zbyt obcesowe, zbyt bezpośrednie. „Pomóż mi — dodaje. — Co powinnam uczynić?”

Odkłada pióro. Czuje się trochę głupio z powodu całej tej gadki o warzywach, a jednocześnie wpada w popłoch na myśl, że miniaturzystka wiedziała od początku, jaki los spotka Rezeki. Zanim spostrzegła znamię na karku Johannesowego psa, uważała ją za obserwatorkę, mentorkę, komentatorkę, lecz to bardziej przypomina proroctwo. Co jeszcze wie ta kobieta — czemu może zapobiec? Albo jeszcze gorzej — co jej zdaniem musi się jeszcze wydarzyć?

*

Już prawie świta, gdy nazajutrz Nella wymyka się chyłkiem ze swojej sypialni z czwartym liścikiem do miniaturzystki w kieszeni podróżnego płaszcza. Nie rozstanę się z nim, powtarza sobie, dopóki osobiście nie wcisnę jej go w dłoń. Obawia się tego, co może odkryć na Kalvertstraat, stając nareszcie twarzą w twarz z kobietą, która nie tylko zagląda pod podszewkę jej świata, lecz zdaje się go konstruować.

Z lichtarzem w ręce powoli odsuwa rygle przy drzwiach frontowych. Gdy otwiera drzwi, ucieszona, że na niebie już jaśnieje blada poświata, słyszy brzęczący odgłos dobiegający z odległych pomieszczeń domu. Zastyga, a odgłos nie cichnie. Spogląda to na ścieżkę nad kanałem, to z powrotem w stronę kuchni, i czuje się rozdarta. Znowu, mówi sobie, za każdym razem, kiedy przychodzi pora zobaczyć się z miniaturzystką, coś w tym domu ciągnie mnie z powrotem.

Mimo wszystko jej wrodzona ciekawość zwycięża i tym razem, w końcu dźwięków we wnętrzu po prostu nie sposób zlekceważyć. Za długo już słyszę te szepty i szmery, myśli Nella, zamykając drzwi, po czym na palcach schodzi w dół po schodach i przemierza oficjalną kuchnię z nadzieją, że to stamtąd biorą się te tajemnicze dźwięki. Gdy Nella przechodzi obok ze świecą, okrągłe talerze — majolika, fajanse z Delft, chińska porcelana — lśnią w ogromnym kredensie niczym rzędy otwierających się kolejno oczu.

Przystaje i pociąga nosem. Zapach żelaza, wilgotnej ziemi i odgłosy ciężkiego dyszenia. Od razu przychodzi jej na myśl Rezeki. Ożyła! — myśli Nella. Miniaturzystka jakoś znalazła się w tym domu i przywróciła psa do życia. Powoli przechodzi korytarzykiem dzielącym obie kuchnie w kierunku drzwiczek do komórki, gdzie trzyma się beczki z piwem i marynaty. Woń staje się jeszcze bardziej intensywna, prawie dławi w gardle. Teraz już wiadomo ponad wszelką wątpliwość, że to krew. Oddech brzmi jeszcze głośniej.

Nella nieruchomieje z palcami na klamce — w koszmarnym przeświadczeniu, że za nimi znajdzie Rezeki, która ze swoimi długimi nogami wydostała się z worka i skrobiąc w drzwi, domaga się wypuszczenia na wolność. Przełyka ślinę i popycha drzwi do komórki, a krew zastyga jej w żyłach.

Stoi tam Marin, ma podwinięte rękawy, a na stoliku obok świeci bladym światłem latarenka. Koło latarenki leży rząd białych szmatek, z których Marin chyba spiera krew.

— Co robisz, Marin? — pyta Nella, i wielka ulga przepełnia jej ciało, pomimo zawstydzenia tą dziwną sceną. — Co ty robisz, na miłość boską?

— Wyjdź — z sykiem przegania ją szwagierka. — Słyszysz, co mówię? Wyjdź.

Nella wycofuje się, wstrząśnięta gwałtownością w głosie Marin, jej wydłużoną gniewem twarzą, wyrazistym śladem krwi na policzku. Zamyka z trzaskiem drzwi do komórki i wychodzi, potykając się, po schodach kuchennych na korytarz, a czerwone znamię na karku Rezeki miesza się w jej wyobraźni ze szkarłatnymi szmatami Marin. Niepewnym krokiem przekracza próg frontowych drzwi i schodzi po schodach w światło nowego dnia.

Słodki oręż

Na Kalverstraat, tym długim szlaku handlarzy wszelkim towarem, o tej porze wciąż jest jeszcze względnie cicho. Tu czy tam widać sprzedawcę owoców pchającego wypełnioną po brzegi taczkę, jakiś sprytny rudy kot grzebie w zwierzęcych kostkach, które nie trafiły zeszłego wieczoru do kanału. Zwierzę łypie na Nellę świecącymi żółtymi oczami i przeciąga się, a po jego tłustym brzuchu widać, że jest ekspertem od wyszukiwania jedzenia.

Nella odnajduje kamienicę z symbolem słońca i staje przed nią, wciąż z liścikiem w kieszeni, wdychając wilgotne powietrze, w którym unoszą się jeszcze resztki mgły i smród odpadów przykrytych w pośpiechu słomą. Puka do drzwi, szybko i zdecydowanie, i czeka. Nikt do nich nie podchodzi. Zaczekam, madame Tulipan, myśli, będę czekać, dopóki nie dostanę odpowiedzi.

Cofa się o krok i spogląda w górę na cztery okna, złote słońce i wygrawerowaną pod nim dewizę: „Co tylko człek widzi, zabawką mu się mieni”. Brzmi to jak drwina i Nella obrusza się na jej widok. Mnie się wcale nie mieni, myśli. W każdym razie już nie. Ani jej miniaturowa papużka, ani Rezeki z plamką krwi nie wydają się mieć w sobie czegokolwiek z zabawek.

— Wiem, że tam jesteś! — krzyczy mimo wczesnej godziny. — Co mam zrobić?

W tym momencie drzwi za jej plecami otwierają się z rozmachem. Nella odwraca się i widzi tłustego mężczyznę w fartuchu, o pucołowatej twarzy. Jego brzuch unosi się o dobrą stopę nad cholewami butów, a ręce trzyma na biodrach. Za nim, w małym chłodnym pomieszczeniu, widać długie zwisające sznury niepofarbowanej przędzy i kilka owczych skór przybitych do ścian.

— Dziewczyno, nie trzeba się wydzierać jak stąd do Antwerpii.

— Przepraszam! Przyszłam zobaczyć się z miniaturzystką.

Mężczyzna unosi brwi.

— Z k i m?

Nella jeszcze raz patrzy w górę na dom, a mężczyzna przytupuje z zimna.

— Aaa… Nie otworzy — mówi życzliwszym głosem. — Próżne starania.

Nella odwraca się z powrotem do niego.

— Tak powiadają. Ale z chęcią poczekam.

Mężczyzna patrzy na dom spod zmrużonych powiek.

— Prędzej zamarzniesz na śmierć, bo w tym domu od przeszło tygodnia nikogo nie ma.

Jakaś dziwna pustka ściska Nellę w żołądku.

— To niemożliwe — protestuje. — Przecież wczoraj przysłała…

— Jak się nazywasz? — pyta handlarz wełną.

— A co?

— Możliwe, że coś dla ciebie mam.

— Nazywam się… — milknie. — Petronella Brandt.

— Zaczekaj — mówi i z powrotem daje nura w ciemności swojego sklepiku. Pojawia się po chwili z paczuszką z wyrysowanym symbolem słońca. — Ktoś podrzucił to na schodach naprzeciwko. Pomyślałem, że jeszcze jaki kot się z tym rozprawi. Wygląda na to, że ten jej angielski chłopak na posyłki gdzieś zniknął, to i wziąłem pakunek na przechowanie.

Kładzie paczkę na wyciągniętej dłoni Nelli i jeszcze raz rzuca okiem na lśniące słońce wygrawerowane nad drzwiami domu miniaturzystki.

— Co to w ogóle znaczy? — pyta zafrasowany. — „Co tylko człek widzi, zabawką mu się mieni”.

— To znaczy, że zdaje nam się, że jesteśmy olbrzymami, a to nieprawda.

Mężczyzna marszczy brwi.

— Ano tak. Czyli że powinienem się umniejszać, tak?

— Nie całkiem. Tylko że wszystko… nie zawsze jest tym, na co wygląda.

— Ja tam jestem olbrzymem. — Handlarz wełną śmieje się, rozkładając szeroko ręce. — Co, nie widać?

Nella daje za wygraną i uśmiecha się blado, ściskając w dłoniach pakunek i patrząc ponad jego ramieniem na tonące w mroku wnętrze sklepu.

— Czy masz może pracownika, panie? Człowieka z bliznami po ospie?

— A, tak! Woził wełnę dwa tygodnie, a potem zabrał się i poszedł.

— Co się stało?

— Ano, wystraszył się.

— Wystraszył się?

— Dusza poszła mu w pięty. Uciekł w środku nocy. Bóg raczy wiedzieć, co z nim.

Nieopodal na Kalverstraat słychać odgłos maszerujących stóp: buch-buch-buch. Wełniarz wraca do swojego sklepu.

— Bractwo Świętego Jerzego — mruczy, spuszczając okiennicę. — Usuń im się z drogi, dziewczyno, żeby cię nie zmiażdżyli.

— Zaczekaj! — woła Nella, pełna irytacji. — Dokąd ona wyjechała? Widziałeś, jak odjeżdżała?

Lecz oficerowie Bractwa Świętego Jerzego już majaczą na horyzoncie, a kot o żółtych oczach umyka, póki czas. Szerokie piersi wszystkich oficerów przepasane są czerwonymi wstęgami, które lśnią w zimowym słońcu jak strugi krwi. Ich wzmocnione blachą buty biją w bruk, u boku brzęczy przesadnie okazała broń: pistolety zdobione masą perłową i aż nazbyt widoczne garłacze.

Nella dostrzega wśród nich Fransa Meermansa, z wypiętą piersią, spoglądającego spode łba na słońce nad drzwiami kamienicy.

— Panie?! — woła, lecz on na jej widok odwraca się i tylko mocniej przyciska do piersi pikę. Mężczyźni znikają w obłoku pyłu, maszerując ciężkim krokiem w amsterdamski poranek.

Ulica pogrąża się w ciszy, a Nella czuje, że z zimna zdrętwiały jej palce u stóp. Rozdziera paczuszkę, wściekła z powodu afrontu ze strony Meermansa, i rozdrażniona tym, że miniaturzystka ponownie się jej wymknęła. Za każdym razem, gdy jej szukam, myśli, ona zostawia mnie samej sobie.

Lecz jej rozgoryczenie przeradza się w zachwyt, gdy widzi, co ma przed sobą, w przesyłce kryje się bowiem zestaw maciupeńkich ciast i ciasteczek. Racuchy, szrafowane wafle, maleńkie ludziki z piernika, olie-koecken oprószone białym pudrem, krągłe i apetyczne. Wyglądają jak zrobione z prawdziwego ciasta, lecz w dotyku okazują się twarde i nieustępliwe. Pod spodem Nella odnajduje kolejną wiadomość napisaną na skrawku papieru:

NIE POSTRADAJ SŁODKIEJ BRONI.

Nella patrzy w górę, w okna domu.

— Słodkiej broni?! — krzyczy, wsuwając pod drzwi swoją błagalną notkę. Poranne światło prześlizguje się po szybach, chroniąc sekrety miniaturzystki, a w Nelli wzbiera gorycz. Patrzy na niejadalne przysmaki i czuje pokusę, by wrzucić je do najbliższego kanału. Co ta kobieta chce jej przekazać? Jeszcze żadnej wojny, myśli Nella, nie wygrano za pomocą arsenału słodkości.

Pustki

Gdy Nella wraca do domu, Cornelia czeka na nią w drzwiach.

— Co się stało? — pyta Nella, widząc nieszczęśliwą twarz służącej.

— Jaśnie pan — szepcze Cornelia. — Wrócił z Wenecji i już wypytuje, gdzie Rezeki.

— Co?! — Nella czuje, jak powietrze gęstnieje, a w gardle rośnie jej gula strachu. Wyobraża sobie skrwawione zwłoki Rezeki w piwnicy i Johannesa, który niczego nieświadomy, czeka na delikatny stukot jej zgrabnych łapek.

— To ty musisz mu to powiedzieć, pani — mówi Cornelia błagalnie. — Ja nie mogę tego zrobić.

Nella zamyka cicho drzwi i lustruje podłogę, a gdy nie znajduje na niej śladów krwi, oddycha z ulgą. Cornelia szorowała ją i szorowała, skrapiając płytki octem i sokiem z cytryny, polewając obficie wrzątkiem i ługiem. Ale na piętrze, w domku dla lalek, małego czerwonego krzyżyka na miniaturowym łebku Rezeki nie dało się zetrzeć.

— Ale dlaczego ja? — pyta.

— Bo jesteś silna, pani. Lepiej, żeby usłyszał to od ciebie.

Nella wcale nie czuje się silna. Raczej nieprzygotowana, przestraszona całą historią, którą będzie musiała opowiedzieć. Potrzebowałam tylko troszkę więcej czasu, żeby osłodzić mu prawdę jakimś kłamstwem, myśli. Jak się w ogóle zaczyna taką rozmowę?

Johannes stoi na środku bawialni, a jego wzrok spoczywa na pustej ramie opartej o ścianę pokrytą polichromią. Przywiózł z sobą dwa dywaniki, grube, o gęstym splocie, z motywami geometrycznymi. Mają już ze dwadzieścia, trzydzieści takich gobelinów, myśli Nella. Po co im jeszcze więcej? W pokoju panuje przenikliwy ziąb, a Johannes wciąż ma na sobie podróżną opończę.

Ku jej zdumieniu Johannesowi na jej widok rozbłyskują oczy — mąż właściwie wydaje się zadowolony, że ją widzi.

— Johannesie — mówi Nella od progu — wróciłeś bezpiecznie. Czy Wenecja była… przyjemna? — W uszach dźwięczy jej niezdarna niderlandzka wymowa Jacka: „więcej świeżych ryb”.

Johannes pociąga nosem, krzywiąc się na zapach octu dolatujący z korytarza. Nella modli się w duchu, żeby jak najszybciej przykryły go inne zapachy z kipiących garnków Cornelii.

— Wenecja jak Wenecja — odpowiada Johannes. — Wenecjanie dużo gadają. I za wiele tam tańców jak na moje kolana.

Ku jej zaskoczeniu otwiera szeroko ramiona i obejmuje ją całą swoim uściskiem, jako że głowa żony sięga mu tylko do mostka. Johannes przyciska jej ucho do siebie, a Nella słyszy bicie jego serca. Opiera podbródek na czubku jej głowy, a ona znajduje w tym niezdarnym akcie czułości niespodziewaną otuchę. Jeszcze nigdy nie dotykała swojego męża w ten sposób. Jej stopy zaczynają odrywać się od podłogi, jakby kurczowo trzymała się tratwy. Gdy przymyka oczy, pojawia się obraz poczerniałej mordki Rezeki, którego nie potrafi wymazać, bez względu na to, jak mocno zaciskałaby powieki.

— Rad jestem, że cię widzę, Nello — mówi, wypuszczając żonę z uścisku. — Dlaczego nie pali się w kominku? Otto! — woła.

— I ja się cieszę, Johannesie — odpowiada Nella, szukając słów, te jednak wyślizgują się, ilekroć po nie sięga. — Ja… może usiądziemy?

Johannes opada z westchnieniem na krzesło, a Nella orientuje się, że sama dalej stoi.

— Cóż to? Co się stało? — dopytuje Johannes, a Nella, słysząc zatroskanie w jego głosie, jest bliska załamania.

— Nic, Johannesie. Jest… ja… Agnes była na mnie zła — wypala bez tchu. Nie potrafi mu tego przekazać. Łatwiej powiedzieć o Agnes Meermans niż o losie jego ukochanego psa.

Twarz Johannesa pochmurnieje.

— Z jakiego powodu?

— Spotkałam ją w Starym Kościele. Skarżyła się, że ich cukier nadal tkwi w składzie. I że może zawilgotnieć.

Johannes przesuwa dłonią po policzku.

— Nie ma prawa tak się do ciebie odzywać.

Na progu staje Otto z koszykiem torfu. Zastyga, bojąc się podnieść wzrok.

— A, kominek! — ożywia się Johannes. — Wejdź, Otto, rozgrzej nas.

— Jaśnie panie, witaj w domu.

— Co gotuje dla nas Cornelia?

— Kaszankę z wątróbką wieprzową i kaszą jęczmienną, panie.

— Moja ulubiona grudniowa potrawa! Nie wiem, czym sobie na to zasłużyłem. — Johannes uśmiecha się i ponownie wciąga powietrze do płuc, przesuwając dłonią po pustej ramie. — Co tu się stało? To był jeden z moich ulubionych obrazów.

W półmroku twarz Ottona wydaje się prawie popielata. Johannes spogląda na niego przenikliwie.

— Nieszczęśliwy wypadek — mówi Nella.

— Rozumiem. No nic, przygotuj podpałkę, Otto. Tak zmarzłem, że chyba odpadną mi stopy.

Nella odwraca się i widzi Marin stojącą przed wejściem. Ma ściągniętą twarz i waha się chwilę, po czym przestępuje próg, lecz nie oddala się od ściany.

— Bracie, ile sprzedałeś głów w Wenecji? — indaguje.

— Rozpal porządnie, Otto.

— Ile sprzedaliśmy głów, bracie?

Nie wstając z krzesła, Johannes unosi pustą ramę obrazu tak, że w otworze widać górną połowę jego ciała. Stroi miny, przybiera pozę regenta, pełną samozadowolenia i groteskową.

— Sprawy toczyły się tak wolno, jak przewidywałem — mówi. — Lepiej byłoby się tam wybrać po Nowym Roku.

— To może poczekaj z rozpalaniem takiego ogromnego ognia, aż sprzedasz cukier? — Johannes nie odpowiada, co najwyraźniej doprowadza jego siostrę do wściekłości. — Kto chciwy, zamieszanie czyni w domu swoim.

— Coraz słabiej wychodzą ci te powitania, Marin. To ty wypchnęłaś mnie w rejs do Włoch w samym środku zimy. Nie mów mi o chciwości. I z łaski swojej przestań wciąż cytować Biblię. To się robi męczące, zważywszy na twoją wątpliwą pobożność.

Marin wybucha urywanym śmiechem, a jego dziwny ton przeszywa powietrze.

— To ty jesteś wiecznym prowokatorem, nie ja — cedzi przez zęby.

Johannes ciska podróżną opończę niedbale na podłogę.

— I przestań mówić o tym domu, jakby był twoją własnością. On należy do Petronelli.

Ostatnie słowa strzelają w stronę Nelli niczym błyskawica, lecz Marin wpatruje się w niego z niedowierzaniem.

— Proszę bardzo, niech go sobie weźmie — mówi.

Tak po prostu? — myśli ze zdziwieniem Nella, zwracając się w jej stronę. Wydaje się to nieprawdopodobne. Marin nie może mówić serio.

— Strwoniłam całe życie na rozwiązywaniu twoich problemów — oświadcza Marin, podchodząc do brata. — Staliśmy się więźniami twego pożądania, ot co.

Johannes wzdycha i wyciąga dłonie do ognia, by je ogrzać.

— Więźniami? Otto — zwraca się do służącego, który klęczy po drugiej stronie buchających coraz wyżej płomieni — czujesz się tutaj więźniem?

Otto przełyka ślinę.

— Nie, jaśnie panie — mówi ledwie dosłyszalnym szeptem.

— Nello, czy ja cię trzymam pod kluczem?

— Nie, Johannesie — odpowiada Nella, choć te samotne noce spędzane na bezowocnym czekaniu na jego odwiedziny istotnie przypominają więzienie. Chciałaby być teraz u siebie, zakopana pod pledem.

— W tych czterech ścianach każdy z nas może być wolny jak nigdzie indziej. — Johannes pochyla się na krześle i ukrywa twarz w dłoniach. — Kto jak kto, ale ty, Marin, nie możesz temu zaprzeczyć.

— Nie bądź głupcem — odwarkuje Marin. Ta dyskusja sprawia na Nelli wrażenie ogranej, choć podobnie jak ogień buzujący w kominku z każdą chwilą nabiera rumieńców. — Ależ jesteś samolubem. Moja obecność tutaj jest ci na rękę, a sam prawie się nie przejmujesz tym, żeby ukryć to, co robisz.

Johannes podnosi wzrok na siostrę, a Nella widzi, że jest wycieńczony — ma ściągniętą twarz i zapadnięte oczy.

— Sądzisz, że mi to odpowiada? To sobie wmawiasz? — pyta gorzko. — Marin, ożeniłem się z dzieckiem, wbrew temu, co podpowiadała mi własna dusza. I uczyniłem to dla ciebie.

— Nie jestem dzieckiem — szepcze Nella i wreszcie, pod naporem jego słów, osuwa się na krzesło. Ale przecież czuje się jak dziecko. Johannes przeobraził ją w jednej chwili. Teraz Nella potrzebuje matki, kogoś, kto dostrzeże jej ból, kto za nią zabierze zwłoki Rezeki.

— Nic się nie zmieniłeś! — woła rozpaczliwie Marin, nie zważając na ostatnie słowa brata. — Nie obchodzi cię cukier Meermansów, nasza przyszłość…

Johannes kopie pustą ramę, która pęka, koziołkując po podłodze akurat w momencie, gdy do pokoju wchodzi Cornelia, z podkasanymi rękawami

i kropelkami potu na skroni. Trzymając tacę z winem i chlebem, staje w drzwiach i wpatruje się w połamaną ramę.

— W całym swoim życiu nie musiałaś chodzić na żadne ustępstwa! — unosi się Johannes.

— Nigdy nic innego nie robiłam. Tobie się zdaje, że to, co najważniejsze, można kupić. Milczenie, wierność, ludzkie dusze…

— Zdziwiłabyś się…

— Powiedz mi więc, co się stanie, kiedy cię w końcu przyłapią? Co będzie, kiedy burmistrzowie poznają się na tobie?

Otto, który przykucnął przy ogniu, dławi się własnym oddechem.

— Jestem zbyt bogaty, żeby ci przeklęci burmistrzowie mogli mi coś zrobić — broni się Johannes.

— Przeciwnie. — Głos Marin brzmi twardo. — Nie, mój drogi. Coś ci umknęło. To ja przeglądam księgi rachunkowe raz po raz. Tak, ja, i muszę ci powiedzieć, że to, co z nich wynika, wygląda naprawdę żałośnie.

Johannes podnosi się i wygląda, jakby kolejne części ciała odmawiały mu posłuszeństwa, w miarę jak słowa Marin omotują go z łatwością, jaką daje trzydzieści lat wprawy.

— Zawsze uważałaś się za inną, prawda, Marin? Nie wyszłaś za mąż, wtrącałaś się w moje sprawy. Czy naprawdę ci się zdaje, że skoro masz na ścianie mapy Indii Wschodnich, trochę ksiąg podróżniczych, jakieś zgniłe nasiona i zwierzęce czaszki, to już wiesz, jak wygląda prawdziwe życie i co ja robię, żebyś była spokojna? To ty nie masz o niczym pojęcia.

Marin przeszywa go wzrokiem.

— Mam dla ciebie złe wieści — oznajmia.

Boże, nie, myśli Nella. Nie w ten sposób! Otto upuszcza spory kawał torfu, a czarne okruchy rozsypują się po drewnianej podłodze.

— Burmistrzowie postawiliby cię pod pręgierzem za to, że nie masz męża, gdyby mogli! — przygaduje jej Johannes. — Jedyne, co miałaś do zrobienia, Marin, to dobrze i bogato wyjść za mąż… Ech! W ogóle wyjść za mąż, ale nawet to ci się nie udało! Robiliśmy co w naszej mocy, może nie? Próbowaliśmy, naprawdę próbowaliśmy, ale okazało się, że wszystkie guldeny Amsterdamu to za mało…

W gardle Marin rośnie mroczny, chrypliwy dźwięk, jej usta się wykrzywiają, a na twarzy ma wypisane lata zawiedzionych nadziei.

— Czy ty mnie słuchasz, Johannesie?

— Jesteś bezużytecznym, opuszczonym przez wszystkich utrapieniem, od dnia swoich narodzin…

— Zapukał do nas wczoraj twój Anglik. Twoja ćma burdelowa. I czy wiesz, co zrobił?

— Nie! — wyrywa się Nelli.

— Rezeki nie żyje. Możesz mu za to podziękować.

Johannes nieruchomieje.

— Coś ty powiedziała?

— To, co słyszałeś. Rezeki nie żyje.

— Jak…?

— Jack Philips wbił jej sztylet w kark na środku korytarza. Ostrzegałam cię. Mówiłam, że to niebezpieczny człowiek.

Johannes bardzo powoli wraca na krzesło, siadając na nim dziwnie ostrożnie, jakby nie ufał drewnu.

— Kłamiesz! — rzuca.

— Gdyby nie Otto, Jack Philips mógł wymordować nas wszystkich.

— Marin! — wybucha Nella. — Dość!

Johannes przenosi wzrok na żonę.

— To prawda, Nello? Czy może moja siostra kłamie?

Nella otwiera usta, ale jest w stanie tylko skinąć głową. Na ten znak Johannes zakrywa sobie usta, jakby próbował zdławić krzyk.

Otto wstaje z oczami pełnymi łez.

— Miał sztylet, panie. Zdawało mi się, że się zamierza… nigdy nie myślałem, że…

— Jack nie zginął, Johannesie — wtrąca się Marin. — Otto miał więcej miłosierdzia. Twój młody Anglik wstał i poszedł, a my zniosłyśmy Rezeki do piwnicy.

— Otto? — Johannes wypowiada imię służącego jak pytanie, które ledwo ośmiela się zadać. Odrywa dłoń od twarzy, która teraz jest jak czysta, otwarta przestrzeń, czekająca na przypływ fali żalu.

— Wszystko stało się tak szybko — szepcze Nella, lecz Johannes już jest na nogach i z dziwną energią przeciska się obok siostry i obok Cornelii, która stoi w drzwiach oniemiała z przerażenia. Słyszą, jak chwiejnym krokiem przemierza korytarz w kierunku schodów kuchennych. Nella rusza za nim i dociera do niej zgrzytnięcie drzwi do komórki. Jego żal niesie się echem po korytarzu.

— Moja mała — szlocha. — Moja maleńka, kochana… Co on ci zrobił?

Nella zakrada się za nim, choć bardzo chciałaby się wycofać, ale wie, że musi spróbować przynieść mu pociechę. Zastaje Johannesa na klęczkach, tulącego do siebie sztywne zwłoki w zakrwawionym worku. Łebek Rezeki spoczywa na ramieniu jej pana, rana lśni tłusto w półmroku, kły obnażone są niczym w krzywym uśmiechu.

— Tak mi przykro — szepcze Nella, lecz Johannes nie może wydobyć głosu. Patrzy na żonę załzawionymi oczami, pełen niedowierzania, ściskając swoją ukochaną.

Świadek

Przez następne dwa dni dom pozostaje zawieszony w ciszy. Marin nie wychodzi ze swojego alkierzyka, Cornelia planuje zawartość świątecznych paczek dla sierocińców — ciasta będą mniejsze niż poprzednio, mniej też będzie mięsa zapiekanego w cieście. Otto stroni od wszystkich i przesiaduje w ogrodzie, gdzie dłubie bez celu w zamarzniętej ziemi.

— Uszkodzisz cebulki, Toot — napomina go Cornelia, lecz chłopak nie słucha. Nella czuje zapach potrawki ze świńskich nóżek gotującej się na ogniu, dolatuje ją dzwonienie pokrywek i brzęk chochli akompaniujących smutkowi Cornelii.

Johannes oba wieczory spędza poza domem. Nikt nie pyta, dokąd idzie, bojąc się odpowiedzi. Drugiego wieczoru po sprzeczce Nella, sama w swoim pokoju, staje przed domkiem dla lalek i w gasnącym świetle bierze w dłoń miniaturkę Agnes. Gdzieś z domu dolatują do niej odgłosy torsji, chlust wymiocin do blaszanej miski, szmery, a potem odświeżający zapach herbatki miętowej na ukojenie żołądka. Ona też chciałaby oczyścić się ze zmartwień nagromadzonych w środku niej. Ma nadzieję, że Johannes jest w składzie na Wschodnich Wyspach i zajmuje się cukrem — choć w zachowaniu Agnes w Starym Kościele było coś tak denerwującego, że Nella nie może uwierzyć, iż jej gniew spowodowany był jedynie problemami finansowymi.

Ogląda dokładnie figurkę Agnes i nagle po plecach przebiega jej dreszcz, cała pokrywa się gęsią skórką. Wierzchołek głowy cukru trzymanej przez Agnes zrobił się zupełnie czarny. Krzyczy głośno i usiłuje zetrzeć nalot, ale ten jest jak sadza i tylko brudzi całą resztę. Próbuje oderwać stożek — myśląc, że zakopie go w ogrodzie i pozbawi go w ten sposób mocy — jednak główka cukru odłamuje się wraz z maleńką rączką Agnes.

Nella ciska okaleczoną laleczkę na podłogę, odłamana ręka ze zniszczoną głową cukru zaś zostaje jej w palcach.

— Wybacz — mamrocze, nie do końca wiedząc, kogo przeprasza: lalkę, Agnes czy miniaturzystkę. Szkoda wydaje się nieodwracalna i w jakiś sposób obciąża ją winą.

Zarodniki na powierzchni stożka mogły powstać wskutek deszczowej pogody — lecz kredens z domkiem dla lalek znajduje się na piętrze, gdzie wilgoć nie daje się tak bardzo we znaki. Może to sadza z komina — ale przecież domek stoi z dala od niego. Wszystkie te logiczne wyjaśnienia zdają się na nic. Czy ta czarna plamka była tam od początku, jak cętka na karku Rezeki — tak maleńka, że prawie niezauważalna? Czy może pojawiła się w niewytłumaczalny sposób w odpowiedzi na jej obawy dotyczące Agnes? Nie, to niemożliwe, perswaduje sobie Nella, nie bądź śmieszna. To po prostu jeszcze jedno ostrzeżenie, które przegapiła.

Nella patrzy na domek, na rząd maleńkich wypieków, kołyskę, obrazy, sztućce i książki, żałując, że nie zbadała figurek dokładniej, gdy tylko do niej trafiły. Czy jest tam więcej ukrytych przed jej wzrokiem, wybuchowych niespodzianek?

Marin podobno nienawidzi tych laleczek, bo są oznaką idolatrii — tylko że ten poczerniały stożek, czerwona plamka na sierści Rezeki, te nadzwyczajne wytwory pracy rękodzielniczki to coś więcej niż bałwochwalstwo. To wtargnięcie w jej życie, którego wciąż nie rozumie. Przedstawiana przez nie historia wydaje się dotyczyć Nelli, lecz to nie ona jest narratorką. Ta kobieta wprawia w ruch moje życie, myśli Nella, a ja nie umiem dostrzec konsekwencji.

Jeszcze raz zagląda do *Listy Smita*. Maksymy miniaturzystki, wciśnięte między karty, wyfruwają z otwartego tomu jak konfetti. Odnajduje jej ogłoszenie. „Praktyka u wielkiego zegarmistrza z Brugii, Lucasa Windelbrekego. Wszystko, a nic przecie”. Za każdym razem, kiedy idę do jej domu, myśli Nella, ilekroć walę jak obłąkana w jej zamknięte drzwi — niczego nie osiągam. Pora zmienić strategię. Wpatrując się w anons, nie może uwierzyć, że nie wpadła na to wcześniej. Koniec z sążnistymi listami, dosyć dowcipnych, na wpół filozoficznych ripost, koniec z bieganiem w chłodzie i kompromitowaniem się na Kalverstraat.

Nella zasiada pośpiesznie przy mahoniowym sekretarzyku, przypominając sobie swoje oczekiwanie na progu domu Johannesa tamtego pierwszego dnia, przechodniów nad Herengracht, chłopca ze śledziem, śmiejące się kobiety. Czy miniaturzystka znała ją już wtedy — czy zdawała sobie sprawę, z jakim wytęsknieniem Nella czekała, aż znajdzie się w tym pokoju, przy tym biurku, z kawałkiem papieru, na którym przyozdobi słowami przykre powitanie, jakie jej zgotowano?

Wyjmuje arkusz, zanurza pióro w atramencie i rozpoczyna list:

„Wielce Szanowny Panie Windelbreke!

Piszę w sprawie Pana niegdysiejszej praktykantki, o której pragnę zasięgnąć informacji.

Wiem o niej tylko tyle, że jest kobietą, wysoką, i jasnowłosą, która wpatruje się we mnie, jakby umiała wejrzeć w mą duszę. Zakradła się do mego życia, Seigneur, a miniatury, które mi przysyła, wpędzają mnie w coraz większą konfuzję. Nie rozumiem, dlaczego nie odpowie mi wprost, a jedynie czyni ze mnie bezwolny obiekt swej sztuki.

Niechże mi Pan powie, jak do Pana trafiła i dlaczego odeszła. Jakie działają w niej siły, że moje życie przedstawia w miniaturach — których zresztą nawet nie zamawiam, ale w miniaturach tak cudownie pięknych, o tajemniczym przesłaniu? Uznałam ją za swą nauczycielkę, a teraz również, zmiłuj się Boże, prorokinię — lecz jeśli była diabelskim posłańcem, którego musiał Pan oddalić, niech mi Pan o tym koniecznie napisze.

Czekam z bolesną niecierpliwością

Petronella…”

Ktoś puka do drzwi. Nella wsuwa list pod książkę, zasuwa kotary domku dla lalek i zbiera rozsypane maksymy miniaturzystki.

— Wejść — mówi.

Ku jej najwyższemu zdumieniu do pokoju wchodzi Johannes.

— Znalazłeś go? — pyta, owijając się szlafrokiem i wsuwając notki do kieszeni. Imię Jacka nie może jej przejść przez usta, ale to na pewno z nim Johannes spotykał się przez te dwie noce, choć nikt nie ośmielił się o tym wspomnieć.

— Niestety nie — odpowiada, rozkładając ręce niczym nieudolny złodziej, jak gdyby Jack mu się z nich wyśliznął.

— Johannesie, jesteś jak dziecko, które nie chce się przyznać, że ukradło racucha.

Johannes marszczy brwi, a Nella jest zaskoczona swoją bezpośredniością, lecz w rozmowach z Johannesem coraz trudniej jej taić uczucia. Johannes nie zaprzecza, ale próbuje ją obłaskawić.

— Petronello — zwraca się do niej — wiem, że nie jesteś dzieckiem.

Jego uprzejmość rani chyba jeszcze bardziej niż jego okrucieństwo.

— Nie rozumiem wielu rzeczy — mówi Nella, siadając na przykrytym kapą łóżku i patrząc w stronę domku z zasuniętymi kotarami. — Niekiedy widzę w tym domu przebłysk światła i czuję się obdarowana. Ale za to w inne dni tonę w niewiedzy.

— Podług tej miary istotnie wszyscy jesteśmy dziećmi — stwierdza Johannes. — Wtedy w bawialni… nie chciałem tak powiedzieć. Kiedy Marin… przez nią…

— Marin pragnie tylko, żebyś był bezpieczny, Johannesie. Tak samo jak ja.

— Jestem bezpieczny — odpowiada Johannes.

Słysząc to, Nella przymyka oczy z uczuciem głębokiego niepokoju. Jak trudno musiało być Marin przez te wszystkie lata troszczyć się o kogoś, komu się wydaje, że siłą własnej woli poradzi sobie z wszystkimi problemami! Jest obywatelem Amsterdamu i chyba wie o tym, że w pojedynkę tu nie przetrwa.

— Pewnie nie takie małżeństwo sobie wyobrażałaś — przyznaje.

Nella wpatruje się w niego i przez mgnienie oka widzi przyjęcia, poczucie bezpieczeństwa, cichnący śmiech pulchnych bobasów. Ta wizja wdziera się między nich i rozwiewa w czerń. Wszystko to jest udziałem innej Nelli — tej, którą nigdy nie będzie.

— Może byłam głupia, że cokolwiek sobie wyobrażałam?

— Skądże — zaprzecza Johannes. — Cóż innego nam pozostaje? — Stoi dalej w tym samym miejscu, ociągając się z odejściem. Nella przypomina sobie ostatnią przesyłkę od miniaturzystki: bułeczki i ciastka w maleńkim koszyczku, ukryte za kotarami w kolorze musztardy.

— Powiedz, sprzedałeś w Wenecji choć trochę cukru Agnes?

Johannes siada w nogach łóżka.

— To ciężka przeprawa, Nello — wzdycha. — Dosłownie i w przenośni. Znalezienie kupców o tej porze roku musi potrwać.

— A znalazłeś j a k i c h k o l w i e k?

— Owszem, paru. Kardynała i jedną z kurtyzan papieża. Ludzie są dziś chyba mniej majętni. — Uśmiecha się ze smutkiem.

— Będziesz musiał znaleźć chętnych na resztę. Marin naprzykrzałaby ci się jeszcze bardziej, gdyby wiedziała, że masz tylko dwoje kupców. Twoje szczęście, że to tylko ja.

Johannes się uśmiecha.

— Nie podejrzewałem, że okażesz się taką kobietą.

— Ja też się sobie dziwię. — Pierwszą obsesją Nelli jest nieuchwytna Norweżka, a drugą, by nie pozwolić majątkowi Johannesa zbutwieć. Nie taką wizję roztaczała przed nią mama w Assendelfcie.

— To miał być komplement — mówi Johannes. — Jesteś wyjątkowa. — Milknie zażenowany. — W styczniu popłynę znowu i wypracuję dla nich ten zysk. Mój towar zawsze się sprzedaje. — Rozkłada szeroko ramiona, jakby wielkość i przepych jego domu nad Herengracht były wystarczającym dowodem.

— Możesz mi to przyrzec, Johannesie?

— Przyrzekam.

— Już raz uwierzyłam w twoją przysięgę — mówi Nella. — Modlę się, byś tym razem jej nie złamał. — W tle zegar z wahadłem odmierza aksamitnie czas. — Proszę — mówi, podnosząc się z łóżka i delikatnie rozsuwając kotary domku. — Pragnę ci to podarować.

Wkłada mu w dłoń miniaturkę Rezeki. Johannes patrzy w dół, mrużąc zmęczone oczy, z początku niepewny tego, co widzi.

— Rezeki? — wykrztusza.

— Pilnuj jej dobrze.

Johannes zastyga na moment z oczyma wlepionymi w podobiznę swojego psa. Następnie podnosi ją, dotyka jedwabistego szarego futra, małych inteligentnych oczu, smukłych nóg.

— Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. W żadnej z moich podróży.

Nella zauważa, że Johannes nie skomentował czerwonej kropki. Jeśli woli jej nie widzieć, tym lepiej, myśli.

— To prezent świąteczny — mówi szeptem. — Wiem, że to nie jest ludzka podobizna, ale na wszelki wypadek nie mów burmistrzom.

Johannes, oniemiały ze wzruszenia, patrzy na nią i ściska podarek jak talizman pocieszenia. Nella zamyka za nim drzwi i z dziwnym spokojem słucha, jak jej mąż, stąpając cicho, wraca do swojego gabinetu.

Następnego dnia o świcie Cornelia brutalnie wyrywa ją ze snu. Niebo jest podzielone na pomarańczowe i ciemnobłękitne pasma — jest może piąta rano. Nella otrząsa się z koszmarów o przesiąkniętych krwią szmatach i kurczących się pokojach, a zimne poranne powietrze szybko ją otrzeźwia.

— O co chodzi?

— Obudź się, pani, obudź się!

— Nie śpię. Co się stało? — pyta, przyglądając się badawczo zaniepokojonej, ściągniętej twarzy Cornelii. Zdejmuje ją nagła trwoga. — Coś się stało Johannesowi!

Dłonie Cornelii odfruwają od ciała Nelli jak dwa zeschłe liście.

— Nie o pana chodzi, tylko o Ottona — szepcze służąca łamiącym się głosem. — Otto gdzieś przepadł.

Dusze i trzosy

Cornelia tańczy wokół Johannesa, zmuszona do pracy za dwoje służących. Wzuwa mu buty i wkłada do kieszeni paszteciki, jabłko, gestami troski walcząc z własnym lękiem. Johannes wsuwa ręce do rękawów kurtki.

— A gdzie mój brokatowy płaszcz? — pyta.

— Że też pytasz o niego w takiej chwili — wzdycha Marin, popielata ze zmęczenia.

— Nie mogłam go znaleźć — odpowiada Cornelia.

— Pójdę do portu i tam się rozejrzę — oznajmia Johannes. — Jak on mógł ot, tak, uciec?

— Rzuć też okiem na cukier! — woła Nella, wybiegając za nim na schody.

Johannes patrzy na nią z niedowierzaniem.

— Wpierw muszę się zająć Tootem — odpowiada. — Nie możemy go stracić.

Lecz Nella nie może przestać myśleć o przyczerniałym, malutkim stożku cukru na piętrze. To znak — miniaturzystka próbuje ich ostrzec, podobnie jak wcześniej w przypadku Rezeki. Można chyba coś zrobić, zanim stracą też cukier? Johannes jednak już poszedł, a żonie nie wolno zjawiać się w składzie męża bez zapowiedzi.

Na łóżku Ottona nie widać śladów szamotaniny, w pokoju nie ma połamanych mebli, nikt nie wyważył drzwi. Zniknął za to worek ubrań.

— Zabrał ten płaszcz, jestem pewna — stwierdza Cornelia.

— Może chce go sprzedać? — zastanawia się Nella.

— A mnie się zdaje, że go zatrzyma i będzie nosił. Dlaczego odszedł?

Nella nagle uświadamia sobie, że nie zapytała Cornelii, co porabiała w sypialni Ottona o piątej rano. Lecz służąca jest tak zgnębiona, że wnikanie w szczegóły mogłoby wyrządzić więcej szkód niż pożytku.

— Cornelio! — woła Marin z dołu. — Pozwól tutaj!

Szwagierka jest w bawialni i w trzech kubrakach, chuście i dwóch parach wełnianych pończoch niezgrabnie próbuje rozpalić torf w kominku. Gdy się

prostuje, sprawia wrażenie wyjątkowo masywnej i znacznie wyższej od Nelli czy Cornelii.

— Nie mogę rozpalić torfu — skarży się. Jej głos ślizga się jak masło na patelni.

— Toot zawsze rozpalał ogień, pani. — To nie duszący zapach torfu dławi Cornelię i powoduje, że łzy napływają jej do oczu. — Nie jestem w tym za dobra. — Służąca klęka przed paleniskiem, jej wymizerowane ciało odbija jak lustro smutek jej duszy. — Rozpytywałam wzdłuż kanału — chlipie. — Nie brali do Rasphuis ani do więzienia w ratuszu żadnych Afrykanów.

— C o r n e l i o — mityguje ją Marin, siadając na tym samym krześle, na którym spoczął Johannes na wieść o tym, co się stało z Rezeki. Ma przekrwione oczy i zachowuje się tak, jakby uwierały ją własne ubrania. Zjada kęs przyniesionego przez Cornelię placka z jabłkami sprzed tygodnia i odkłada go na bok.

Nella wysyła w myślach modlitwę do miniaturzystki, gdziekolwiek się teraz znajduje: Pani, ześlij memu mężowi parę skrzydeł. Niech dofrunie szybciej do odpływających statków i zatrzyma kochanego Ottona na tej ziemi.

— Ucieknie — mówi Marin, wyrywając Nellę z zamyślenia, i pociera skronie, jakby próbowała skupić się na jakiejś myśli, niespokojnie kołaczącej jej w głowie. — Do Londynu. Nad Tamizą ma szanse wtopić się w tłum.

— Mówisz to z taką pewnością — zauważa Nella.

— Powtarzałam mu, że nie ma się czego bać — włącza się Cornelia. — Czemu mnie nie posłuchał?

— Bo był przerażony — odpowiada Marin, oddychając coraz ciężej. Bierze kawałek placka i skubie go bez apetytu. — Lepiej, że odszedł — mruczy pod nosem, jakby do siebie. — W ten sposób chroni też nas. Poza tym wyobrażacie sobie, co by się stało, gdyby dopadli go burmistrzowie?

— Marin? — zwraca się do niej Nella. — Wiedziałaś, że ma zamiar odejść?

Kobieta wydaje się lekko zaskoczona tym pytaniem.

— Otto ma swój rozum — odpiera, odwracając wzrok i poprawiając spódnicę.

— Czy to ty kazałaś mu odejść? — drąży Nella, doprowadzona do furii wymijającymi odpowiedziami.

— To było mniejsze zło — odpowiada Marin. — Może sugerowałam, ale na nikogo nie wywierałam presji.

— Wiem coś o skuteczności twoich sugestii.

Cornelia patrzy przed siebie ze zgrozą.

— Ty go odprawiłaś, pani? Mówiłaś, że Jack na niego nie doniesie.

— Jack potrafi zaskoczyć na tysiąc sposobów. Gdyby tylko nadarzyła mu się okazja, żeby nas pogrążyć… Otto nie stanąłby nawet przed sądem, nie miałby szans, by to przeżyć.

— Ależ ty lubisz pociągać za sznurki, Marin! Przed sądem czy nie, może umrzeć gdzieś daleko.

Cornelia wstaje.

— To sługa jaśnie pana.

— Czyż nie jest też moim sługą!? — Marin ciska kawałkiem placka z jabłkami w ścianę, o mało nie trafiając w Cornelię. Służąca podskakuje, gdy ciasto eksploduje na olejnej polichromii przedstawiającej wiejską scenę, a rodzynki rozpryskują się jak czarne odłamki na sielankowych, malowanych owcach. — Czy nie chodzi mi wyłącznie o jego dobro?! — krzyczy. — Johannes ma to gdzieś!

— Właśnie go szuka!

— Johannes nie kocha nikogo oprócz siebie — syczy Marin. — I właśnie dlatego tu jesteśmy. — Rodzynki ześlizgują się z polichromii i spadają na podłogę jak ptasie odchody. Marin powoli wychodzi z bawialni, jakby nie mogła udźwignąć swoich ubrań.

*

Boże Narodzenie, jak marny cień swoich dawnych obietnic, mija smętnie, po Ottonie zaś wciąż ani śladu. Paczki z wiktuałami trafiają do przytułków, a Johannes urządza Rezeki pogrzeb w ogrodzie, pogrążonym w zimowym śnie.

— Nigdy nie widziałam pana w takim stanie — zwierza się Nelli Cornelia, blada od zmartwień. — Odczytał nawet ustęp z Biblii. Całkiem jakby go tu nie było.

Zgaszony i zamknięty w sobie Johannes wychodzi codziennie — jak zapewnia — po to, by wypytywać o zaginionego sługę i zabiegać

o sprzedaż cukru Meermansów. Nella myśli od czasu do czasu, że powinna powiedzieć szwagierce, że cały towar zalega w składzie, a Frans dostaje białej gorączki — lecz wydaje się, że żadna z nich nie może zbyt wiele zrobić, a nastroje Marin są nieprzewidywalne.

Zarodniki na miniaturowym stożku nie przestają spędzać jej snu z powiek. Sprawdza ich stan codziennie, pewna, że się rozprzestrzeniły. Stożek jednak się nie zmienia — i Nella szuka w tym oparcia, teraz już do głębi przekonana o profetycznych mocach miniaturzystki. Będę walczyć, by powstać, myśli. Problem wszelako w tym, że nie ma pojęcia, gdzie konkretnie powstanie. W ślepym zaułku, jak podejrzewa — *cul-de-sac*, żyjąc stłumionym, bladym życiem.

Nie potrafi sobie wyobrazić, gdzie może być Otto. Jego miniaturka jak dotąd niczego nie zdradza, toteż Nella zdaje się na krążące w domu teorie na temat miejsca jego pobytu. Marin upiera się, że wyjechał do Londynu, Johannes obstawia Konstantynopol, natomiast Cornelia jest przeświadczona, że nie opuścił niderlandzkich brzegów. Nie wyobraża sobie, że mógłby dobrowolnie tak się oddalić.

— Lepiej by mu było w mieście portowym — ocenia Nella. — W Assendelfcie ludzie zamykaliby mu drzwi przed nosem.

— Nawet w taki ziąb? — dziwi się Cornelia.

— Ja w to wierzę — odzywa się Marin.

— A ja nie wierzę, że zgodził się odejść — kontruje Nella, świdrując szwagierkę wzrokiem, lecz ona odwraca spojrzenie. — To do niego niepodobne.

— Jesteś tu raptem dwanaście tygodni, Petronello — wzdycha Marin. — Życia by nie starczyło, żeby móc przewidzieć, jak się kto zachowa.

Cornelia zaczyna opuszczać się w pracy: gorzej czyści octem i sokiem z cytryny, gorzej zamiata i poleruje, pierze, sprząta czy trzepie dywany. Nella wysłała swój list do Lucasa Windelbrekego i niecierpliwie wypatruje odpowiedzi. Zimowa aura może opóźniać przyjazd posłańca, tłumaczy sobie, bo też nic innego jej nie pozostaje.

Uznaje, że musi zapytać Marin, czy Johannes rozmawiał z nią o cukrze zalegającym w magazynach. Zastaje ją w holu, gdzie szwagierka ostatnio lubi się przechadzać, wpatrzona w przestrzeń salonu — tam gdzie posprzeczała się z bratem. Karmelizowane orzechy opuściły kryjówkę w jej pokoju i połówki łupin w miseczce na stoliku lśnią jak pancerze chrząszczy.

Nella przygląda się im w zdumieniu, bo to takie niepodobne do Marin, zajadać się słodkimi frykasami na oczach wszystkich. Gdybym się tak pokłóciła z Carelem, myśli, zjadłabym chyba tyle marcepanu, ile sama ważę.

— Marin, muszę cię o coś zapytać — rozpoczyna.

Tamta krzywi się i ciaśniej owija szalem.

— Czy coś się stało? — dopytuje Nella.

— Te orzechy — mówi Marin. — Przejadłam się. — Kieruje się po schodach do swojego pokoju, a okazja do rozmowy przepada.

Cornelia i Nella godzinami wysiadują w kuchni, gdzie jest najcieplej. Któregoś późnego popołudnia, kiedy Marin śpi, a Johannes jest poza domem, rozlega się szybkie, mocne pukanie do drzwi frontowych.

— A jeśli to straż po Toota? Boże, zmiłuj się — szepcze Cornelia.

— Tutaj go przecież nie znajdą, prawda? — Nella nigdy nie przyznałaby się do tego Marin, ale ulżyło jej, że Ottona nie ma. Wyobraża sobie Jacka wśród bandy członków Bractwa, z wyciągniętym oskarżycielsko palcem.

Pukanie nie milknie.

— Pójdę otworzyć — decyduje Nella, starając się utrzymać pozory, że panuje nad sytuacją. Co za dom! Wszystko tu jest na opak, myśli, tu nawet pani domu pierwsza wita gości.

Jednak przez szybę w oknie widać tylko jeden kapelusz z szerokim rondem i smutną, okrągłą twarz. Nella otwiera i doznaje ulgi, widząc, że to nie Bractwo Świętego Jerzego, zaraz jednak owo doznanie znika, gdy Frans Meermans zdejmuje kapelusz i wchodzi do środka jak gdyby nigdy nic. Grudniowy chłód wpada za nim do korytarza. Meermans kłania się, przesuwając w palcach rondo kapelusza.

— Pani Brandt — mówi od progu — przyszedłem zobaczyć się z twoim mężem.

— Znajdziesz go na giełdzie — odpowiada Marin.

Nella podskakuje i odwracając się, widzi szwagierkę na schodach. Jakby spodziewała się jego przyjścia, myśli. Atmosfera gęstnieje, a Nella wypatruje oznak łączącego tych dwoje dawnego uczucia. Nadaremno. Oczywiście, mówi sobie, Marin ma wprawę w zachowywaniu pozorów.

— Byłem na giełdzie — mówi Meermans. — I w siedzibie VOC. I w kilku tawernach. O dziwo, nie zastałem go tam.

— Nie jestem stróżem mego brata, panie — odpowiada Marin, a Meermans marszczy brwi.

— A szkoda.

— Zechcesz tymczasem napić się wina? — pyta Nella, gdyż Marin nie kwapi się, by wyjść z półmroku.

Meermans zwraca się w jej stronę.

— Powiedziałaś mojej żonie w Starym Kościele, pani, że twój mąż sprzedawał nasz cukier w Wenecji.

Nella czuje na karku baczny wzrok Marin.

— Tak jest, panie. Już stamtąd powrócił…

— Wiem o tym, pani. Każdy ruch kogoś takiego jak on jest bacznie obserwowany. Brandt wrócił od weneckich papistów. Boże Narodzenie minęło, Nowy Rok za progiem. Zadaję więc sobie pytanie: gdzie moje zyski?

— Z pewnością niebawem…

— Nie napisał do mnie, dlatego wczoraj wieczorem zaszedłem do składu przekonać się osobiście, jakie skutki przyniosła jego podróż do Wenecji, i tym razem zabrałem z sobą Agnes. Jakże tego żałuję! — Odwraca się gwałtownie w stronę Marin z wytrzeszczonymi w furii oczami. — Nie ubyło ani ziarenka, pani. Ani jednego przeklętego ziarenka mojego cukru. Jesteście beznadziejni, cały nasz majątek, cała przyszłość niszczeje w ciemnościach. Pomacałem… część cukru zmieniła się w p a p k ę.

Marin jest wyraźnie wstrząśnięta, nie potrafi opanować sytuacji i obrócić jej na swoją korzyść. Nellę ogarniają wyrzuty sumienia, gdy szwagierka miota się bezradnie, bezbronna wobec gniewu mężczyzny.

— Frans — wykrztusza Marin — to niemożliwe…

— To by wystarczyło, żeby zrujnować Johannesa Brandta, a Bóg mi świadkiem, że miałem już przedtem swoje powody. Jednak gdyśmy wyszli ze składu, zobaczyliśmy coś jeszcze gorszego. O wiele gorszego.

Marin wychyla się nieco z ciemności.

— Frans, on n a p r a w d ę sprzedaje ten cukier — mówi cicho. — Bądź pewien…

— Czy wiesz, pani, co widzieliśmy pod murem?

Cornelia wbiega po schodach z kuchni. Nella ma wrażenie, jakby serce podchodziło jej do gardła i chciało wydostać się na zewnątrz. Pragnie chwycić służącą za ręce i utworzyć krąg wokół tego człowieka, by zarówno jego, jak i jej serce utrzymać pod kontrolą. Powinnam była o wszystkim

powiedzieć Marin, myśli, a powietrze wokół niej wibruje od narastającego szału Meermansa. Szwagierka już wcześniej miała pewne podejrzenia, ale gdybym potwierdziła, że cukier pozostał nietknięty, a Frans już się o tym przekonał, może zdołałaby temu wszystkiemu jakoś zapobiec.

Marin kuli się na schodach, a Meermans napiera — i nie ma to nic wspólnego z wizją romantycznej, czułej miłości. Gdy patrzy na nią uporczywie, a ta odwraca wzrok, dwa obrazy z ich przeszłości odżywają w umyśle Nelli: dar w postaci peklowanego prosiaka i piękny liścik od Fransa, schowany w książce. Niech Frans będzie dla niej dobry, modli się.

— Widzieliśmy go — kontynuuje Meermans cichym i hipnotyzująco intensywnym głosem. — Ujrzeliśmy jego niegodziwość.

— O czym ty mówisz? — pyta Marin. — Jaką niegodziwość?

— Mniemam, że wiedziałaś od początku — odpowiada Meermans — jak się zabawia pod murami składu. Takiej rzeczy nie można wymazać z pamięci.

— Nie… — wydusza z siebie Marin.

— O tak — rzecze Meermans, prostując się i zwracając w stronę Nelli, która nie może oderwać oczu od jego triumfalnej miny. — Świat musi się dowiedzieć, pani, o tym, jak twój obmierzły mąż zażywał rozkoszy z… chłopcem.

Nella zamyka oczy, próbując nie dopuścić do siebie jego słów, ale jest już za późno. Gdy je otwiera, na twarzy Meermansa maluje się groteskowe zadowolenie. Och, nie ty pierwszy przynosisz mi te rewelacje, myśli Nella, unikając jego wzroku. Przynajmniej tyle wiem już sama.

Przedłużające się milczenie obu kobiet irytuje Meermansa.

— Johannes Brandt to zwyrodnialec — mówi, jakby chciał je sprowokować do ocknięcia się z oszołomienia. — Hańba tego miasta. Ja zaś dopełnię swego obowiązku jako pobożny obywatel.

— To musi być pomyłka — szepcze Marin.

— Wykluczone. Mało tego, chłopak utrzymuje, że został przez niego napadnięty.

— Jak to?! — wybucha Nella.

— Jesteś jego przyjacielem. — Marin nie może złapać tchu, dłoń osuwa jej się z poręczy. — Nie szukaj kary dla niego, wiesz przecież, czym to się skończy.

— Moja przyjaźń z tym człowiekiem umarła dawno temu.

— Dlaczego więc poprosiłeś go o pomoc? Dlaczego spośród wszystkich kupców wybrałeś właśnie mego brata?

— To Agnes się uparła — odpowiada Meermans, gwałtownym ruchem nasadzając sobie kapelusz na głowę.

— A ty się zgodziłeś. Czemu miałbyś się zgodzić, gdybyś nie czuł do niego żadnej sympatii?

Meermans ucisza ją ruchem ręki.

— Nasz cukier jest stracony tak samo jak jego dusza. Kiedy ujrzałem bluźnierstwo, jakiego się dopuszczał, to jakby sam Belzebub spadł nagle z nieba.

— Belzebub spadnie na nas wszystkich, Frans, jeśli nie przestaniesz! Mówisz o obowiązku względem Boga, a mnie się zdaje, że myślisz o swoich guldenach. Pieniądz, majątek… Przedtem taki nie byłeś.

To na pewno Jack, myśli Nella, stał przyciśnięty do murów składu. Prawie chciałaby, żeby to był on — byłby to przynajmniej jeden stały element w zmiennych kolejach tej tragedii. Zastanawia się, czy Johannes nadal jest w składzie, nieświadomy tego, że został zdemaskowany. Musi się o tym dowiedzieć, myśli. Musi jak najprędzej uciekać.

— Mówiłeś z moim mężem? — pyta.

Meermans patrzy na nią z szyderczym uśmiechem.

— Skądże — odpowiada. — Agnes była… Musieliśmy jak najpilniej opuścić to miejsce. Agnes do tej pory nie doszła do siebie.

— Nie żądaj tej zdobyczy, Frans — błaga Marin. — Zrujnujesz nas wszystkich. Możemy ustalić pewne sprawy…

— U s t a l i ć?! Nie waż się mówić do mnie o ustaleniach, pani. Johannes dosyć już naustalał w moim życiu.

— Frans, sprzedamy twój cukier i niech na tym się to skończy…

— Nie licz na to, Marin — odpowiada Meermans, otwierając drzwi gwałtownym ruchem. — Stałem się innym człowiekiem i nie mam zamiaru odwracać naturalnego biegu rzeczy.

Ucieczka

Gdy Frans Meermans wypada na mróz jak burza, Marin osuwa się na posadzkę. Ciężko na nią patrzeć. Wygląda jak ścięte, wyjątkowo piękne drzewo. Cornelia podbiega do niej, próbując służyć jej za podporę.

— Nie do wiary — mówi cicho Marin, wpatrując się w Nellę. — Czy to możliwe? Czy on rzeczywiście mógł być aż takim głupcem?

— Do łóżka, pani — stwierdza Cornelia, dźwigając Marin z desperackim wysiłkiem. Ugina się pod ciężarem pracodawczyni, a ona wyrywa się jej i siada na schodach w holu.

— Frans pójdzie z tym do burmistrzów. — Marin kiwa głową, a jej wygląd napawa grozą: martwy wzrok, bezwładne ciało, głos wyzuty z uczucia. — Przyszedł najpierw do nas nie po to, żeby ofiarować nam akt łaski. Przyszedł zatriumfować.

— Wobec tego musimy wykorzystać jego zadufanie — odzywa się Nella. — Johannes nie wie, że został nakryty. Ma tylko kilka godzin na ucieczkę.

— Pan też? — wzdycha Cornelia. — Nie poradzimy sobie we trzy.

— Masz coś lepszego do zaproponowania? — pyta Nella.

Hol pogrąża się w głębokiej ciszy. Zirytowana własnym zrzędzeniem Nella przesuwa palcami po jedwabistych uszach Dhany i myśli o poczerniałej głowie cukru na piętrze, zastanawiając się, gdzie może być teraz Johannes. Cukier pewnie rozjuszył Meermansa bardziej niż widok Johannesa delektującego się zakazanym owocem. Może guldeny uśmierzyłyby jego gniew na Brandtów.

— Nie wiem jak, ale musimy sprzedać ten cukier — decyduje. — Niemożliwe, by cały nadawał się do wyrzucenia.

Marin podnosi na nią wzrok.

— Skąd ta pewność?

— Meermans chce zapłaty. Może nie puści pary z ust, jeśli sprzedamy jego towar.

— Wierz mi, tego człowieka nic nie zmusi do milczenia. Poza tym co zamierzasz? Znasz tych wszystkich kupców w Europie i poza nią, Petronello? Londyńskich kucharzy, mediolańskich cukierników, księżne, markizów i sułtanów? Władasz pięcioma językami?

— Marin, szukam jakiegoś światełka w całym tym mroku.

Godzinę później Nella stoi przed domkiem dla lalek i szuka w pokoikach jakiegoś klucza, wskazówki, co powinna zrobić. Pozłacany zegar z wahadłem z okrutną regularnością przypomina jej o tym, że mąż jeszcze nie wrócił do domu, a czas leci. Jakie to dziwne, myśli, że jedne godziny wydają się nam długie jak dni, a inne ulatują tak szybko. Za oknem panuje przeraźliwy ziąb i Nella czuje, że drętwieją jej palce stóp. Wyobraża sobie swoje ciało bezwładne jak zmasakrowane szczątki tamtego mężczyzny znalezionego pod lodem. Szyba zaparowuje od jej oddechu. Chociaż tyle. Jeszcze jestem żywa, myśli.

Blask księżyca sączy się przez szparę między zasłonami, wyjątkowo intensywny, eksponuje każdy zawijas cynowych ornamentów, które zmienia w żywe srebro. Wszystkie dziewięć pokoików jest rozświetlonych, a twarze ich maleńkich mieszkańców niemal się jarzą. Kielich ślubny Nelli wygląda jak blady naparstek, a koronki przy kołysce lśnią jak pajęczyna. Oderwana rączka Agnes wciąż leży na krzesełku jak srebrny talizman, głowa cukru cała bieleje jak kość, z wyjątkiem wierzchołka. Nella bierze ją w palce i próbuje dociec, czy czubek stożka pociemniał jeszcze bardziej. Nie umie powiedzieć. Czarne zarodniki dalej straszą, a głowa cukru leży na jej dłoni jak zarażona chorobą.

Nie jestem nawet murarzem, a co dopiero architektem losu, myśli Nella. Pełne niedomówień maksymy miniaturzystki i jej piękne dzieła pozostają zamknięte w swoim własnym świecie — namacalne, a zarazem niedostępne. Tego wieczoru zdają się z niej drwić. Im trudniej Nelli zrozumieć motywy tej kobiety, tym bardziej wydaje się jej ona potężna. Dziewczyna modli się, by jej list dotarł do Lucasa Windelbrekego, może on coś wyjaśni, dzięki czemu łatwiej będzie odnaleźć klucz.

Bierze figurkę męża z domku i waży ją w dłoni. Czy miniaturzystka przewidziała również to — że Johannes zostanie zdemaskowany w porcie przez swojego wroga? Jego plecy są ciągle wygięte pod ciężarem sakiewki z pieniędzmi. Worek nie wygląda, jakby się zrobił lżejszy, i Nella próbuje się tym pocieszać.

Słyszy skrzypienie frontowych drzwi, a chwilę później znajomy odgłos zamykanych drzwi gabinetu. Odkłada podobiznę Johannesa z powrotem do domku, zbiega po schodach i wchodzi bez pukania.

— Johannesie, gdzieś ty był?! — Wbija stopy w miękkie wełniane włosie dywanika, przesiąknięte już na zawsze zapachem Rezeki.

— Nella?

Johannes sprawia wrażenie starego i zmęczonego — a przez to i ona czuje się starzej. Nie wie, że go przyłapano, myśli. Widać, że nie ma o niczym pojęcia. Nella podbiega do niego i chwyta go za rękawy.

— Musisz stąd odejść, Johannesie. Musisz uciekać.

— O co…?

— Jedno tylko musisz wiedzieć. Wiem, że się starałeś, jak mogłeś: z tym domkiem, ucztą u złotników, bukietami, sukniami. Rozmowy, jakich nie miałam z nikim…. Chcę, żebyś to wiedział… zanim będziesz musiał uciekać.

— Usiądź i spróbuj się uspokoić. Źle wyglądasz.

— Johannesie, nie. — Nella milknie, patrząc na mapy, dokumenty, pozłacany kałamarz… wszędzie, tylko nie w jego wpatrzone w nią, przenikliwe szare oczy. — Agnes i Frans… W i d z i e l i cię, Johannesie. Przed składem. Z młodym mężczyzną.

Johannes spuszcza głowę i opiera się o wysoki taboret. Wygląda, jakby zacięły się w nim jakieś trybiki, i teraz zwalnia aż do całkowitego zatrzymania.

— Burmistrzowie cię zabiją — mówi dalej, gdy mężczyzna nie odpowiada. Słyszy padające ze swoich ust słowa, rzucane na oślep, zlewające się ze sobą. — Czy to był… Jack? Jak mogłeś?! Nawet po tym, jak cię zdradził, po tym, co zrobił Rezeki…

— To nie Jack Philips mnie zdradził, Nello — odzywa się w końcu Johannes. Jego głos brzmi surowo jak nigdy przedtem. — Lecz to miasto. Wszyscy przez lata tkwimy w niewidzialnych klatkach, których pręty zrobione są ze zbrodniczej obłudy.

— Ale on…

— Nie ma nikogo, kto nie zmieniłby swojego zachowania pod stałą kontrolą, w tej świętoszkowatej pobożności. Sąsiad śledzi sąsiada, kręcąc sznury, którymi wszystkich związą.

— Ale powiedziałeś kiedyś, że to miasto nie jest więzieniem, o ile potrafimy wytyczyć sobie właściwą ścieżkę.

Johannes rozkłada ręce.

— Widocznie się myliłem. Wyruszę wieczorem, póki ucieczka jest możliwa.

Jest opryskliwy, zbolały, mówi nie swoim głosem. Nella czuje, jakby łamały się w niej kości, jedna po drugiej. Boi się, że osunie się na dywanik w gabinecie męża i więcej nie wstanie.

— Gdzie się schronisz?

— Wybacz, najmilsza — mówi Johannes, a ta czułość jest prawie nie do zniesienia. — Lepiej, żebyś nie wiedziała. Będą cię wypytywać o to, co wiesz, a mają swoje sposoby, żeby wydobyć odpowiedzi. — Grzebie w papierach na biurku, po czym wręcza jej kartkę papieru. — Przygotowałem listę osób, które mogą być zainteresowane cukrem. Przekaż ją Marin. Dobrze się zna na księgach rachunkowych, więc nie powinnyście mieć z tym żadnych kłopotów. Podam ci nazwisko mojego zaufanego pośrednika z Kompanii.

— Czyli będziemy musieli podzielić się prowizją? Zyski bardzo zmaleją.

— Szybko się uczysz. — Uśmiecha się z trudem, uchyla wieko szkatuły i wyjmuje z niej zwitek guldenów, a Nella zauważa, jak w środku jest pusto. — Nie wyobrażam sobie, jak mogłybyście go sprzedać bez pośrednika.

— Wrócisz?

Johannes wzdycha.

— Nello, to miasto nie przypomina żadnego innego na świecie. Jest olśniewające, ale nadęte, a ja nigdy nie uważałem go za swój dom.

— To gdzie jest twój dom?

Johannes omiata wzrokiem mapy rozwieszone na ścianie.

— Nie wiem — przyznaje. — Tam gdzie jest ukojenie. Ale trudno je znaleźć.

Tego wieczoru tylko Nella żegna Johannesa, odzianego w podróżną opończę i przygarbionego z zimna.

— Żegnaj — mówi Johannes.

— Będę… tęsknić.

Johannes kiwa głową, a Nella zauważa, że oczy zaszły mu łzami.

— Nie zostaniesz sama — pociesza ją, starając się opanować emocje. — Masz Cornelię.

Milknie, poprawiając rzemień torby, i wydaje się Nelli bezbronny, niczym staruszek, któremu kazano wyruszyć w świat.

— Mam przyjaciół w wielu krajach — mówi, jakby czytał jej w myślach. — Poradzę sobie. — Jego oddech jest jak gorący dym w mroźnym

powietrzu; Nella obserwuje, jak znika nad głową. — Będę myślał o tobie. Pilnuj Marin, Nello, strzeż jej… Ona potrzebuje tego bardziej, niż ci się wydaje. I nie pozwól, żeby karmiła cię samymi śledziami.

Żart trafia ją jak strzała i powoduje ból, którego ogromu się nie spodziewała. Nie potrafi unieść tego spóźnionego koleżeństwa, tej słodyczy wzajemnego zrozumienia, przegrywającej wyścig z czasem.

— Johannesie — szepcze — obiecaj, że wrócisz.

Lecz mąż nie odpowiada, gdyż ruszył już bezszelestnie ścieżką wzdłuż kanału — zaprawiony w sztuce znikania, z trzosem dyndającym u boku. Więcej go nie zobaczę, myśli Nella.

Ciemności gęstnieją, gwiazdy mrugają nieprzyjaźnie, ziąb kładzie się jak nóż na jej karku — mimo to nie rusza się z miejsca, dopóki Johannes nie rozpłynie się w mroku.

Podkowa

Budzi ją stukot na dworze. Nella przespała tę noc w gabinecie Johannesa; na policzku odcisnęły się jej sploty dywanika męża. W pierwszej chwili myśli, że to hałasują służące z domów nad Herengracht, gdy zanurzają szmaty w wiadrach, myją schody i wylewają z chlustem resztki tego ostatniego dnia 1686 roku. Na moment zapomina o wszystkim, wpatrzona w imponujące mapy Johannesa. Zaraz potem wracają falą wspomnienia gniewu Meermansa i ucieczki męża, mącąc jej myśli. Spogląda na sufit, gdzie plamy po dymie świec czernieją zupełnie jak skazy na miniaturowej głowie cukru Agnes.

Ktoś ją woła, piskliwym, histerycznym głosem — to Cornelia. „Pani Nello! Pani Nello!” Nella przeciera oczy. Stukot ucichł. Półprzytomna, staje na kufrze i wygląda przez okno. Czerwone wstęgi na wysklepionych piersiach, błysk wypolerowanego metalu, szable i pistolety. Bractwo Świętego Jerzego. Chwilę później rozlega się łomotanie do drzwi. Cornelia wpada do pokoju.

— To oni — szepcze przerażona. — Przyszli.

Nella przymyka powieki i w duchu składa szybką podziękę, że Johannes jest już na statku, daleko stąd. Marin stoi w korytarzu, tamci dalej dobijają się do drzwi, a one we trzy odbywają pośpieszną naradę. Do tego jeszcze Dhana wpada między nie i dokazuje.

— Poszedł? — pyta Marin. Gdy Nella kiwa głową twierdząco, przez twarz Marin przebiega skurcz bólu, szybko zamaskowany bardziej typowym dla niej wyrazem wymówki. — Nie ręczę za siebie w ich obecności — oświadcza, wstępując na schody, podczas gdy Nella próbuje okiełznać psa.

— Marin, chyba nie…

— Tylko stracę panowanie nad sobą, zwłaszcza jeśli jest wśród nich Meermans.

— Jak to? Chyba nie zostawisz mnie z nimi…

— Ufam ci, Petronello.

Marin znika im z oczu. Cornelia otwiera drzwi wejściowe i na progu staje sześciu oficerów Bractwa Świętego Jerzego, odzianych w kostiumy

bogatych rycerzy. Prezentują swoje srebrne i cynowe napierśniki, u ich bioder kołyszą się garłacze. Nella milczy z zaciśniętymi dłońmi, żołądek podchodzi jej do gardła. Z ulgą konstatuje, że nie ma z nimi Fransa Meermansa.

— Przyszliśmy po Johannesa Brandta — obwieszcza mężczyzna stojący najbliżej drzwi. Ma haski akcent i mówi w rytmie staccato, różnym od amsterdamskiego.

— Tutaj go nie ma, panie — odpowiada Nella, czując, jak wiotczeją jej mięśnie szczęki. Próbuje przypomnieć sobie władczą postawę Marin i naśladować ukrywającą się szwagierkę. Nie zapytam, po co przyszedł, myśli. Nie dam mu pretekstu, nie ustąpię ani na cal, nie pozwolę upokorzyć nas jeszcze bardziej.

Członek straży obywatelskiej patrzy jej w oczy. Jest rosły, mniej więcej w wieku Johannesa, łysy, ale za to z brodą bardziej okazałą niż u pozostałych, przetykaną siwizną i ufryzowaną w staromodne szpice.

— To gdzie jest? — grzmi.

— W podróży — odpowiada szybko Nella. Jej kłamstwo jest szybkie jak wdech, chociaż czuje się tak, jakby miała drewniany język, i trudno jej utrzymać przekonujący ton. Wyczuwa bijącą od tej grupy mężczyzn pewność siebie, gdy spoglądają na nią z góry, z połyskującymi medalami i odprasowanymi czerwonymi wstęgami, ponurymi znamionami braterstwa. Ich piersi wydymają się w jej stronę, podobnie jak pękate brzuchy, sycone najprzedniejszym jedzeniem.

— Wiemy, że tu jest — wtrąca się inny. — Nie chcesz chyba zamieszania na własnym progu, pani?

— Do widzenia panom — mówi Nella, próbując zamknąć drzwi, lecz jeden z oficerów wysuwa stopę i je blokuje. Ku uciesze swoich pięciu kompanów napiera na drewnianą płycinę i przez moment młoda kobieta i podstarzały wojak zwierają się w próbie sił. Tamten zwycięża i sześciu oficerów wchodzi gromadnie do domu, ich ciężkie kroki dudnią na marmurowych kafelkach. Zdejmują hełmy i omiatają wzrokiem gobeliny i obrazy, wypolerowane na błysk schody, kinkiety na ścianach, lśniące szyby w oknach. Wyglądają raczej jak notariusze, inwentaryzujący dobytek denata, niż jak wojskowi.

— Dziewczyno — warczy pierwszy z oficerów, dojrzawszy Cornelię. — Pójdź po swego pana. — Gdy Cornelia nie wykonuje najmniejszego

ruchu, kładzie dłoń na rękojeści szabli. — Przyprowadź go — rozkazuje — albo ciebie też zabierzemy.

— Podrzućmy ją do Spinhuis na małą lekcję dyscypliny — rechocze inny.

Nella przygląda się sześciu oficerom i zastanawia się, czy kiedykolwiek w życiu wąchali proch. Zanadto wydają się ich cieszyć paradne mundury. Uciekaj, Johannesie, prosi go w duchu, usiłując stłumić wzbierającą w niej panikę. Uciekaj najdalej, jak możesz.

— Już raz powiedziałam, nie ma go tutaj — powtarza Nella. — A teraz żegnam panów.

— Wiesz, czemu go szukamy? — pyta pierwszy oficer, podchodząc do dziewczyny. Pozostałych pięciu rozchodzi się i ustawia w podkowę wokół niej i Cornelii. — Jesteśmy tu z polecenia schouta Slabbaerta oraz głównego burmistrza z ratusza, pani Brandt. W więzieniu ratuszowym czekają na niego.

— Zamknij drzwi — mówi Nella do Cornelii, która podbiega spełnić polecenie. W holu robi się ciemniej, gdy służąca odgradza ich od życia na zewnątrz. Teraz zwraca się do mężczyzn: — Możecie pomówić z moim mężem, kiedy go znajdziecie.

— A zgubiłaś go, pani? — pyta jeden z pozostałych strażników.

— Idę o zakład, że wiem, gdzie go znaleźć! — rzuca inny, a pozostali jeszcze raz wybuchają gromkim śmiechem. Nella marzy o tym, by wszyscy padli w tym momencie trupem.

— Pewien Anglik doniósł o napaści na Wschodnich Wyspach, pani — wyjaśnia pierwszy z oficerów. — Angielski dyplomata już wyraził oburzenie w imieniu ichniego króla. Jest dwóch świadków, którzy to potwierdzają — dodaje.

Meermansowie musieli działać w porozumieniu z Jackiem, myśli Nella, chłopak dostanie zapłatę za odegranie jeszcze jednej roli. Agnes i Frans są mało prawdopodobnymi sojusznikami Jacka Philipsa, ale jakie to ma znaczenie w obliczu słodkiej zemsty? Nella wyobraża sobie, jak odrywa im miniaturowe główki — wszyscy troje poćwiartowani, pozbawieni mocy.

Czując, że sytuacja wymyka się jej spod kontroli, wodzi desperacko wzrokiem po twarzach oficerów, wypatrując cienia sympatii czy choćby zażenowania. Wystarczy jeden słaby punkt, a rozbije ich w pył. Jej wzrok pada na strażnika, który wygląda na starszego od Johannesa, ale ma tak samo ogorzałą, szczerą twarz. Kiedy ich spojrzenia się spotykają,

mężczyzna odwraca wzrok, a Nella, pełna nadziei, że dostrzegła u niego cień wstydu, chwyta się tego.

— Jak się zwiesz, seigneur? — pyta.

— Aalbers, pani.

— Co pan tu robi, panie Aalbers? To przecież poniżej pańskiej godności. Czy nie lepiej ścigać morderców, złodziei… — Ta taktyka nie działa, a Nella słyszy rozpacz i przerażenie w swoim głosie. — Mój mąż przyczynił się do rozkwitu naszej Republiki, czyż nie?

— Dopilnuję, aby dobrze go traktowano.

— Wrócisz do domu, do żony, panie. I o nim zapomnisz.

— Twój mąż, pani, napytał sobie biedy — odzywa się pierwszy ze strażników, stąpając ciężko po pełnym przepychu korytarzu domu Johannesa. — I żadne twoje starania go nie uratują.

Nellę ogarnia piekąca furia.

— Jak śmiesz?! — krzyczy, ruszając ku nim, a pozostali rozstępują się niczym ławica zaskoczonych ryb. — Wy ułomni ludzie, przystrojeni w cudze piórka!

— Pani! — mityguje ją Cornelia.

— Wynoście się — syczy. — Wszyscy! Zachowujecie się w moim domu jak bydlaki…

— Pani! — woła pierwszy z oficerów Bractwa z przeciwnej strony korytarza. — Daleko większym zbydlęceniem jest sodomia!

Ostatnie słowo zawisa w ciszy. Nella traci dech, zastygła między oniemiałymi mężczyznami. To słowo jest jak dynamit pod budynkami Amsterdamu, pod jego kościołami i pośród ziem tego kraju: wysadza w powietrze drogocenne życie. To najgorsze hasło w słowniku tego miasta, zaraz po „chciwości” i „powodzi” — oznacza śmierć i oficerowie straży o tym wiedzą. Zaskoczeni szarżą swojego przywódcy, nie potrafią spojrzeć Nelli w oczy.

Z piętra dochodzi ledwie słyszalny zgrzyt zamykanych drzwi, a z zewnątrz tupot biegnących stóp przełamuje tę dziwną, zawieszoną w czasie i przestrzeni chwilę. Wszyscy odwracają się, gdy mały chłopiec, mający, jak domyśla się Nella, nie więcej niż dziewięć lat, wtyka głowę zza drzwi frontowych. Jego buzia promienieje z zadowolenia. Otwartymi ustami próbuje złapać oddech.

— Znalazł się! — wykrzykuje.

— Martwy? — pyta Aalbers.

Chłopiec szczerzy zęby.

— Żywy! Dziesięć mil w głąb lądu. Dopadliśmy go.

Żołądek podchodzi Nelli do gardła, a kolana osuwają się na zimną, twardą posadzkę.

— Nie! — krzyczy. — To niemożliwe. — Ktoś pomaga jej się podnieść; to Aalbers. Delikatnie stawia ją z powrotem na nogi. Nella nadal jednak słania się pod ciężarem wiadomości, które na nią spadły, z trudem łapiąc oddech. Czuje się bardzo samotna wśród tych wszystkich mężczyzn, którym jest obojętne, czy jej mąż zasługuje na sprawiedliwy proces.

— Gdzie on był, Christoffel? — pyta pierwszy ze strażników.

— Popłynął statkiem na Texel. — Chłopiec przechodzi w głąb holu, a oczy wychodzą mu z orbit na widok otaczających go wspaniałości. — Oddział straży przedniej go dopadł. Miauczał jak mały kotek. — Wydaje z siebie miauknięcie.

— Na miłość boską — mamrocze Aalbers.

— Nie — szepcze Nella. — Kłamiesz.

Chłopiec uśmiecha się szyderczo.

— Żartował, że jeszcze nigdy nie był w Stadhuis. Teraz mu się odechce żartów.

Aalbers otwartą dłonią uderza chłopca po głowie.

— Trochę szacunku, pędraku! — sztorcuje go, a ten piszczy z bólu.

Pierwszy ze strażników powstrzymuje Aalbersa.

— Christoffel bardzo przysłużył się Republice — tłumaczy.

— Podobnie jak mój mąż — ripostuje Nella — w ciągu dwudziestu lat.

— Nie musimy już cię niepokoić, pani.

Ruszają w stronę drzwi.

— Czekajcie! — rzuca Nella, z trudem znajdując słowa. — Co… co mu zrobicie?

— Nie mnie o tym decydować, pani. Schout zbada dowody. Przesłuchanie, po nim rozprawa. Krótka, jak się spodziewam, jeśli to, co słyszeliśmy, okaże się prawdą.

Schodzą po schodach frontowych — Christoffel w podskokach, jak ich zwycięska maskotka — i kierują się wzdłuż kanału w stronę centrum. Aalbers ogląda się za siebie i żegna Nellę stanowczym, choć pełnym zażenowania skinieniem. Oficerowie maszerują nierówno, jak gdyby upojenie sukcesem wzięło górę nad dyscypliną. Niebawem ich krok staje

się zupełnie swobodny i trącają się łokciami. Śmiech Christoffela niesie się echem, aż w końcu wszyscy znikają jej z oczu.

Nella dygocze w sinym powietrzu styczniowego dnia. Tu i ówdzie kilka cieni w obramowaniach okien nad Herengracht cofa się przed jej spojrzeniem. Obserwuje ją, jak się wydaje, wiele par oczu, lecz nikt nie śpieszy z pomocą.

*

Cornelia siedzi zgarbiona na schodach w holu.

— Zabiją go — przepowiada.

Nella przykuca i kładzie dłonie na jej kolanach.

— Cicho, cicho! Musimy pójść za nim do Stadhuis.

— W żadnym razie. — Marin wyszła wreszcie, otulona w szal. W blasku świec jej sylwetka wydaje się jeszcze dłuższa.

— Dlaczego?

— Wzbudzicie tylko niepotrzebne zainteresowanie.

— Marin, musimy wiedzieć, co chcą z nim zrobić!

— Zabiją go — powtarza Cornelia i zaczyna się trząść. — Utopią w morzu.

— Chryste Panie, Cornelio…

Marin przymyka oczy, masując sobie skronie, a Nella czuje, jak bierność szwagierki, jej niechęć do podjęcia inicjatywy i zapanowania nad sytuacją budzą w niej prawdziwą złość.

— Marin, czy ty nie masz serca? Ja nie porzuciłabym swojego brata na pastwę losu.

— Przecież to właśnie zrobiłaś, Petronello. Zostawiłaś go w Assendelfcie, a sama uciekłaś.

— Nie nazwałabym tego ucieczką.

— Co ty wiesz o burmistrzach? — obrusza się Marin. — Ty, która całe życie biedowałaś na wsi, pijąc śmietanę od waszych krów?

— Jesteś niesprawiedliwa, Marin. Co się z tobą dzieje?

Marin schodzi w stronę Nelli stojącej u podestu schodów, krok po kroku, powoli, z dziwną precyzją.

— Wiesz, co zawsze powtarzał mi Johannes? — pyta, sącząc jad w zimnym powietrzu, aż Nelli jeżą się włoski na rękach. — „Wolność to wspaniała rzecz. U w o l n i j się, Marin. Pręty twojej klatki są twoim

własnym dziełem”. Uwalnianie siebie. Bardzo pięknie, ale zawsze ktoś musi za to zapłacić.

— Nic nie zrobimy, jeśli nie przestaniesz użalać się nad sobą. Miałaś swoją szansę…

Szwagierka wyciąga gwałtownie ręce i przyciska Nellę do ściany za nadgarstki.

— Zostaw mnie! — krzyczy dziewczyna, oszołomiona zachowaniem Marin. Cornelia zatacza się do tyłu, struchlała z przerażenia.

— Nie porzucam brata w potrzebie — syczy Marin. — To on mnie porzucił. Ja trzymałam wszystko w sekrecie, czego on nigdy nie umiał, ja spłacałam jego długi tak samo jak własne… Wiem, wydaje ci się, że teraz nas rozumiesz, ale jesteś w błędzie.

— Nie jestem.

Marin puszcza ją i pozwala jej wesprzeć się bezwładnie o krytą drewnem ścianę.

— Owszem, Petronello — cedzi przez zęby. — Ten węzeł jest dla ciebie za mocno splątany.

Ukryte ciała

Nella stoi na progu domu Johannesa, noworoczny wieczór mija bez żadnych ceremonii. Chciałaby zniknąć, dać się wchłonąć przez lodowate powietrze. Na ścieżce wzdłuż kanału nie ma nikogo, lód wije się białą wstęgą między domami nad Herengracht. Księżyc nad nimi jest ogromny — jeszcze nigdy takiego nie widziała — większy nawet niż poprzedniej nocy; zdumiewający swoją potęgą blady krąg. Nelli wydaje się, że mogłaby go dotknąć wyciągniętą ręką, jak gdyby Bóg zepchnął go z nieba specjalnie po to, by mogła go złapać.

Ma tylko nadzieję, że również Johannes może oglądać księżyc przez kraty swojej celi gdzieś w piwnicach Stadhuis. Próba ucieczki byłaby potwierdzeniem jego winy. Gdzie się podziewa Otto? I miniaturzystka? Gdyby nie Cornelia, myśli Nella, zapewne też bym uciekła. Podczas gdy prawdziwy dom się kurczy, tracąc mieszkańców jednego po drugim, domek dla lalek wydaje się coraz bardziej zaludniony i pełny życia.

Z otwartych drzwi za jej plecami uderza ją nagle dziwny zapach. Nella wraca do środka i odkrywa, że nie wydobywa się on ani z jednej, ani z drugiej kuchni. Z piętra dobiega stłumiony odgłos przełykania i gwałtownego łapania powietrza. Nella podąża za tą dziwną wonią i hałasem po schodach na górę, a potem tonącym w mroku korytarzem, aż do drzwi pokoiku Marin, spod których sączy się blask świec. Tym razem nie czuć tutaj słodkiej lawendy ani drewna sandałowego — tylko smród gnijących warzyw, który dławi Nellę w gardle.

Widocznie Marin pali jakieś okropne kadzidło, myśli. Tymczasem odgłos przełykania okazuje się szlochem. Nella nasłuchuje i pochylając się, by zajrzeć przez dziurkę od klucza, odkrywa, że czymś ją zatkano.

— Marin? — szepcze.

Nie słychać odzewu, ciągle tylko łkanie. Nella popycha lekko uchylone drzwi. W pokoju śmierdzi — jakby ściółką leśną, korzeniami i gorzkimi liśćmi zmacerowanymi w celu uwolnienia ich sekretnych właściwości. Marin siedzi na łóżku, trzymając kieliszek zielonkawej mikstury o barwie wód kanału — płyn wygląda, jakby do niego dodano mułu z dna Herengracht. Jej kolekcję zwierzęcych czaszek strącono na posadzkę,

niektóre potłukły się na zżółkłe kawałki różnej wielkości. Mapa na ścianie jest przedarta na pół.

— Marin? Boże kochany, co ty…?

Na dźwięk głosu Nelli Marin podnosi głowę — łzy ciekną jej po twarzy, a oczy zamykają się w poczuciu ulgi. Jej ręka opada i Marin pozwala odebrać sobie kieliszek. Nella wącha płyn i zbiera jej się na wymioty. Kładzie dłoń na policzku Marin, na szyi, na piersi, próbując ukoić jej wstrząsane spazmami ciało, zatrzymać potok łez.

— Co się stało? — pyta. — Uratujemy go, przyrzekam ci.

— Nie chodzi o niego. Ja nie…

Marin nie może sklecić zdania. Jej ciało wydaje się dziwnie miękkie w dotyku. Nella wciąż czuje zapach ohydnej mikstury w kieliszku i nachodzą ją mdłości. Myśli o niedyspozycjach Marin, jej bólach głowy, dziwnym apetycie na cukier, placki z jabłkami, orzechy w cukrze. Ciągłe zmęczenie Marin, jej zmienne nastroje — szwagierka to pszczeli ul, którego lepiej nie tykać, żeby nie zostać użądlonym. Jej obszerne stroje, zwolniony chód. Czarne suknie podbite futrem, tajemny liścik miłosny, podarty i unicestwiony. „Kocham Cię, kocham. Z każdej strony — kocham”. „Coś ty zrobiła?”, wołała Marin w pustkę, leżąc w lawendowej kąpieli.

Kobieta nie powstrzymuje obmacujących ją rąk, Nella schodzi więc coraz niżej, coraz wolniej, po jej pełnych, twardych piersiach, aż po nadbrzusze, ukryte głęboko pod zwojami spódnic z podwyższoną talią.

Gdy je przyciska dłonią, wydaje z siebie krzyk.

Czas staje w miejscu. Nie słychać słów. Tylko dłoń położona na łonie, zdumienie i cisza. Skrywany brzuch Marin jest twardy i ogromny, krągły jak księżyc w pełni.

— Marin? — szepcze dziewczyna, niepewna, czy w ogóle wydobyła z siebie jakikolwiek głos.

Nella wydycha powietrze, maleństwo obraca się w swoim malutkim domku, a gdy mała stópka kopie, dziewczyna przyklęka. Marin w dalszym ciągu milczy z uniesioną głową i oczami utkwionymi w jakiś niewidzialny horyzont, podpuchniętymi ze zmęczenia. Z jej twarzy powoli spływa trud utrzymania tajemnicy.

To nie jest maleńki płód. To dziecko prawie gotowe, by przyjść na świat.

— Nie wypiłabym tego — to jedyne słowa, jakie wypowiada Marin.

Ściany pokoju wydają się co najwyżej namalowanymi dekoracjami scenicznymi, które opadają, odsłaniając inny krajobraz, z rzadka dotychczas dostępny oczom postronnych. To widnokrąg rozciągający się we wszystkich kierunkach, bez żadnych drogowskazów ani punktów orientacyjnych — tylko niezmierzona przestrzeń. Marin siedzi bardzo spokojnie.

Nella myśli o maciupeńkiej kołysce w domku dla lalek i ciarki przebiegają jej po grzbiecie. Skąd miniaturzystka wiedziała? Wzrok Marin spoczywa na świecy — z pszczelego wosku, nie z kopcącego łoju, jedynie przyjemna woń miodu. Płomyk tańczy jak chochlik — maleńki bożek światła naśmiewający się z paraliżu, jaki dotknął ich myśli. Od czego zacząć, co powiedzieć?

— Nie mów nikomu — szepcze w końcu Marin.

— Marin, trzeba skończyć z tymi sekretami. Cornelia musi o tym wiedzieć.

Marin wzdycha.

— O ile jeszcze się nie domyśliła. Moczyłam podkłady w świńskiej krwi, żeby nie nabrała podejrzeń. — Obrzuca Nellę szybkim spojrzeniem. — A ty wyjątkowo dobrze znasz dziurki od klucza w tym domu.

— Ach, właśnie to robiłaś wtedy w komórce. A mnie się zdawało, że je pierzesz.

— Widziałaś to, co chciałaś widzieć.

Nella przymyka powieki i wywołuje z pamięci obraz Marin w piwniczce, z wysoko uniesionymi, usmarowanymi czerwienią rękami. Takich to starań dokładała, żeby utrzymać tajemnicę: preparowała swoją menstruację, stwarzała pozory, że jej ciało się nie zmieniło. Wyraźna wypukłość brzucha Marin jest fascynująca. Marin jakby się podwoiła — dwa serca, dwie głowy, cztery ręce, cztery nogi — niczym morski potwór do odnotowania w dzienniku pokładowym, do zaznaczenia na jednej z map podebranych Johannesowi. Ukrywała to tak umiejętnie.

Ile razy to się stało, ile było tych skradzionych momentów poza zasięgiem wzroku Agnes, Johannesa, całego miasta? To wstrząsające, tym bardziej że ten czyn popełniła Marin. Cudzołóstwo, skóra przy skórze i niech Biblię trafi szlag. Lecz to właśnie miłość, myśli Nella, każe nam robić takie rzeczy.

Marin ukrywa twarz w dłoniach.

— Frans — mówi cicho, a jego imię zawiera wszystko, co dotąd ukrywała, prawdę, która może zrujnować jej życie.

— Gniewał się o cukier, Marin. On cię kocha. — Marin podnosi głowę, a na jej umęczonej twarzy maluje się zaskoczenie. — Powiedz mu o dziecku. Gdy się dowie, nie skrzywdzi Johannesa, bo taki czyn zagroziłby twemu dobru.

— Nie, Petronello — odpowiada Marin. — To nie jest jedna z historyjek Cornelii.

Przez moment siedzą w milczeniu, a Nella przypomina sobie złowrogą agresję Meermansa, triumf w jego oczach, gdy wyjawiał, co razem z Agnes widzieli.

— Marin, ludzie nie muszą o tym wiedzieć. Mamy wprawę w ukrywaniu różnych rzeczy.

Marin trze oczy.

— Nie byłabym taka pewna. — Bierze głęboki oddech. — Jeśli to dziecko przeżyje, będzie naznaczone.

— Naznaczone?

— Grzechem matki, grzechem ojca…

— Marin, to dziecko, a nie diabeł. Mogłybyśmy wyjechać — podsuwa Nella łagodniejszym głosem. — Zabrać cię na wieś.

— Na wsi nie ma co robić.

Nella gryzie się w język i przyjmuje przytyk.

— No właśnie. Nie ma wścibskich spojrzeń.

— Wiesz, jak jest po francusku „brzemienna”, Nello? *Enceinte*.

Nella czuje się rozdrażniona — Marin jest tak podobna do swego brata w tym odwracaniu uwagi słowami obcymi, chowaniu się za fasadą światowości.

— Czy wiesz, co jeszcze to znaczy? — drąży Marin, a Nella wychwytuje ledwie słyszalną nutę paniki w jej głosie. — Otoczona. Obwarowana. W p o t r z a s k u.

Nella klęka przed szwagierką.

— Który to miesiąc? — pyta, siląc się na rzeczowy ton.

Marin wypuszcza powietrze, kładąc ręce na brzuchu.

— Siódmy czy coś koło tego.

— S i ó d m y?! Nigdy bym się nie domyśliła! Odkąd pamiętam, moja matka była ciężarna cztery razy, ale po tobie niczego nie widziałam.

— Bo nie patrzyłaś, Nello. Poszerzyłam spódnice i obwiązywałam piersi — wyznaje Marin.

Nella uśmiecha się mimo woli — nawet w tej szczególnej sytuacji akt krępowania swego ciała i ukrywania prawdy przed obcymi spojrzeniami napawa Marin dumą.

— Tylko teraz trudniej mi chodzić. Jakbym miała przed sobą globus.

— Lada dzień to zacznie być widoczne, choćbyś miała na sobie nie wiadomo ile spódnic czy chust.

— Przynajmniej jestem wysoka. Będę wyglądać jak żarłok, personifikacja mojego grzechu.

Nella rzuca okiem na kieliszek. Ten preparat mógł ją z łatwością zabić. Preparat — już sama nazwa brzmi, jakby to był początek czegoś, choć w rzeczywistości byłby to koniec. Jedna dziewczyna w Assendelftu zmarła po wypiciu mikstury z ciemiernika i jasnoty. Kompani jej brata wzięli ją gwałtem, a jeden „zaszczepił w niej dziecko”, jak się mawiało. Jej ojciec przyrządził miksturę i coś poszło nie tak, gdyż pochowali ją nazajutrz rano.

Większość ludzi ze wsi potrafi rozpoznać trującego grzyba, śmiercionośny krzak. Siódmy miesiąc to zdecydowanie za późno, myśli Nella, i po tylu staraniach, by wszystko ukryć, Marin też dokonałaby żywota. Czy zdaje sobie z tego sprawę, czy też nie? Obie możliwości ją niepokoją.

— Skąd wzięłaś truciznę?

— Z książki — odpowiada Marin. — A ingrediencje od trzech różnych aptekarzy. Johannesowi się zdaje, że wszystkie nasiona i liście skradłam jemu, a w rzeczywistości połowa z nich pochodzi od amsterdamskich znachorów.

— Ale czemu akurat dzisiaj? Czy myślałaś już o tym przedtem? — Szwagierka odwraca wzrok, odmawiając odpowiedzi. — Marin, te mikstury są bardzo niebezpieczne, jeśli się ich nie wypije dostatecznie wcześnie. — Nella nie daje za wygraną, lecz Marin wciąż milczy.

— Marin, czy chciałaś, by to dziecko żyło?

Kobieta dotyka swego brzucha i w dalszym ciągu nic nie mówi, tylko patrzy w dal. Wzrok Nelli wędruje na stertę książek. Zwłaszcza jeden tytuł przyciąga uwagę, *Choroby dziecięce* Stephanusa Blankaarta. Nella nie może wyjść ze zdumienia, że nie zastanowiła jej obecność tej książki, kiedy ostatnio była w tym pokoju.

Marin także skupia uwagę na woluminie. Wygląda na przestraszoną i dziwnie młodą. Nella ujmuje jej rękę, z dłoni do dłoni przebiega lekki impuls.

— Pamiętam, jak wyciągnęłaś do mnie rękę w dniu mego przyjazdu — mówi Nella.

— Niemożliwe.

— Marin, pamiętam dokładnie.

— Dałaś mi swoją rękę jak podarunek. Byłaś taka… pewna siebie.

— Wcale nie byłam. A ty wyciągnęłaś swoją, jakbyś wskazywała mi z powrotem drogę na zewnątrz. Stwierdziłaś, że mam mocne kości jak na swoje siedemnaście lat.

— Cóż za bzdurna uwaga. — Marin wydaje się zdumiona.

— Zwłaszcza że miałam osiemnaście.

To chyba skóra Marin wydelikatniała; rozmowa w każdym razie jest zakończona. Ciężarna opiera się całym ciałem o Nellę w kojącym wytchnieniu. Dziewczyna nie może uwierzyć, co przyniósł ten wieczór, w tym maleńkim pokoiku pełnym map. To zbyt wielkie zdarzenie, by je w sobie pomieścić — umysł Nelli bada je ostrożnie, przyswaja sobie powoli. Ciśnie się jej na usta wiele pytań, ale nie ma pojęcia, od czego zacząć.

Gdy obie odpoczywają w tym niezwykłym stanie, Nelli nasuwa się pewna myśl. To dziecko mogłoby służyć jako dowód, że Johannes jest takim mężem, jakim być powinien — założycielem wzorowej niderlandzkiej rodziny. Gdy jednak zerka na pobladłą twarz Marin, powstrzymuje się. „Oddaj mi swoje dziecko, Marin, by ocalić los swego brata”. Niełatwo wypowiedzieć takie słowa, a usłyszeć je pewnie jeszcze trudniej. Całe życie Marin jest pasmem poświęceń, dlatego taką sugestię trzeba podsunąć jak najdelikatniej.

— Będziemy musiały znaleźć akuszerkę — mówi łagodnym tonem.

— Musisz pójść do składu i skontrolować cukier — brzmi odpowiedź Marin, a jej ciało sztywnieje.

— Marin! Co zrobimy z tobą?

Nella nie może się nadziwić zdolności Marin do takiego rozdwojenia — wiadomość o dziecku wsunęła sobie do kieszeni jak klejnot. Szwagierka dźwiga się niepewnie z łóżka i balansuje między rozsypanymi czaszkami. Bez wierzchnich spódnic doskonale widać wypukłość jej brzucha, wznoszące się, krągłe piersi. Za ścianami zakotwiczonego ciała Marin fika

koziołki maleństwo, własność i właściciel, a nieznana mu jeszcze matka jest dla niego bogiem. Dziecko zagości tu niebawem i Nella wie — mimo nadziei na szczerość — że będzie to największy sekret, jakiego kiedykolwiek dane im będzie strzec.

Wzmianka o cukrze przywodzi jej na myśl coś, o czym prawie zapomniała.

— Johannes dał mi nazwiska kupców na cukier — informuje niechętnie, gdyż wolałaby, żeby Marin nie odwracała swojej uwagi od dziecka.

— To dobrze.

Zanim jednak podejmuje temat, z korytarza dobiega szurgot oddalających się kroków.

— C o r n e l i a — zaperza się Marin. — Całe życie nic innego nie robi, tylko podsłuchuje pod drzwiami!

— Pomówię z nią.

Marin wzdycha.

— Chyba musisz, zanim wymyśli następną fantastyczną historię.

— Nie będzie takiej potrzeby — rzuca Nella, podchodząc do drzwi. — Nic nie jest tu bardziej fantastyczne od prawdy.

Zerwana kotwica

W pokoju Nelli Cornelia jest z początku milcząca i harda, lecz w końcu daje za wygraną i pada na łóżko, jakby jej kości obróciły się w proch.

— Wiedziałam — mruczy, lecz zdumienie na jej twarzy mówi co innego. Nella podbiega do służącej i mocno ją obejmuje. Biedna Cornelio, myśli. Zostałaś wystrychnięta na dudka, pod twoim okiem rozegrało się monumentalne szalbierstwo. To największy figiel, jaki spłatała Marin, tyle że na serio.

— Przeczuwałam, że coś jest nie tak — podejmuje Cornelia. — Ale nie chciało mi się wierzyć. D z i e c k o?

— Plamiła swoje podkłady krwią zwierząt, żeby nas wywieść w pole.

— Sprytny pomysł — przyznaje Cornelia, a dezaprobata widoczna na jej twarzy zmienia się w mimowolny podziw.

— Z pewnością sprytniejszy niż bycie panną w ciąży.

— Proszę jaśnie pani! — Cornelia wygląda na oburzoną, a Nella uświadamia sobie, że nie powie tej sierocie o miksturze Marin. Chociaż mogłaby przysiąc, że ich Królowa Dziurek od Kluczy i tak wszystko już słyszała.

Dziecko jest w drodze. Sekret Marin ujrzał światło dzienne i teraz Nella widzi go wszędzie: w wydętych zasłonach, w krągłości poduszek w swojej sypialni. Omijając wzrokiem Cornelię, wpatruje się w swoje puste łóżko. Marin ma to jedno, czego ja nigdy nie zaznam. Niechcący wkracza w jej umysł obraz Meermansa i Marin razem. Ich dwa ciała, jego nabrzmiała męskość wciskająca się między jej uda, rózga boleści — on zdejmuje jej pończochy, otwiera ją, krzyczy w uniesieniu. To takie niesprawiedliwe, myśli. Prawdopodobnie działo się tam o wiele więcej — bo to przecież mężczyzna, który był przekonany, że jeden dotyk Marin czuje przez tysiące godzin, że ogrzewa się w jej blasku. To nie mogła być zwykła, przelotna miłostka.

— Co zrobimy z dzieckiem? — pyta Cornelia.

— Marin mogłaby je oddać do prywatnego przytułku, jak sądzę.

Cornelia zrywa się na równe nogi.

— Boże, nie! Musimy je zatrzymać, pani.

— Cornelio, nie tobie o tym decydować — mówi Nella. — Ani mnie — dodaje, myśląc o Johannesie w więziennej celi.

Służąca krzyżuje ręce.

— Pilnowałabym tego dziecka jak lwica!

— Z pewnością, Cornelio, ale nie śnij o czymś, czego nie możesz mieć.

To zbyt surowe słowa i Nella o tym wie, lecz zmęczenie bierze górę. Tak mogłaby się odezwać Marin. Służąca idzie w stronę domku dla lalek. Księżyc skrył się za chmurą, a blask świec kładzie się zmienną poświatą na szylkrecie.

Cornelia niby od niechcenia odsuwa żółte aksamitne kotary i zagląda do środka. Nella, zawstydzona swoim wybuchem, nie powstrzymuje jej. Cornelia wyjmuje kołyskę i kołysze nią na dłoni.

— Jakie to piękne — szepcze.

Powinnam była zauważyć, myśli Nella, że z wszystkich przedmiotów, które Marin chciała potrzymać, kołyska była pierwsza. Ilu jeszcze rzeczy nie spostrzegłam? Zbyt wielu — i wielu nadal nie widzę.

Cornelia już wyciągnęła figurkę Marin.

— To o n a — mamrocze, wpatrując się w laleczkę z niedowierzaniem. — Jakbym trzymała ją w dłoni!

Miniaturowa Marin przygląda się uporczywie obu kobietom szarymi oczami, ze stanowczą miną. Cornelia przesuwa palcami po szwie spódnicy swojej pani — czarna, suto marszczona wełna jest przyjemna w dotyku. Ogląda ją pod światło.

— Bądź bezpieczna, pani — szepcze, ściskając laleczkę w obu dłoniach. Gdy jej usta dotykają malutkiego brzucha, by złożyć tam pocałunek, służąca gwałtownie odchyla głowę.

— Co się stało? Cornelio?

— Coś tam jest.

Zaniepokojona Nella wyrywa jej z rąk laleczkę, podnosi spódnice, a potem halki, warstwa po warstwie, aż dociera do tułowia Marin z wypchanego płótna. Gdy w gorączkowym podnieceniu dotyka go palcami, z jej piersi wydobywa się gwałtowne westchnienie. Miniaturzystka znowu z nimi wygrała.

Pomniejszone ciało Marin mieści w sobie niepozostawiającą wątpliwości wypukłość nienarodzonego dziecka. Zalążek, orzeszek, jeszcze nic, ale już niebawem. Laleczka wydaje się przeciążona jak kobieta w głębi korytarza — rosnącym z upływem czasu brzuchem.

Cornelia jest przerażona.

— Kazałaś zrobić miniaturę pani Marin z d z i e c k i e m w brzuchu? — W niebieskich, błyszczących jak koraliki oczach służącej pojawia się wyrzut, a Nella czuje, jakby jej ciało również stawało się ociężałe. — Jak mogłaś zdradzić nas w ten sposób, pani?

— To nie tak, nie tak — protestuje Nella. Zaczęło się: obluzowana cegła, dziura w tamie.

— Wiesz, jak rozchodzą się plotki…

— Ja… ja jej nie zamówiłam, Cornelio.

— To kto? — Cornelia wygląda na osłupiałą.

— Przysłano mi ją. Prosiłam tylko o lutnię i…

— W takim razie kto nas szpieguje? — Służąca potrząsa laleczką jak tarczą i obraca się w kółko, rozglądając się po pokoju.

— Miniaturzystka nie jest szpiegiem, Cornelio. Jest kimś więcej…

— M i n i a t u r z y s t k a? Sądziłam, że te wszystkie liściki trafiają do rzemieślnika.

— To prorokini; spójrz na brzuch Marin! Ona widzi nasze życie, próbuje nam pomóc, ostrzec nas…

Cornelia wyjmuje kolejne laleczki, obmacuje je w poszukiwaniu dalszych wskazówek i jedną po drugiej rzuca na podłogę.

— Ostrzec? Kim ona jest? O co chodzi z tą miniaturzystką? — wypytuje, ściskając w garści swoją maleńką podobiznę i wpatrując się w nią ze zgrozą. — Jezusie słodki, żyłam porządnie, jaśnie pani, byłam posłuszna. Ale odkąd ten domek znalazł się u nas, tyle drzwi się otwarło, które zawsze starałam się trzymać zamknięte.

— Czy to takie złe?

Cornelia patrzy na Nellę jak na obłąkaną.

— Pan jest w więzieniu, Otto odszedł, a pani Marin skrywa owoc występnego czynu, którego się dopuściła z wrogiem tego domu! Nasz świat się rozpadł, a ta… miniaturzystka… cały czas nas obserwuje? Niby jak nas ostrzegła, jak nam pomogła?

— Przykro mi, Cornelio, strasznie mi przykro. Nie mów, proszę, o niczym Marin. Sądzę, że miniaturzystka zna wszystkie odpowiedzi.

— Ona jest tylko zwykłym szpiclem — piekli się Cornelia. — Tylko Pan Bóg pociąga za sznurki.

— Ale skoro my nie wiedziałyśmy o ciąży Marin, to skąd ona mogła o tym wiedzieć?

— Odkryłybyśmy to same. Przecież odkryłyśmy. Nie musiała nam tego mówić.

— Popatrz na to. — Nella pokazuje Cornelii główkę cukru z czarnym nalotem. — Kiedy tutaj trafiła, była zupełnie biała.

— To sadza z paleniska.

— Nie chce zejść. A Rezeki miała plamkę na łebku, dokładnie w miejscu, gdzie Jack wbił sztylet.

Cornelia odstępuje od kredensu z domkiem.

— Co to za wiedźma? — prycha.

— To nie żadna wiedźma, Cornelio. To pani z Norwegii.

— Norweska czarownica, która została amsterdamskim szpiegiem! Jak ona śmie przysyłać ci te diabelskie…?

— Nie są diabelskie…

Gorycz Cornelii wypala w sercu Nelli czarny ślad. Czuje się, jakby to ją ktoś analizował tak samo jak jej sekretną miniaturzystkę, jakby tę jedyną rzecz, którą ma, rozkrojono i dzielono się jej wnętrznościami.

— Cornelio, nie miałam w tym mieście nic swojego. Nic. A ona się mną zainteresowała. Nie pojmuję, dlaczego wybrała akurat mnie, nie zawsze rozumiem jej komunikaty, ale staram się…

— Co ona jeszcze wie? I co ma zamiar zrobić?

— Nie mam pojęcia. Wierz mi, prosiłam, by tego zaniechała, ale bez skutku. Jak gdyby rozumiała moje nieszczęście i nie ustępowała.

Cornelia marszczy czoło.

— Przecież próbowałam, starałam się, żebyś była szczęśliwa. Byłam tu…

— Wiem o tym. Udało mi się jedynie ustalić, że terminowała u zegarmistrza w Brugii. Napisałam do niego, lecz on milczy tak samo jak ona. — Nella słyszy, jak jej głos z wolna przechodzi w szloch, gorące łzy cisną się jej do oczu. — Ale jak to powiedział Pellicorne? Nie ma nic ukrytego, co nie zostałoby ujawnione.

— Kobieta nie może terminować — prycha Cornelia, nie zważając na strapienie Nelli. — Żaden mężczyzna nie chciałby uczyć kobiety. Nie przyjęliby jej do żadnego cechu oprócz szwaczek albo tych śmierdzących zbieraczy torfu. Zresztą jaki by to miało sens? To mężczyźni tworzą świat.

— Ona tworzyła minuty i sekundy, Cornelio. Stworzyła czas.

— Gdybym nie dusiła dla ciebie jesiotrów, nie przyprawiała dla ciebie paszteciков i nie myła okien, sama mogłabym stworzyć czas. Mogłabym

robić diabelskie marionetki i szpiegować ludzi…

— Tak się składa, że szpiegujesz ludzi. Pod tym względem jesteś zupełnie jak ona.

Rozpalona i zadyszana Cornelia zaciska usta i wsadza swoją miniaturkę z powrotem do domku.

— W c a l e nie jestem do niej podobna.

Nella zbiera pstrokatą trupę małych aktorów.

— Nie powinnam była się denerwować, Cornelio — mówi cichym głosem.

Zapada cisza.

— Je też nie, pani. Ale tyle się ostatnio pozmieniało. Wszystko się rozpadło.

— Wiem, Cornelio. Wiem.

Nella zaciąga kotary w domku dla lalek, by zaprowadzić choć chwilowy spokój. W niemej odpowiedzi Cornelia zasuwa zasłony w oknie sypialni i obie stoją teraz w dusznym półmroku.

— Muszę zajrzeć do pani Marin — mówi służąca i zdecydowanym ruchem odwraca się plecami do domku.

Gdy Nella zostaje sama, wyobraża sobie miniaturzystkę jako jeszcze młodszą kobietę na progu życiowej decyzji. Może Cornelia ma rację — może nikt nie kupowałby zegarów od miniaturzystki, woląc te, które zbudowali mężczyźni. Nigdy nie mogłaby rozwinąć swych umiejętności, w świecie zdominowanym przez mężczyzn, więc skierowała swoją uwagę do wewnątrz. W którym momencie postanowiła zająć się intymniejszymi, nieprzewidywalnymi wyborami duszy i dlaczego zwróciła uwagę właśnie na mnie? Nella opiera czoło o boczną ścianę domku, chłodne drewno dotyka jej skóry. Pokazując mi moje własne życie, myśli Nella, miniaturzystka stała się jego autorką. Chcę je odzyskać.

IV

STYCZEŃ 1687 ROKU

„A otoście dziś jako gwiazdy niebieskie
w mnóstwie swojem…
Jakoż sam znosić mam ciężką pracę około
was, i brzemię wasze, i swary wasze?”

PIĄTA KSIĘGA MOJŻESZOWA 1, 10–12

Zarodniki

Pierwszy dzień nowego roku to dla amsterdamczyków czas otwierania okien na oścież w bohaterskim akcie rytualnego wpuszczania zimnego powietrza, oczyszczania domów z pajęczyn i złych wspomnień. Nella jest przebrana za służącą, a Cornelia pomaga jej wciągnąć buty i zawiesza jej na szyi, niczym medal, klucz do składu Johannesa.

To jeszcze nie Trzech Króli, czas zamiany ról, ale kobiety nie mają chwili do stracenia. Służąca wygląda, jakby spodziewała się wizyty samego Lucyfera i jego pomagierów, ale przyrzekła, że nie powie Marin o sekrecie ukrytym pod spódnicami jej maleńkiej podobizny ani o przyczernionym czubku stożka cukru Agnes.

— Marin potrzebuje spokoju — zdecydowała Nella. — Pomyśl o dziecku.

Nella podciąga pod szyję kołnierz szorstkiego płaszcza Cornelii. Próbuje stać prosto i zdecydowanie, ale czuje, że się zapada głębiej, niż wydawało jej się to możliwe, w bagna i mokradła tego miasta, z powrotem w czasy błota i morza.

— Nie powinnaś iść na Wschodnie Wyspy sama — stwierdza Cornelia.

— Nie mamy wyboru. Musisz zostać z Marin. Nie zabawię tam długo.

— Weź z sobą Dhanę. Będzie cię pilnować.

Nella wychodzi z domu i kieruje się w górę Herengracht. Dhana drepcze przy jej boku, a klucz spoczywa ciężko na piersi dziewczyny. Chciała najpierw zobaczyć się z Johannesem w Stadhuis, lecz w Amsterdamie rządzi gulden i Nella musi zachować rozsądek. Zastanawia się, co zobaczy na Wschodnich Wyspach.

„Kto to zrobi, jeśli nie ja? — argumentowała w rozmowie z Marin tego ranka. — Johannes jest w areszcie. Jeśli Agnes i Frans się nad nami nie zmiłują, może przynajmniej uda się nam przekupić Jacka, żeby zmienił zeznania”.

Marin kiwnęła głową na zgodę, trzymając dłonie na brzuchu. Gdy w końcu się przyznała, że jest w ciąży, jej ciało jakby zrobiło się większe. „Jestem jak wielgaśny bochen”, westchnęła pewnego razu matka Nelli,

kiedy nosiła w brzuchu Arabellę. Teraz wygląda na to, że Marin również chce się przekonać, do czego nadaje się jej ciało. Marin i jej zbyt mocno splątany węzeł — co mogła mieć na myśli?

— Później odwiedzę Johannesa, jeśli mnie wpuszczą — dodała Nella. — Czy chcesz przekazać mu jakąś wiadomość?

Twarz Marin ściągnął grymas żalu. Opuściła ręce wzdłuż ciała i odeszła kilka kroków, spoglądając w stronę bawialni.

— Cóż ja mogę mu powiedzieć — stwierdziła sucho.

— Marin…

— Nadzieja jest niebezpieczna, Petronello.

— Ale lepsza niż nic.

Mróz kłuje Nellę w twarz tysiącem ostrych igiełek. Niech już będzie wiosna, myśli, a potem zastanawia się, czy powinna życzyć sobie, by ten czas nastał szybko także dla Marin i Johannesa. Zanim przyjdzie wiosna, ich świat może runąć. Próbując otrząsnąć się z przygnębienia, Nella przez jakieś dziesięć minut idzie raźnym krokiem na wschód od miasta. Prześladuje ją myśl o odejściu miniaturzystki z Kalverstraat. Nie traci jednak nadziei — wciąż czeka z utęsknieniem na błysk blond włosów, pukanie do drzwi i następną przesyłkę. Lecz od bardzo wielu dni nic się nie dzieje. Choć powiedziała Cornelii, że miniaturzystka pokazała jej drogę, czuje się opuszczona, ma wrażenie, jakby szukała czegoś po omacku. Potrzebuje kolejnych maksym, więcej miniatur, by pojąć, co ma się wydarzyć i co zdarzyło się przedtem. Wróć, prosi w duchu, przechodząc przez jeden z kilku mostów wiodących na Wschodnie Wyspy. Bez ciebie sobie nie poradzę.

Gdziekolwiek spojrzy, wszędzie woda — tafle lagun są niezmącone, tu i ówdzie poznaczone plamami cienia jak przebarwione lustro, kiedy słabe słońce chowa się za chmurą. Ulubione kartofle Johannesa o najbardziej puszystym miąższu podawane są w tawernie nieopodal. Nic dziwnego, że ta okolica tak przypadła mu do gustu — blisko morza, mniej ludzi, mnóstwo ustronnych miejsc.

Już widać gmachy składów, ceglane budynki wznoszące się ku niebu, znacznie szersze niż ciasno stłoczone kamienice w obrębie centrum. Tego ranka Wyspy Wschodnie świecą pustkami. Większość ludzi pewnie leży jeszcze w łóżkach, domyśla się Nella, odsypiając wybryki towarzyszące witaniu Nowego Roku. Jej ojca po pożegnaniu starego roku nigdy nie

można było dobudzić aż do wieczora dnia następnego, kiedy to stwierdzał filozoficznie, że w sumie niewiele się zmieniło. Ale nie tutaj, myśli Nella, tutaj nic już nie jest takie samo. Słyszy stukot swoich chodaków i ciche dyszenie Dhany dotrzymującej jej kroku.

Mimo aury spokoju te oddzielone od siebie fragmenty lądu mają w sobie pewną nieokiełznaną energię, gdyż w tym miejscu wszystko ma jeden cel — handel, składowanie towarów, reperowanie statków, zapewnianie strawy tak żeglarzom, jak i kapitanom. Podążając zgodnie ze wskazówkami szwagierki, Nella znajduje w końcu skład Johannesa, wysoki na sześć pięter, z niedużymi czarnymi drzwiami od frontu.

Zamek jest dobrze naoliwiony i drzwi składu otwierają się łatwo. Nella poprawia za dużą spódnicę Cornelii i fartuch. Próbowały rozstrzygnąć, co byłoby mniejszym złem — czy służąca przyłapana w składzie swojego pana, czy jego żona — i uznały, że to pierwsze. Reputacja Johannesa Brandta mogłaby ucierpieć jeszcze bardziej, gdyby rozeszła się wieść, że pani Petronella myszkowała po Wyspach. Nella wyobraża sobie, jak Frans i Agnes przychodzą tutaj i wychylają się zza rogu budynku.

— Siad, piesku — zwraca się do Dhany, próbując się skupić na zadaniu. Głaszcze zwierzę po łebku. — Zaszczekaj, jeśli ktoś się zbliży.

Wnętrze zapiera dech. Nella czuje się bardzo mała, gdy staje na najniższym szczeblu długiej, wrzecionowatej drabiny wznoszącej się aż na wysokość ostatniej, szóstej kondygnacji załadowanego towarem składu Johannesa. Jej mąż ma wszystko, co można sobie wymarzyć, a jednak trudno na to patrzeć. Mimo tej całej obfitości Johannes często czuł się osamotniony.

Przypominając sobie, jak pilna misja ją tu przywiodła, Nella zaczyna się wspinać po drabinie w poszukiwaniu cukru. Ma wrażenie, jakby podążała przez życie swojego męża. Wchodzi coraz wyżej, do ogromnej izby; jej spódnice zahaczają o szczeble, musi uważać, by nie spaść. Mija bele jedwabiu z Wybrzeża Koromandelskiego i z Bengalu, goździki, gałkę muszkatołową i kwiaty muszkatołowe w skrzyniach z napisem „Moluki”, pieprz z etykietą z Malabaru, laski cejlońskiego cynamonu, liście herbaciane w kufrach z napisami „via Batawia”, deski z kosztownie wyglądającego drewna, miedziane rury, arkusze blachy, góry wełny z Haarlemu. A także talerze z Delft, beczki z winem opisane słowami „España” i „Jerez”, skrzynki z cynobrem i karminem, rtęć „do wyrobu zwierciadeł i leczenia syfilisu”, perskie błyskotki odlane ze złota i srebra.

Kładąc dłonie na kolejnych szczeblach, zaczyna rozumieć fascynację Marin pracą swojego brata. Oto prawdziwe życie, myśli Nella, zasapana i lekko oszołomiona. To tutaj zaczynają się prawdziwe przygody.

Żeby znaleźć cukier, Nella musi wejść aż na poddasze. Johannes złożył głowy na środku drewnianej podłogi, z dala od wilgoci, i nakrył je płótnem. Ta troska wzrusza Nellę niemal do łez. Meermansowie chcieli, żeby myślała, że rzucił towar Agnes na podłogę na parterze, wraz z zapasowymi żaglami i niesmołowanymi linami, zaryglował drzwi i koniec. A to nieprawda. Johannes o niego dbał. Cukru jest tyle, że sięga belek pod powałą.

Nella staje na podłodze poddasza, zbliża się do płóciennego okrycia i ostrożnie unosi jego róg. Głowy cukru są ułożone równo, jedna na drugiej, niczym pociski armatnie. Wygląda, jakby jednej brakowało, na pewno tej, którą Agnes przyniosła na wieczerzę jako wątpliwą osłodę. Gdyby ta sterta się zawaliła, myśli Nella, zostałabym tu pogrzebana.

W składzie jest ponad tysiąc głów. Nella przyklęka koło tych, które sprawiają wrażenie rafinowanych najpóźniej. Są wciąż czyste i lśniąco białe, i rzeczywiście oznakowane trzema krzyżami, symbolem Amsterdamu. Niektóre z tej drugiej połowy, rafinowane w Surinamie, są wilgotne w dotyku i zostawiają na palcach Nelli białą papkę. Na tyłach sterty faktycznie rozsiały się maleńkie czarne zarodniki; zajęły już ponad ćwierć partii surinamskiej. Nic nie zdoła uratować cennych kryształów, jeśli już dotknęła ich plaga. Tak czy inaczej, myśli Nella, Meermans przesadził, ujrzał to, co chciał zobaczyć. Może udałoby się je osuszyć — na pewno przynajmniej część każdej głowy byłaby do uratowania.

Pokrzepiona tą myślą, kosztuje tego, co zostało jej na palcach. Gdybym tak umarła po polizaniu nadpsutego cukru, z pożądliwego głodu lekkerheid, myśli Nella, czyż pastor Pellicorne nie byłby w siódmym niebie?

Wyjmuje z kieszeni spisaną przez Johannesa listę, pełną długich, arystokratycznie brzmiących nazwisk. Są na niej hrabiowie i kardynałowie, infantka, baron, bogacze pragnący osłodzić sobie wolny czas w Londynie, Mediolanie, Rzymie, Hamburgu, a nawet na placówkach VOC. Zadziwiające, że Johannesowi udawało się utrzymać kontakty handlowe z Hiszpanami czy Anglikami, podczas gdy jego kraj z nimi wojował. Nella przypomina sobie, co powiedział do Meermansów na uczcie u złotników: „Za granicą uważają nas za niegodnych zaufania. Nie mam chęci wpisywać się w ten obraz”.

Cukru jest dużo więcej, niż Nella się spodziewała. Bezradność Johannesa, a teraz również Marin, przygniata ją swoim ciężarem. Kiedy zwróciła uwagę, że zatrudnienie agenta do sprzedaży cukru za granicą pochłonie zbyt dużą część ich cennej prowizji, Johannes nie zaprzeczył. Potrzeba im kogoś bliższego, kogoś, kto zrozumie ich delikatną sytuację i chętnie weźmie sprawę w swoje ręce. Nella stoi z rękami na biodrach i wytęża umysł, wpatrzona w majątek Fransa i Agnes. Nagle wracają do niej słowa, jakie usłyszała w pierwszym miesiącu swego pobytu w Amsterdamie, gdy siedziała pełna zdumienia z rozpakowanym ciastkiem na kolanach. Wypowiedział je ktoś, do kogo poczuła natychmiastową sympatię, kobieta kompetentna i pełna wdzięku. „Dziś miodownik, a po południu jeszcze marcepan”.

Nella zgniata listę Johannesa w dłoni. Tak, krzyczy bezgłośnie do ceglanych ścian i belek u powały, uszczelnionego drewnianego dachu królestwa męża. Wiem, co musimy zrobić.

Stadhuis

Nella podąża za strażnikiem pierwszym podziemnym korytarzem więzienia w Stadhuis, ratuszu miejskim, a następnie na koniec długiego skrzydła budynku. Słyszy charczące pokasływania i skargi więźniów. Więzienie jest większe, niż sądziła. Z każdym krokiem wydaje się rozrastać w niewytłumaczalny sposób. Cela za celą, cegła za cegłą — Nella traci poczucie proporcji i nie może ogarnąć tej przestrzeni umysłem.

Zaczyna słyszeć wrzaski i jęki, stukanie w pręty krat, skomlenie. Kroczy z podniesioną głową, w razie gdyby więźniowie poczuli zapach jej narastającego lęku, i usiłuje odciąć się od kakofonii męskich pojękiwań.

Razem ze strażnikiem idzie wzdłuż ścian niezadaszonego dziedzińca, na jego środku dostrzega urządzenia zrobione z desek połączonych regulowanymi śrubami. Inna machina ma rząd ostrych kolców. Więźniowie są tu „naprawiani” w dosłownym tego słowa znaczeniu. Nella odwraca wzrok, zdecydowana, że nie da się zastraszyć. Dotyka ukrytego pod ubraniem klucza do składu, podniesiona na duchu swoim ostatnim pomysłem. „Nie postradaj słodkiej broni”.

— To tutaj — obwieszcza strażnik, otwierając drzwi do celi Johannesa. Wyraźnie ociąga się z odejściem, a potem wreszcie zamyka za nią drzwi.

— Nie wracaj za szybko — rzuca Nella, wręczając mu guldena przez kraty. Boże, czego nauczyło mnie to miasto, myśli. Strażnik wsuwa monetę do kieszeni, a jego kroki wkrótce cichną. Nella słyszy dobiegający z zewnątrz skrzek mew kołujących wysoko na niebie, daleki łoskot wozów na bruku.

Johannes stoi w cieniu, oparty o stolik. Nie ma zydla ani krzesła, dlatego Nella zostaje pod drzwiami. W celi czuć wilgoć, mech porastający ściany wygląda jak zielone wyspy na mapie pozbawionej siatki współrzędnych. Johannes sprawia wrażenie pogrążonego w melancholii, lecz i tak imponuje energią. Nawet tutaj, odarty z wszelkich praw, nadal robi na niej duże wrażenie.

— Przekupujesz strażników? — zagaja.

— Dobrze mieć ich po swojej stronie. — Grube, kamienne mury tłumią jej głos.

— Mówisz zupełnie jak Marin — zauważa z uśmiechem.

Skóra wokół obojga podbitych oczu ma barwę więdnącego tulipana. Jego rozwichrzone włosy są jak wysuszone na słońcu wodorosty, a ubrania wyglądają na bardzo brudne. Ręce mu drżą, gdy opiera się nimi o stolik.

— Nie pozwalają mi tu na posiadanie Biblii — skarży się. — Ani w ogóle niczego do czytania.

Z drugiej kieszeni, nie tej, w której tkwi zgnieciona w kulkę lista, Nella wyjmuje trzy plastry wędzonej szynki zawinięte w papier, pół bułki pokrytej kłaczkami i dwa małe olie-koecken. Idzie przez całą celę z otwartymi dłońmi, a Johannes przyjmuje dar z wyraźnym wzruszeniem.

— Napytałabyś sobie biedy, gdyby to znaleźli.

— Wiem — odpowiada Nella i wraca z powrotem, rozgarniając stopą kurz w rogu celi.

— Mało brakowało, a byłbym uciekł.

Nella popatruje w kierunku przeciwległego kąta, gdzie nowo narodzone myszki szeleszczą w słomie, pełzając jedne po drugich w ślepej poufałości. Dziewczyna siada ciężko na sienniku, a w jej wnętrzu rozlewa się głęboki smutek, odbierając jej wolę walki.

— Co ci powiedzieli?

Johannes wskazuje na swoje podbite oczy.

— Nie są zbyt rozmowni.

— Gdy cię poznałam — mówi, postanawiając zagłuszyć smutek rozmową — nie zawracałeś sobie głowy Biblią, Bogiem, winą, grzechem ani wstydem.

— Skąd o tym wiesz?

— Nie chodziłeś do kościoła, niecierpliwiłeś się w trakcie domowych modlitw Marin. Kupowałeś mnóstwo rzeczy, stołowałeś się bogato, rozkoszowałeś przyjemnościami, na które było cię stać. Byłeś swoim własnym bogiem, architektem swojego losu.

Johannes uśmiecha się i ruchem ręki wskazuje na otaczające go ściany.

— No i popatrz, co sobie zbudowałem.

— Ale nie zaprzeczysz, że byłeś wolny. Pomyśl, ile miejsc odwiedziłeś. — Nella przełyka głośno ślinę, słowa więzną jej w gardle.

— Moja siostra zawsze mawiała, że jestem beznadziejnym połączeniem lekkomyślności i determinacji.

— Czy dlatego wróciłeś do Jacka?

Johannes przymyka oczy, jak uderzony falą.

— On cię zdradził, Johannesie. Ty mu płaciłeś, a on brał…

— Nie dałem mu grosza, odkąd zadźgał mojego psa. — Johannes rzuca słowa jak kamienie. Milknie, twarz mu łagodnieje w mętnym świetle. — Zatrudniłem go do pilnowania cukru, ale Marin tak się niepokoiła, że postanowiłem go odprawić. Naturalnie rozumiałem jej racje. Wrócił do doręczania przesyłek i wtedy wszystko się posypało. Widziałem się z nim po tym, jak zabił Rezeki. W życiu nie widziałem kogoś tak skruszonego.

Nella gryzie się w język. Jack przypuszczalnie nie miał innego wyjścia, jak tylko udawać wyrzuty sumienia, a Johannes — uwierzyć w ich autentyczność.

— Musi łączyć cię z nim bardzo silne uczucie, skoro wybaczyłeś mu coś takiego — stwierdza Nella. Johannes milczy. — Powiedz, czy to była… miłość?

On zamyśla się nad jej pytaniem, a Nella jeszcze raz dziwi się, jak poważnie zawsze ją traktuje.

— Wydawało się, jakby… coś nieuchwytnego… szybko stało się bardzo realne. Za pomocą swoich kłamstw Jack pozwalał mi dojrzeć prawdę. Czasem obraz lepiej przedstawia jakąś rzecz, choć nigdy nią nie będzie. To uczucie stało się dla mnie prawie nie do odróżnienia od miłości. — Johannes wzdycha. — Ale zawsze było tylko jej obrazem. Pomysł, że to miłość, był lepszy niż bałagan, jaki po niej został.

Johannes składa jej w darze swoją szczerość jak jeszcze jeden niespodziewany upominek. Otwarty między nimi kanał wydaje się Nelli krystalicznie czysty, lecz kiedy zamyka oczy, widzi tylko mętne wody.

— Czy dobrze się miewasz? — pyta Johannes.

— Marin jest zdania, że pogoń za miłością jest lepsza od niej samej — odrzeka.

On unosi brwi.

— Nie dziwi mnie to. Ale nie, nie jest lepsza. Łatwiejsza, to tak. Zawsze łatwiej polegać na własnej wyobraźni. Niemniej pogoń zawsze w końcu wyczerpuje do cna.

Za czym my wszyscy gonimy? — zastanawia się Nella. Za życiem, odpowiada sama sobie, chcemy wyzwolić się z tych niewidzialnych więzów, o których Johannes wspominał w swoim gabinecie, albo przynajmniej osiągnąć szczęście, tkwiąc w nich.

— Dokąd się wybierałeś, kiedy cię ujęli na Texel?

— Do Londynu. Miałem nadzieję odszukać Ottona. Marin była taka pewna… Właśnie, jak ona się miewa?

— Masz duże wpływy, Johannesie. — Nella czuje się zmuszona obejść to pytanie, wiedząc, że w przeciwnym razie jej twarz zdradzi prawdę o Marin. — Obserwowałam cię na uczcie u złotników. Sam powiedziałeś, że burmistrzowie nie mogą cię tknąć.

Johannes siada ostrożnie na sienniku obok niej.

— To jest *crimen nefandum*, Nello. Dwóch mężczyzn razem. Wobec takiego oskarżenia nikt nie ma wpływów, tylko Bóg. Nie uczynić nic to znaczy zlekceważyć, a burmistrzowie muszą pokazywać, że coś robią.

— W takim razie trzeba zmusić Fransa Meermansa do zmiany zeznań!

Johannes przejeżdża dłonią po głowie, jakby tam szukał jakiejś odpowiedzi.

— Dawno temu — mówi — mniej więcej w czasie, kiedy się urodziłaś… zrobiłem coś, co bardzo unieszczęśliwiło Fransa Meermansa. A później popełniłem jeszcze większą zbrodnię: odniosłem sukces. A teraz to wraca, by mnie prześladować.

Nella wyobraża sobie młodego Johannesa wypraszającego Fransa ze swego domu, Marin obserwującą to z ukrycia przy oknie, to straszliwe upokorzenie, które pogrążyło teraz ich wszystkich.

— Sądziłem, że przyjmując od nich zlecenie na sprzedaż cukru, zdołam doprowadzić przynajmniej do *entente* — wyjaśnia Johannes. — Ale Frans… zhardział. Od dawna czekał, żeby wziąć na nas odwet. Uosabiam wszystko, czego on nienawidzi i czym chciałby być. A Agnes… cóż, Agnes zawsze pójdzie ścieżką, którą on jej wskaże.

— Moim zdaniem Agnes cię podziwia.

— Tym gorzej dla mnie. — Oczy Johannesa w słabym świetle błyszczą jak dwa szare paciorki. — Jakże jestem rad, że przyszłaś! Nie zasłużyłem na to — mówi, ujmując jej dłoń.

Nella uważa, że to jest w każdym razie coś, co warto docenić, skoro nie może być kochana. Ciągłe wynajdywanie namiastek — czy to się kiedyś skończy? A jednak wolałaby zostać przy nim, niż być gdziekolwiek indziej.

— Jeśli się nie przyznam, będzie proces — ciągnie Johannes. — Za parę tygodni. Tak czy inaczej nie spodziewam się, że wyjdę stąd żywy.

— Nie mów tak.

— Zadbam o was. O ciebie, Marin, Cornelię. I Ottona, jeśli kiedykolwiek wróci. — Głos Johannesa raptem napełnia się energią, jakby był rejentem

i sporządzał dla kogoś testament. — W przesłuchaniu weźmie udział kilku ławników amsterdamskich, *schepenbank*, ale przewodniczył będzie schout Pieter Slabbaert.

— Nie wystarczy sam schout?

— Zarzut jest zbyt poważny. Poza tym chodzi o mnie. A im bardziej skandaliczny przypadek, tym bardziej się angażują nasi świątobliwi obywatele. — Urywa nagle. — Ale wyobrażam sobie, że szybko będzie po sprawie.

— Johannesie…

— Ciężkie przewinienia zwykle karane są śmiercią — kontynuuje, choć głos zaczyna mu się łamać. — A schout lubi oskarżać wspólnie z innymi. Im więcej ludzi bierze udział w tym rytuale, tym sprawiedliwszy się on wydaje.

— Odnajdę Jacka — zapowiada Nella — i zapłacę mu jeszcze więcej, żeby zmienił zeznania. — Oczyma wyobraźni widzi pustoszejącą skrzynię Johannesa z guldenami i stertę czerniejącego cukru na szóstym piętrze składu. — Obmyśliłam też plan…

— Idzie strażnik — przerywa jej Johannes, który myślami jest już zupełnie gdzie indziej. — Nazywają go Krwawym Pasterzem. — Ściska mocniej jej dłoń. — Z zawodu ksiądz, z natury potwór.

Ostatnie słowo zawisa w wilgotnym powietrzu, gigantyczne, niepokonane. Nella dotyka swojej twarzy. Jest zimna od wilgoci. Jak Johannes wytrzymał tutaj choć jeden dzień?

— Widziałem, jak wynoszono jego ofiary — podejmuje Johannes. — Miały poprzetrącane wszystkie kości, i to tak, że nie można już było ich poskładać z powrotem. Nogi jak nie nogi, tylko kikuty z namokniętej waty, wnętrzności na wierzchu jak zepsute mięso. Powykręcają mnie tak, że zacznę mówić. Powiem, co chcą usłyszeć, Nello, i będzie po wszystkim.

Johannes wciska twarz w zagłębienie w jej obojczyku. Nella czuje dotyk jego nosa na swojej szyi. Obejmuje męża ramionami. Chciałaby umyć go od stóp do głów, przywrócić mu rześkość, sprawić, by znowu pachniał korzennymi przyprawami, kardamonem, który właził mu pod paznokcie.

— Johannesie — szepcze — Johannesie. Masz żonę. Masz mnie. Czy to nie wystarczy jako dowód?

— To by nigdy nie wystarczyło — odrzeka.

A dziecko? — chciałaby zapytać. A gdyby było dziecko? Jest o krok od wyjawienia sekretu Marin. Więcej czasu, myśli, jedyne, czego mi trzeba, to

więcej czasu. Kto wie, jaką historię moglibyśmy opowiedzieć, gdyby odroczono sprawę choć o dwa miesiące?

— Johannesie — mówi — tak bym chciała wystarczyć.

Johannes odsuwa się i przytrzymuje jedną ręką jej twarz.

— Jesteś cudem.

Światło w celi przygasa, lada chwila wróci strażnik. Nella w ciągu całych czterech miesięcy ich małżeństwa nie spędziła z mężem tyle czasu sam na sam. Pamięta, jak powiedziała mu w gabinecie, że jest nim zafascynowana. Gdy patrzy na niego teraz, wie, że te słowa wciąż są prawdziwe. Wiedza męża, jego sposób prowadzenia rozmów, zaprawiona ironią akceptacja obłudy tego świata, jego pragnienie pozostania tym, kim jest… Johannes unosi dłoń do światła świecy, a mocne, twarde grzbiety jego palców są piękne. Tak by chciała, żeby żył.

Ta rozmowa o przemianach, o tym, jak wszystko może się zmienić, o pokojach zamieszkanych i opuszczanych, rodzeństwo zmuszone do ujawnienia dwóch tak odmiennych cielesnych tajemnic — wszystko to sprawia, że Nella pragnie opowiedzieć mu o miniaturzystce. Wydaje się, jakby minął wiek, odkąd zeszła po schodach i ujrzała domek dla lalek czekający na nią na marmurowych płytkach. Jak bardzo uraził ją ten prezent, jak rozgniewał Marin.

— Czy Jack mówił ci kiedykolwiek, dla kogo pracuje na Kalverstraat? — pyta.

— Pracował u wielu osób.

— A o kobiecie z Bergen? Miała jasne włosy i terminowała u zegarmistrza.

Johannes odgryza mały kęs jednego z pocukrowanych pączków i zapala świecę na stoliku. Nella czuje jego chłodny wzrok na czubku swojej głowy.

— Nie — stwierdza. — Zapamiętałbym to.

— To miniaturzystka, którą najęłam do urządzenia domku dla lalek. To ona zrobiła miniaturkę Rezeki.

Na te słowa jego zmęczone oczy nabierają blasku.

— Kobieta?

— Tak sądzę.

— Cóż za nadzwyczajne umiejętności i zmysł obserwacji! Zostałbym jej stałym klientem, gdybym miał sposobność. — Sięga do kieszeni i urzeczony, delikatnie wyjmuje miniaturowego pieska. — Noszę ją z sobą wszędzie. Jest moją największą pociechą.

— Naprawdę? — szepcze Nella zdławionym głosem. Johannes wręcza jej miniaturkę, a Nella z szacunkiem bierze ją i drżącym palcem głaszcze miękkie futro na łebku w mysim kolorze. Nie ma tam najmniejszego śladu czerwieni. Nella sprawdza jeszcze raz, lecz z rdzawej plamki, o której istnieniu była niegdyś tak przekonana, nie pozostało nic.

— Nie wierzę — szepcze.

— Ani ja. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

Nella zerka jeszcze ostatni raz na maleńką główkę. Nic. Czy to w ogóle tam było? — pyta samą siebie. Zwątpienie walczy w niej z pewnością — to, co widziała i czego nie widziała w ostatnich miesiącach, kotłuje się jej teraz w głowie.

— Nieraz się zastanawiam, gdy siedzę tutaj w zupełnym bezruchu — mówi w końcu Johannes — czy sam też już nie umarłem.

— Żyjesz, Johannesie. Ty ż y j e s z.

— Dziwny to świat — podejmuje Johannes — po którym chodzą ludzkie istoty, zapewniając się nawzajem, że nie umarły. Wiemy, że to nie Rezeki, a jednak czujemy w pewien sposób, że to ona, i tak oto materialny przedmiot staje się wspomnieniem. Gdybyż tak było na odwrót i nasze umysły mogły powoływać do istnienia wszystko, co byśmy chcieli… — Wzdycha, przeciągając dłońmi po twarzy. — Od kiedy Otto odszedł, to jeśli znam siebie, wiem, że mógłbym nie żyć.

Milknie i chowa Rezeki z powrotem do kieszeni.

— Ta cela będzie odtąd kompasem mojego świadomego życia — mówi, rozkładając ręce jak skrzydła przekrzywionego wiatraka. — Przez mur z cegły widać horyzonty, Nello. Poczekaj, a się przekonasz.

Nella zostawia go samego, nie mogąc wytrzymać dłużej w tym ciasnym pomieszczeniu. Mech i myszy, odgłosy mężczyzn skrzeczących jak ptaki — jakby Johannes został zamknięty w ptaszarni, niczym wielka sowa pośród wron. Nella wychodzi chwiejnie na zimowe słońce i dopiero wtedy zaczyna płakać, piekącymi, cichymi łzami, pod miejskim murem.

Verkeerspel

Gdy otwiera drzwi frontowe, pragnienie, by podzielić się z Marin informacjami o stanie cukru i samopoczuciu Johannesa, nagle ją opuszcza.

W holu stoi kołyska, bujając się na blaszanych biegunach. Dębowa, wyłożona intarsjami przedstawiającymi róże, stokrotki, wiciokrzew i chabry. Ma budkę wyłożoną aksamitem i ozdobioną koronkową firaneczką. Jest piękna, wręcz szokująco piękna dla zmęczonych oczu Nelli. To dokładna replika kołyski na górze, w domku dla lalek.

Nella, wciąż jeszcze wstrząśnięta po odwiedzinach u Johannesa, zamyka za sobą drzwi. Oto wizja miniaturzystki, którą Nella początkowo potraktowała jako drwinę z niej samej, kobiety, której małżeństwo było farsą, teraz stała się rzeczywistością. Cornelia przybiega pędem z kuchni.

— Co to jest? — pyta Nella. — Czy myślisz, że przyszła od…

— Nie — odpowiada ostro Cornelia. — Pani Marin ją zamówiła. Przyjechała w ogromnej skrzyni z Lejdy.

Nella dotyka drewnianego korpusu. Intarsje są skomponowane tak doskonale, że wydają się śpiewać pod jej palcami.

— Jest taka sama jak ta, którą mi przysłała.

— Wiem — rzuca Cornelia.

Z bawialni wychodzi Marin. Z bliska wydaje się masywna jak dąb.

— Cóż za nadzwyczajny kunszt — zauważa. — Wygląda dokładnie tak, jak sobie wyobraziłam.

— Ile kosztowały robocizna i transport? — Nella wyobraża sobie kurczący się obłok pieniędzy Johannesa, który rozwiewa się w powietrzu. — Marin, gdyby któryś z sąsiadów zauważył, że nam coś takiego dostarczono, to co, na miłość boską, by sobie pomyślał?

— Dokładnie to samo co ty — fuka Marin.

— Słucham?

— Nie myśl, że nie wiem, co ci chodzi po głowie. — Marin podchodzi do niej ociężale. — Chcesz mojego dziecka dla siebie.

Nella czuje się zdemaskowana — jak to możliwe, że Marin łapie myśli szybciej niż ktokolwiek inny? Mogłabym spróbować blefu, mówi sobie, ale po co? To ja powiedziałam, że czas skończyć z sekretami.

— Marin, nie chcę odebrać ci dziecka…

— Ale myślisz, że byłoby to dogodne rozwiązanie — upiera się Marin, zakrywając brzuch dłońmi, jakby Nella miała już teraz wyszarpnąć z niego niemowlę. — Ostatnie poświęcenie, tak? Miałabym zrzec się swojego dziecka na rzecz brata… dla ciebie?

— Johannes jest w Stadhuis, Marin. Gdybyśmy udawali przez chwilę, że dziecko jest moje, czy naprawdę byłoby to takie straszne? Byłby to dowód, że Johannes ma te same pragnienia co inni mężczyźni. Chcesz, żeby żył?

— Ty naprawdę tego nie widzisz.

— Czego? Widzę więcej niż ty.

— Petronello, pojawienie się tego dziecka nie będzie dla nikogo dogodne. Wierz mi.

— Wiem o tym, Marin. W i e m. Ale podczas gdy ja próbuję nas uratować, ty wydajesz pieniądze, których po prostu nie mamy.

Na twarz Nelli znienacka spada piekący policzek.

— Niepojęte, jak on mógł cię w ogóle kochać — prycha dziewczyna, trąc policzek. Wściekłe i okrutne słowa wylały się z niej, zanim choćby spróbowała je powstrzymać.

— Mógł — odpowiada Marin. — I nadal kocha.

— Będziemy musiały nająć akuszerkę, Marin — mówi cicho Nella. — Sama tego wszystkiego nie udźwignę.

— Ty akurat niczego nie będziesz dźwigać — sarka Marin.

— Przestańcie! — błaga Cornelia.

— Marin, takie jest prawo…

— W żadnym wypadku. — Marin popycha kołyskę, która przechyla się z boku na bok ruchem wzbudzającym dziwną wrogość. — Wiesz, czego jeszcze wymaga prawo, Petronello? — Płoną jej policzki, włosy wymykają się spod czepka. — Akuszerka ma obowiązek spisać nazwisko ojca. Jeśli jej go nie przekażemy, też o tym doniesie. — Wstrzymuje kołyskę, dysząc ciężko. — Tak więc jak zawsze poradzę sobie sama.

Kiedy Marin kładzie dłoń na brzuchu, tym razem wzdryga się, jakby dotknęła rozżarzonego kawałka węgla.

*

Po południu Nella przechadza się wolno korytarzami domu. W pokojach jest tak cicho, jakby w domu nie było nikogo oprócz niej. Klucz do składu

ciągle wisi na jej szyi, ciepły, bo przylegał do jej ciepłej skóry, wart w odczuciu dziewczyny więcej niż jakikolwiek srebrny naszyjnik, jaki mógłby zamówić dla niej Johannes.

Cornelia taszczy kołyskę na piętro, do alkierzyka Marin, gdzie mebel czeka niecierpliwie, zajmując większość wolnej przestrzeni pośród czaszek, map i piór. Pogląd służącej na sekret Marin przeszedł błyskawiczną metamorfozę: dzieciątko jest teraz cudem, tyglem, w którym stopią się ich wszystkie zmartwienia. Kiedy tylko może, Cornelia oddycha jego niewidzialną obecnością jak świeżym powietrzem. Znowu zabrała się do sprzątania i otwiera okna, choć nienawidzi chłodu. Naciera pszczelim woskiem kolumienki przy łóżkach, deski podłogi, kredensy i parapety, pali olejek lawendowy, czyści szkło octem, skrapia świeżą pościel sokiem z cytryny. Lepsze to, myśli Nella, niż poddać się biernie przygnębieniu.

Nagle słyszy, jak na tyłach domu, z dala od oczu wścibskich przechodniów ze ścieżki nad kanałem, w pokoiku na parterze Marin i Cornelia rozkładają planszę i piony do *verkeerspel*. Myśli o maleńkich pionkach z ziaren kolendry na górze, o przepięknie wykonanej przez miniaturzystkę drewnianej skrzynce, która pojawiła się u niej jakby cudownym trafem. Prawie porzuciła nadzieję na wiadomość od Lucasa Windelbrekego z Brugii, odległej o sto pięćdziesiąt mil podróży po oblodzonych drogach. Mój list zapewne zaginął, myśli, zakradając się pod drzwi, żeby podpatrzeć Marin i Cornelię.

— Boże, czuję się jak wieloryb — wzdycha Marin.

— Z małym Jonaszem w środku! — odpowiada z uśmiechem służąca. Nella ciągle czuje się zraniona po ich dzisiejszej rozmowie. To nieprawda, że Marin ze wszystkim radzi sobie sama, myśli Nella. Kto poszedł do składu, a potem do Stadhuis? Nie mają jednak czasu na kłótnie. Czas to jeszcze jeden luksus, który jest na wyczerpaniu.

Podglądając, jak Marin chodzi po pokoju i rozmawia łagodnym tonem z Cornelią, Nella zastanawia się, co by powiedziała Agnes, gdyby ją teraz zobaczyła. Frans na pewno wziął pod uwagę taką ewentualność, gdy decydował się spędzać z Marin te chwile poza zasięgiem ciemnych, gniewnych oczu żony. Czy żadne z nich nie bało się, że natura zechce pójść swoim torem?

— Kopie — mówi Marin do Cornelii, patrząc na swój brzuch. — Kiedy staję przed lustrem, czasem dostrzegam pod skórą zarys maleńkiej stópki. Nigdy czegoś podobnego nie widziałam.

Nella widziała to nieraz — kiedy jej nienarodzone młodsze rodzeństwo napierało na wyściółkę łona matki. Ale zachowa to dla siebie, ponieważ Marin jest cudowna w swoim zdumieniu.

— Chciałabym to zobaczyć — mówi za to, wchodząc do pokoju.

— Jak mały zrobi to znowu, dam znać — mówi Marin ściśniętym głosem. — Niekiedy widać rączkę. Wygląda jak łapka kotka.

— Myślisz, że to chłopczyk? — pyta Nella.

— Tak mi się zdaje — odrzeka Marin z przekonaniem, stukając w wypukłość swojego brzucha. Jej palce zatrzymują się nad nim, jakby chciały go popieścić. — Czytałam trochę — dodaje, wskazując na *Choroby dziecięce* Blankaarta leżące na stole.

Cornelia dyga śpiesznie i wychodzi.

— To już niedługo — zauważa Nella.

— Będziemy potrzebować gorącej wody, szmat i patyka do włożenia między zęby — wylicza Marin.

Nella czuje wyłącznie litość, przypominając sobie, co Cornelia powiedziała jej o matce Marin. „Ledwo przeżyła narodziny pani”. Czy Marin ma pojęcie, ile poleje się krwi, jak jej ciało będzie się buntować, o tych wszystkich odgłosach, o zwierzęcym strachu? Marin wydaje się zdecydowana narzucić swoją niezłomną wolę temu maleństwu, jakby nie podlegała wpływom świata zewnętrznego i była odporna na cierpienie.

— Myślałam, że mogłybyśmy zagrać — zmienia temat Marin, ustawiając pionki do *verkeerspel* w szeregu jak monety. — Ty zaczynaj.

Nella przyjmuje tę gałązkę oliwną i wykonuje pierwszy ruch na planszy. Marin ocenia go, kontemplując przez chwilę samotny krążek, po czym potrząsa kostkami do gry w zagłębieniu złączonych dłoni. Bawi się swoim czarnym pionkiem, niepewna, gdzie go umieścić.

— Marin — odzywa się Nella — nie zapytałaś o cukier.

Szwagierka w dalszym ciągu wpatruje się w planszę. Nella czuje, jak mimo woli opuszcza ją cierpliwość.

— Ani o Johannesa.

Marin podnosi wzrok

— Co mówiłaś?

— Wezmą go na łoże tortur.

— P r z e s t a ń — cedzi Marin.

— Jeśli nie zrobimy…

— Czy musisz mnie dręczyć? Wiesz, że nie mogę pójść go odwiedzić.

— Wiem, ale potrzebuję twojej pomocy. Dwoje szacownych świadków, Marin. Frans i Agnes. Pomyśl, co to znaczy.

Marin zastyga w bezruchu.

— Wiem, co to znaczy, od chwili kiedy Frans przestąpił próg naszego domu.

— To porozmawiaj z Fransem. Powiedz mu o dziecku.

Marin bardzo ostrożnie odkłada kostki na planszę. Sprawia wrażenie, jakby brakowało jej tchu, marszczy brwi i zaciska wargi, tak że robią się jeszcze węższe.

— Tobie się wydaje, że taka rozmowa może być łatwa — wyrzuca z siebie. — Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

— Wiem więcej, niż ci się wydaje. — Nella stara się pohamować. Próbuje zebrać całą swoją złość i odepchnąć ją od siebie. — Meermans to mężczyzna — dodaje łagodniejszym tonem. — Może coś zrobić.

— Uwierz mi, w tej sprawie może bardzo mało.

— Marin, on nie ma spadkobiercy…

— Mam teraz frymarczyć swoim dzieckiem? Jak twoim zdaniem Agnes przyjęłaby taką wiadomość? — Marin wstaje raptownie i zaczyna chodzić tam i z powrotem po izdebce. — To by jej dało jeszcze jeden powód, żeby posłać nas do diabła. Wiecznie się wtrącasz…

— Nie wtrącam się. Walczę o nasze przetrwanie.

— Nie masz pojęcia, co to przetrwanie…

— Wiem, co się stało, Marin — nie wytrzymuje Nella. — Cornelia mi powiedziała.

— Co się stało?

— Wiem, że ty i Frans byliście zakochani, a Johannes nie dopuścił do waszego ślubu.

Marin opiera się dłonią o ścianę, a drugą ręką podtrzymuje swoje nienarodzone dziecko.

— Co powiedziałaś? — Jej głos brzmi dziwnie, jak syk dzikiego zwierzęcia.

— Wiem, że Frans poślubił Agnes na złość tobie, nawet ona o tym wie. Widziałam, jak Frans na ciebie patrzy. Wiem o peklowanym prosięciu, o liściku miłosnym w twojej książce. Powtarzasz mi, że nie widzę, ale się mylisz.

— Peklowane prosię — powtarza Marin i milknie, jakby przyglądała się jakiemuś dawno zapomnianemu wspomnieniu wynurzającemu się z głębi

umysłu. — Cornelia miała czelność ci o nim powiedzieć?

Spojrzenie Nelli wędruje w stronę drzwi.

— Nie bądź na nią zła. Zmusiłam ją do tego, bo musiałam wiedzieć. To było ważne.

Marin milczy dłuższą chwilę. Z trudem wypuszcza powietrze i ostrożnie siada na krześle.

— Frans kocha swoją żonę — oznajmia, a kiedy Nella otwiera usta, by zaprotestować, ucisza ją ruchem ręki. — Petronello, nie masz pojęcia, jak wygląda miłość. Nie wolno lekceważyć dwunastu wspólnie spędzonych lat.

— Ale…

— …a cała reszta to bajeczka poskładana z tego, co się podsłuchało pod drzwiami. Bardziej fantastyczna, niż sama mogłabym wymyślić. Powinnam była dawać Cornelii więcej roboty.

— To nie jest bajeczka…

— Prezentuję się w niej wcale dobrze, prawda? Mój brat trochę gorzej. Prawda jednakże jest nieco inna. — Nella spostrzega, że Marin drżą ręce. — Johannes istotnie odrzucił oświadczyny Fransa Meermansa — ciągnie coraz poważniejszym głosem.

— Wiedziałam…

— Ponieważ go o to poprosiłam.

Nella wpatruje się w pola na planszy, które wydają się ślizgać jej przed oczami. To nie ma sensu. Rewelacja Marin ją uwiera, jej pewność siebie gdzieś ginie.

— Owszem, kochałam Fransa — oświadcza Marin sztywno. — W wieku trzynastu lat. Ale nigdy nie chciałam wyjść za niego za mąż.

Mówiąc to, wygląda niewymownie smutno, ale Nella zauważa, że jakieś inne uczucie zaczyna lekko opromieniać jej twarz. Domyśla się, że to słodko-gorzka ulga, płynąca z wyznania prawdy.

A jednak Nella wciąż nie rozumie. Sceneria i aktorzy są jej znani, lecz odgrywają nie te role, w których zostali obsadzeni. „Zrobiłem coś, co bardzo unieszczęśliwiło Fransa Meermansa”, powiedział Johannes w celi ratusza. Dlaczego nie wyjawił jej tego wtedy? Dlaczego nie przyznał się do winy? Jakież to dziwne więzy lojalności łączą go z Marin, nici, które wyślizgują się Nelli z rąk?

— Gdy skończyłam szesnaście lat, nie chciałam wyrzec się tego, kim byłam i co posiadałam — mówi cicho Marin. — Miałam dom, a gdy Johannes wyjeżdżał, byłam jego panią.

Zbiera jej się na płacz, szare oczy zachodzą łzami. Rozkłada ręce szeroko niczym skrzydła, w znanym już Nelli geście, wskazując pokój, w którym siedzą.

— Czegoś takiego nie miała żadna kobieta, chyba że była wdową. Później zjawili się Cornelia i Otto. „Pręty naszych klatek zrobiliśmy sobie sami”, mawiał Johannes. Zarzekał się, że mogę być wolna. A ja przez długi czas mu wierzyłam. Naprawdę w to wierzyłam. — Dotyka swojego brzucha.

— Marin, nosisz dziecko Meermansa…

— A mój brat, choć miał swoje wady, zawsze zostawiał mi dużo swobody i pozwalał żyć swoim życiem. Och, że też on nie może powiedzieć tego samego o mnie…

Marin przyciska palcami swoje kości policzkowe, jakby próbowała zatamować łzy. To daremny gest, bo łzy płyną, a ona zaczyna szlochać.

— Zabrałam Johannesowi coś, co nie należało do mnie, do czego nigdy nie miałam prawa — wykrztusza.

— Marin, o czym ty mówisz?

Lecz Marin nie może znaleźć słów. Przesuwa smukłymi dłońmi po swojej twarzy i bierze głęboki oddech.

— Kiedy Frans przyszedł się oświadczyć, nie wiedziałam, jak mu odmówić. Nie byłam przygotowana na taką okoliczność. Uznałam, że lepiej będzie, jeżeli usłyszy, że mu się tego odmawia, niż gdyby miał odkryć tę… niechęć, jaką czułam w sercu. Dlatego poprosiłam brata, by wziął tę winę na siebie. — Spojrzenie ma oszalałe z bólu. — Zgodził się i skłamał dla mnie. Byłam młoda… wszyscy byliśmy! Nie przypuszczałam, że to się może tak skończyć… — Marin zasłania usta dłonią, nie mogąc pohamować płaczu. — Przepadła cała przyjaźń, całe zrozumienie… tylko dlatego, że nie potrafiłam znieść myśli o byciu czyjąś żoną.

Okruch nadziei

Z kluczem Johannesa na szyi Nella czeka przed składem na Hannę i Arnouda Maakvrede. W głowie wciąż dźwięczy jej echo nowej prawdy o Marin i Johannesie — ich słodko-gorzkiego porozumienia. Miłość zmieniła postać, stała się jak promień słońca, który czasem zaślepia serce. Marin uznawała małżeństwo za rezygnację z czegoś, inaczej niż większość kobiet — w tym moja rodzona matka, uświadamia sobie Nella — które widzą w nim jedyną szansę na uzyskanie wpływu na cokolwiek. Małżeństwo ma okiełznać miłość i umocnić kobietę, sądzi Nella. Ale czy tak się dzieje? Marin uważała się za silniejszą poza nim. Miłość pozostała nieujarzmiona i wydarzyły się rzeczy niezwykłe. Z jednej strony dziecko i cela więzienna — z drugiej wolność wyboru i kierowanie własnym losem.

Po ujawnieniu sekretu z przeszłości Marin chciała się czymś zająć — właściwie nawet domagała się tego — a Nella postanowiła skorzystać z okazji. To nie było wyrachowanie, mówi sobie, opierając się o mur składu, to była absolutna konieczność. Dlatego gdy Nella siedziała przy stoliku w pokoju na tyłach, Marin pismem Johannesa kreśliła list do Arnouda Maakvredego. Przystała na pomysł Nelli, aby zaprosić go na degustację cukru połączoną z propozycją, by sprzedawać go wyłącznie na terenie Republiki — szybciej i chętnym klientom. Przynajmniej tyle władzy zyskałam dzięki temu małżeństwu, pomyślała cierpko Nella.

Ciągle słyszy w głowie głos Marin: „Do nas należy ustalenie poprzeczki zysku. Mamy tysiąc pięćset głów, co według moich szacunków może nam przynieść nawet trzydzieści tysięcy guldenów. Zacznij od zawyżonej stawki — doradziła. — Pamiętaj, że jeśli zechcą kupić, zysk zostanie podzielony na trzy części, a większość pieniędzy i tak pójdzie do Meermansa”.

— A jeśli Arnoud dowiedział się o Johannesie i nie zechce kupić cukru?

— Najpierw bogactwo, potem bogobojność. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko modlić się, żeby Arnoud Maakvrede okazał się bardziej amsterdamczykiem niż aniołem.

— Może się domyślić, że chcemy sprzedać towar jak najszybciej. Może wypatrzyć zepsutą część.

— Nie ustępuj, Nello. Zawyż cenę, a potem sprawiaj wrażenie, że dajesz zniżkę z tego powodu.

Nella nie mogła wyjść z podziwu, jak szybko Marin potrafi odsunąć własny smutek na bok, gdy chodzi o coś naprawdę ważnego, wycofać się gdzieś, gdzie nikt nie może jej dosięgnąć. Zastanawiała się, czy sama nie jest za słaba na ten wielki plan, czy nie zostanie przezeń pogrążona jak w bagnie. Ale wtedy Marin się odezwała i powiedziała dokładnie to, co Nella chciała usłyszeć.

— Petronello? — szepnęła.

— Tak?

— Nie robisz tego sama. Jestem przy tobie.

Marin wyciągnęła rękę ponad porzuconą w trakcie gry planszą do *verkeerspel* i mocno uścisnęła jej dłoń, a Nella ze zdziwieniem poczuła, że chyba pęknie jej serce.

Nella widzi zbliżających się w zimnym świetle dwoje ludzi i zastanawia się, czy ktoś powiedział im o tym, co się zdarzyło w Stadhuis. Skandal, jakim było aresztowanie bogatego kupca, widocznie nie przebił się jeszcze do świadomości obywateli miasta. Cornelia doniosła, że nie zauważyła niczego szczególnego na drodze wzdłuż kanału — może Aalbers, w swojej przyzwoitości, zdołał zamknąć usta strażnikom więziennym w ratuszu? To jednak tylko kwestia czasu, aż wszyscy się dowiedzą, co się stało z Johannesem Brandtem. Takiego zarozumiałego dziewięcioletniego smarkacza jak Christoffel trudniej pohamować niż więziennego strażnika, który ma kilka gąb do wykarmienia. Amsterdam, przynajmniej na powierzchni, kwitnie dzięki tym aktom wzajemnej inwigilacji, dzięki sąsiedzkiemu tłamszeniu ducha bliźnich.

Na zewnątrz, w cieniu składu, Arnoud wygląda inaczej, niż gdy widziała go w cukierni — fartuch zastąpił teraz schludnym czarnym strojem i kapeluszem. Wydaje się roztaczać zupełnie inną aurę niż wtedy w piekarni, kiedy łomotał blachami z miodownikiem — jak gdyby skurczył się pod wpływem świeżego powietrza.

— Seigneur, madame — wita się z nimi Nella, przekręcając klucz w zamku. — Życzę wam pomyślności w Nowym Roku i dziękuję, żeście przyszli.

— W swoim liście twój mąż, pani, nie wspomniał, że będziemy się widzieć z tobą — mówi Arnoud, nie kryjąc zdziwienia na widok samej

Nelli.

— Istotnie — odpowiada Nella, czując na sobie bystre spojrzenie Hanny. — Ale mąż nie mógł się z wami spotkać.

— A Marin Brandt?

— Przebywa z wizytą u krewnych, panie.

— Rozumiem. — Arnoud jest wyraźnie zaniepokojony młodością i płcią Nelli, jakby podejrzewał, że to jakiś fortel albo komedia. Poczekaj tylko, myśli Nella, zaciskając pięści w rękawach płaszcza.

— Proszę tędy i raczcie ostrożnie stawiać stopy na drabinie.

Prowadząc Arnouda i Hannę na górę, Nella myśli o miniaturowej rączce Agnes w domu. Głowa cukru w domku dla lalek co prawda nie ściemniała jeszcze bardziej, ale na zewnątrz tego miniaturowego świata minęły kolejny dzień i jeszcze jedna wilgotna noc. I podobnie jak było z czerwoną plamką na łebku Rezeki czy z zaskakującym wyznaniem Marin, Nella zwyczajnie nie wie, co tam dziś zastanie. Co było kiedyś, dziś już nie istnieje. Serce zaczyna bić jej mocniej, gdy słyszy chrapliwy oddech Arnouda wchodzącego po drabinie i lekkie stąpanie Hanny na szczeblach za nim.

— Oto i one — oznajmia Nella, wskazując na cukrowe stożki, kiedy docierają na poddasze.

— Nie spodziewałem się, że będzie tego aż tyle — stwierdza Arnoud.

— Wyobraźcie sobie, jak zmieniają się w guldeny — odpowiada Nella. Arnoud unosi brwi, a ona krzywi się w duchu na swoją prostacką paplaninę. Myśl o Marin, powtarza sobie, bądź tak samo układna jak Johannes.

Hanna podchodzi do partii pochodzącej z Surinamu i gwałtownie wciąga powietrze.

— Psują się? — pyta.

— Tylko niektóre — odpowiada Nella. — Pogoda nam nie sprzyja.

Arnoud przyklęka nabożnie, jak ksiądz przed ołtarzem.

— Pozwolisz, pani?

— Oczywiście.

Arnoud bierze głowę z partii surinamskiej i kolejną oznaczoną trzema krzyżami z herbu Amsterdamu. Wyciąga z kieszeni ostry nożyk i wprawnym ruchem zestruguje z obu po jednym sporej wielkości obrzynku. Przełamuje je na dwie części i wręcza po połowie Hannie. Gdy oboje kładą na językach próbkę z Surinamu, ich spojrzenia się spotykają.

Co mówią sobie bez słów? Niezaprzeczalnie między nimi toczy się rozmowa. To samo robią z próbkami amsterdamskimi, rozpuszczając je w ustach i porozumiewając się w milczeniu. Małżeństwo to naprawdę dziwna rzecz, bez względu na to, jaki jest jego prawdziwy cel, myśli Nella. Kto by wpadł na to, by połączyć elegancką Hannę z tym pulchnym jak wielki racuch Arnoudem Maakvredem? Jaka szkoda, że nie ma tu Johannesa. On, który włada tyloma językami, pojąłby sens kupieckiego milczenia. Obraz męża zamkniętego w celi jest nie do wytrzymania i Nella odpędza go, starając się skupić na cukrze.

— Mamy tutaj tysiąc pięćset głów — oznajmia. — Siedemset pięćdziesiąt rafinowano w Surinamie, resztę zaś tutaj, w mieście. Chcielibyśmy sprzedać wszystkie.

— Zdawało mi się, że Brandt działał na Wschodzie.

— To prawda. Ale plantacja w Surinamie miała nadwyżkę, którą chciała zatrzymać w Republice. Jesteśmy dziś umówieni jeszcze z innymi zainteresowanymi — kłamie. — Bardzo im zależy.

Hanna delikatnie wyciera kącik ust.

— Ile chcecie za partię amsterdamską?

Nella udaje, że się namyśla.

— Trzydzieści tysięcy — mówi.

Hanna wybałusza oczy ze zdumienia.

— Nie ma mowy! — rzuca Arnoud.

— Tak jest, przykro mi — potwierdza Hanna. — Nie stać nas na taki wydatek.

— Pieniądze mamy — mruczy Arnoud. — Ale rozum też.

— Jesteśmy cukiernikami, nie handlujemy cukrem — tłumaczy Hanna, karcąc męża wzrokiem. — Może gildie nie stają nam na drodze, ale jako piekarze jesteśmy zdani na kaprysy burmistrzów, którzy teraz na przykład nienawidzą papistowskich piernikowych figurek.

— To doskonały cukier, jak z pewnością sami zauważyliście. Sama jego jakość gwarantuje, że się sprzeda. Szalony apetyt nie słabnie: marcepan, ciasta, wafle… — przekonuje Nella. Obserwuje Arnouda, który gapi się w zamyśleniu na głowy cukru wznoszące się pod powałę. — Wasza renoma z pewnością na tym zyska — dodaje. — Mogę się jedynie domyślać, jakie inne możliwości mogą się przed wami otworzyć.

Nella nie jest pewna, ale zdaje się jej, że Hanna skrywa uśmiech. To bardzo mało prawdopodobne, że mają trzydzieści tysięcy guldenów do

wydania, choć w tym mieście nigdy nic nie wiadomo. To absurdalna suma — ale co innego jej pozostaje? Marin kazała jej sztucznie zawyżyć cenę, żeby Arnoud miał poczucie, że schodzą do coraz rozsądniejszych kwot. Potrzebują swojej doli, Agnes potrzebuje swojej. Nella czuje się doprowadzona do ostateczności.

— Damy dziewięć tysięcy — mówi Arnoud.

— Nie mogę oddać całego cukru za dziewięć tysięcy.

— Dobrze, wobec tego weźmiemy sto głów z Amsterdamu za dziewięćset guldenów i damy znać, jak schodzą. Jeśli sprzedamy je z zyskiem, wrócimy po więcej.

Nella próbuje myśleć szybko, tak szybko jak Arnoud. On chce dać za jedną głowę dziewięć guldenów, a ona musi ją sprzedać za cenę bliższą dwudziestu. Przygotował się do tej rozmowy, myśli.

— To za mało, panie. Trzy tysiące pięćset.

Arnoud zanosi się śmiechem.

— Tysiąc sto — odpowiada.

— Dwa tysiące.

Arnoud wykrzywia wargę.

— Tysiąc i pięć setek.

— Bardzo dobrze, panie Maakvrede. Ale po południu będę rozmawiać z dwoma innymi zainteresowanymi. Mogę dać ci trzy dni na decyzję co do reszty, ale jeśli tamci zaoferują wyższą cenę, twoja szansa przepadnie.

— Zgoda — odpowiada Arnoud, krzyżując ramiona, z miną pełną podziwu. Wygląda na zadowolonego, Nella po raz pierwszy widzi uśmiech na jego twarzy. — Za sto głów.

Nelli kręci się w głowie. Nie poradziła sobie tak dobrze, jak na to liczyła, ale uda się rozprowadzić przynajmniej część towaru, a jak wiadomo — w Amsterdamie, gdzie plotki tak szybko się rozchodzą, już sam półmisek przepysznych słodkich bułeczek potrafi zdziałać cuda. Wkłada stożek z Surinamu do kosza, aby Cornelia mogła sprawdzić, czy nie dałoby się go wysuszyć.

Arnoud przekazuje Nelli tysiąc pięćset guldenów w szeleszczących banknotach. Ich dotyk wprawia dziewczynę w euforię — pieniądze dają nowe możliwości, są jak mała papierowa tratwa. Tysiąc pójdzie prosto do Agnes i Fransa na Prinsengracht jako słodka zachęta, aby nie zeznawali przeciwko Johannesowi. Resztą spróbuje przekupić Jacka Philipsa. O uszczknięciu czegoś dla siebie będą musieli pomyśleć później.

Hanna zaczyna napełniać kosz stożkami cukru.

— Jak się miewa Cornelia? — pyta.

Jest przerażona, chciałaby powiedzieć Nella, całymi dniami przesiaduje w kuchni. Gdy Nella ją zostawiła, z zapamiętaniem rozłupywała twardą główkę kapusty włoskiej, szatkowała pory i szalotki.

— Dobrze, dziękuję, pani Maakvrede.

— Jedni się kurczą, inni zaś rosną — zauważa Arnoud, patrząc na górę cukrowych stożków i kręcąc głową.

Hanna ściska dłoń Nelli.

— Sprzedamy ten cukier i wrócimy — zapewnia. — Dopilnuję tego.

*

Zaczyna padać deszcz, kiedy Nella śpieszy do domu z uczuciem, że banknoty w jej kieszeni są sztandarami triumfu. To dobry początek, a Nella ma zaufanie do Hanny Maakvrede. Wprawdzie wizyta u Agnes i Fransa Meermansów na Prinsengracht nie będzie przyjemna, ale grunt to dobrze odegrać swoją rolę. Odłoży na bok swoje prawdziwe „ja”, jak czyni to Marin. Jest nadzieja, że widok pieniędzy zmiękczy dziwnie stwardniałe serce Fransa albo obudzi uśpioną od dawna wielkoduszność Agnes. Czy to możliwe, by naprawdę pragnęli śmierci Johannesa? Jak bardzo trzeba być nieszczęśliwym, żeby życzyć komuś śmierci?

Kiedy Nella wchodzi do holu i strząsa z siebie krople deszczu, słyszy płacz Cornelii. Jej stłumiony szloch dobiega z kuchni. Nella rzuca kosz z poczerniałą głową cukru z Surinamu i zbiega po schodach, potykając się o własne spódnice i omal się nie przewracając.

Na podłodze leżą porozrzucane obierki z warzyw — zielone i białe wstążki straszliwie popsutego dania.

— Co się stało? — pyta Nella.

Cornelia wskazuje niewielki list leżący na stole.

— To od niej? — pyta Nella w przypływie nadziei. Nareszcie miniaturzystka wróciła, myśli. Rzuca się na kartkę, lecz gdy widzi zapisane na niej słowa, ostra skiba strachu odcina jej oddech, a guldeny Arnouda i podniecenie, że udało jej się dobić targu, wyparowują bez śladu.

— Dobry Boże! — wykrzykuje. — To już dzisiaj?

— Tak — odpowiada Cornelia. — Ta norweska podglądaczka t e g o nie przewidziała.

Dzikie bestie muszą zostać poskromione

Sala rozpraw w Stadhuis to kwadratowe pomieszczenie z wysokimi oknami i galerią dla publiczności biegnącą wokół ścian — coś między kaplicą a zapadłą celą. Nie ma tu złota ani aksamitu, żadnych oznak pobłażania, są tylko cztery lśniące bielą ściany i ciemne, proste meble. Reszta ratusza miejskiego jest monumentalna i zapiera dech w piersiach. Łuki wzlatują do pozłacanych gzymsów, a rzeźbione w marmurze ścienne mapy pięknie błyszczą — lecz w komnacie, gdzie egzekwuje się prawo, atmosfera jest surowa.

Nella i Cornelia zajmują miejsce na galerii i spoglądają w dół na salę rozpraw.

Schout Pieter Slabbaert oraz sześciu innych mężczyzn wchodzą jeden po drugim i zajmują miejsca. Przesłuchanie Johannesa zaraz się zacznie.

— To na pewno członkowie *schepenbank* — szepcze Nella do Cornelii, która kiwa głową, z trudem opanowując drżenie. Ławnicy są w różnym wieku, jak zauważa Nella — niektórzy wyglądają na lepiej sytuowanych, lecz żaden nie ma takiego płaszcza i wstęgi jak schout. Indywidualność nie jest mile widziana w tym mieście, dlatego Nella boi się, że w obliczu zarzutów, jakie zostaną postawione Johannesowi, wszyscy zakrzepną w świątobliwą masę, zjednoczoną nienawiścią.

Nella nie może patrzeć na schouta. Jest łudząco podobny do ropuchy — ma bulwiastą twarz, szerokie wargi i szklisty wzrok. Galeria, na której siedzą, zaczyna wypełniać się widzami z miasta, jest wśród nich kilka kobiet, a nawet garstka dzieci. Nelli zdaje się, że rozpoznała małego donosiciela Christoffela, który przybiegł z wiadomością o ujęciu Johannesa.

— Nie powinni przyprowadzać dzieciaków — mamrocze pod nosem Cornelia. Dzieci budzą w niej niepokój: wyglądają jak ławica małych rybek, które przypłynęły zobaczyć łowienie wieloryba.

Po lewej stronie Nella dostrzega Hannę i Arnouda Maakvrede. A więc wiedzą, myśli, kłaniając im się z ciężkim sercem. Arnoud stuka się po nosie znacząco, a ona próbuje czerpać otuchę z tego konspiracyjnego gestu. Czy wiedział od początku? Możliwość, że Arnoud jest bardziej

amsterdamczykiem niż aniołem, jest dla niej nawet pocieszająca, dopóki nie zadaje sobie pytania, czy — zależnie od wyniku procesu — nie wróci i nie zechce upolować reszty cukru po obniżonej cenie.

W pierwszym rzędzie po przeciwległej stronie galerii siedzi okutana w futra Agnes Meermans.

— Co się stało z jej twarzą? — pyta szeptem Cornelia. Rysy Agnes rzeczywiście wydają się jeszcze ostrzejsze niż w grudniu, kiedy Nella spotkała ją w Starym Kościele. Sprawia wrażenie chorej — jej kości policzkowe są jeszcze mocniej zarysowane, a oczy bardziej zapadnięte, kiedy spogląda w dół na salę rozpraw, bawiąc się czymś, co trzyma na kolanach. Gdy znienacka zaciska dłonie na drewnianej barierce przed sobą, Nella widzi, że ma strasznie poobgryzane paznokcie. Jej niegdyś idealnie schludna opaska na włosy jest przekrzywiona, zdobiące ją perełki zmatowiały, a cały strój sprawia wrażenie narzuconego w pośpiechu. Agnes wygląda jak schwytane w potrzask zwierzę, jej oczy biegają po całej galerii, szukając czegoś.

— Powiem ci, jaśnie pani, co to takiego — mówi Cornelia. — Nieczyste sumienie, ot co.

Nella nie jest tego taka pewna. Czym Agnes się bawi jak mała dziewczynka — co takiego chowa w rękawie?

Za Agnes, w swoim wielkim kapeluszu z szerokim rondem, siedzi Frans Meermans. Nella zastanawia się, dlaczego nie usiadł obok żony. Jego duża, przystojna twarz wydaje się mokra od deszczu padającego dziś rano na dworze; poprawia kurtkę, ciągnąc za jej poły, jakby było mu za gorąco. Nella poklepuje swoją kieszeń, w której wciąż schowane są guldeny od Arnouda. Musi przekonać Meermansa, że lada dzień może spodziewać się pieniędzy, i to sporych. „Puśćmy tę sprawę w niepamięć, panie, powiedzmy, że byliśmy w błędzie… Widzisz przecież, że Agnes nie czuje się na siłach, żeby zeznawać”. Ćwicząc w myślach te kwestie, Nella próbuje przyciągnąć jego wzrok, lecz Meermans nie chce spojrzeć w jej stronę i tylko gapi się ponad głową żony na arenę w dole.

Przez izbę przechodzi nagły szmer, kiedy wprowadzają Johannesa. Nella zatyka sobie dłonią usta, za to Cornelia nie wytrzymuje i krzyczy:

— Panie! Mój panie!

Johannes wyszarpuje się podtrzymującym go strażnikom, choć ledwo chodzi. Panowie z *schepenbank* przyglądają mu się z napięciem na twarzach. Johannes niewątpliwie był rozciągany na łożu tortur i doznał

poważnych obrażeń, choć nie na tyle, by zagrażały jego życiu. Idzie dziwnie przechylony na bok, wlokąc za sobą stopę jak bezwładną szmatę. Johannes twierdził, że widzi horyzonty przez ceglane mury, ale jakże odmieniony się zdaje po sześciu zaledwie dniach — jego oczy wyglądają jak zmatowiałe kamyki. Opończę ma postrzępioną, mimo to gdy zajmuje miejsce, odgarnia ją zamaszystym ruchem niby szatę ze złotogłowiu.

Okrucieństwo śrub i rzemieni nie przyniosło pożądanego skutku. Dziwaczny więzień najwyraźniej zachował swoje tajemnice dla siebie — gdyby było inaczej, nie siedzieliby teraz w sali rozpraw. Czy to możliwe, że nic nie powiedział? — zastanawia się Nella. Celem tego przesłuchania będzie wymuszenie przyznania się do winy poprzez okrucieństwo innego rodzaju: upokorzenie przed współobywatelami. Jak to powiedział Johannes w celi? Im więcej osób bierze udział w rytuale, tym bardziej wydaje się on uzasadniony.

Nella przypomina go sobie na uczcie u złotników, jaki roztaczał wokół siebie czar, jego błyskotliwość, dowcip, umiejętność zjednywania sobie ludzi. Gdzie są teraz ci wszyscy towarzysze Johannesa — dlaczego tylko dzieci i kanceliści przyszli oglądać jego walkę o życie?

— Powinien chodzić o lasce — szepcze do niej Cornelia.

— Nie, nie. Chce, żebyśmy wiedzieli, jak są brutalni.

— I chce poddać próbie nasze współczucie.

Hanna Maakvrede przysiadła się do nich i teraz ujmuje dłoń Nelli. Gdy łączy się ten trzyosobowy łańcuch, Nella boi się, że pęknie jej serce. Cały czas była przekonana, że Johannes nie pozwalał Marin żyć tak, jak chciała, podczas gdy w istocie próbował ją wyzwolić. Serce Johannesa jest potężne, ale patrzcie, gdzie go doprowadziło.

Gdyby tylko Marin mogła zrewanżować się za jego przysługę teraz, gdy jest to potrzebne bardziej niż kiedykolwiek. Mogą nie zdążyć namówić Jacka do zmiany zeznań, tak jak może im się nie udać obłaskawić Fransa, a gdy w sprawę włączyło się państwo, kto się przeciwstawi jego okrutnej machinie, która wykryła sodomitę? „Mojego bogactwa nie da się dotknąć — powiedział jej kiedyś Johannes. — Ono jest w powietrzu”. Za to dziecko jest konkretne, cielesne. Użycz nam dziecka, którego się spodziewasz, Marin, myśli Nella, i pozwól choć przez chwilę udawać normalne małżeństwo.

Wyobraża sobie miniaturową kołyskę, wypukły brzuch miniaturki Marin, głowę cukru w ręce Agnes oraz pozbawioną skazy laleczkę Jacka

i przeklina w duchu miniaturzystkę za to, że odpowiednio wcześnie nie zwróciła jej uwagi na to, co należało zrobić, czemu można było zapobiec. Po co komu prorokini, która nie mówi jasno, czego należy się spodziewać? Z drugiej strony, zastanawia się Nella, co mogłabym zrobić, czy byłabym w stanie w ogóle cokolwiek powstrzymać?

Hanna nachyla się w jej stronę.

— Połowa partii, którą zabraliśmy rano, jest już obstalowana, pani. Arnoud chce przewieźć część do Hagi, gdzie ma rodzinę. Jestem pewna, że niebawem wrócimy po więcej, miej to zatem na względzie, gdy będziesz się widzieć z innymi… zainteresowanymi. — Obrzuca Nellę uważnym spojrzeniem.

Nella tłumi w sobie zażenowanie. Nie ma oporów przed blefowaniem w rozmowie z Arnoudem, który sam się o to wręcz prosi, ale wobec Hanny wydaje się to niehonorowe.

— Czy którykolwiek z jego klientów wie, od kogo jest ten cukier? — pyta.

Tym razem to Hanna okrywa się rumieńcem.

— Arnoud nie wspomina o dostawcy — mówi. — Tak czy inaczej to wyborny towar. Myślę, że mąż by go sprzedał, choćby pochodził od samego Belzebuba.

Słowa Hanny budzą w Nelli nadzieję, ale i tak najważniejsze jest teraz to, że tutaj, w sali rozpraw, sytuacja Johannesa wymyka jej się spod kontroli. Na dworze pada coraz mocniej, deszcz bębni jednostajnie o dach.

— Dobrzy ludzie Amsterdamu, mamy szczęście! — rozpoczyna schout Slabbaert. Jego tubalny, melodyjny głos dochodzi aż do twardych drewnianych ławek, na których siedzi gawiedź. Oto człowiek w kwiecie wieku, u szczytu kariery prawniczej, decydujący o życiu i śmierci swoich współobywateli. Na pewno dobrze jada, myśli Nella, i dobrze sypia. Zgroza izby tortur pod jego stopami jest dla niego równie odległa jak wyspy Moluki.

— Zapracowaliśmy na sukces naszego miasta — kontynuuje Slabbaert. Przez galerię przebiega szmer dumnej aprobaty, a panowie z *schepenbank* kiwają potakująco głowami. — Ujarzmiliśmy nasze ziemie i morza, a teraz raczymy się ich bogactwem. Jesteście wszyscy prawymi ludźmi. Nie zatraciliście się w nadmiarze naszego powodzenia. Lecz… — Slabbaert robi efektowną pauzę, podnosząc do góry palec, który skierowuje następnie na Johannesa — …oto człowiek, który popadł w samozadowolenie.

Mniemał, że jest ponad własną rodziną, ponad miastem, Kościołem i państwem. Ponad Bogiem. — Slabbaert milknie ponownie, pozwalając, aby cisza nasyciła jego retorykę jeszcze większą mocą. — Johannes Brandt myśli, że może wszystko kupić. Dla niego wszystko ma cenę. Nawet sumienie młodzieńca, którego znieprawił dla własnej rozkoszy cielesnej i któremu usiłował zapłacić za milczenie.

Przez widownię przetacza się szmer podniecenia. Samozadowolenie, rozkosz, ciało — te zakazane słowa przyprawiają zebranych w komnacie o przyjemny dreszcz. Nella czuje tylko strach, rozwijający się w niej jak pąk jednej z trujących roślin Marin.

— Nie może pan rzucać takich oskarżeń. — Johannes mówi łamiącym się, chropawym głosem. — Ławnicy z *schepenbank* nie podjęli jeszcze decyzji, a mają to zrobić sami. Panie, okaż im zaufanie. To roztropni mężowie.

Kilku ławników puszy się jak pawie. Pozostali przyglądają się Johannesowi z podziwem połączonym z odrazą.

— Są oni dobrymi doradcami — rzecze Slabbaert — ale to ja będę miał ostatnie słowo. Czy zatem zaprzeczasz oskarżeniu o napaść i sodomię?

Oto słowa, na które czekali siedzący na galerii. Jakby rzucały na patrzących urok, pozwalając zakosztować ich niespotykanego, grzesznego smaku.

— Zaprzeczam — odpowiada Johannes. Wyciąga pokiereszowane nogi. — Pomimo waszych wytężonych starań.

— Odpowiadaj krótko, proszę — mówi Slabbaert, przeglądając dokumenty. — W niedzielę 29 grudnia ubiegłego roku, jak twierdzi niejaki Jack Philips z Bermondsey koło Londynu, napadłeś na niego na Wschodnich Wyspach i dopuściłeś się aktu sodomii. W biały dzień pański został tak poturbowany i posiniaczony, że ledwie chodził.

Na galerii wybucha hałas.

— Cisza! — krzyczy Slabbaert. — Spokój tam na górze.

— To nie byłem ja — oświadcza Johannes, przekrzykując zgiełk.

— Świadkowie przysięgną na Pismo Święte, że cię widzieli.

— Czy znają mnie na tyle, by mieć pewność, że to byłem ja?

— Twoja twarz jest wielu dobrze znana, seigneur Brandt. Nie czas udawać pokorę. Jesteś człowiekiem wpływowym, dajesz przykład innym. Często widują cię w porcie, w okolicach składów i na nabrzeżu. Czyn, który popełniłeś…

— Rzekomo popełniłem…

— …jest sprzeczny z wszystkim, co dobre i prawe. Twój występek przeciwko własnej rodzinie, miastu i krajowi, jest czynem diabelskim.

Johannes spogląda w górę, na kwadrat białego nieba w wysokim oknie. Członkowie *schepenbank* poprawiają się na twardych krzesłach.

— Mam czyste sumienie — mówi cicho. — Wasze oskarżenia są równie prawdziwe jak wasze zęby.

Dzieci na galerii chichoczą.

— Oprócz sodomii jeszcze i obraza sądu…

— Może i obraziłem sąd, seigneur Slabbaert. Co mi zrobicie? Utopicie mnie dwa razy za to, że wytknąłem wam próżność?

Slabbaert wybałusza swoje wyłupiaste oczy, jego dobrze odżywione policzki opadają od ledwie skrywanego gniewu. Bądź ostrożny, Johannesie, prosi w myślach Nella.

— Kiedy o coś pytam — cedzi Slabbaert — odpowiadaj z szacunkiem, który każdy obywatel winien jest rządom prawa.

— Zatem zadaj mi pytanie, które na szacunek zasługuje.

Członkowie *schepenbank* wyraźnie ekscytują się tą wymianą zdań — ich głowy obracają się to w lewo, to w prawo między jednym a drugim mówcą.

— Jesteś żonaty? — pyta Slabbaert.

— Jestem.

Nella kuli się w ławce. Agnes spogląda na nią z oddali z nieodgadnionym, krzywym uśmieszkiem igrającym na wargach.

— A jakim jesteś mężem?

— Na razie w jednym kawałku, nie widać?

Niektórzy mężczyźni na galerii śmieją się, a Johannes podnosi wzrok. Rozpoznaje przechyloną przez barierkę Cornelię i zdobywa się na uśmiech.

— To nie jest odpowiedź na pytanie — stwierdza Slabbaert lekko podniesionym głosem. — Pytam, czy jesteś dobrym, czy złym mężem.

Johannes wzrusza ramionami.

— Dobrym, jak mniemam. Moja żona jest zadowolona. Jest zamożna, ma zabezpieczony byt.

— To odpowiedź kupca. Bycie zamożnym nie jest równoznaczne z zadowoleniem.

— Ach, oczywiście nie wziąłem pod uwagę duchowej udręki, jakiej panu przysparzają pieniądze, Slabbaert. Powiedzcie to czeladnikowi, człowiekowi, który gwarantuje Republice wypłacalność, a sam nie ma

z czego zapłacić czynszu. Przekonajcie go, że poczucie bezpieczeństwa nie oznacza zadowolenia.

Z galerii dochodzi kilka aprobujących chrząknięć, a jeden z członków *schepenbank* coś zapisuje.

— Masz dzieci? — pyta Slabbaert.

— Jeszcze nie.

— Dlaczego?

— Jesteśmy raptem cztery miesiące po ślubie. — Cornelia ściska dłoń Nelli. Johannes nieświadomie zaprzepaścił szansę, jaką mogło być dla niego dziecko Marin.

— Jak często z nią obcujesz?

Johannes milczy dłuższą chwilę. Jeśli chce w ten sposób podkreślić obcesowość tego pytania, to prostackie wtargnięcie do jego alkowy, to nie osiąga zamierzonego skutku. Panowie z *schepenbank* wyciągają szyje, podobnie jak Frans Meermans. Agnes zaciska palce na balustradzie, czekając jak wrona na padlinę.

— Tak często, jak mogę — odpowiada wreszcie Johannes. — Z konieczności dużo podróżuję.

— Późno się ożeniłeś, panie.

Johannes patrzy na galerię.

— Na taką żonę warto było czekać.

W jego słowach dźwięczy prawdziwa czułość, a Nellę ogarnia jeszcze większy smutek. Dwie kobiety siedzące za nią wzdychają z uznaniem.

— Przez lata zatrudniałeś wielu terminatorów z różnych gildii — zauważa Slabbaert.

— Jest to moim obowiązkiem jako obywatela Amsterdamu oraz starszego członka Kompanii Wschodnioindyjskiej. Czynię to z radością.

— Ktoś mógłby rzec, że zbyt wielu. Przez lata liczba młodych mężczyzn…

— Z całym szacunkiem, czyż nie wszyscy praktykanci są młodymi mężczyznami?

— …przekroczyła liczbę zatrudnionych przez innych starszych członków gildii lub przedstawicieli Kompanii Wschodnioindyjskiej. Mam tutaj odpowiednie statystyki.

Johannes jeszcze raz wzrusza zmaltretowanymi ramionami.

— Mam więcej pieniędzy niż większość z nich — tłumaczy. — Ludzie chcą się ode mnie uczyć. Mógłbym nawet zaryzykować twierdzenie, że

właśnie dlatego tutaj jestem.

— W jakim sensie?

— Najsłabsi myśliwi zawsze wybierają największego jelenia. Ciekaw jestem, schout Slabbaert, kto przejmie mój interes, gdy mnie utopicie? Czy to ty rozdzielisz mój majątek i zamkniesz w swoich szkatułach w ratuszu?

— Obrażasz miasto Amsterdam! — grzmi Slabbaert. — Budzisz w nas obrzydzenie swoimi insynuacjami! — Przenosi wzrok na *schepenbank*. — Traktujesz miasto niczym zabawkę, podważasz wszystko, dla czego pracujemy.

— To nie stwierdzenie faktu, lecz twoja opinia, panie.

— Czy to prawda, że oprócz tego zatrudniłeś Murzyna?

— To chłopak z Porto-Novo w Dahomeju.

— Trzymałeś go przy sobie, wpoiłeś mu nasze obyczaje. Oswoiłeś dzikusa.

— Do czego zmierzasz, Slabbaert? Na co się zasadzasz?

— Pragnę jedynie zwrócić uwagę, że masz niecodzienne upodobania, seigneur Brandt. Wielu twych współpracowników może to potwierdzić. Wezwijcie stronę skarżącą! — rzuca znienacka, a Johannes, wstrząśnięty, otwiera szeroko oczy.

— Stronę skarżącą? — zwraca się Nella do Cornelii. — Dzisiaj mieli przecież tylko przedstawić zarzuty, prawda?

Ale nie: już słyszą jego kroki i zdjęte zgrozą patrzą w dół, jak strażnicy wprowadzają na salę rozpraw oskarżyciela Johannesa.

Spektakl

Na widok Anglika Cornelia ściska dłoń Nelli. Zabójca Rezeki wchodzi do komnaty sądowej. Jego lwia grzywa straciła połysk, na ramieniu ma zakrwawiony bandaż.

— To nie jego krew — szepcze Nella. — Rana do tego czasu by się zagoiła. — Jack spogląda na galerię i Nella zauważa, że tym razem to Agnes kurczy się na swoim miejscu.

Na jego widok — angielskiego diabła z krwi i kości — panowie z *schepenbank* nagle się ożywiają.

— Ty jesteś Jack Philips z Bermondsey w Anglii? — pyta Slabbaert.

Spojrzenia i szepty zgromadzonej publiczności wydają się wprawiać Jacka w chwilową niepewność. Nella przypomina sobie pierwszorzędny spektakl, który odstawił w ich holu po zadźganiu Rezeki, i nie umie ocenić, czy chłopak jest przerażony, czy tylko udaje.

— To ja — odpowiada Jack. Rzuca te słowa do stóp Johannesa jak rękawicę, jego dziwny holenderski niesie się echem w komnacie. Kilkoro widzów na galerii otwarcie śmieje się z jego akcentu.

— Przynieście mu Biblię — rzuca monotonnym głosem Slabbaert. Pisarz sądowy wstaje i potrząsa niewielkim, zwartym tomem. — Połóż na niej dłoń i przysięgnij, że będziesz mówił prawdę.

Jack kładzie drżące palce na oprawie.

— Przysięgam — mówi.

Twarz Johannesa jest nieodgadniona. Patrzy na Jacka, lecz on nie odwzajemnia jego spojrzenia.

— Czy poznajesz tego człowieka? — Slabbaert wskazuje na Johannesa, lecz Jack nie podnosi głowy. — Pytam, czy poznajesz tego człowieka.

Jack ciągle nie patrzy. Czy to poczucie winy, zastanawia się Nella, czy też udawany przestrach, jedna z sztuczek, których nauczył się w teatrach nad Tamizą?

— Głuchy jesteś? — pyta Slabbaert nieco głośniej. — A może nie rozumiesz, co mówię?

— Rozumiem — odpowiada Jack. Jego rozbiegany wzrok pada na Johannesa, zatrzymując się na jego pokrzywionych nogach, złachmanionej

opończy.

— O co go oskarżasz? — pyta Slabbaert.

— O napaść połączoną z sodomią oraz próbę przekupstwa.

Panowie z *schepenbank* wzdychają z podniecenia.

— Odczytam teraz twoje zeznania zgromadzonym. — Slabbaert odchrząkuje. — „Ja, Jack Philips z Bermondsey w Anglii, zamieszkujący w Domu pod Królikiem nad Klovenierburgswal nieopodal Bethaniënstraat, zostałem zaatakowany znienacka i przymuszony do aktu sodomii późnym wieczorem 29 grudnia. Sprawcą ataku był Johannes Matteus Brandt, kupiec amsterdamski oraz *bewindhebber* Kompanii Wschodnioindyjskiej. Zostałem wzięty wbrew swojej woli i dźgnięty nożem w ramię za stawianie oporu”. Czy strona skarżąca pragnie coś dodać? — pyta Slabbaert, spoglądając znad okularów.

— Nie.

Cornelia patrzy na Nellę.

— Powiedział, że to pan Johannes go dźgnął, prawda? Czyli Toot jest bezpieczny? — szepcze, jak gdyby sama nie mogła w to uwierzyć. — Jeden mały cud, pani!

Nella nie podziela jej rozradowania. To kłamstwo być może uwolniło służącego, lecz kto wie, czy nie pogrążyło ostatecznie jego pana.

— I wszystko jest zgodne z prawdą? — dopytuje Slabbaert, mając na myśli pisemne oświadczenie.

— Tak. Mogę jedynie dodać, że omal nie ugodził mnie w serce.

— Rozumiem. A gdzie doszło do tej napaści, panie Philips?

— Na Wschodnich Wyspach. Pracuję dorywczo jako doker w składach Kompanii Wschodnioindyjskiej.

— A jak on wyglądał?

— To znaczy?

— Pytam, jak zachowywał się Johannes Brandt, zanim cię… zniewolił?

— Był rozszalały.

Nella zastanawia się, skąd Jack zna takie słowo.

— Rozmawialiście ze sobą?

Jack coraz bardziej się rozkręca. Z mistrzowskim opanowaniem aktorskiej pauzy pozwala zebranym wsłuchać się we własne myśli i bębnienie deszczu.

— Czy mówił coś do ciebie? — powtarza Slabbaert.

— Nazwał mnie swoją siostrzeniczką i spytał, gdzie mieszkam.

— Nazwał cię siostrzenicą? — Slabbaert odwraca się w stronę *schepenbank*. — Zachowania tych mężczyzn są pod każdym względem sprzeczne z naturą. Ludzie ci zawłaszczają nawet rodzinny język i robią z niego pośmiewisko. Panie Philips, czy on mówił coś jeszcze?

— Że mnie obserwował — podejmuje Jack. — Zapytał, czy może wrócić i obejrzeć moją kwaterę.

— I co mu odpowiedziałeś?

— Odepchnąłem go i rzekłem, żeby dał mi spokój.

— Co było potem?

— Chwycił mnie za rękawy płaszcza i przyparł do muru swojego składu.

— A potem? Co było dalej? — drąży Slabbaert. — Dopuścił się wobec ciebie czynu nierządnego?

— Tak jest.

— Czynu znanego jako sodomia?

— Tak.

Dwaj członkowie *schepenbank* zanoszą się nagłym kaszlem i szurają krzesłami. Ludzie na galerii szepczą między sobą. Jedno z najmniejszych dzieci na sali, najwyżej trzyletnie, gapi się na Nellę spomiędzy słupków balustrady ze strachem i zaciekawieniem.

Schout pochyla się w stronę Jacka, w jego wyłupiastych oczach pojawia się błysk rozkoszy.

— Czy mówił coś w trakcie napaści?

— Że… że musi mnie posiąść. Że mi pokaże, jak bardzo kocha swoją małą siostrzeniczkę.

— A ty co mu odpowiedziałeś?

Jack odchyla ramiona i dumnie wypinając pierś, prezentuje skrwawiony bandaż.

— Że ma w sobie diabła. A potem że sam jest diabłem wcielonym, ale nie chciał przestać. Powiedział, że pokaże łajdakowi takiemu jak ja, jak to jest, gdy go posiądzie mężczyzna taki jak on. I że zawsze dostaje to, czego chce, i że mnie pobije, jeśli mu się nie oddam.

— Medyk sporządził opis fizycznego stanu powoda w dniu jego przybycia do ratusza z oskarżeniem — mówi Slabbaert, rozdając kopie raportu członkom *schepenbank*. — Pchnął cię ostrym narzędziem, mój chłopcze. I to tuż nad sercem.

„Mój chłopcze”. Brzmi to wręcz czule — oto biedny Jack, chłopiec napadnięty w ciemnościach przez samego Lucyfera. Slabbaert wyraźnie

wskazuje, czyją stronę trzyma. Johannes wygląda na przytłoczonego, jakby miał kości z kamienia.

— To prawda — potwierdza Jack. Johannes podnosi głowę, a Jack szybko odwraca wzrok na ławę przysięgłych. — I pobił mnie. Tak że ledwie trzymałem się na nogach.

— To wszystko są kłamstwa — przerywa mu Johannes.

— Nie wolno mu się do mnie odzywać, schout Slabbaert — skarży się Jack. — Powiedzcie mu, że nie ma prawa.

— Siedź cicho, Brandt. Później będziesz mieć okazję się wypowiedzieć. Panie Philips, czy jest pan całkowicie pewny, że tym, który pana napadł tamtej nocy, był Johannes Brandt?

— Tak jest — potwierdza Jack, lecz widać, że uginają się pod nim kolana.

— Chłopak zaraz zemdleje — mówi Johannes, kiedy Jack zaczyna wyraźnie słaniać się na nogach.

— Wyprowadźcie go — zarządza Slabbaert, machając w kierunku Jacka. — Ogłaszam przerwę do godziny siódmej rano dnia jutrzejszego.

— Wysoki sądzie — mówi Johannes. — Dzisiaj miał jedynie zostać odczytany akt oskarżenia, a wy przyprowadziliście mojego oskarżyciela. Co to za gra? Kiedy będzie moja kolej na zadawanie pytań? Próbujecie mnie zniesławić i zaszokować tłum. Mam prawo przemawiać w swojej obronie.

— Wiele już powiedziałeś, i to nawet zbyt wiele. Nie wysłuchaliśmy jeszcze świadków.

— Napisane jest — mówi Johannes — że tak ma być. — Wskazuje ruchem ręki na Biblię. — „Nie miejcie względu na osoby przy sądzie; tak małego, jak i wielkiego wysłuchywajcie. A jeźliby co przytrudniejszem było na was, odniesiecie do mnie, a ja tego przesłucham” — recytuje, po czym dodaje ze wzgardą: — Piąta Księga Mojżeszowa, gdybyście chcieli sprawdzić.

— Dostaniesz swoje pięć minut, Brandt — replikuje Slabbaert. — A na razie odraczam rozprawę. Do jutra, do siódmej rano.

Skarżącego i oskarżonego wyprowadzają osobnymi drzwiami. Jack nie podnosi głowy, natomiast Johannes na chwilę zwraca się w stronę galerii, gdzie Cornelia i Nella już poderwały się z miejsc. Nella podnosi rękę, a on kiwa głową, zanim wypchną go z sali.

Ludzie rozprostowują nogi i jak na makabrycznym pikniku opowiadają sobie nawzajem o swoim zaskoczeniu i konsternacji; gmerają po kieszeniach, szukając torebek z orzechami, kawałkami sera i szynki. Agnes przemyka się ptasimi krokami do wyjścia. Frans Meermans już zniknął.

Nella wie, że ma mało czasu.

— To nie potrwa długo — zapewnia Cornelię. — Wracaj do Marin.

Hanna natychmiast spogląda na nie z ciekawością, a Nella rzuca służącej ostrzegawcze spojrzenie. Nawet Hanna nie może wiedzieć. Cornelia w odpowiedzi prawie niezauważalnie kiwa głową.

Kierując się w stronę drzwi, którymi wyszła Agnes, Nella zauważa, że coś spadło na podłogę w miejscu, gdzie siedziała pani Meermans. W kurzu, wśród świeżych skórek z pomarańczy, wystają spod ławki dwie maleńkie stópki obute w saboty. Znam je, myśli Nella, przyklękając w kurzu.

Stopy należą do małej laleczki odzianej w złoto. Ma twarz Nelli, kosmyki włosów wysuwają się spod opaski w szafranowym kolorze.

— Niech mnie anieli… — szepcze dziewczyna. Ta figurka ma spokojniejsze spojrzenie i mniej zaskoczoną minę niż laleczka w domku Nelli. Dziewczyna odruchowo ogląda miniaturowe ciałko — mówi sobie, że to w poszukiwaniu śladów, które pomogą jej ustrzec się przed nadciągającym niebezpieczeństwem. Jednak mroczna, rzadko odwiedzana kieszonka jej umysłu podpowiada, że tak naprawdę wypatruje oznak ciąży. Nie ma żadnych; brzuch laleczki jest zupełnie płaski. Odpędza smutek. Przynajmniej nie masz żadnych ran ani złamań, pociesza samą siebie. To nie jest twój czas.

Gulden i lalka

Agnes mogła mieć tę laleczkę od wielu miesięcy. Zazdrościła mi domku, myśli Nella, udawała nawet, że ma własny, lecz po wieczerzy i kosztowaniu cukru wygadała się na schodach. „Muszę się postarać, żeby mój był lepszy”, powiedziała do Fransa. I chyba tylko w jednym miejscu mogła uzyskać moją podobiznę, nieprawdaż? Laleczka tak trafnie oddaje jej wygląd i charakter, że Nelli trudno jest pogodzić się z myślą, że została zrobiona dla kogoś innego.

Wkłada lśniącą figurkę do kieszeni z guldenami Arnouda i zbiega po schodach za Meermansami. Deszcz trochę zelżał, światło jest zamglone. Widzowie, którzy wyszli właśnie z sali rozpraw, kręcą się teraz po wąskiej uliczce, omijając kałuże. Nella spostrzega staromodną białą kryzę i długi czarny kabat pastora Pellicorne’a. Ta jego pusta, niepokalana twarz, korona siwych włosów, oczy rozszalałego kaznodziei… Ludzie lgną do niego jak rzepy do wełnianego płaszcza.

— Oto grzech — orzeka przy akompaniamencie gęstych kropli deszczu. — Można wyczuć jego smród. Johannes Brandt prowadził grzeszne życie.

— Takie są skutki bogactwa — zauważa kobieta stojąca obok.

— Ale przecież pomnażał miejski kapitał — odzywa się ktoś. — Dzięki niemu się wzbogaciliśmy.

— Wskażcie mi tego, kto się wzbogacił. Poza tym spójrzcie, co uczynił ze swą duszą — ostatnie słowo Pellicorne wypowiada szeptem, jakby jednym tchem rozprawiał się z obrzydliwością postępków Johannesa Brandta.

Nella nie może oddychać. Coraz mocniej czuć fetor gnijącego jedzenia i gęsty, dymny swąd mięsa z tawerny. Pellicorne omiata ją wzrokiem.

— Dobrze się czujesz, dziecko? — pyta jedna z kobiet otaczających pastora, lecz Nella nie odpowiada.

— Ż o n a — szepcze ktoś i jeszcze więcej spojrzeń kieruje się w jej stronę.

Patrzcie na mnie, myśli Nella. Patrzcie sobie.

— Tak! — krzyczy. — Jestem jego żoną!

— Bóg widzi przez zamknięte drzwi, pani — mówi pierwsza z kobiet. — Widzi wszystko.

Nella oddala się, ściskając laleczkę w kieszeni. Próbuje wyobrazić sobie dom bez Johannesa. Nie, nie możesz pozwolić mu umrzeć, powtarza sobie, czując jednak, że życie męża zależy od niej w coraz mniejszym stopniu.

— Pani Brandt? — słyszy czyjś głos.

Odwraca się. Stoi przed nią Frans Meermans. Zachowaj spokój, Nello Elżbieto.

— Panie — mówi — szukałam cię. Gdzie twoja żona?

Meermans wciska sobie kapelusz na głowę.

— Agnes poszła do domu — informuje. — Wróci jutro. Jakby to powiedzieć… niedomaga, od kiedy zobaczyła tę okropność…

— Musisz powstrzymać to szaleństwo, panie. Czy dla guldenów warto zabić przyjaciela? — Waha się. — Albo unieszczęśliwić Marin?

Meermansowi robi się nieswojo.

— Johannes Brandt nie jest moim przyjacielem, pani. A moja żona świadczy przed Bogiem. Szkoda mi pani Marin, ale to, co zrobił twój mąż z tym chłopcem, nie może mu ujść bezkarnie.

— Przecież nie chodzi o to, co Johannes zrobił z Jackiem, prawda? — szepcze Nella. — Ale o coś, co się stało przed dwunastu laty. Sądzisz, że mój mąż zrujnował ci życie. Musisz wiedzieć, że to nie był on.

Pierś Meermansa się unosi.

— Pani…

— Wiem, co się wydarzyło — mówi desperacko. — Między tobą a Marin. Rozumiem zazdrość Agnes, ale…

— Zamilcz — syczy Meermans. — Zachowaj dla siebie swoje szalone fantazje.

— Uważasz, że dwanaście lat temu to Johannes podjął decyzję za ciebie. — Nella nie daje za wygraną. — Ale to nie był on…

— Nie chcę o tym rozmawiać, pani. — Meermans rozgląda się śpiesznie po ulicy, krzywiąc się na deszcz, którym dalej nasiąka rondo jego kapelusza. — Agnes jest moją żoną.

— Ale to jeszcze nie koniec, panie. Musisz wiedzieć coś jeszcze. — Nella wyjmuje tysiąc guldenów z podwiniętą pod spód swoją miniaturową podobizną. — Oto część twojej należności — mówi. — Johannes sprzedał znaczną transzę twojego cukru, seigneur, panu Arnoudowi Maakvredemu.

— Tysiąc guldenów… ciągle masz mnie za głupca? — Nagle wyraz jego twarzy się zmienia. Meermans sztywnieje, wydaje się, że ze strachu. — A to co?

Nella uświadamia sobie, że mężczyzna patrzy w osłupieniu na laleczkę. Przypomina sobie, jak maszerował po Kalverstraat w szeregach Bractwa Świętego Jerzego i patrzył na symbol słońca na murze kamienicy. — Skąd to wzięłaś? — syczy.

— Ja… to jestem ja.

— Zabierz to. Już.

Nella wciąga głęboko powietrze. Muszę powiedzieć mu o Marin, myśli. To może być jedyna rzecz zdolna zatrzymać to szaleństwo.

— Panie — zaczyna — Marin jest…

— Nigdy nikomu tego nie pokazuj, słyszysz? — Meermans strzepuje deszczówkę z ronda kapelusza, ochlapując suknię Nelli.

Nella wkłada laleczkę z powrotem do kieszeni.

— A dlaczego? — pyta, ale nie doczekuje się odpowiedzi. — Panie, czy Agnes zamówiła domek dla lalek w kształcie waszego domu?

— Kula armatnia poczyniłaby mniejsze szkody mojemu małżeństwu niż te przeklęte miniatury — warczy Meermans, wyrywając jej z ręki pieniądze. — Przeliczę te guldeny i się pożegnamy.

— Wkrótce dostaniesz więcej. I może zgodzisz się przemyśleć jeszcze raz swój atak wymierzony w mojego męża.

— Nie ma żadnego ataku, pani. Taka jest wola Boża.

— Jakie miniatury wam przesłano?

Meermans unosi zmoczone deszczem banknoty.

— Czy nie powinnaś się raczej zająć tym, skąd weźmiesz resztę?

Krople deszczu padają coraz gęściej. Widzowie procesu mijają ich w pośpiechu, chroniąc się pod dachem ratusza. Nella chwyta Meermansa za ramię, żeby nie mógł odejść.

— Czy dostaliście jakieś miniaturki zapowiadające coś, co miało się dopiero wydarzyć, panie? Albo coś, co sugerowało rzeczy już minione?

— Diabelskie aluzje i nikczemne drwiny. Żaden Holender nie zasłużył na takie traktowanie. — Waha się, ale pragnienie wyżalenia się jedynej osobie, która może mu uwierzyć, bierze górę. — Chowałem przesyłki i bileciki, ale Agnes i tak je znajdowała albo to one znajdowały sobie do niej drogę. To nie zazdrość pomieszała jej w głowie, pani. To ten domek. Gdyby się nie dowiedziała o twoim, nic takiego by się nie stało.

— A co się stało? Czy Agnes jest chora?

— „To prawda”, powtarza w kółko. „On mi mówi, jak jest”. Dlatego poszedłem na Kalverstraat, żeby aresztować tego miniaturzystę.

— Jak to?!

— Domek Agnes został zniszczony, a twój, pani, pozostanie niedokończony. Burmistrzów bardzo zaciekawił fakt, że ktoś w mieście pracuje poza jurysdykcją cechu. Miniaturzysta!… — parska. — Co to jest w ogóle za zawód?

Nella jest sparaliżowana strachem. Nie czuje własnego ciała, widzi tylko przed sobą dużą twarz Meermansa, jego oczy, jeszcze bardziej świńskie niż zwykle, wydatną szczękę.

— Panie, co zrobiliście miniaturzyście?

— Uciekł nam, łotr jeden. Ale dopilnowałem, żeby nie odważył się wrócić. Wymierzyli Marcusowi Smitowi ciężką grzywnę za to, że pozwolił komuś spoza Amsterdamu anonsować się na *Liście*, a w domu na Kalverstraat zamieszka ktoś, kto przynależy do tego miasta. — Meermans podstawia jej swój tysiąc guldenów pod nos. — Zdajesz sobie sprawę, co to za obelga, pani? Ile setek, tysięcy mogliśmy byli zarobić? Jestem zrujnowany przez zaniedbania Brandta.

Jakże jest opętany swoimi guldenami, jak mało go obchodzi wszystko inne. Tląca się w Nelli złość rozpala teraz napięte jak postronki nerwy, które wreszcie puszczają.

— Widziałam głowy cukru Agnes — mówi Nella. — Nie wszystkie są zepsute, ale ty jesteś, do cna, podobnie jak twoja żona. Marin miała szczęście, że przed tobą uciekła, kiedy postanowiła cię odrzucić.

Meermans zatacza się do tyłu.

— Poza tym jestem przekonana, panie — ciągnie — a właściwie to w i e m, że nawet gdyby Johannes sprzedał wszystkie te głowy co do jednej, ty i tak byłbyś szczęśliwy, widząc, jak tonie.

— Jak śmiesz… jesteś nikim, małą…

— Zatrzymaj sobie te guldeny, panie — ucina Nella i odwraca się, krzycząc w niebo: — I niech miniaturzystka zagna was oboje do piekła!

Przybysz

Ze Stadhuis wyrusza szybko w kierunku Kalverstraat, lecz tupot biegnących stóp i krzyk Cornelii sprawiają, że staje jak wryta.

— Pani! Pani!

— Cornelio, czemu krzyczysz? Znalazłam Meermansa…

— Powiedziałaś mu… o pani Marin? — Cornelia rozgląda się z przerażeniem po ulicy. W mętnym świetle deszczowego dnia wydaje się zielona; dłonie ma splecione, jakby ściskała łodyżki niewidzialnych kwiatków.

— Nie. — Nellę ogarnia nagłe zmęczenie. — Targowałam się z nim. Guldeny za życie.

Cornelia patrzy rozczarowana.

— Ale czy przekonałaś go, żeby nie zeznawał?

— Dałam mu tysiąc guldenów na dobry początek, za te jego drogocenne kryształy cukru. Ale nie mogę obiecać, że to cokolwiek zmieni, Cornelio. Próbowałam. Zrobił coś miniaturzystce, nasłał na nią burmistrzów. Nie wiem, czy ona…

— Musisz wracać do domu.

— Ale…

— Natychmiast. Pani Marin ma coś z sercem.

*

— Dotknij — mówi Marin, wynurzając się z mroku, gdy tylko obie kobiety przychodzą do domu i zamykają za sobą ciężkie drzwi. — Strasznie szybko bije mi serce.

Nella przykłada palce do szyi Marin — jej tętno szaleje. Marin, dysząc, wyciąga do niej rękę.

— Co się dzieje?

— Ten ból — rzęzi. — Ból mnie rozsadza.

— B ó l? — pyta Cornelia ze grozą. — Mówiłaś, pani, że jeszcze nie masz bóli.

Marin jęczy. Na jej ciemnych wełnianych spódnicach pojawia się okrągła mokra plama, która szybko się powiększa.

— Na górę — komenderuje Nella najspokojniej, jak się da, choć jej też serce tłucze się w piersi. — Pójdziemy do mojego pokoju. Jest bliżej kuchni, będzie nam łatwiej nosić wodę.

— Czy to już? — pyta Marin głosem ściśniętym ze strachu.

— Bardzo możliwe. Musimy zawołać akuszerkę.

— Ani mi się waż.

— Możemy zapłacić jej za milczenie.

— Czym, Petronello? Nie ty jedna zaglądasz do szkatuły Johannesa.

— Marin, proszę cię! Na to nam wystarczy! Uspokój się.

— Nie chcę tu nikogo oprócz ciebie i Cornelii. — Marin ściska dłoń Nelli, jak gdyby miało to sprawić, że wszystko będzie dobrze. — Kobiety z natury potrafią się tym zająć, Petronello. Nikt oprócz was nie może przy tym być.

— Zagrzeję wody — mówi służąca i zbiega do kuchni. Nella dostrzega na krześle otwartą książkę Blankaarta.

— Wiesz, co masz robić, Petronello?

— Chyba tak — odpowiada Nella.

Kiedy urodził się Carel, miała cztery latka, a gdy z łona jej matki wyciągnięto Arabellę — dziewięć. Pamięta wrzask, sapanie, ryki jak u krowy spuszczonej z postronka. Prześcieradła z krwawymi plamami, złożone później w ogrodzie i spalone na stosie. Blade światło na lepkiej od potu twarzy matki, zachwyt na twarzy ojca. Widziała też oczywiście inne, nie tak szczęśliwie zakończone porody. Była wtedy starsza. Zamyka oczy i usiłuje sobie przypomnieć, co robiły akuszerki, i nie myśleć o tamtych martwych ciałkach.

— Dobrze — sapie Marin, choć wygląda blado.

— Kiedy ból robił się nie do zniesienia — mówi Nella — moja matka spacerowała.

Przez następne dwie godziny Marin chodzi po pokoju na górze, stękając, gdy kolejne grzmoty przetaczają się przez jej ciało. Nella staje przy oknie. Myśli o Johannesie na posłaniu ze słomy, o Jacku, który niczym magik wydostaje się z zamkniętego pudła, o Meermansie i jego skropionych deszczem guldenach, o Agnes wyczekującej wiadomości z Kalverstraat. Gdzie się podziewa miniaturzystka? Domek dla lalek żyje własnym życiem

za żółtymi kotarami, pełen zastygłych w czasie kukiełek. „Twój domek, pani, pozostanie niedokończony”.

Na dworze rozpadało się jeszcze mocniej. To styczniowy deszcz, zimny i nieubłagany. Na ulicy gryzą się dwa psy, miga płowy kot. Znienacka uderza Nellę w nozdrza ostry smród. Odwraca się od okna i dostrzega zgrozę na twarzy Marin oraz górę gorących, krwawych ekskrementów koło jej stóp.

— O Boże — wzdycha Marin, kryjąc twarz w dłoniach. Nella prowadzi ją z powrotem do łóżka. — Nie panuję nad własnym ciałem. Jestem…

— Nie myśl o tym więcej. To dobry znak.

— Ale co się dzieje? Rozpadam się. Jak ono się urodzi, ze mnie nic nie zostanie.

Nella ściera nieczystości i wkłada brudną szmatę do kubełka z pokrywką. Kiedy się odwraca, Marin leży skulona na boku.

— Nie tak to sobie wyobrażałam — mamrocze z twarzą wciśniętą między poduszki.

— Nigdy nie jest tak, jak sobie wyobrażamy — mówi Nella, podając jej czysty, wilgotny ręcznik.

Marin kruszy w dłoni łodyżki lawendy i zaciąga się ich zapachem. — Jestem taka zmęczona — wzdycha. — Wykończona do cna.

— Będzie dobrze — zapewnia ją Nella, choć wie, że to tylko słowa. Wychodzi na korytarz i oddycha chłodnym powietrzem, wdzięczna za możliwość ucieczki z gęstej, ciężkiej, pulsującej strachem atmosfery sypialni. Cornelia wchodzi po schodach, bierze dłoń Nelli i uśmiecha się do niej.

— Dar niebios — mówi. — Jesteś dla nas darem niebios, pani.

Nastaje wieczór, deszcz nie przestaje bębnić, a ból ciągle powraca falami. Marin wydaje się zapadać w sobie. Mówi, że czuje się jak w głębokiej, narastającej agonii. „Jestem jak balon pełen krwi — mamrocze — albo ogromny siniak”. Dla jej wygody rozebrały ją — zdjęły spódnice i teraz ma na sobie tylko bawełnianą bluzkę i halki.

Marin jest źródłem bólu i zarazem samym bólem. Gdy Cornelia i Nella przecierają jej czoło i wmasowują w skronie aromatyczne olejki uspokajające, Nella wyobraża sobie Marin jako górę — wielką i niewzruszoną. Dziecko w jej wnętrzu jest jak pielgrzym schodzący z jej szczytu, podczas gdy ona sama jest sparaliżowana. Z każdym jego krokiem,

z każdym stuknięciem kostura, z każdym kopnięciem wędrowiec zyskuje coraz więcej siły.

Marin krzyczy. Włosy lepią jej się do czoła, jej gładka zwykle twarz jest rozpalona i opuchnięta. Przechyla się nad krawędzią łóżka i wymiotuje na dywanik.

— Musimy zawołać pomoc — szepcze Nella. — Spójrz na nią. Nawet się nie zorientuje.

Cornelia zagryza wargę i przygląda się spoconej, zmiętej twarzy Marin.

— Zmiarkuje — szepcze w odpowiedzi, a oczy błyszczą jej ze strachu i wyczerpania. — Nie możemy. Pani Marin nie chce, by ktokolwiek oprócz nas wiedział. — Rzuca ręcznik na wodniste wymiociny Marin i obserwuje, jak nasiąka. — Poza tym kogo byśmy wezwały?

— Znajdziemy kogoś na *Liście Smita*. Nie wiemy, co robimy — szepcze Nella. — Czy te wymioty są normalne?

— Gdzie on jest? — mamrocze Marin, wycierając wargi w jedną z poduszek. Nella podsuwa jej róg wilgotnej ściereczki do twarzy, żeby wyssała jej wilgoć.

— Będziemy musiały zajrzeć pod halkę — szepcze, zwracając się w stronę Cornelii.

Cornelia blednie.

— Obcięłaby mi głowę, gdybym to zrobiła. Nie pozwala mi nawet spojrzeć na swoje gołe plecy.

— Nie mamy wyboru. Nie wiem, czy to powinno tak boleć.

— Ty to zrób, pani — odpowiada Cornelia. — Ja nie mogę.

Marin mruga powiekami i wydaje z siebie przeciągły, niski, gardłowy dźwięk, który wznosi się coraz wyżej, niczym dźwięk hejnału. Gdy któryś raz z kolei gwałtownie wydycha powietrze, Nella nie waha się dłużej i przyklęka, unosząc rąbek jej halki. To niemal nie do pomyślenia zaglądać Marin między nogi. To świętokradztwo.

Nella daje nura w gorący zaduch pod halką i uważnie wpatruje się w to, co da się dostrzec. To najbardziej niesamowita rzecz, jaką kiedykolwiek widziała. Ni pies, ni wydra, ni boska rzecz, ni ludzka, a jednak w dziwny sposób wszystko naraz. W tym momencie wygląda jak coś z obcego kraju. Coś małego rozciągniętego do gigantycznych rozmiarów, ogromne wargi zatkane główką niemowlęcia.

Nella widzi maleńkie ciemię, w duchocie robi jej się niedobrze. Wynurza głowę, by zaczerpnąć oddechu.

— Widać je — oznajmia rozradowana.

— Naprawdę? — pyta Marin słabo.

— Teraz musisz przeć — mówi Nella. — Kiedy widać czubek główki, trzeba zacząć przeć.

— Nie mam siły. Musi sam wyjść.

Nella ponownie zagląda pod halkę i sięga ręką, by pomacać główkę.

— Nosek jeszcze nie wyszedł, Marin. Dziecko nie może oddychać.

— Przyj, pani! Musisz przeć! — krzyczy Cornelia.

Marin wyje, a Nella wkłada jej patyk między zęby.

— Jeszcze raz! Przyj! — poleca.

Marin zaciska zęby i zaczyna przeć, gulgocząc. Wypluwa patyk.

— To dziecko mnie rozdziera — sapie. — Czuję to.

Nella podnosi halkę, a Cornelia zasłania sobie oczy.

— Nic się nie rozdarło — zapewnia, choć widzi czerwoną bruzdę wśród owłosienia i jeszcze więcej krwi. Zachowuje to dla siebie. — Już niedługo! — woła. — Przyj, Marin, przyj dalej!

Cornelia staje przy oknie i zaczyna długą, gorączkową modlitwę. „Ojcze nasz, któryś jest w…” — lecz oto Marin zaczyna zawodzić; wydobywa z siebie wysoki, niekończący się jęk ukrzyżowania, epifanii. Ten dźwięk obudziłby umarłego — aż nagle pojawia się cała główka dziecka. Wychodzi buzią w dół, noskiem w stronę prześcieradeł. Na główce ma ciemną plątaninę mokrych włosków.

— Główka już wyszła! Przyj dalej, Marin!

Krzyki Marin świdrują w uszach. Pojawia się jeszcze więcej krwi — gorąca i lepka bucha z Marin, wsiąkając w pościel. Nella czuje mdłości, nie wie, czy taka ilość krwi to rzecz normalna, czy nie. Marin omal nie urywa Cornelii ręki w gorączkowych próbach wydania dziecka na świat. Maleńka główka przekręca się o ćwierć obrotu, a Nella patrzy w zdumieniu, jak maleństwo próbuje się wyswobodzić.

Wyłania się ramionko, a Marin znowu ryczy. Dziecko przekręca główkę z powrotem na dół.

— Przyj, pani, przyj — ponagla ją Cornelia.

Marin prze mocniej, poddaje się cierpieniu, nie opiera się mu dłużej, lecz przyjmuje je jako część swojego istnienia. Po chwili jednak zastyga, wyczerpana. Nie może się ruszyć i z trudem łapie powietrze.

— Nie dam rady — dyszy. — Moje serce.

Cornelia nieśmiało kładzie dłoń na jej piersi.

— Znowu kołacze, pani — zwraca się do Nelli. — Wali jak młotem.

Pokój zamiera. Nella klęczy, Cornelia jest przy poduszce, a Marin leży rozpostarta jak rozgwiazda, z podciągniętymi kolanami. Płomienie w kominku pełgają nisko, ostatnie polana się dopalają. Z zewnątrz dobiega tylko szelest deszczu. Dhana rozpaczliwie skrobie w drzwi po drugiej stronie.

Kobiety czekają. Z rozległego grzęzawiska w dole brzucha Marin wydostaje się drugie ramionko, niewielkie jak u lalki. Marin znowu dostaje torsji, a gdy Nella sięga w stronę dziecka, główka maleńka jak filiżanka, a potem całe ciałko wyślizguje się wprost w jej zaskoczone dłonie wraz z ostatnim chlustem krwi. Nella czuje w mokrych palcach jego ciężar. Maleństwo ma powieki przymknięte jak mały filozof, rączki i nóżki mokre i sine, pokryte tu i ówdzie białym śluzem, zgięte sztywno na jej drżących dłoniach. Nella sprawdza. Mały pielgrzym, który przysporzył Marin tyle bólu, to dziewczynka.

— Mój Boże! — wzdycha, unosząc niemowlę. — Marin, spójrz!

Cornelia wykrzykuje z radości:

— Dziewczynka! To dziewczynka!

Długa pępowina, która łączy ją z matką, jest metaliczna i gruba, wije się i znika we wnętrznościach Marin.

— Przynieś nóż — Nella zwraca się do służącej. — Musimy ją przeciąć.

Cornelia wybiega w pośpiechu. Marin dyszy ciężko, próbując podeprzeć się łokciami i spojrzeć na dziecko. Opada jednak z powrotem na poduszki.

— Moja maleńka — wykrztusza z trudem, na wpół oszalałym, głucho brzmiącym głosem. — Czy ona żyje?

Nella spogląda na dziecko, pokryte zasychającą mazią i krwawymi odciskami dłoni swojej ciotki. Dziewczynka ma ciemne, pozlepiane włoski i ciągle zamknięte oczy, jakby uznała, że nie jest to odpowiednia chwila, by przedstawić się światu.

— Nie wydaje żadnych odgłosów — mówi Marin. — Dlaczego jej nie słychać?

Nella sięga do wiaderka z wodą po ciepłą, wilgotną szmatkę i zaczyna przecierać wiotkie rączki maleństwa, potem nóżki i tors.

— Wiesz, co robisz? — pyta Marin.

— Wiem — odpowiada Nella, choć to nieprawda. Ocknij się, maleńka, myśli, ocknij się.

Zjawia się Cornelia z nożem do krojenia mięsa. Niemowlę ciągle leży cichutko, w pokoju też zapadła śmiertelna cisza, wszystkie trzy zamarły w oczekiwaniu, modląc się żarliwie o najcichszy choćby odgłos życia.

Nella przekazuje dziecko Cornelii i próbuje przeciąć pępowinę — ta jednak, choć pochodzi z ludzkiego ciała, wydaje się twardsza niż dąb. Musi ją przepiłowywać; krew tryska na pościel i na podłogę. Dhana, która wemknęła się do pokoju, drepcze w ich stronę z nadzieją na posiłek.

Nie wiadomo, czy wskutek przybycia psa, czy może w rezultacie nieudolnych zabiegów przy pępowinie maleństwo zaczyna płakać.

— Bogu niech będą dzięki! — woła Cornelia, wybuchając płaczem.

Marin wypuszcza powietrze, a jej długi, chropawy wydech przechodzi w szloch.

Dzieciątko leży w dłoniach Nelli, a Cornelia zawiązuje ciemnoniebieską wstążeczkę na kikucie pępowiny tuż nad brzuszkiem. Kikut wiotczeje i opada na brzuszek, maleńka nareszcie odnosi zwycięstwo w bitwie o życie.

Nella masuje niemowlę mokrą szmatką nieco mocniej, obserwując z zafascynowaniem, jak krew zaczyna pulsować w siatce żył. Stojąca obok Cornelia nachyla się do niej.

— Nie widzisz? — szepcze.

— Czego? — pyta Nella.

— Popatrz — nalega Cornelia, wskazując na noworodka. — S p ó j r z.

— Thea — odzywa się Marin, a obie wzdrygają się zaskoczone. Głos Marin jest ciężki jak kamień. — Będzie miała na imię Thea. — Wierci się niespokojnie na łóżku. Koniec pępowiny, z której nadal cieknie krew, wciąż w niej tkwi. Próbuje podnieść ręce, ale nie ma siły.

— Thea — powtarza służąca, wpatrując się w dziecko, gdy Nella kładzie je Marin na piersi. Maleństwo wznosi się i opada w rytmie chrapliwego oddechu matki. Marin przesuwa drżącymi palcami po pleckach Thei, macając malutkie pośladki, mały, zaokrąglony jak u kotka kręgosłup. Łzy napływają jej do oczu i znów zaczyna płakać, a Cornelia próbuje ją uspokoić, głaszcząc po czole. Marin przyciska do siebie dziecko, które opiera główkę w zagłębieniu jej szyi. Na jej twarzy maluje się zdumienie, triumf połączony z bólem.

— Nello? — zagaduje.

— Tak?

— Dziękuję. Dziękuję wam obu.

Patrzą sobie w oczy, a tymczasem Cornelia zbiera zakrwawione prześcieradła. Marin wciąż ma chrapliwy oddech, na którego dźwięk Nelli cierpnie skóra. Odwraca się w stronę okna, by wyjrzeć na pogrążony w ciemnościach kanał. Nareszcie przestało padać. Nad wąskimi dachami, nad wiatrowskazami i frontonami, wysoko na rozgwieżdżonym niebie wisi księżyc — niecała połówka lśniącej kuli.

Patrząc na zasunięte aksamitne kotary domku dla lalek, Nella uświadamia sobie, że Johannes coś pominął, a może przegapił, gdy składał zamówienie. Bo gdzie jest pokój Marin — jej cela ze strąkami nasion, mapami, muszlami i innymi okazami? Są dwie kuchnie, sypialnie, jest gabinet, bawialnia, nawet poddasze. Może w ten sposób chronił siostrę, a może w ogóle nie przyszło mu na myśl, by uwzględnić to pomieszczenie w planie domu. Miniaturzystka nie przysłała nic, co byłoby komentarzem do ciasnej przestrzeni Marin. Jej sekretny pokoik umykał definicjom.

Bajarz

Nella i Cornelia próbują się przespać choć chwilę na palisandrowych krzesłach przyciągniętych z salonu. Wiercą się niespokojnie, gdy Marin wzdycha i jęczy na łóżku.

Nella budzi się, kiedy dzwony wybijają godzinę ósmą. W pokoju ciągle jeszcze unosi się niepokojący zapach obnażonych intymnych części ciała, ekskrementów, krwi, delikatnego mięsa. Ogień się wypalił, wokół paleniska leżą rozsypane blade główki kwiatów lawendy, wala się srebrny dzban przewrócony przez Marin podczas jej męczarni. Nella uprzytamnia sobie, że o godzinę spóźniła się do ratusza.

Gorączkowo rozsuwa zasłony. Cornelia otwiera oczy i zrywa się na równe nogi.

— Muszę iść do Johannesa, natychmiast — rzuca Nella.

— Nie możesz mnie tak zostawić, pani — jęczy Cornelia. — Nie wiem, co mam robić.

Poduszka Marin jest nasiąknięta potem, a Thea, owinięta w pled, śpi na piersi matki. Na dźwięk ich głosów Marin otwiera oczy. Jej skóra, błyszcząca od zaschniętego potu, nadal delikatnie pachnie gałką muszkatołową. Nella wdycha ten zapach. Musi pójść do Stadhuis, ale nie chce zostawić Marin w tym stanie.

— Nello, idź, później mi powiesz, co z nim — odzywa się Marin głosem jeszcze słabszym niż wczorajszego wieczoru. — No już, zmykaj. Cornelio, ty zostań ze mną.

Służąca bierze dłoń Marin i całuje ją z niemal dziecięcą czułością.

— Ma się rozumieć, jaśnie pani. Zostanę.

Nella podchodzi do nóg łóżka i widzi, że pępowina jest wciąż w ciele Marin, jej drugi koniec leży zwinięty na sienniku. Nella pociąga za nią, jakby chciała coś odkorkować, może skumulowany strach, lecz łożysko utknęło w środku, a Marin jęczy z bólu.

— Potrzebuje snu — stwierdza Cornelia. — Powinnyśmy dać jej spokój.

— Wiem, że chcesz kogoś do mnie zawołać, Nello — chrypi Marin. — Ale nikt nie może wiedzieć.

Brzuch już trochę wklęsł, odkąd Thea go opuściła, ale w środku ciągle wyczuwalna jest dziwna wypukłość. Gdy Nella ją naciska, Marin wzdryga się z bólu. Niedobrze, myśli Nella, to nie jest normalne. Bryła jest twarda, niesprężysta i dziewczynie przychodzi na myśl, że może jest tam jeszcze jedno dziecko, nieśmiały bliźniak, który nie chce wyjść na świat, w cały ten chaos. Chciałaby wiedzieć więcej, chciałaby, żeby była tutaj jej matka. Nigdy w życiu nie czuła się tak bezradna.

Oddech więźnie Marin w krtani. Cornelia prędko odbiera jej Theę, gdyż Marin zaczyna rzęzić, jakby coś utkwiło jej w płucach.

— Pani? — pyta Cornelia, lecz Marin tylko macha dłonią w powietrzu, podobna do brata także w tym geście.

Thea, słysząc niecodzienne odgłosy matki, zaczyna jej wtórować — wzruszającymi do łez, radosnymi, urywanymi popiskiwaniami nowiutkiego głosu. Nella przywołuje Cornelię ruchem ręki do rogu pokoju.

— Pani, spójrz — szepcze służąca, popatrując na Theę ze smutkiem. — Co my zrobimy?

— Co masz na myśli?

— To przecież niemożliwe… To nie może być prawda.

— Znajdź *Listę Smita* — szepcze Nella, ignorując jej słowa. — I sprowadź mamkę, akuszerkę, nie wiem, kogoś, kto będzie wiedział, co się z nią dzieje.

Cornelia patrzy na niemowlę ze zgrozą.

— Marin mnie za to zabije.

— Cornelio, rób, co ci mówię. Johannes trzyma pieniądze w szkatule w swoim gabinecie. Daj tej kobiecie, ile będzie trzeba, żeby zamknąć jej usta. A jeśli zabraknie pieniędzy, to… sprzedaj srebra.

— Ale jaśnie pani…

Nella wybiega z pokoju, zbyt zdesperowana, by się dłużej namyślać.

*

Kiedy przybiega do Stadhuis, zdyszana i czerwona na twarzy, galeria jest pełna. Rozprawa już się toczy i Nella musi usiąść z tyłu. Jest u kresu sił, prawie majaczy, boli ją głowa, pieką oczy, jej paznokcie mają rdzawy kolor od pozostałości krwi Marin. Pragnie wykrzyczeć Johannesowi, czego dokonała Marin, jaki cud czeka na niego w domu, ale wie, że nie może.

Boże, w jakim my świecie żyjemy, myśli, mogę zaszkodzić Thei, oznajmiając jej istnienie.

Spogląda ponad głowami publiczności w dół, na salę rozpraw. Johannes utrzymuje na krześle swoje zmaltretowane ciało niemal nieruchomo, głowę ma podniesioną. Slabbaert siedzi za stołem, a panowie z *schepenbank* w rzędzie z boku. Jack jest dzisiaj na widowni na dole, obserwuje Fransa Meermansa przycupniętego na krześle pośrodku komnaty.

Dlaczego nie ma przy nim Agnes, zastanawia się Nella, co mnie ominęło? Dostrzega tył głowy pastora Pellicorne'a, jego ciało pochylone naprzód wyczekująco, w podnieceniu.

— Czy Agnes Meermans już zeznawała? — pyta kobietę siedzącą obok.

— O siódmej godzinie, pani. Dziwna jakaś była, trzęsła się jak osika. Myślałam, że nie zdejmie ręki z Biblii. — Kobieta kręci głową i dopiero wtedy dociera do Nelli głos mówiącego już od jakiegoś czasu Slabbaerta.

— Twoja żona, panie, opowiedziała nam z grubsza, co widziała wieczorem 29 grudnia — peroruje Slabbaert. — Nie śmiałbym urazić kobiecej wrażliwości, ale skoro teraz kolej na ciebie, możemy wniknąć w sprawę głębiej. Powiedz nam zatem, czego byłeś świadkiem, panie.

Meermans, blady i masywny na swoim krześle, przytakuje.

— Przeszliśmy na tyły składu i usłyszeli czyjeś głosy. Pan Brandt przyciskał obecnego tutaj młodzieńca do muru budynku. Chłopak stał tyłem do niego. Obydwaj mieli spodnie wokół kostek i postrącane kapelusze.

Tu i ówdzie słychać wśród publiczności gwałtowne westchnienia.

— Jack Philips, bo teraz wiem, że tak się nazywał, błagał, by tamten puścił go wolno. Zobaczył nas i zaczął wołać o pomoc. Musicie zrozumieć, moja żona była roztrzęsiona. Gościła tego człowieka przy swoim stole.

Drżący głos Meermansa wypełnia komnatę, a Nella ma wrażenie, jakby ściany Stadhuis osaczały ją z wszystkich stron.

— Mów dalej — ponagla go Slabbaert.

— Usłyszeliśmy jęk podczas obmierzłego szczytowania Brandta — podejmuje Meermans. — Zostawiłem Agnes i gdy podszedłem bliżej, zobaczyłem żądzę w jego oczach. Wciągnął portki i zaczął bić pana Philipsa, szybko i zaciekle. Miał w ręku sztylet i widziałem, jak wbił go w ramię Jacka. Chłopak nie kłamie, omal nie został pchnięty w serce. Żadna kobieta nie powinna tego oglądać. Zresztą mężczyzna też nie.

Publiczność słucha relacji Meermansa jak urzeczona. Johannes skłonił głowę i zgarbił swoje obolałe plecy w obronnej pozie.

— Znasz Johannesa Brandta od wielu lat — zwraca się do Meermansa Slabbaert. — Mimo zdarzenia, którego byłeś świadkiem, mimo świadectwa twej dobrej żony, która przysięgła na Biblię, teraz masz szansę potwierdzić, że ten człowiek może mieć w sobie jakieś dobro.

— Rozumiem.

— Brandt utrzymuje, że znaliście się dobrze.

— W młodości pracowaliśmy razem.

— Jakim on był człowiekiem?

Meermans wygląda, jakby się męczył. Nie jest w stanie nawet spojrzeć na zgarbione plecy Johannesa i zamiast tego gapi się na spiczasty czubek swojego czarnego kapelusza.

— Bystrym — odrzeka wreszcie. — Lubił podążać własnymi ścieżkami.

— Johannes Brandt sprzedawał wasz towar, zgadza się?

Nella doznaje uczucia dziwnego spowolnienia i ma wrażenie, jakby jej serce zaczęło dobywać z siebie resztek sił. Padnie jeszcze jedno oskarżenie — o opieszałość w handlu, niebagatelne przestępstwo w Amsterdamie.

— Tak jest — odpowiada Meermans.

— Czy Brandt dobrze wywiązywał się z umowy? Czy przechowywał cukier w dobrych warunkach?

Meermans się waha.

— Tak — odrzeka. — Sądzę, że tak.

Nella się prostuje. Dlaczego Meermans tak odpowiedział? Wynikałoby z tego, że cały cukier jest w idealnym stanie. Kilku panów z *schepenbank* coś zapisuje, a Nella uświadamia sobie, że Meermansowi zależy na tym, by nie ujawnić swojego gniewu na Johannesa. Zatajając kwestię niesprzedanego cukru, Meermans odbiera Johannesowi szansę zdemaskowania tego jako motywu zemsty. Blokuje Johannesowi możliwości obrony. Najwyraźniej zmierza do tego, żeby był to prosty przypadek bezbożności, grzechu wobec Boga i Republiki — i nic więcej. Poza tym było mało prawdopodobne, by Johannes sam przyznał się do kupieckiej gnuśności. Wyszłoby na to, że sam jest winny skazy na swojej reputacji.

Nella nie podejrzewała, że Meermans okaże się aż tak wyrachowany. Widać, jak bardzo pragnie patrzeć na upadek dawnego przyjaciela. Chociaż, myśli Nella, zerkając na Arnouda Maakvredego, tym publicznym zapewnieniem, że cały towar jest dobry, Frans Meermans niechcący otworzył Brandtom możliwość jego sprzedania w niedługiej przyszłości.

Zawstydzona ledwie dostrzegalnym cieniem przyjemności płynącej z tego odkrycia, Nella szybko koncentruje się znowu na rozprawie.

— Czy wobec tego potwierdzisz, że był dobrym kupcem? — drąży Slabbaert. Meermans bierze głęboki oddech. — Przysiągłeś mówić prawdę — przypomina. — A więc?

— Pod przysięgą… miałbym co do tego wątpliwości.

— Mniemasz zatem, że był złym kupcem?

— Z perspektywy lat byłbym zdania, że jego dobra opinia maskowała egoizm. Nie zasłużył sobie na te wszystkie sukcesy.

— A mimo to nająłeś go do sprzedaży swego towaru?

— Moja żona… — Głos mu słabnie.

— Co ma do tego twoja żona?

Meermans upuszcza kapelusz na podłogę i schyla się po niego, odchrząkując. Johannes podnosi głowę, ani na chwilę nie zdejmując wzroku z dawnego przyjaciela.

— Brandt był zawsze arogancki, dążył do celu po trupach — kontynuuje Meermans, po czym zwraca się do Johannesa: — Ale nie miałem pojęcia o twojej arogancji. Ile wręczyłeś łapówek, ile zaciągnąłeś długów… nie tylko u mnie, ale w gildiach, u urzędników i przyjaciół.

— Gdzie są ci moi wierzyciele? — pyta Johannes. — Wskaż mi ich.

— Jestem tu dzisiaj ze względu na twoją duszę…

— Nie mam wobec ciebie żadnego długu, Frans. Ani wobec kogokolwiek…

— Ale Bóg do mnie przemówił, Johannesie.

— B ó g?

— Rzekł mi, że muszę przerwać milczenie.

Meermans wydaje się zaskoczony tym, co mówi, jakby przyłapał samego siebie na gorącym uczynku, jakby dziwiła go siła własnego instynktu, gorzka przyjemność z tego spektaklu.

— Nigdy nie milczałeś, Frans, gdy można było mnie oczernić…

— Mój dawny przyjaciel potrzebuje zbawienia, schout Slabbaert. Jest złamany. Tkwi w szponach diabła. Nie mogłem milczeć po tym, co zobaczyłem tamtego wieczoru. Żaden obywatel tego miasta by nie mógł.

Po zakończeniu swojej przemowy Meermans podnosi głowę, jakby oczekiwał wsparcia — ale nadaremno, przed sobą ma tylko Johannesa, na którego twarzy maluje się obrzydzenie. Johannes wolno prostuje plecy z grymasem boleści. Nawet na galerii słychać, jak trzaskają mu stawy.

— Wszyscy jesteśmy słabi, Frans — mówi. — Ale niektórzy są słabsi od innych.

Meermans schyla głowę, kapelusz wyślizguje mu się z rąk. Widok jego wstrząsanych spazmem ramion wydaje się trzymać tłum w niemym napięciu. Johannes podstawił Meermansowi lustro, a on w miejscu swojego odbicia ujrzał czarną dziurę. Nikt nie klepie go po ramieniu, nikt nie podchodzi, by go pocieszyć albo pogratulować mu tego, czego właśnie dokonał.

— Frans? — odzywa się Johannes. — Czyż nie złapałeś lubieżnego sodomity, który bierze, na co ma ochotę? Czy nie pomogłeś w oczyszczeniu kanałów i ulic miasta? Dlaczego więc teraz płaczesz?

Z widowni dobiegają krzyki i gwizdy. Slabbaert prosi o spokój, aby wespół z ławą przysięgłych mógł wydać wyrok.

— Nie! — woła głośno Johannes, odrywając wzrok od Meermansa i przenosząc go na schouta. — To nie jest właściwe.

Znów zapada cisza, a ludzie na galerii wyciągają szyje, żeby zobaczyć człowieka, który swoim czarem i niebezpieczną osobowością wprowadza zamęt w ich doskonale uporządkowanym świecie. Johannes dźwiga się z niezmiernym trudem i staje oparty o krzesło.

— Przyjęte jest, że oskarżony ma prawo się bronić.

Slabbaert odchrząkuje i spogląda na niego z nieskrywaną odrazą.

— Pragniesz coś powiedzieć? — pyta.

Jak ptak z połamanymi skrzydłami, Johannes podnosi ręce najwyżej, jak może. Jack wydaje okrzyk, kiedy fałdy ciemnej opończy Johannesa zsuwają się na posadzkę.

— Włożyłeś ten strój dziś rano, Pieterze Slabbaercie — mówi Johannes. — I ty również, Fransie Meermansie. A swoje grzechy i słabości obaj trzymacie w skrzynkach pod swoimi łóżkami, licząc, że olśnieni przepychem waszych szat, zapomnimy o nich.

— Mów o sobie, Brandt, nie o mnie — odwarkuje Slabbaert.

Johannes mierzy go wzrokiem.

— Czy jestem jedynym grzesznikiem w tej sali? — pyta, odwracając się i omiatając spojrzeniem rzędy na galerii. — Doprawdy?

Nie doczekuje się odpowiedzi. W tłumie zapadła martwa cisza.

— Pracowałem na rzecz tego miasta — mówi Johannes — odkąd przestałem być dzieckiem. Żeglowałem do miejsc, których istnienia nie podejrzewałem nawet w snach. Widziałem, jak ludzie walczyli, umierali

i pracowali dla dobra tego kraju na gorących plażach i na pełnym morzu, narażając życie dla chwały większej niż ta, którą uzyskali wraz z nazwiskiem w chwili urodzin. Zmagali się z przeciwnościami, budowali, nigdy nie spoczywając na laurach. Schout Slabbaert wytyka mi, że mam afrykańskiego służącego z Dahomeju. Czy schout wie w ogóle, gdzie znajduje się Dahomej, kiedy popija słodzoną herbatę albo raczy się bułeczkami? Meermans krytykuje moją swobodę, ale bez najmniejszych skrupułów cieszy się swoją. Znajdźcie mapę, panowie, i uczcie się. Przygarnęliśmy osieroconą dziewczynę. Patronowałem terminatorom, walczyłem niezmordowanie z wezbranymi falami. A fale pochłoną nas wszystkich, panowie. Widziałem księgi rachunkowe, wiem, że Kompania Wschodnioindyjska chyli się ku upadkowi… lecz nigdy nikogo podstępnie nie wykorzystywałem, żadnej duszy nie znieprawiłem przekupstwem. Próbowałem uszczęśliwić swoją żonę, a w tych chwilach, które spędziliśmy razem, ona uszczęśliwiała mnie. Problem jednak w tym, panowie i panie, że ci, którzy nie mają horyzontów, pragną zniszczyć nasze. Ci ludzie nie widzą nic, tylko cegły i belki, i nie mają w sobie za grosz bożej radości. — Spogląda na Jacka. — Szczerze im współczuję. Nigdy nie przyniosą Republice chwały, jaką pamiętam.

Krokiem ciężkim jak u starca Johannes podchodzi do Meermansa. Podnosi rękę, a ten uchyla się przed spodziewanym ciosem. Johannes jednak dotyka tylko jego drżącego ramienia.

— Frans — mówi. — Przebaczam ci wszystko. — Meermans wygląda, jakby się uginał pod ciężarem jego dotknięcia. — A ty, Jacku Philipsie?

Jack podnosi głowę i napotyka wzrok Johannesa.

— Ja?

— Wydajesz się twardy jak kamień wrzucony do stawu. Ale nie zaznasz spokoju, zanadto burzysz powierzchnię wody.

— Wyprowadzić go! — krzyczy Slabbaert, wskazując na Johannesa.

Panowie z *schepenbank*, zdumieni, gapią się na więźnia jak na wielkoluda, którego dotyk ma moc obracania wszystkiego w perzynę. Komnata rozbrzmiewa kakofonią pomruków i cmoknięć, a Pellicorne sprawia wrażenie chorego z podniecenia. Śmierć wisi w powietrzu, przypomina o sobie, nasuwa myśl o potępieniu albo zbawieniu. Ławnicy chcieliby zatrzymać tutaj Johannesa. Bogacze już nieraz próbowali zamknąć im usta, lecz jeszcze żaden nie nosił swojej potęgi z taką swobodą, nie wytknął sędziemu sztucznego uzębienia i nie rozbawił zgromadzonych.

Johannes zostaje jednak wyprowadzony, a ławnicy stają w półokręgu wokół Slabbaerta. Meermans odchodzi chwiejnym krokiem na miejsce gdzieś z tyłu, wstrząśnięty i pobladły. Władza państwa zaraz okaże swoją siłę, wszyscy czekają w napięciu. Nella tak samo; czuje parcie w dole brzucha, jakby miała się zmoczyć ze strachu.

Mijają minuty. Dziesięć, potem dwadzieścia, trzydzieści. Przerażająco jest patrzeć, jak tych kilku mężczyzn rozstrzyga o losie Johannesa. Zawsze jest szansa ułaskawienia, myśli Nella, lecz Slabbaert, przygarbiony na środku półokręgu, nie przestaje mamrotać innym do ucha.

W końcu rozchodzą się i wracają na swoje krzesła. Schout człapie na środek i każe ponownie wprowadzić Johannesa Brandta. Więzień wraca bez eskorty do komnaty, powłócząc zmaltretowanymi nogami. Zatrzymuje się naprzeciwko schouta i patrzy mu prosto w oczy. Nella wstaje w półmroku galerii i podnosi rękę. Jestem tutaj, szepcze, lecz Johannes skupia uwagę na twarzy Slabbaerta. Zlękniona dziewczyna nie jest w stanie wydobyć z siebie mocniejszego głosu.

— Zostałeś przyłapany — rzecze Slabbaert. — Zbrodnia sodomii usiłuje zniszczyć świętość i prawość naszego społeczeństwa. Jesteś tak rozdęty wiarą w siebie i swoje bogactwo, że zapomniałeś o Bogu. Są świadkowie nie tylko twojej przyjemności, ale też i grzechu.

Slabbaert krąży pośrodku sali. Johannes trzyma dłonie z tyłu na plecach. Nella czuje, jak coś w niej wzbiera, i dławi się z wysiłku, by zatrzymać to w sobie.

— Śmierć przyjdzie po nas wszystkich — grzmi Slabbaert. — To jedyna pewna rzecz w tym życiu.

Nie, myśli Nella. Nie, nie, nie.

— Po rozważeniu popełnionej przez ciebie odrażającej zbrodni ogłaszam dzisiaj, 9 stycznia 1687 roku, że ja, Pieter Slabbaert, schout miasta Amsterdam, a także obecnych tutaj sześciu członków miejskiej ławy, uznajemy ciebie, Johannesie Matteusie Brandcie, za winnego napaści na Jacka Philipsa, winnego popełnienia aktu sodomii, a następnie próby przekupstwa. Oznajmiam przeto, że sprawiedliwą dla ciebie karą jest śmierć przez utopienie w morzu z kamieniem zawieszonym na szyi, w najbliższą niedzielę, o zachodzie słońca. Niech ten powtórny chrzest Johannesa Brandta będzie przestrogą dla nas wszystkich. I niech Bóg ulituje się nad jego grzeszną duszą.

Na moment — na ułamek sekundy — Nella ulatuje w przestrzeń: wyzwolona od ciała i umysłu szamocze się z powietrzem, usiłując podtrzymać swój rozpadający się świat. Gdy Johannes osuwa się na posadzkę, ból, dotychczas trzymany na dystans, uderza w nią z całą mocą. Salę napełnia ogłuszający jazgot, który ją zalewa, zatapia. Nella próbuje stawiać mu opór i przepycha się koło ludzi ze swojego rzędu, wiedząc tylko, że musi stąd uciec, zanim zemdleje. Już biorą Johannesa pod pachy i wywlekają na zewnątrz z nogami uniesionymi nad posadzką.

— Johannesie! — woła Nella. — Przyjdę do ciebie!

— N i e — mówi jakiś głos. Nella jest pewna, że go słyszy — kobiecy głos, dobiegający ze szczytu schodów prowadzących na galerię. Odwraca się, szukając na oślep jego właścicielki. Wreszcie dostrzega — nagły ruch i niepozostawiający wątpliwości blask jasnych włosów.

Córki

Sama się dziwi, jak przeraźliwie brzęczy jej w uszach, gdy wybiega z ratusza. Biegnie szybciej niż kiedykolwiek w swoim życiu, szybciej niż w dzieciństwie, kiedy ganiała się z Carelem albo Arabellą po polach i lasach. Ludzie odwracają się, by na nią popatrzeć, na tę szaloną młodą kobietę z szeroko otwartymi ustami i załzawionymi oczami — od wiatru, myślą. Gdzie ona jest, myśli Nella, dokąd poszła? Burmistrzowie jeszcze jej nie dopadli. Kiedy dziewczyna z trudem przebrnęła schody wiodące z galerii na parter, po miniaturzystce nie było już śladu, dlatego pobiegła wzdłuż Heiligeweg, a potem na Kalverstraat. Zawsze zwinna, teraz — niesiona jakąś dziwną siłą — niemal frunie.

Gdy jednak dobiega do domu miniaturzystki, staje jak wryta.

Drzwi są na swoim miejscu, lecz symbol słońca zniknął. Jego promienie skuto brutalnie z ceglanego muru, połowa dewizy zniknęła, zostały tylko słowa: „zabawką mu się mieni”. Na progu widnieje góra ceglanego pyłu, drzwi są uchylone.

Wreszcie — że też akurat dzisiaj — Nella może wejść do środka. Rozgląda się po ulicy. Handlarza wełną z naprzeciwka nigdzie nie ma. Niech mnie wsadzą do Spinhuis za wtargnięcie do cudzego domu, myśli, i niech mnie też utopią.

Nella popycha drzwi i wślizguje się do małego pomieszczenia. Jest ono szokująco nagie, deski na podłodze są brudne i porysowane, na ścianach wiszą puste półki. Cornelia wpadłaby tu zaraz z octem i woskiem pszczelim. Izdebka sprawia wrażenie, jakby nikt nigdy w niej nie mieszkał.

Na tyłach jest jeszcze jedno pomieszczenie, tak samo pozbawione oznak życia. Nella wchodzi bezgłośnie po drewnianych schodach, bojąc się, że zadyszane płuca rozsadzą jej żebra.

Kiedy dociera na górę, oddech więźnie jej w gardle. Wzdłuż wszystkich czterech ścian kwadratowego pokoju zamontowano szeroki blat roboczy; drewniana podłoga pokryta jest warstwą kurzu, okna są upstrzone smugami po deszczu. Ale na blacie — cały świat.

Jedną jego stronę zajmują rozrzucone fragmenty nieukończonych maleńkich mebelków. Poniechane w pół drogi, nieoheblowane — dąb, jesion, mahoń, buk — krzesła i stoliki, łóżka i łóżeczka, nawet trumna, toaletki, ramy do obrazów. Wystarczyłoby ich do urządzenia dziesięciu, dwudziestu domków dla lalek; to zapas na całe życie. W zwęglonym palenisku jak cudzoziemskie monety błyszczą miniaturowe miedziane rondle i niedopracowane cynowe spodki, ramiona świecznika sterczą niczym pędy maleńkiej roślinki.

No i lalki. Całe szeregi marionetkowych obywateli — starcy, młode damy, księża i członkowie straży, handlarz śledzi, chłopiec z bandażem na oczach — a tam dalej, czy to nie Arnoud Maakvrede, w fartuchu, z pyzatą, rumianą twarzą? Jednym laleczkom brakuje główek, innym nóg albo mają puste twarze, a jeszcze inne misternie skręcone loki i kapelusiki wielkości główki ćmy.

Drżącymi palcami Nella szuka w tym małym Amsterdamie nowego Johannesa, ostatniego rozpaczliwego promyka nadziei, że jej mąż przeżyje. „W niedzielę o zachodzie słońca” — te słowa powracają do niej raz po raz, jak niekończąca się klątwa. Dziewczyna spostrzega niemowlę, nie większe niż paznokieć jej kciuka, zwinięte w kłębek, z zamkniętymi oczkami i delikatnym uśmiechem.

Nagle wyrywa się jej okrzyk. Widzi przed sobą miniaturowy drewniany domek, tak mały, że mieści się w dłoni. To jej dom — dziewięć pomieszczeń, a w środku pięć wyrzeźbionych ludzkich postaci. Całość jest przemyślana i kunsztowna. Każdy pokoik stanowi miniaturę miniatury, którą jej przysłano, są nawet zielone krzesła, jest lutnia i jest kołyska. Zdumiona, zamyka swoje życie w złączonych dłoniach.

Nella wkłada do kieszeni płaszcza domek wraz z niemowlęciem, po krótkim wahaniu zabiera też Arnouda. Nie może całkowicie odsunąć od siebie resztek przesądów Cornelii na temat figurek, ale tych kilka drobiazgów ściska mocno, spragniona pocieszenia wobec tego, że nie znalazła miniaturowego Johannesa.

Po lewej stronie na blacie leży stosik listów ułożonych równo jeden na drugim i spiętych klamerką. Podnosi je wciąż trzęsącymi się dłońmi i zaczyna przeglądać. W jednym dostrzega słowa: „Proszę — byłam u Ciebie kilkakrotnie, ale nawet nie doczekałam się odpowiedzi”. W innym: „Otrzymałam od Ciebie miniaturę. Czy znaczy ona, że nie powinnam za niego wychodzić?”. W jeszcze innym: „Mąż grozi, że to ukróci, ale wtedy

nie miałabym po co żyć”. I jeszcze jeden: „Moja dwunastoletnia córka otrzymała od Ciebie kotka; muszę niestety prosić Cię o zaprzestanie tego procederu”. Albo: „Dzięki! Mija dziesięć lat, odkąd zmarł, a ja tęsknię za nim każdego dnia”. Lub: „Skąd o tym wiesz? Czuję w tym posmak szaleństwa”. Niektóre listy mają formę wyliczeń: „dwa szczeniaki, biało-czarne, przy czym jeden karłowaty, zwierciadło, a w nim odbicie pięknej twarzy”.

Nella szuka swoich listów. Oto jest pierwszy, napisany w październiku ubiegłego roku, świeżo po jej przybyciu, kiedy Marin już namąciła, a na przyjaźń Cornelii jeszcze nie mogła liczyć. „Jedyne, czego się domyślam — napisała wtedy — to że jest Pan mistrzem w sztuce tworzenia rzeczy małych”. Zdaje jej się, że było to bardzo dawno temu.

Cały ten czas, myśli Nella, byłam obserwowana i pilnowana, uczona i wykpiwana. Nigdy nie czuła się bardziej bezbronna. Oto ona — ukryta wśród tylu innych amsterdamskich kobiet, wśród ich sekretnych lęków i nadziei. Niczym się od nich nie różni. Jest Agnes Meermans. Jest tamtą dwunastolatką. A także tą kobietą, która będzie tęsknić za mężem co dnia. Jest nas rzesza, nas, kobiet zaczarowanych przez miniaturzystkę. Sądziłam, że ona kradnie mi życie, ale tak naprawdę otworzyła jego przegródki i pozwoliła mi zajrzeć do środka.

Wycierając łzy, odnajduje swoje pozostałe listy — w tym sążnistą epistołę, którą zgubiła w dniu, kiedy Jack wdarł się do holu; prosiła w niej o grę planszową *verkeerspel*. Weksel na pięćset guldenów wciąż jest do niej dołączony. „Niech będzie on oliwą na oporne zawiasy drzwi Twego domu”, napisała Nella, ale miniaturzystka nie zrealizowała weksla. Nawet nie wzięła pieniędzy.

Musiała obserwować mnie tamtego dnia w Starym Kościele, myśli Nella — kiedy Otto się modlił, a Agnes chwyciła mnie za rękaw. Przecież o tym, że chcę mieć planszę do gry, nie mogła dowiedzieć się inaczej, jak tylko zachodząc mnie od tyłu i kradnąc mi list z kieszeni. Mówią, że w Amsterdamie każdy jest strażnikiem brata swego, nawet ten, kto nie widzi.

Jednak cała rzecz bardziej trąci szpiegostwem, które zarzucała miniaturzystce Cornelia, niż darem prorokowania. Nella wącha liściki, jakby miała nadzieję, że wyczuje zapach jasnowłosej tajemniczej kobiety — może norweską sosnę albo orzeźwiającą miętę znad jeziora. Ale to tylko

suchy papier o lekkim zapachu pokoju Nelli. List był przeznaczony dla miniaturzystki i jakimś sposobem do niej trafił.

Na marginesach jej liścików są dopiski. „Aleksandretta — zielona. Mąż — tak, Johannes Brandt. Walczy, by powstać. Wiele drzwi bez kluczy i więcej niż jeden odkrywca. Pies. Siostra, służąca. Mapy, które nie ogarniają ich świata. Wieczna poszukiwaczka, tulipan zasadzony w mojej glebie, który nie ma gdzie rosnąć. Nie wracaj. Samotność. Porozmawiaj z młodym Anglikiem, spróbuj mu uświadomić".

— Tulipan zasadzony w mojej glebie — powtarza Nella.

Ktoś jest na dole, zamyka teraz frontowe drzwi, stąpa w ciężkich butach. Dziewczyna rozgląda się desperacko za jakąś kryjówką i czmycha do pokoju na tyłach. Jest w nim tylko wąskie, nieposłane łóżko. Nella wpełza pod nie i czeka.

— Jesteś tam? — pyta męski głos, łagodny i trochę gderliwy. W uszach Nelli brzmi on dziwnie, jak nie z tego miasta.

— Przyjechałem — oznajmia. — Za dużo przychodzi listów. Prosiłem raz i drugi: nie rób tego.

On czeka, Nella także. Kurz z podłogi dostaje jej się do nosa i nie udaje jej się powstrzymać kichnięcia. Odgłos ciężkich butów się przybliża. Mężczyzna wchodzi po drewnianych schodach. Potem zaczyna kręcić się po warsztacie, bierze do ręki różne przedmioty i odkłada je z powrotem z pełnym dezaprobaty mlaskaniem, szpera w rękodziełach miniaturzystki, mamrocząc gniewnie pod nosem.

— Taki talent — słyszy Nella jego wzdychanie. — Co za strata.

Milknie. Nella zastyga, wstrzymując oddech.

— Petronello, dlaczego chowasz się pod łóżkiem? — woła mężczyzna z drugiego pokoju. Nella nie rusza się, choć przebiega ją dreszcz, a krew uderza jej do głowy. Ma ściśnięte gardło, pieką ją oczy. Skąd on wie, jak mam na imię? — zastanawia się.

— Widzę twoje stopy! — mówi dalej. — No chodź, dziecko. Nie mamy na to czasu. — Chichocze, rozbawiony swoim ostatnim zdaniem. Nella boi się, że zwymiotuje.

— Wyjdź, Petronello. Porozmawiajmy o twoich dziwnych perypetiach.

Jego głos brzmi nawet życzliwie. I choć zamiast stawiać czoło światu, wolałaby cały ten okropny dzień spędzić pod rozgrzebanym łóżkiem miniaturzystki, to jednak zachęcona łagodnym, przekonującym tonem jego prośby, wypełza z kryjówki.

Widząc przed sobą starca, wydaje okrzyk zdumienia. Jest tak nikłej postury, że czuje się dwa razy większa od niego.

— Kim jesteś? — pyta.

Jego załzawione oczy otwierają się szeroko, robi krok do tyłu. Samotna kępka siwych włosów na czubku jego głowy wygląda, jakby została dodana po namyśle.

— Ale ty nie jesteś Petronella — mówi z osłupieniem.

— Jestem! — woła Nella w coraz większym popłochu. J e s t e ś Petronellą, powtarza sobie. Naturalnie, że tak. — A pan kim jest? — pyta po raz drugi, siląc się na zaczepny ton.

Staruszek przygląda się jej podejrzliwie.

— Lucas Windelbreke. — Nella opada na łóżko. — Odeszła — mówi starzec ze smutkiem, rozglądając się po kątach. — Wiem.

— Miniaturzystka?

— Petronella.

Nella kręci głową, jakby chciała wytrząsnąć sobie z uszu własne imię.

— Petronella? Panie, czy kobieta, która tutaj mieszkała, miała na imię Petronella?

— W rzeczy samej, pani. Czy to tak rzadko spotykane imię w naszym języku?

Nella musi przyznać, że nie — jej matka również ma tak na imię, a Agnes na uczcie u złotników uznała je za pospolite.

— Ale przecież ona jest z Norwegii — mówi Nella, próbując zapanować nad własnym zakłopotaniem. — Z Bergen.

Twarz Lucasa Windelbrekego momentalnie pochmurnieje.

— Jej matka była z Bergen. Petronella wychowywała się u mnie, w Brugii.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — powtarza Windelbreke, rozglądając się ze smutkiem po pokoju. — Bo to moja córka.

— T w o j a córka?

Nella dobrze dosłyszała, ale wydaje się niemożliwe, że miniaturzystka jest czyjąś córką — słowo to przywołuje obraz Assendelftu, matki, dziwnego poczucia bezpieczeństwa.

— Nie wierzę — mówi. — To miniaturzystka, ona nie…

— Wszyscy skądś się wzięliśmy, pani — przerywa jej Windelbreke. — Rodzina jej matki nie chciała Petronelli…

— Dlaczego?

— A co, uważasz, że wykluła się z jajka?

Jego pytanie dziwnie ją niepokoi. Nie może się oprzeć wrażeniu, że już je kiedyś słyszała.

— Napisałam do ciebie, panie — mówi, siadając z powrotem na łóżku, gdyż kręci jej się w głowie.

— Jeśli tak, to twój list był jednym z wielu.

Wzrok Nelli wędruje w stronę stosiku listów widocznego na blacie w drugim pokoju.

— Twoja córka zaczęła mnie przerażać — mówi. — Ale nie odpisała ani razu, a ty, panie, też nie. Chciałam wiedzieć, dlaczego wysyła mi te wszystkie rzeczy.

— Szczerze mówiąc, pani, nie widziałem się z nią od lat. — Odchrząkuje i bawi się kępką włosów na swojej głowie, klepiąc się w czaszkę, jakby chciał zatrzymać wzbierający w środku żal. — Listy przychodziły jeden po drugim, aż w końcu odkryłem, że zamieściła ten anons na *Liście Smita*. „Wszystko, a nic przecie”.

— Ale…

— Nie mogę tego stwierdzić na pewno, ale trudno mi uwierzyć, że chciała cię nastraszyć.

— Domyślam się, że nie tylko mnie nastraszyła.

— Moja córka jest pełna zachwytu nad światem, ale często odrzuca sposób, w jaki on się jej przedstawia. Zawsze powtarzała, że istnieje coś, co jest poza jej zasięgiem. Mówiła, że to „wieczna chwilowość”. — Windelbreke siada w nogach łóżka, jego stopy nie sięgają do podłogi. — Gdybyż tylko cieszyły ją zegary! — Wzdycha. — Ale Petronella od dawna pragnęła żyć poza granicami odmierzonego czasu. Zawsze krnąbrna, zawsze ciekawska. Kpiła sobie z tego, jak ludzie czepiają się swoich czasomierzy, jak próbują wszystko porządkować. Moja praca była dla niej zanadto ograniczająca, ale dziełka, które składała w moim warsztacie, marnie się sprzedawały. Przyznaję, były nietuzinkowe, ale nie mogłem się przemóc, żeby firmować je własnym nazwiskiem i sprzedawać jako swoje.

— Dlaczego?

Uśmiecha się.

— Bo nie wskazywały czasu! Odmierzały inne rzeczy, te, o których ludzie woleliby nie pamiętać. Śmiertelność, złamane serca. Głupotę i ignorancję. Na cyferblatach zamiast godzin malowała twarze klientów,

przesyłała im wiadomości, które wyskakiwały z zegara, kiedy wskazówka docierała do dwunastej. Błagałem, żeby z tym skończyła. A ona mówiła, że to dlatego, że potrafi wejrzeć w ich dusze, w ich wewnętrzny czas, który nie uwzględnia godzin i minut. Całkiem jakbym próbował oswoić kota.

— Wierzyłeś, że miała wgląd w ludzkie dusze? — pyta Nella. — Wydawało się, że ona bardzo dużo wie o tym, co mnie czeka.

Windelbreke drapie się w podbródek.

— Doprawdy? — pyta, zerkając w kierunku warsztatu córki. — Mówisz to z takim samym przekonaniem jak te wszystkie kobiety, które do mnie pisały. Jakbyś była gotowa zrzec się prawa decydowania o własnym losie.

— Przeciwnie, pomagała mi je odzyskać!

Nella milknie, porażona prawdą tego twierdzenia. Windelbreke rozkłada ręce.

— Oddała ci, co twoje. — Uśmiecha się z nieśmiałym zadowoleniem. — Powiem ci tylko tyle, pani. Starałem się wpoić córce, że jej zmysł obserwacji będzie przydatny tylko wtedy, kiedy inni zechcą zobaczyć to samo co ona. Skoro ci nie odpisała, być może przeczuwała, że zrozumiałaś, co chciała ci przekazać.

Nella czuje, że zbiera się jej na płacz.

— Ale ja nic nie rozumiem — mówi.

— Czyżby?

Nella wpatruje się w linie na swoich dłoniach, prowadzące nie wiadomo dokąd. Zaciska pięści.

— Może rozumiem — przyznaje. Dociekliwość Windelbrekego wytrąca ją z równowagi. Ma ochotę pobiec do domu, na Herengracht, być z Marin i Cornelią, i Theą, posiedzieć z Dhaną, głaskać ją po uszach. Ale będą ją pytać o Johannesa, a ona będzie musiała im powiedzieć. W niedzielę o zachodzie słońca. Nie wie, czy znajdzie siły.

— Nie mam pojęcia, co porabiała przez te wszystkie lata… jakich nabyła dziwnych umiejętności, z kim przestawała — mówi Windelbreke. — To najbystrzejsza osoba, jaką kiedykolwiek znałem. Ale jeśli zobaczysz moją córkę, pani, przekaż jej, proszę, żeby wróciła do domu.

*

Nella zostawia Windelbrekego, który nie odnalazłszy córki, powoli pakuje jej piękne rękodzieła do kilku osobnych skrzynek.

— Nie mogą tutaj zostać — wyjaśnia. — Ale nie wyrzucę tego. Może kiedyś przyjedzie do Brugii i sobie odbierze — dodaje bez przekonania.

Nella myśli o tych wszystkich kobietach w Amsterdamie, które czekają na kolejną dostawę. Jedne z drżeniem serca, drugie z nadzieją, inne ze szklanym wzrokiem tych, którzy nie potrafią żyć bez jakiejś zewnętrznej podpory, bez miniaturzystki i jej tajemniczych przesłań. Będą czekały na swoje szczęście. A gdy ono nie nadejdzie — kiedy przesyłki ustaną, jak przydarzyło się to Nelli — co poczną? Miniaturzystka uwolniła ich własne „ja". To waluta wypłacona w zamian za ich listy. Teraz mogą nią swobodnie dysponować — wymienić, zaoszczędzić lub wydać.

Nella wraca ulicą Kalverstraat, nie słysząc nawoływań sklepikarzy. W niedzielę o zachodzie słońca. Jak ja im to powiem? — pyta samą siebie. Jak mam im powiedzieć, że Johannes zostanie wrzucony do morza z kamieniem na szyi?

W odrętwieniu dociera na Złoty Zakręt. W drzwiach domu stoi Cornelia, wyczekując. Na jej widok wiadomość o Johannesie i o tajemnicy miniaturzystki więźnie jej w gardle. Dziewczyna jest blada i posępna. Wygląda na znacznie starszą, niż jest w rzeczywistości.

— Coś zrobiłyśmy nie tak jak trzeba — mówi tylko. — Coś zrobiłyśmy nie tak.

Drzwi się zamykają

Czas przy okazji takich właśnie wydarzeń trudno jest zmierzyć. Nella przebiega myślą swoje najświeższe wspomnienia — jak zostawiła Marin z samego rana, jak popędziła do Stadhuis, a później na Kalverstraat w poszukiwaniu wybawienia, które nie było jej pisane. Wszystko stało się w jednym dniu — lecz wydaje się, jakby od wyroku Slabbaerta i rozmowy z Windelbrekem minął co najmniej rok. Marin została pochłonięta przez czas i na mapie jej bladej skóry Nella nie potrafi znaleźć żadnej wskazówki co do tego, kiedy utonęła, w jaki sposób zniknęła.

Spryt nie opuścił Marin do samego końca, pozwalając jej odejść niepostrzeżenie. Jej duch się im wymknął. Zataiła nawet swoje ostatnie tchnienie, zachowując dla siebie moment własnej śmierci.

— Nie — krztusi się Nella. — Nie… Marin, słyszysz mnie?

Ale przecież wie, że już jej tu nie ma. Stoją z Cornelią przy łóżku i dotykają jej twarzy. Skóra zmarłej jest pokryta warstewką wilgoci, jakby leżała na deszczu.

Cornelia drżącymi rękami zabiera z bezwładnej piersi Marin jej osieroconą spuściznę. Podnosi Theę — niewielka główka dziewczynki mieści się w dłoni. Cornelia opatuliła ją w tyle pasów bawełnianego płótna, że widać tylko maciupeńką jak orzeszek buzię. Nella i Cornelia, porażone, tkwią przy łóżku, wciąż posłuszne Marin.

— To niemożliwe — szepcze Nella.

— Nie mogłam temu zaradzić — dobiega głos z otwartych drzwi. Nella wzdryga się i odwraca z przerażeniem. W ich stronę zmierza zażywna kobieta z podwiniętymi rękawami, o posturze pastucha bydła z Assendelftu.

— Kim…

— Lysbeth Timmers — przerywa jej niewiasta. — Pani służąca znalazła mnie na *Liście Smita*. Trzeba czym prędzej zabrać stąd dziecko.

— Była najbliżej — mamrocze Cornelia do Nelli schrypniętym głosem, przyciskając do siebie Theę. — K a z a ł a ś mi, pani.

Nella wpatruje się w tę Lysbeth Timmers, osłaniając ciało Marin przed bystrym spojrzeniem nieznajomej. W tej dziwnie spokojnej chwili zadaje sobie pytanie, jak mogła być tak lekkomyślna, żeby kazać Cornelii

otworzyć na oścież drzwi domu i wyjawić ich sekrety. Lysbeth, jak lis w kurniku, stoi z rękami na biodrach.

— To mamka — wyjaśnia szeptem Cornelia. — Nie zdała egzaminu na akuszerkę.

— Ale powiłam czworo dzieciaków — wtrąca się Lysbeth ze spokojem, zasłyszawszy ostatnie zdanie. Podchodzi do nich i odbiera Cornelii Theę.

— Nie! — krzyczy służąca, gdy Lysbeth niesie dziecko na próg, gdzie przyciągnęła krzesło. Mamka ogląda niemowlę z wszystkich stron, jakby było warzywem na targu. Przesuwa zaczerwienionymi palcami po ciasnym czepku Thei, a potem bez dalszych ceregieli opuszcza dekolt rozsznurowanego gorsetu i koszuli. Przystawia Theę do ciemnoróżowego sutka i zaczyna ją karmić.

— Źle się spisałyście — stwierdza.

— Dlaczego? — pyta Cornelia, a Nella wyczuwa w jej głosie jakiś dziwny popłoch.

Lysbeth podnosi na nią wzrok.

— Jak można było tak ją zakutać?

Nella, wyczerpana, obrusza się.

— Nie płacimy pani za krytykowanie, pani Timmers — mówi.

— Patrzcie — ciągnie Lysbeth niezrażona. — W tym wieku kosteczki są jak wosk. Jak ją źle zawiniecie, to zanim skończy roczek, będzie miała krzywy kręgosłup i koślawe nóżki.

Lysbeth odstawia Theę od piersi i zaczyna rozpakowywać ją jak paczkę. W sekundzie zrywa maleństwu czepek.

Cornelia robi krok naprzód, czujna i spięta.

— Co się stało? — pyta Nella. Śpiesząc się do Stadhuis, nie zdążyła spojrzeć na dziecko w poranek po jego narodzinach. Teraz jednak przypomina sobie poruszenie Cornelii i jej słowa: „To niemożliwe. To nie może być prawda”. Widzi wreszcie na własne oczy to, co służąca usiłowała jej powiedzieć.

Włoski Thei są czarne, zbyt ciemne jak na holenderskiego noworodka, a jej świeżo umyta skóra ma kolor kandyzowanego orzecha. Maleństwo otwiera oczka — jego tęczówki są jak małe sadzawki pełne nocy. Nella podchodzi bliżej, nie może oderwać od małej wzroku.

— Thea — szepcze Cornelia. — O mój Boże, Toot.

Córeczka Ottona jakby to usłyszała, bo zwraca buzię w stronę służącej i obdarza ją spojrzeniem nowo narodzonego człowieka, spojrzeniem, które

mieści w sobie cały świat.

Lysbeth spogląda na Nellę wyczekująco. Cisza gęstnieje, a słowa Marin zaczynają wirować Nelli w głowie: „Pojawienie się tego dziecka nie będzie dla nikogo dogodne. Jeśli przeżyje, będzie naznaczone”. Lysbeth chyba słyszy, jak wali jej serce. Cornelia, która stoi obok, wygląda jak sparaliżowana.

— Zostaniesz sowicie nagrodzona za całą pomoc. Po guldenie na dzień — wydusza z siebie Nella, a drżenie w jej głosie zdradza wstrząs, którego doznała, stając twarzą w twarz z odsłoniętą naraz tajemnicą. „Kocham cię z każdej strony”.

Lysbeth wydyma policzki w zamyśleniu, gładząc delikatnie czarne włoski Thei spracowaną dłonią. Nielegalna mamka kontempluje obrazy na ścianach, zegar z wahadłem, srebrny dzban. Jej wzrok pada na ogromny domek dla lalek mieszczący ich miniaturowe istnienia, tak wystawny i zbyteczny, że Nelli robi się wstyd.

— No myślę, że zostanę wynagrodzona — odzywa się w końcu Lysbeth. — Wezmę cztery guldeny na dzień.

Nella nie odzyskała jeszcze rezonu, ale mieszka w Amsterdamie wystarczająco długo, by wiedzieć, że tutaj każdy targuje się niemal od kołyski. W zasadzie czuje ulgę, że Lysbeth wydaje się bardziej zainteresowana pieniędzmi niż sekretami, ale nigdy nic nie wiadomo. Nie będę miała wobec niej długu wdzięczności, pociesza się w myślach. Mamka chyba przeczuwa chaos pod powierzchnią ich domowego życia, ale niestety zna też swoją cenę. Może Johannes miał rację i nawet o takie rzeczy jak milczenie można się targować jak o sarni udziec, parę bażantów albo ładny kawałek sera. Nella myśli o pustoszejącej szkatule z guldenami. Musisz pójść zobaczyć się z Hanną, napomina się. Trzeba sprzedać cały cukier. Tylko kiedy? Czara zaczyna się przelewać, jak przewidywał Otto.

— Dwa guldeny na dzień, pani.

Lysbeth Timmers marszczy nos.

— To wyjątkowa sytuacja, pani rozumie. Trzy.

Omal nie powiedziałam Fransowi Meermansowi, że Marin urodziła jego dziecko, przypomina sobie Nella, krzywiąc się w duchu na myśl, co mogłoby się stać, gdyby Meermans poznał i ten sekret.

— Niech będzie, pani Timmers — ustępuje. — Trzy guldeny na dzień. Za c a ł ą pomoc.

Lysbeth kiwa głową z zadowoleniem.

— Możesz na mnie polegać, pani — zarzeka się. — Mam gdzieś burmistrzów.

— Obawiam się, że nie wiem, co pani ma na myśli, pani Timmers.

Lysbeth szczerzy zęby.

— Jasna sprawa, nie? Jak dla mnie ojciec to ojciec i cześć. Wszystko jedno jaki. A ona jest ładniutka, bez dwóch zdań.

— Bez dwóch zdań — powtarza Nella, usiłując przywołać się do porządku. Czy on w ogóle wie? — rozmyśla. Czy Marin mu powiedziała i czy właśnie to było przyczyną jego ucieczki? Cornelia wygląda, jakby miała zemdleć, a Nella się zastanawia, czy służąca kiedykolwiek podejrzewała tę sensacyjną prawdę, skoro z takim uporem opowiadała historię Marin i Fransa Meermansa. Otto był przyjacielem Cornelii, miał w domu ten sam status co ona.

— One to lubią, rozumiecie — mówi Lysbeth.

— O co ci chodzi, do licha?! — wybucha Cornelia.

— Ciasno zawiązane powijaki — wyjaśnia Lysbeth oschle, udając, że nie zauważyła zaczepki. — Przypominają im matczyne łono.

Nella obserwuje żal i zakłopotanie odmalowujące się na twarzy Cornelii. Jej myśli wracają teraz do Johannesa w Stadhuis i wyroku, jaki zapadł. Wie, że będzie musiała powiedzieć jeszcze o tym i tak całkowicie przybitej Cornelii.

W alkierzyku Marin, wśród piór i strąków z nasionami, na miękkim, półuśpionym ciałku Thei Lysbeth demonstruje prawidłowy sposób zawijania niemowlęcia. Potem jeszcze raz przystawia je do piersi, a maleństwo wyraźnie się ożywia, przysysa się do niej z przejęciem i determinacją, które przypominają Nelli Marin pochyloną nad księgami rachunkowymi albo wpatrzoną w jedną z map Johannesa. Nella stoi zapatrzona w tę cudowną zagadkę, w karmelowy blask mięciutkiej skóry Thei. Dziewczynka delikatnie pociąga nosem i ściska palce w piąstki. Rysy tej nowiutkiej twarzy wyraźnie zdradzają, kto jest ojcem, ale jest jeszcze za wcześnie, by wyrokować, po kim odziedziczyła urodę.

Cornelia, poruszając się jakby we śnie, rozpala w całym domu lampki z aromatycznymi olejkami, żeby stłumić zapach śmierci. Odwraca wszystkie lustra do ścian, dla pewności, że dusza Marin nie zbłądzi

w drodze do nieba. Nie chcą przecież, żeby utknęła w kominach, lecz by wzleciała przez obłoki ponad amsterdamskie dachy.

Lysbeth mówi, że będą musiały niezadługo usunąć z domu ciało. Woń trupa nie będzie dobra dla Thei.

— Nakryj ją zwyczajnym płótnem, pani.

— Zwyczajnym płótnem? — obrusza się Nella. — Marin zasługuje na najlepszy adamaszek.

— Przypuszczam, że wolałaby zwykłe — dobiega nieśmiały głos Cornelii.

Kiedy niemowlę usypia, Lysbeth inkasuje swoje trzy guldeny i wsadza do kieszeni fartucha.

— Przyślijcie po mnie, jak się obudzi. Będę niedaleko.

Wychodząc, pod naciskiem Nelli, kuchennymi drzwiami (drzwi frontowe nie są dla Lysbeth Timmers, bez względu na to, ile jej płacą), Lysbeth znowu przystaje.

— Co to ma pani tam na górze? — zwraca się do swojej nowej pracodawczyni. — Ten wielki kredens. W życiu czegoś takiego nie widziałam.

— To nic takiego — odpowiada Nella. — Zabawka.

— Ładna mi zabawka!

— Pani Timmers…

— Trzeba ochrzcić to dziecko, i to szybko, pani. Pierwsze dni są zawsze niebezpieczne.

Łzy stają Nelli w oczach. Przypomina sobie końcowe słowa Slabbaerta: „Niech ten powtórny chrzest będzie przestrogą dla nas wszystkich”.

Lysbeth spogląda na nią jednocześnie ze współczuciem i zniecierpliwieniem.

— Po prostu nie zdejmujcie jej czepka — radzi szeptem. — Śliczne ma włoski, nie powiem, ale biedactwo musi jakoś przeżyć na ulicach.

Nella zastanawia się, czy to w ogóle będzie możliwe. Ale Cornelia za nic w świecie nie pozwoli oddać tego dziecka.

Służąca klęczy pochylona nad kołyską. Twarz ma woskową, bez wyrazu. Wygląda jak zasuszona, a Nelli przypomina się ich pierwsze spotkanie w holu, jej zarozumiałość, śmiałe sondowanie wzrokiem nowo przybyłej. Nie do wiary, że to ta sama dziewczyna.

— Próbowałam, pani — mówi Cornelia.

— Zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy.

Nella milknie, wsłuchując się w odgłosy domu. W ogrodzie płonie sterta sztywnych, zbrązowiałych prześcieradeł — zwęglone włókna bawełny wzlatują pod niebo. Z okna w korytarzu Nella dostrzega wśród płomieni haftowane kwadraty poduszki i wielobarwne ptasie gniazdo okolone listowiem. „Cornelia przesadziła z tymi haftami”. Na każdym kroku głos Marin.

— Zatrzymamy Theę, prawda? — pyta cicho Cornelia. — Tutaj jest najbezpieczniejsza.

— Już przekupujemy kolejne osoby, żeby nie zdradziły naszego najnowszego sekretu. Czy to się kiedyś skończy? — Nella wzdycha. Owszem, kiedy zabraknie pieniędzy, odpowiada głos w jej głowie.

— Prędzej umrę, niż pozwolę skrzywdzić to maleństwo. — W oczach Cornelii płonie żar.

— Cornelio, nawet jeśli będziemy musiały zabrać ją do Assendelftu, przyrzekam ci, że jej nie oddamy.

Teraz to właśnie Assendelft — a nie Amsterdam, jak raz powiedziała Agnes — wydaje się tak odległy jak Batawia. Nella znów słyszy w głowie Marin, jej głos dźwięczny jak dzwon, i widzi błysk pogardy w szarych oczach szwagierki. „Na wsi nie ma co robić”.

Cornelia kiwa głową.

— Thea może nosić czepek na dworze, w domu nie musi.

— Cornelio…

— No i będziemy musiały powiedzieć pastorowi Pellicorne’owi o pani Marin. Nie możemy jej pochować gdzie bądź. Nie chcę, żeby złożyli ją u świętego Antoniego. To za daleko. Chciałabym, żeby została tutaj, w obrębie miasta…

— Zrobię ci coś do zjedzenia — proponuje Nella, wyczuwając jej narastającą histerię. — Chleba z serem?

— Nie jestem głodna — odpowiada Cornelia, podrywając się z kolan. — Ale musimy coś przyszykować i zanieść jaśnie panu.

Nella siada, zmęczona maniakalnym zachowaniem Cornelii, niezdolna, by znaleźć słowa na wytłumaczenie służącej tego, co się wydarzyło dzisiaj w ratuszu. Pragnie zobaczyć się z Johannesem, ale przede wszystkim jutro z samego rana, kiedy trochę się prześpią, muszą coś zrobić ze zwłokami. Dziś jest czwartek. Od niedzieli o zachodzie słońca ona, Cornelia i Thea będą zdane tylko na siebie i na łaskę Lysbeth Timmers. Wydaje się, że

w tym mieście odebrać komuś życie jest równie łatwo, jak podnieść pionek z planszy do gry w *verkeerspel*.

Możliwe, że w całym Amsterdamie nie było jeszcze nigdy takiego dziecka. Są oczywiście sefardyjscy Żydzi — śniadzi chłopcy i dziewczynki z Lizbony, a także sprowadzani przez portugalskich kupców Mulaci, którzy stoją zwykle pod synagogą na Houtgracht, zajmując miejsca dla swoich pań. Są też Ormianie, którzy uciekli przed osmańskimi Turkami — i kto wie, co się dzieje gdzieś w Indiach — lecz tutaj, w Amsterdamie, ludzie trzymają się swoich, nie mieszają się ze sobą. Dlatego Otto zawsze przyciągał wzrok. A jednak to maleństwo — urodzone nie tysiące mil stąd, lecz w sekretnych zakamarkach ojczyzny, w najbogatszej części Złotego Zakrętu — najlepiej uosabia sprzeczności Republiki. Thea jest jeszcze bardziej gorsząco niezwykła w tym otoczeniu niż jej ojciec.

„Kocham cię z każdej strony”. Otto i Toot, koło się zamyka, liściki miłosne i dziecko, które zostawił po sobie jako odbicie siebie samego. Nella przypomina sobie nocne szepty, zamykanie drzwi, konsternację na twarzy Cornelii, kiedy rankiem Nella pytała ją, czy nie spała do późna. Marin we łzach w Starym Kościele. Kilka tygodni później w tej samej ławce usiadł przerażony Otto. Czy to wtedy Marin mu powiedziała? Jedyne, co Nella zdoła kiedykolwiek z tej historii zrozumieć, to Thea, która z kolei będzie sekretem dla siebie samej, z nieżyjącą matką i zaginionym ojcem. Nella myśli o innej matce, w Bergen, i innym zawiedzionym dziecku, dorastającym ze starzejącym się ojcem w Brugii. Dlaczego oddano miniaturzystkę?

Popadam w obłęd z braku snu, mówi sobie Nella, próbując odszukać w pamięci jakieś przeoczone sygnały dotyczące Ottona i Marin, czy też drugiej Petronelli. Nie jest pewna, czy w blasku nowego dnia cokolwiek stanie się łatwiejsze do zrozumienia.

Cornelia przygląda się twarzyczce Thei.

— Chciałam, żeby ojcem był pan Meermans — mówi półgłosem. — Chciałam, żeby to był on.

— Dlaczego?

Lecz Cornelia nie odpowiada, to jej wyznanie. Z takim przekonaniem rozprawiała o tożsamości tajemnego kochanka Marin, o ofiarowywanych jej peklowanych prosiakach, o małżeńskiej zazdrości Agnes. „Powinnam była dawać Cornelii więcej roboty”, stwierdziła pewnego razu Marin, utyskując na jej skłonność do fantazjowania. Meermans mógł spoglądać na

Marin, ale ona sama nigdy nie dała do tego powodu. A co odpowiadała, gdy się ją zapytało o jej uczucia? „Nosisz jego dziecko”, powiedziała jej kiedyś Nella. „Wzięłam od Johannesa coś, czego nie miałam prawa mu zabierać”, brzmiała odpowiedź w zagadkowym stylu Marin, żyjącej zawsze w półcieniach, na granicy prawdy i kłamstwa.

— Chcę, żeby było jak dawniej — odpowiada Cornelia.

— Cornelio — szepcze Nella, sięgając po jej dłoń. — Muszę ci powiedzieć o Johannesie. — Czuje, jak melancholia rozkwita w niej jak czarna róża, która od razu gubi płatki. Służąca przysiada na łóżku z trzeźwym spojrzeniem, bez słowa.

— Powiedz — mówi Cornelia, nie wyjmując dłoni z jej ręki.

Nella boi się, że od szlochów Cornelii popękają ściany. Thea oczywiście budzi się ze snu, a Nella podnosi płaczącego noworodka z bawełnianego puchu. Maleństwo jest fascynujące — jak czarna ćwierćnutka opatulona w biel, z parą maciupeńkich miechów zamiast płuc, dmących na cały pokój.

— Pani, czemu Bóg nas tak pokarał? Czy od początku to planował?

— Nie wiem. Może zadał pytanie, a my jesteśmy odpowiedzią, Cornelio. Musimy to przetrzymać. Musimy się z tego podźwignąć ze względu na to maleństwo.

— Ale jak? Jak my będziemy żyć? — łka Cornelia, wtulając twarz w ramię Nelli.

— Przyprowadź Lysbeth — mówi Nella. — Trzeba nakarmić małą.

Wiedząc, że musi się uspokoić, Cornelia cichnie. Z czerwonymi plamami na twarzy, odrętwiała z bólu, zostawia swą panią na łóżku z wrzeszczącą Theą na rękach. Gdy Nella kładzie się z dzieckiem, coś wbija jej się w kark, a kiedy sięga pod poduszkę, wyczuwa palcami jakiś mały, twardy przedmiot.

— Otto — szepcze, patrząc na jego miniaturową podobiznę, a córeczka zaginionego spoczywa w zgięciu łokcia jej drugiej ręki. Nella nie zauważyła, że zniknął z domku dla lalek. Czy Marin spała tutaj noc w noc z jego miniaturką pod poduszką, z tym pocieszeniem, które jednak nie ściągnęło go z powrotem do domu?

— Gdzie się podziewasz? — pyta Nella, jak gdyby jej słowa miały dokonać tego, w czym tak srodze zawiodła laleczka.

Thea, ich hałaśliwy anioł nowego wspaniałego świata, płaczem domaga się mleka. To dziecko wzięło swój początek właśnie wtedy, gdy

Johannesowi i Marin wyznaczono kres.

Cichutko, pośród tego dziecięcego rozgardiaszu, Nella odmawia bardzo szczególną modlitwę. W Assendelfcie, po śmierci ojca, zrozpaczony Carel napisał wezwanie do Boga, prowokujące i dziecinne w najlepszym sensie tych słów. Jego słowa wryły się w jej pamięć, a teraz do niej wracają. Mamrocze je do muszelki uszka Thei — wołanie o ukojenie, pragnienie zmartwychwstania. Niegasnąca nadzieja.

Puste pokoje

Lysbeth Timmers śpi w kuchni. Nazajutrz rano, w piątek, jej twarz wydaje się całkiem mokra od wilgotnego powietrza w pomieszczeniu.

— Trzeba będzie wam pomóc przy zwłokach — mówi.

Nella czuje przypływ wdzięczności. Słyszy w głowie pytanie Johannesa skierowane do siostry: „Marin, czy tobie się zdaje, że tym domem kieruje jakiś magik?”. Nie magik, myśli Nella, lecz ludzie, tacy jak Cornelia i Lysbeth Timmers.

Cornelia, której palce ledwie musnęły Marin za życia, teraz musi uwijać się koło swojej pani i mocno ją trzymać.

— Nie znosiła, gdy się jej dotykało — stwierdza. Nella myśli o pojawieniu się Thei i zastanawia się, ile w tym prawdy.

— Ta będzie dobra. — Cornelia trzyma przed sobą długą czarną spódnicę. Jest dziś rozgadana, jakby chciała zagłuszyć wrzaski demonów dobiegające z ratusza, bo słowa: „W niedzielę o zachodzie słońca” teraz dźwięczą także w jej głowie. Materiałowe wstawki wybranego przez nie gorsetu są podbite futerkiem z soboli i wiewiórek, a wzdłuż kręgosłupa biegnie pas aksamitu. — Będzie pasowało na panią Marin idealnie — ocenia Cornelia.

Nella czuje się, jakby stała na grząskim piasku, który lada chwila może ją wciągnąć pod powierzchnię. Pachy ma mokre od potu, ćmi ją w brzuchu.

— Też tak sądzę — potwierdza ze słabym uśmiechem.

Lysbeth marszczy brwi.

— Ubranie swoją drogą — mówi. — Ale wpierw musimy ją oporządzić.

To najtrudniejszy moment.

Podnoszą Marin, a Lysbeth rozcina jej halkę i bawełnianą koszulę ostrym nożem. Płótno rwie się na dwie części, a Nella zbiera się w sobie, próbując skupić uwagę na zadaniu. Widok pustego, klęsnącego brzucha, w którym Thea mieszkała przez dziewięć miesięcy, jest tak bolesny, że prawie nie do wytrzymania — nie da się też uniknąć widoku zaokrąglonych, pełnych mleka piersi Marin. Między jej nogami ciągle wije się pępowina, której nie mogły wyciągnąć.

Cornelia dławi się powietrzem, trudno powiedzieć, z żalu czy obrzydzenia. Brama, przez którą Thea przyszła na świat, wydaje się zamknięta, lecz Nella nie odważa się zbliżyć tam ręki w obawie, że ze środka wydostanie się jeszcze więcej krwi. Dlatego tylko wcierają resztki olejku lawendowego w pozostałe części ciała Marin, maskując jej coraz intensywniejszy, dziwnie słodki zapach.

Nella i Lysbeth dźwigają Marin, a Cornelia ostrożnie wkłada jej spódnicę i zawiązuje tasiemki drżącymi palcami. Gdy Nella pochyla ją do przodu, głowa opada Marin na pierś. Cornelia bierze jej rękę i wsuwa ją do otworu gorsetu.

— Nie ubierałam jej od lat — zauważa lekkim i dziwnie wysokim głosem, jakby miała ściśnięte płuca. — Zawsze robiła to sama.

Cornelia wciąga na nogi zmarłej wełniane pończochy i zakłada parę pantofelków z króliczej skórki z wyhaftowanymi inicjałami M i B. Nella przemywa Marin twarz, przecierając ją w skupieniu świeżymi ściereczkami. Lysbeth rozpuszcza jej włosy i ponownie zaplata w warkocz, by następnie schować je pod czystym białym czepkiem.

— Zaczekajcie — rzuca Nella. Biegnie do pokoiku Marin, gdzie w dębowej kołysce śpi sobie Thea. Zdejmuje ze ściany mapę Afryki, ciągle opatrzoną przypisami w formie pytań bez odpowiedzi: „Pogoda? Pożywienie? Bóg?”.

— Powinnyśmy złożyć wraz z nią więcej rzeczy z jej kolekcji — mówi Cornelia, widząc, co przyniosła Nella. — Pióra, przyprawy… książki.

— Nie — odpowiada Nella. — Zachowajmy je.

— Dlaczego?

— Ponieważ pewnego dnia staną się własnością Thei.

Cornelia kiwa głową, wzruszona tym logicznym, choć nieco sentymentalnym pomysłem. Nella wyobraża sobie, jak za cztery lata Cornelia będzie pokazywać małej dziewczynce świat, który poskładała niegdyś tak pracowicie i czule jej matka. Gdy oczy służącej zachodzą mgłą, Nella się zastanawia, czy Cornelia również wyobraża sobie te przyszłe sceny — jak Thea siedzi na łóżku, dyndając nóżkami, a służąca, która tak kochała jej matkę, pokazuje dziewczynce ten przedziwny spadek. Nella pragnie zaszczepić w sercu Cornelii tę myśl, jak obietnicę, która pomoże jej oderwać się od grozy teraźniejszości.

— Wygląda tak spokojnie — zauważa Cornelia.

Lecz Nella dostrzega znajomą bruzdę na czole szwagierki, jak gdyby przeprowadzała obliczenia matematyczne albo myślała o bracie. Marin nie wygląda spokojnie. Wygląda, jakby nie chciała umrzeć. Tyle miała jeszcze do zrobienia.

Gdy Lysbeth i Cornelia idą do pokoju Marin, by zająć się Theą, Nella schodzi po schodach do komórki, gdzie w szafie na półce ułożone są narzędzia Ottona — zawsze gotowe do użycia, starannie naoliwione i naostrzone. Znajduje to, czego szukała. Farmerzy z Assendelftu zwali je łupakami, a Nella, wtedy mała dziewczynka, patrzyła, jak muskularnymi ramionami zamierzali się z rozmachem na umierające drzewa.

Gdy wraca na piętro, w korytarzu słychać szmer kobiecych głosów, a ona po raz pierwszy zamyka się na klucz w sypialni.

Przygląda się stojącemu w rogu pięknemu prezentowi od męża. W październiku Johannes nazwał domek rozrywką, a Nella, na progu nowego życia, potraktowała go jako szyderstwo z jej delikatnego położenia. Odrzuciła ten nienadający się do zamieszkania świat, a potem stopniowo zaczęła się przekonywać, że kryje on w sobie odpowiedzi na jej pytania, czy miniaturzysta jest tym, kto trzyma światło. Jednak Johannes na swój sposób miał rację, myśli Nella. Wszystko, co się wiązało z tym domkiem, rzeczywiście rozpraszało uwagę. Była pewna, że stoi w miejscu, a przecież zaszła tak daleko.

Teraz już wie, co trzeba zrobić. Podchodzi do domku i bierze zamach, zupełnie jak drwale w Assendelfcie rąbiący pnie. Jeden wdech, jedna chwila — i topór opada. Rozłupuje szylkret, rozbija w drzazgi drewno wiązowe; cynowe ornamenty wiją się jak korzenie jakiejś rośliny, aksamitne kotary spadają na posadzkę. Nella rozbija domek dla lalek na kawałki — podłogi zapadają się, załamują się sufity, cały kunszt, czas, detal, moc, to wszystko pada u jej stóp.

Krew pulsuje w jej ciele, gdy opuszcza siekierę i przerzuca szczątki domku. Rozrywa tapetę z włoskiej skóry, gobeliny, marmurowe podłogi. Wyjmuje książki i targa ich maleńkie stroniczki. Zgniata w garści kielich ślubny — miękki metal ustępuje, a trzymająca się za ręce para na jego brzegu zostaje unicestwiona. Zgarnia na kupkę palisandrowe krzesełka, klatkę dla ptaków, Peebo, pudełko marcepanów oraz lutnię i miażdży je obcasem, aż stają się nie do poznania.

Następnie rozpruwa ciało Meermansa, rwie jego kapelusz z szerokim rondem. Odrywa główkę Jackowi jak kielich więdnącego kwiatu. Kawałkiem drewna zgniata rączkę Agnes, ciągle ściskającą głowę cukru z czarnym nalotem. Nie oszczędza Cornelii ani swoich dwóch podobizn — szarej i złotej, jednej przysłanej przez miniaturzystkę, drugiej zgubionej przez Agnes na podłodze galerii w izbie ratusza. Ciska je na stertę razem z trzosem Johannesa. Pozostawia nietknięte tylko figurki Marin i Johannesa, wsuwając je do kieszeni wraz z miniaturowym Ottonem i niemowlęciem. Thea będzie mogła na nie patrzeć, jak podrośnie, myśli.

Wyczuwa w kieszeni Arnouda i waha się. To tylko lalka, powtarza sobie, ważąc go w dłoni, to tylko dziwna alchemia miniaturzystki, połączenie kunsztu rzemieślniczego i przeszpiegów. Nic wielkiego. Ale większość cukru jeszcze się nie sprzedała. Prawie siebie za to nienawidzi, ale ukrywa cukiernika z powrotem w kieszeni spódnicy.

Wyczerpana do cna, nie może już dłużej niszczyć. Jej ślubny prezent zamienił się w stos pogrzebowy. Osuwa się na podłogę obok, wspiera brodę na kolanach i bezgłośnie szlocha.

Zaraza w ogrodzie

Cornelia wymyśliła sobie, że pójdzie do więzienia w Stadhuis, i nie daje sobie tego wyperswadować. Krzątając się gorączkowo, upiekła paszteciki z kurczakiem i cielęciną, z wodą różaną i słodzoną dynią oraz z kapustą i wołowiną. Ich zapach przywodzi na myśl dom i solidną kuchnię z roztropną kucharką u steru.

— Idę, pani — oznajmia wieczorem. Z przejęcia znów zaróżowiły się jej policzki.

— Nie mów mu, co się tutaj stało.

Cornelia przytula do siebie ciepłe zawiniątko z jedzeniem i łzy napływają jej do oczu.

— Wolałabym umrzeć, niż złamać mu serce, pani — deklaruje, chowając paszteciki głęboko w fałdach fartucha.

— Wiem.

— Ale gdybyśmy powiedziały mu o Thei, dziecku, o początku…

— Miałby jeszcze jeden powód, by żałować życia, z którym musi się rozstać. Nie zniósłby tego.

Cornelia się wzdryga — bez wątpienia na myśl o tych okropnych decyzjach, które obie są zmuszone podejmować, domyśla się Nella, gdy służąca śpieszy wzdłuż kanału.

Lysbeth w kuchni dla służby składa świeże pieluszki dla Thei.

— Zostaniesz z nią na kilka godzin, kiedy mnie nie będzie? — pyta Nella.

Lysbeth podnosi oczy.

— Z chęcią, pani.

Nella jest rada, że Lysbeth nie pyta, dokąd się wybiera. Myśli o pobojowisku w swojej sypialni i o tym, co Lysbeth powiedziałaby na jego widok.

— Na piętrze jest drewno opałowe — zwraca się do niej. — Musimy zadbać, żeby dziecku było ciepło.

*

Wpuszczają Nellę do zakrystii za organami Starego Kościoła. Pastor Pellicorne siedzi za biurkiem. Nella przyszła tutaj ze względu na Cornelię. Wolałaby, żeby pochowano Marin dyskretnie na cmentarzu przy kościele Świętego Antoniego, z dala od badawczych spojrzeń.

— Nie uważasz, że sama by tego chciała? — zapytała Cornelię.

— Nie, pani. Pragnęłaby dostąpić najwyższego obywatelskiego zaszczytu w tym mieście.

Cornelia wprowadza normalność, uspokaja wzburzone wody. Spuścizna Marin żyje dalej, a Nella czuje się pokrzepiona, że najbardziej obsesyjne troski szwagierki przetrwały w sercu jej służącej.

Pellicorne spogląda na Nellę z ledwie skrywaną niechęcią. Wiesz, kim jestem, myśli Nella i kiełkuje w niej nienawiść. Stałeś przed ratuszem i ryczałeś na całe gardło. Nella przyszła uzbrojona w swoje bogactwo, lecz perły i przetykana srebrem suknia zdają się lichą zbroją wobec pogardy Pellicorne’a.

— Przyszłam zgłosić zgon — mówi czystym głosem, patrząc mu prosto w oczy.

Pellicorne zagłębia podbródek w swojej obfitej kryzie.

— Zdawało mi się, że to dopiero w niedzielę — mówi, przysuwając do siebie opasły rejestr zgonów, dużą oprawną w skórę księgę, zawierającą rozliczenie całego ruchu między tym miastem a niebem lub piekłem. Macza pióro w atramencie.

Nella próbuje opanować nerwy, oddychając głęboko.

— Chcę zgłosić zgon Marin Brandt.

Pióro Pellicorne’a nieruchomieje. Duchowny przygląda się Nelli z surową miną, wyciągając szyję nad księgą.

— Zgon? — upewnia się.

— Wczoraj po południu.

Pellicorne kładzie pióro i odchyla się na krześle.

— Wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie — mówi w końcu. — Jak to się stało, że nasza siostra Marin Brandt opuściła ten padół łez?

Nella widzi oczyma wyobraźni zwłoki Marin, zakrwawione prześcieradła, nowo narodzoną Theę i wreszcie Marin i Ottona, splecionych w miłosnym uścisku, ich wspólny sekret, ukryty głęboko w żywym ciele Marin.

— Zmarła z gorączki, wielebny pastorze.

Na twarzy Pellicorne’a maluje się przestrach.

— Myślisz, że to dżuma?

— Nie, pastorze. Niedomagała od dłuższego czasu.

— Rzeczywiście, ostatnio nie widywałem jej w kościele. — Pellicorne składa ręce jak do modlitwy i opiera podbródek na opuszkach swoich szczupłych palców. — Byłem ciekaw, czy jej nieobecność ma coś wspólnego z bratem.

— Wstrząs z pewnością jej nie pomógł, panie. Już wcześniej bardzo słabo się czuła — mówi cicho Nella, choć wzbierająca w niej nienawiść tamuje jej oddech.

— Z pewnością, z pewnością. — Nella milczy; nie chce dać temu człowiekowi pożywki, której tak pożąda. — Czy panie z *gebuurte* przyszły wam pomóc? — docieka Pellicorne.

Nella przypomina sobie pogrzeb ojca w Assendelfcie, jak sąsiedzi przyszli pomóc jej rozpaczającej matce — pomagali rozebrać zwłoki i odziać je w nocną koszulę, dźwignąć jego tężejące ciało na żelazną płytę, upychać słomą, by zapobiec przeciekom. Następnie młode niezamężne dziewczyny ze wsi składały palmy, kwiaty oraz liście wawrzynu. Marin nie miała takiego *gebuurte*, miała tylko Cornelię i Nellę, spanikowane i zrozpaczone — i Lysbeth, kobietę, która nawet nie znała jej za życia. Przynajmniej Cornelia zapaliła lampki oliwne.

Nelli pęka serce, gdy myśli o poniżeniu, jakiego zaznaje Marin po śmierci. Powinno zebrać się sąsiedzkie grono, bo Marin była dobrym człowiekiem, silnym. W innym życiu mogłaby poprowadzić armię. Ale koniec końców nie miała przyjaciół od serca — tylko jednego, który w dodatku zniknął bez śladu.

— Tak, pastorze — potwierdza. — Sąsiedzi przyszli. Ale już wkrótce będziemy musieli ją przenieść. Musimy złożyć zwłoki w kościele.

— Nie wyszła za mąż — zauważa Pellicorne. — Zmarnowała się.

Niektóre z nas marnują się w małżeństwie, myśli Nella.

Na dworze jest zupełnie ciemno. Słychać, jak organista ćwiczy pieśni w głównej części kościoła, na wieczorne nabożeństwo zapalane są pochodnie. Pastor wstaje i wygładza czarną tunikę niczym fartuch.

— Jeśli przyszłaś z prośbą, żeby pochować ją tutaj — mówi — to nie wyrażam zgody.

Następuje chwila ciszy. Nella wciska stopy w podłogę i prostuje plecy.

— Dlaczego, pastorze?

Jej głos brzmi mocno i rozsądnie, ponieważ tak go wymodulowała. Nie pozwala mu załamać się w pisk ani okazać uczuć. Pellicorne zamyka księgę zgonów i patrzy na nią zaskoczony, jakby nie nawykł do pytań o uzasadnienie.

— Nie możemy jej tu pochować, pani. Jest splamiona przez powiązania rodzinne. Tak jak i ty. — Przerywa i świdruje ją kamiennymi oczami. — Zapewniam o mym współczuciu, pani.

— Ale nie o miłosierdziu.

— Podziemia pękają w szwach. Moich kazań słucha więcej szkieletów niż żywych. A ten smród… dobry Boże — mruczy pod nosem. — Żadne perfumy Arabii nie ukryją fetoru tylu gnijących Holendrów. — Do Nelli rzuca tylko zdawkowo: — Przykro mi z powodu jej śmierci, ale nie mogę przyjąć ciała.

— Panie…

— Zgłoś się do kościoła Świętego Antoniego, tam na pewno nie odmówią.

— Nie, ojcze. Nie poza murami. To tutaj się modliła.

— Większość nie może w tych czasach liczyć na pochówek w mieście, pani.

— To nie może dotyczyć Marin.

— Nie ma już miejsca. Czy wyrażam się jasno?

Nella wyjmuje z kieszeni dwieście guldenów od Arnouda i kładzie je na księdze Pellicorne’a.

— Jeśli zorganizujesz płytę nagrobną, trumnę, ludzi do jej niesienia i miejsce pod posadzką, po pogrzebie dostaniesz drugie tyle — oznajmia.

Pellicorne spogląda na banknoty. Pieniądze od żony sodomity. Od kobiety. To głęboko wrośnięty korzeń wszelkiego zła, ale przy okazji ładna suma.

— Nie mogę tego przyjąć — warczy.

— Chciwość to zaraza, którą musimy wyplenić — odpowiada Nella z grobową miną.

— Otóż to — potwierdza Pellicorne, wyraźnie zadowolony, że jego kazanie wywołało oddźwięk.

— Ty, Boży człowiek, jesteś w chyba najdogodniejszej sytuacji, by ustrzec nas od tej zarazy — ciągnie Nella.

— Gdy już zostanie wypleniona — dopowiada Pellicorne, zerkając na banknoty.

— Oczywiście.

— Jest w naszym mieście wielu nieszczęśników potrzebujących jałmużny — wtóruje jej pastor.

— I trzeba coś dla nich zrobić, inaczej zaraza zacznie się rozprzestrzeniać.

Siedzą w milczeniu.

— Jest mała kwatera we wschodnim rogu kościoła — mówi wreszcie Pellicorne. — Miejsce na skromną płytę, nic więcej.

Co za głupiec, myśli Nella. Jest taki sam jak każdy, ani o jotę nie bliższy Bogu niż inni. Ciekawe, ile uszczknie z tych czterystu guldenów, zanim opłaci niosących trumnę i jałmużny. Czy Marin spodobałoby się miejsce w rogu? Spędziła całe życie w kącie, może wolałaby spocząć w nawie głównej. Ale w nawie chodziliby po niej ludzie. Niektórzy obywatele zapewne pragną takiego finału, chcą, by nigdy ich nie zapomniano, tylko zachowano w pamięci i modlono się za nich — ale w przekonaniu Nelli Marin uznałaby to za niegodne. Lepiej jej będzie w rogu.

— Mówię prawdę, pani — zapewnia Pellicorne. — Brak wolnych miejsc. Ten róg to najlepsze, co mogę zaproponować.

— Dobrze — odpowiada Nella. — Ale trumna ma być z najprzedniejszego wiązu.

Pellicorne bierze pióro i ponownie otwiera księgę.

— Dopilnuję tego. Pogrzeb może odbyć się w przyszły czwartek, po zwykłym nabożeństwie.

— Niech tak będzie.

— Wieczór to dogodniejsza pora. Fetor, który bucha, kiedy się otworzy posadzkę, zniechęca ludzi do modlitwy.

— Rozumiem.

— Ilu będzie żałobników? — pyta duchowny.

— Niewielu — odpowiada Nella. — Moja szwagierka prowadziła dość odosobnione życie.

Rzuca te słowa niemal jak wyzwanie, by sprawdzić, czy pastor zaprzeczy, a może pozwoli sobie na jakąś porozumiewawczą uwagę na boku na temat sekretnego życia Marin. A księgarnie, które odwiedzała? — mógłby powiedzieć. Ludzie, z którymi przestawała? Murzyn, z którym paradowała po ulicy?

Lecz Pellicorne tylko sznuruje usta. Nella wie, co oznacza ta mina: nie przystoi pozostawać w odosobnieniu. Zmysł obywatelski, wzajemny nadzór

sąsiadów nad sobą, jeden pilnujący drugiego — na tym opiera się całe miasto. Nie na odgradzaniu się od otoczenia i wścibskich spojrzeń.

— Nabożeństwo będzie krótkie — zastrzega, wkładając banknoty do księgi.

— Nie gustujemy w przepychu — odpowiada Nella.

— Otóż to. Co mamy umieścić na nagrobku oprócz nazwiska i dat?

Nella przymyka oczy i wyobraża sobie Marin w długiej czarnej sukni — idealny czepek i białe mankiety skrywają ogromny wewnętrzny tumult. Publicznie odmawia sobie słodyczy, ale podjada orzechy w cukrze; chowa liściki miłosne od Ottona; umieszcza dopiski na podkradzionych bratu mapach z nieodwiedzonymi krajami. Marin, która podchodziła do miniatur z takim lekceważeniem, a jednocześnie spała z maleńką podobizną Ottona pod poduszką. Marin, która nie chciała być żoną, lecz obmyśliła wcześniej imię dla swojej córeczki.

Nella czuje się przytłoczona bezsensem śmierci szwagierki i pozostawionymi przez nią tak wieloma pytaniami bez odpowiedzi. Frans, Johannes, Otto — czy ci trzej mężczyźni znali zmarłą lepiej niż ona?

— Tak? — przynagla ją Pellicorne.

Nella odchrząkuje.

— *T’can vekeeren* — odpowiada.

— Tylko tyle?

— Tak — potwierdza Nella. — *T’can vekeeren*.

Wszystko się może zmienić.

Stopniowalność istnienia

W sobotę rano Nella bierze ze spiżarki placek, myśląc, że to z jagodami. Jest głodna jak wilk, bo od ogłoszenia wyroku prawie nic nie jadła.

Placek kryje jednak w środku rybne nadzienie, prozaiczną flądrę tam, gdzie miały być owoce. Dziewczyna jest tak podenerwowana, że niemal się jej zdaje, że nawet jedzenie z niej drwi. Zastanawia się ponuro, czy Cornelia jeszcze kiedykolwiek usmaży coś w cukrze. Widok karmelizowanego orzecha mógłby wywołać wspomnienie Marin i jej słodkich paradoksów.

Burczy jej w brzuchu, kiedy idzie do cukierni Hanny i Arnouda.

— Weźmiemy jeszcze cukru — mówi Arnoud na jej widok. — Świetnie się nadaje do miodownika, a ty pewnie rozpaczliwie chcesz się go pozbyć.

— *Noud!* — łaje go Hanna. — Wybacz, Nello, w Hadze, jak widać, nie nauczyli go dobrych manier.

Nella się uśmiecha. Interes to interes. Nie muszę cię lubić, Arnoudzie, myśli, choć czuje sympatię do Hanny, która unika podtekstów, tej dyplomatki w pokrytym mąką fartuchu. Obiecuje sobie, że gdy tylko cukier się sprzeda, wrzuci miniaturę Arnouda do miejskiej pasieki, żeby ją oblazły zgłodniałe pszczoły.

Hanna ruchem ręki zaprasza ją na gładko oheblowaną ławkę przy wyjściu z cukierni. Arnoud odchodzi ciężkim krokiem na zaplecze, łomocząc blachami do pieczenia.

— Skosztuj tego nowego napoju z ziaren kakaowca, którego właśnie próbuję, pani — mówi pogodnym tonem Hanna. — Dorzuciłam trochę waszego cukru i parę nasion wanilii.

Napój jest przepyszny. Rozgrzewa Nellę niczym szczęśliwe wspomnienie z dzieciństwa.

— Słyszałaś nowinę? — zagaduje Hanna.

— Jaką?

— Burmistrzowie uchylili zakaz wypieku ciastek w kształcie ludzkich postaci. Nasze pieski z piernika, owszem, kupowano, ale nie powiem, cieszę się, że możemy znowu wypiekać podobizny kochanków dla tych, co mają szczęście być młodzi i zakochani. To dobrze wróży twoim zapasom.

Nella zaplata palce na gorącym kubku z terakoty.

— To prawda. — Czuje wdzięczność, ale to za mało, by rozproszyć smutek, który ją przytłacza. — Nie mogę zostać dłużej — mówi, myśląc o swoim odmienionym domu.

— Ma się rozumieć — potwierdza Hanna, patrząc na nią uważnie.

Czy ona wie, zastanawia się Nella, czy Cornelia utrzymała język za zębami?

— Ale dziękuję — mówi — za twoją przyjaźń i współpracę.

— Zrobiłabym dla niej wszystko — deklaruje Hanna.

Nella wyobraża sobie Hannę i Cornelię w przytułku dla sierot — jaki zawarły pakt, jakie śluby krwi aż po grób? Hanna zniża głos:

— Odkąd wyszłam za mąż… — urywa, oglądając się przez ramię na Arnouda. — Praca pochłania każdą godzinę mojego dnia.

— Masz Arnouda.

— Prawda. — Hanna się uśmiecha. — Nie jest okrutny. Ani samolubny. Związałam się z ciastkarzem na dobre i na złe. — Pochyla się do przodu i szepcze: — Dostaniesz pieniądze, których potrzebujesz. Z małych ziarenek wyrastają wielkie kwiaty.

Nella spogląda w stronę kuchni.

— Ale co na to powie Arnoud? Nie mogę sprzedać cukru po niskiej cenie.

Hanna wzrusza ramionami.

— Mam swoje sposoby. To też moje pieniądze. Zanim wyszłam za mąż, zarobiłam i odłożyłam, ile się dało. Mój brat grał dla mnie na giełdzie i kiedy osiągnęłam zysk, kazałam mu przestać. Posłuchał, w odróżnieniu od innych. — Wzdycha. — Arnoud podziwia moje umiejętności, ale z czasem chyba zapomniał, skąd wzięła się połowa jego kapitału. Lubi swoją nową rolę handlarza cukrem. Podniosła jego status w Cechu Cukierników. Może nawet mianują go nadzorcą? Myślą, że skoro produkt jest dobry, to sprzedawca tak samo. — Hanna uśmiecha się czule. — Mamy nowe przepisy, więc rozszerzymy działalność. Arnoud chce sprzedać następną partię w Delfcie i Lejdzie, a także w Hadze. Urywa. — Wszystkie te decyzje podjął za moją namową.

— Pojedziesz z nim?

— Ktoś musi pilnować interesu tutaj. Weźmiemy następne trzysta głów. I zapłacimy sześć tysięcy. To chyba przyzwoita suma, prawda? Te kryształki bardziej mi się przydadzą niż diamenty, pani Brandt.

Co ona w ten sposób kupuje? — zastanawia się Nella, rozpromieniona zaproponowaną przez Hannę kwotą. Spokój, chwilę radości z własnej ciężkiej pracy?

— Wierzę — mówi Hanna — że na dłuższą metę wszyscy na tym skorzystamy.

Nella żegna się z Hanną i Arnoudem i szybkim krokiem zdąża w stronę Stadhuis. Strażnik wpuszcza ją przez bramę, Nella przemierza ten sam korytarz co poprzednio. Otwierają się drzwi do celi Johannesa. Tym razem, żeby móc zostać dłużej niż zwyczajowy kwadrans, musi zapłacić trzy guldeny. Rychły koniec Johannesa podnosi jego cenę, ale Nella zapłaciłaby dziesięć razy tyle, gdyby musiała. Zauważa, że strażnik roztacza wokół siebie mocny zapach wody różanej i dyni; waży monety w dłoni, kiwa głową i zamyka drzwi celi.

Ktoś, może Cornelia, zgolił Johannesowi zarost, przez co jej mąż wygląda jeszcze bardziej trupio, jakby czaszka wychodziła mu na wierzch. Powinnam była przynieść mu świeżą koszulę, myśli, przypatrując się mężczyźnie w przyciemnionym świetle. Ta, którą ma na sobie, jest obszarpana i cienka. Nella przełyka ślinę, broniąc się przed rozpaczą. Johannes siedzi na posłaniu ze słomy z głową opartą o wilgotną ścianę, a długie nogi dziwnie sterczą mu z bioder.

Nella uświadamia sobie, jak bardzo Johannes przypomina Marin — wyniosły, nawet gdy odpoczywa, wciąż niemal przystojny. Ściska ją w gardle. W rogu widać ekskrementy przykryte byle jak słomą. Nella odwraca wzrok.

Gdybym mu wszystko powiedziała, rozmyśla Nella, kogo uznałby za bardziej winnego zdrady? Przypomina sobie, jak Jack krzyczał do Ottona: „Wie, co narobiłeś”. Johannes pewnego razu, w trakcie scysji w bawialni, zakwestionował pobożność Marin, a ona powiedziała później, że zabrała bratu coś, do czego nie miała prawa. Czy Johannes wiedział i świadomie odwracał wzrok? Wydaje się to niewiarygodne. On i Marin rywalizowali o Ottona, roszcząc sobie do niego prawa jak do terytorium, wykłócali się o to, kto go bardziej ceni albo potrzebuje.

Dwa paszteciki leżą koło Johannesa nietknięte.

— Powinieneś je zjeść, póki są świeże — nalega Nella.

— Usiądź przy mnie — odpowiada cicho.

Jakże nędznie wygląda, jego oczy straciły blask. Nella niemal czuje, jak jego duch rozpuszcza się w dusznym powietrzu. Chciałaby go chwycić i przytrzymać w garści, nie pozwolić mu się ulotnić.

— Sprzedaję cukier — mówi, siadając. — Pomaga mi cukiernik.

— Obawiam się, że do jutra nie pozbędziesz się całości — odpowiada Johannes z bladym uśmiechem.

Nella tłumi szloch. Cornelia widocznie dotrzymała obietnicy i nie wspomniała o Marin, ale jak mogą nie powiedzieć mu o tym, co się stało — jak to możliwe, że on o niczym nie wie? Jego siostra, jego najukochańsza przeciwniczka, nie żyje — a one trzymają go w nieświadomości.

— Meermans w tej sytuacji i tak nie przyjmie łapówki — mówi Johannes. — Wygląda na to, że są jednak rzeczy, których nie można kupić. Marin miała rację, nie wolno targować się o abstrakcje. A już na pewno nie o zdradę.

Nella myśli o Lysbeth Timmers.

— Ale to Amsterdam…

— Który się waha między Bogiem a bogactwem. Frans twierdzi, że chce ratować moją duszę, ale w istocie jest wściekły, że nie sprzedałem cukru. Walczy o swój towar, nazywając mnie sodomitą.

— Johannesie, czy to jedyny powód? Zemsta?

Spogląda na nią w mroku, a ona chciałaby usłyszeć jego wersję historii o Marin i jej odmowie wyjścia za mąż. Lecz Johannes pozostaje lojalny wobec siostry do końca.

— Ten cukier bardzo wiele dla niego znaczył — mówi. — A ja kpiłem z tego przez swoją obojętność.

— Dlaczego to robiłeś? Z powodu Jacka?

— Nie. Dlatego że czułem w powietrzu zapach chciwości Meermansów i napawał mnie on wstrętem, podobnie jak sam cukier.

— Ale przecież jesteś kupcem, nie filozofem.

— Zachłanność nie jest nieodzownym warunkiem dobrych interesów, Nello. Pragnę dla siebie bardzo mało. I owszem, nie jestem filozofem. Jestem tylko kimś, kto wskutek zbiegu okoliczności pływał do Surinamu.

— Mówiłeś, że cukier jest pyszny.

Johannes rozgląda się ponuro po celi.

— I jak widać, zostałem za to szczodrze wynagrodzony. W interesach chodzi o to, żeby nie przejmować się zbytnio i zawsze liczyć się

z możliwością porażki. Ja się przejmowałem i za mało, i za dużo jednocześnie.

Perspektywa ostatecznej porażki Johannesa jest bliska.

— Źle oceniłem sytuację. Stare rany — podsumowuje. — Mniejsza o to. No, dosyć tego, nic się nie da zrobić. Najpierw Cornelia mi się tu zalewała łzami, a teraz ty. Mogłaś mi chociaż przynieść świeżą koszulę. Co z ciebie za żona — strofuje ją żartobliwie, ściskając jej dłoń. — Jakby co, nie pozwól Marin tutaj przychodzić.

Poczucie straty obmywa ją wielką falą.

— Tu przychodzić? — powtarza.

— Nie chciałbym, żeby oglądała mnie w tym stanie.

— Johannesie — mówi Nella, rozpaczliwie pragnąc przerwać ten wątek rozmowy — dlaczego Jack cię zdradził?

Johannes przeczesuje dłonią swoje siwiejące włosy.

— Nello, nie mogę o tym myśleć. — Dziewczyna wyczuwa w gęstniejącej ciszy, że mąż walczy o utrzymanie w ryzach własnego strachu. — Szkoda, że nie słyszałaś zeznań Agnes — ciągnie. — Zawsze miała słaby charakter, ale wtedy naprawdę puściły jej nerwy.

Johannes mówi szybko, odsuwając od siebie mroczniejsze myśli.

— Agnes zawsze kochała Fransa, ale miłość bywa trucizną. Czy tym razem z ochotą zrobiła to, co jej kazał, nie mam pojęcia. Agnes oczywiście wierzy w swojego Boga i uświęcony porządek rzeczy. Ale w czwartek zachowała się dziwnie. Wydawała się kompletnie rozstrojona, jakby doskonale wiedziała, że robi coś niewłaściwego, a mimo to brnęła dalej. Podejrzewam, że nigdy nie dowiedziała się więcej o sobie niż w tamtym momencie, ani też nigdy bardziej siebie samej nie zaskoczyła.

Johannes śmieje się cicho, a Nella zamyka ten dźwięk w swoim sercu, przyrzekając sobie, że zapamięta go do końca życia.

— Marin miała rację co do Agnes i Fransa — ciągnie Johannes. — To ludzie z gatunku tych, którzy wszędzie widzą tylko czarne plamy na cukrze.

Bogiem a prawdą mąż Nelli nie zawsze był najroztropniejszym sędzią ludzkich charakterów, lecz zawsze doceniał wartość swojej siostry. Gdy wyraża się o niej z uznaniem, jest prawie tak, jakby Marin tu z nimi była i rozświetlała mroki celi swoim blaskiem.

Nella to nie Jack — nie wydrze z ram Johannesowego obrazu jego siostry. Nie powie mu, co utracił, ani też w jak nikłym stopniu Marin ostatecznie dała się im poznać.

— Nienawidzę ich, Johannesie — wyznaje Nella. — Z całej duszy.

— Nello, nie. Oszczędzaj siebie. Cornelia mówiła mi, jak doskonale sobie radzisz z Arnoudem Maakvredem. Nie dziwi mnie to, ale słuchałem jej z wielką przyjemnością. Pomyśleć, że cukier zostanie tutaj, w Republice!

— Marin była w tym wszystkim nieocenioną pomocą — mówi Nella, czując spoczywający na jej piersi klucz do składu. Oboje milkną, splatając ręce, jak gdyby czuły dotyk mógł opóźnić nadejście świtu.

Kamień młyński

Nella widzi setki statków stojących na kotwicy wzdłuż długich, zwężających się pirsów należących do VOC. Flujty i galioty, hukiery, łodzie o płaskich rufach — tyle różnych kształtów i przeznaczeń, wszystko na chwałę Republiki. Większość masztów jest naga, takielunek i żagle zdjęto, by ochronić je przed żywiołami do czasu, kiedy osmołowane na nowo, zostaną znowu rozpięte na drewnianych rejach.

Statki pod żaglami wyglądają, jakby kwitły, gotowe łapać pomyślne handlowe wiatry i zabierać swoich marynarzy w dalekie kraje. Kadłuby trzeszczą, napuchnięte od niepowstrzymanej słonej wilgoci, która jest zmorą każdego żeglarza. Powietrze szczypie w język — na nadbrzeżu unosi się smród wody z zęzy i porzuconych przez mewy, rozdziobanych resztek ryb. W ciemniejącej wodzie unoszą się ścieki ze statków.

W zwykłych okolicznościach okręty stanowiłyby imponujący widok — te ogromne kadłuby kołyszące się na falach, te wehikuły imperium, psy wojny, które załatwiają za innych brudną robotę. Lecz w dogasającym świetle niedzielnego popołudnia oczy wszystkich skierowane są na człowieka z kamieniem młyńskim u szyi.

Ceremonie, czy to ślubne, czy pogrzebowe, są w Amsterdamie źle widziane, rytuały zdają się zbyt wulgarne, zbyt papistowskie, i wszyscy starają się ich unikać. Ale topienie bogacza to co innego — ta moralna soczystość, ta nieomal biblijna symbolika! Nic dziwnego, że zebrał się tłum gapiów. Stoją wzdłuż nabrzeża, a jest wśród nich wielu pracowników VOC, są kapitanowie, urzędnicy. Jest pastor Pellicorne, schout Slabbaert, a nawet Agnes Meermans, w sfatygowanym futrzanym kołnierzu. Jej mąż chyba jednak nie przyszedł. Widać też regentów ze Stadhuis z żonami, kilku innych członków gildii oraz duchownych; są także trzej pełni powagi mężczyźni, którzy eskortowali Johannesa.

Nella stoi na tyłach tłumu zgromadzonego w porcie. Pellicorne ślizga się po jej postaci twardym spojrzeniem, udając, że jej nie poznaje. Wczoraj do ich domu przyszło kilkoro ludzi, żeby z polecenia pastora złożyć zwłoki do trumny i przenieść je do kościoła — teraz Marin czeka w krypcie na ostatnie nabożeństwo, w którym weźmie udział.

Pellicorne ponownie skupia uwagę na tym, co zaraz nastąpi. Jakież poczucie chwały musi go teraz napełniać, myśli Nella. Prawo i Kościół dopominają się o krew, a pastor sprawia wrażenie obrzydliwie zadowolonego.

Nella obiecała Johannesowi, że stawi się w porcie tego popołudnia. Nigdy nie miała straszliwszej obietnicy do spełnienia. Wczoraj wieczorem, nie niepokojeni przez strażnika, siedzieli w ciemnościach więziennej celi przez godzinę, trzymając się w milczeniu za ręce. To milczenie, ta godzina miały w sobie coś, czego Nella nie doświadczy już nigdy. W przyszłości będzie to wspominać jako swoją pierwszą noc poślubną, milczące zjednoczenie dusz. Słowa, tak często zdradliwe i mylące, nie miały nad nimi władzy, porozumiewali się głębszym, bogatszym językiem.

Gdy przed wyjściem Nella stanęła pod drzwiami celi, Johannes się uśmiechnął; wyglądał dziwnie młodo, a ona poczuła się strasznie staro, jak gdyby cały ciężar żalu został złożony na jej barki. Musiała go dźwigać, podczas gdy Johannes wzlatywał w niebo, pusty, wydrążony, wolny.

W domu Cornelia została napojona mocną miksturą na uspokojenie, sporządzoną z porażającym znawstwem przez Lysbeth Timmers, która o świcie przyszła nakarmić Theę i postanowiła zostać.

— Dzisiaj mogę wam być jeszcze potrzebna — powiedziała do Nelli. Ich spojrzenia spotkały się, a dziewczyna skinęła głową bez słowa. Teraz mamka jest w domu i czeka w kuchni na jej powrót.

Nella nie jest pewna gruntu pod swoimi stopami i stoi w lekkim rozkroku, żeby nie stracić równowagi. Porywisty styczniowy wiatr, ostry jak pazury kota, przewiewa jej płaszcz. Nella ma na sobie prostą brązową spódnicę Cornelii, na głowę założyła kaptur. Przyszła w przebraniu, żeby przetrwać jakoś tę gehennę, jak gdyby kostium mógł ochronić ją przed prawdą.

Johannes też ma na sobie przebranie: przyodziali go w źle dopasowany strój ze srebrnego atłasu, a na kapeluszu zatknęli zadziorne pióro, którego Johannes sam nigdy by nie nosił, jako dobitne podkreślenie tego, że to, jak się ubierasz, świadczy o tym, kim jesteś. Johannes ukazuje się Nelli między ramionami zebranych — wśród szarości i czerni jego jasny rękaw lśni niczym zbroja. Nella chwieje się niespodziewanie i opiera niechcący o kobietę stojącą obok, a ta wzdryga się i odwraca.

— Nic się nie stało, skarbie — mówi, widząc zgrozę na twarzy Nelli. — Nie musisz patrzeć, jak nie dasz rady.

Kobieta jest taka życzliwa, że Nelli niemal pęka serce. Jak dobrzy ludzie mogą przychodzić, by patrzeć na coś takiego?

Slabbaert kładzie dłoń na ramieniu Johannesa i od tego momentu Nella nie patrzy. Tylko słucha z zamkniętymi oczami. Wiatr wieje jej w twarz, żagle łopoczą jak mokre pranie. Słyszy odgłos kamienia młyńskiego toczonego przez dwóch katów. Johannes, przywiązany do niego, teraz najprawdopodobniej stoi już na krawędzi nabrzeża. Półtonowy kamień toczy się z przeciągłym chrzęstem, który mrozi jej krew w żyłach.

Tłum wstrzymuje oddech, a Nella czuje, że po nogach spływa jej gorący mocz; wełna pończoch wchłania go i drażni jej skórę. Johannes przemawia. Nella wyobraża sobie, jak odwraca się, wypatrując jej, Marin, Cornelii. Niech mnie zobaczy, powtarza w duchu. Niech wie, że ślę mu modlitwę.

Lecz wiatr porywa ostatnie słowa Johannesa i Nella ich nie słyszy.

— Johannesie — szepcze. Wytęża słuch, ale wokół słychać prozaiczne pomrukiwania, modlitwy i niepotrzebne komentarze. Johannes nie ma siły mówić głośniej i zanim szmery cichną, kamień młyński zostaje strącony z mola. — Johannesie. — Kamień roztrzaskuje zmarszczoną powierzchnię wody i spada w odmęty.

Nella otwiera oczy. Z głębin podnosi się gruba fala w kształcie białego okręgu i momentalnie znika.

Nikt się nie rusza.

— To był jeden z naszych najlepszych kupców — odzywa się ktoś wreszcie. — Ale z nas głupcy.

Zgromadzeni wypuszczają powietrze z płuc, włosy smagają im czoła.

— Nie będzie pogrzebu — mówi ktoś inny. — Nie wyłowią ciała.

Nella się odwraca. Czuje się żywa i martwa jednocześnie. Jest pod wodą z Johannesem. Oparta o mur z pochyloną głową, boi się, że wnętrzności wyjdą jej na wierzch. Jak długo potrwa, zanim woda wypełni mu płuca? Bądź szybki, myśli. Bądź wolny.

Coś wyczuwa. Ciarki przebiegają jej po karku, miękną kolana. Podnosi głowę, szukając wzrokiem w tłumie błysku jasnych włosów. Ona wciąż tu jest, myśli. Czuję to. Wypatruje wśród twarzy tego chłodnego, taksującego spojrzenia. Czas na pożegnanie z miniaturzystką.

Ale to nie miniaturzystka ukazuje się jej oczom.

Jest szczuplejszy, ma na sobie ten sam strój, w którym ich opuścił, i tamten strojny brokatowy płaszcz. W przebłysku szaleństwa Nella myśli,

że jej mąż wynurzył się z morskiej toni, że anioł przywrócił go do życia. Ale nie — nie da się go z nikim pomylić. Nella podnosi rękę w geście pozdrowienia, a Otto, z otwartymi z żalu ustami, odpowiada tym samym. Pięć drżących palców jest jak gwiazda migocząca w ciemnościach.

V

TEGO SAMEGO WIECZORU
NIEDZIELA, 12 STYCZNIA 1687 ROKU

„Pójdźże, opójmy się miłością aż do poranku, ucieszmy się miłością.
Boć męża mego w domu nie masz; pojechał w drogę daleką.
Worek pieniędzy wziął z sobą; dnia pewnego wróci się do domu swego”.

KSIĘGA PRZYPOWIEŚCI SALOMONOWYCH 7, 18–20

Nowa Holandia

Nella domyśla się, że Otto jest w szoku po tym, co zobaczył, bo musi ciągnąć go za rękaw; stopy obojga ślizgają się na bruku.

— Chodź do domu — nalega. — No chodź. — Nella cierpi mękę, z bólu traci oddech. Światło dnia już zgasło, nadszedł zmierzch. Dziewczyna próbuje wyrzucić z pamięci obraz grzywiastego kręgu na wodzie i odgłos, z jakim morze wciągało Johannesa w swoje głębiny. Przyśpiesza kroku z obawy, że w przystępie rozpaczy zwinie się w kłębek na ulicy nad kanałem i już się nie ruszy.

Otto spogląda na nią oszołomiony, owijając się ciaśniej płaszczem Johannesa. Przystaje i wskazuje z powrotem w kierunku portu.

— Pani, co tu się stało?

— Nie mogę… nie… nie mam słów, Otto. On odszedł.

Toot kręci głową, nadal osłupiały.

— Nie wiedziałem, że go aresztowali. Myślałem, że ochronię was wszystkich, jak wyjadę do Londynu, pani. W życiu bym…

— C h o d ź.

Kiedy dochodzą na Herengracht, Otto nie może opanować wzruszenia. Ściska kołatkę z delfinem jak rękojmię, która oddali widmo upadku, a na jego twarzy widoczna jest walka udręki z opanowaniem. To, co za chwilę odkryje za drzwiami, wypełnia ciało Nelli lękiem podobnym do trującego kwiatu, bo wydaje się niemożliwe, aby ktokolwiek wytrzymał taki ból. Trudno sobie wyobrazić straszniejszy powrót do domu. Nella podąża chwiejnie za Ottonem, ale spokojne wnętrza zaprzeczają utracie Marin.

— Tędy. — Nella prowadzi Ottona do bawialni, gdzie Lysbeth Timmers rozpaliła w kominku. Nie było tu tak ciepło od wielu tygodni, tańczące płomienie wyglądają absurdalnie beztrosko. Nella czuje przypływ otuchy. W głębi paleniska cynowe ornamenty zwijają się i gną jak w ukłonach, szylkretowe panele pękają z trzaskiem.

Lysbeth stoi na środku pokoju z Theą przyciśniętą do piersi i bacznie przygląda się Ottonowi, który gapi się na niemowlę.

— Kto to? — pyta mamka.

Nella spogląda na Ottona wyczekująco, zastanawiając się, czy będzie w stanie wykrztusić słowo, przedstawić się i czy myśli o tym samym co Lysbeth Timmers. Otto podchodzi do dziecka jak we śnie i wyciąga wyczekująco dłonie. Nella uświadamia sobie, że widziała już u niego ten gest — ręce wyciągnięte w jej stronę w pierwszym dniu jej pobytu tutaj, gdy wręczał jej parę chodaków dla ochrony przed chłodem.

Lysbeth się cofa.

— Lysbeth, to jest Otto. Proszę, podaj mu dziecko — mówi Nella. Moc jej autorytetu jest tak oczywista, że Lysbeth momentalnie spełnia polecenie.

— Tylko delikatnie z nią — mruczy mamka.

Otto przytula Theę do piersi, jakby dziewczynka była życiem w najczystszej postaci, a jej maleńkie, bijące serduszko mogło podtrzymać przy życiu jego serce. Nawet Lysbeth odebrało mowę na widok tak osobliwej, a zarazem tak naturalnej sceny radosnego powitania pośród tych wszystkich strat.

— Lysbeth — szepcze Nella. — Idź obudzić Cornelię.

Gdy tylko zostają sami, Nella wie, że nie może dłużej zwlekać.

— Ma na imię Thea — zaczyna. — Otto, muszę ci coś powiedzieć.

Lecz on chyba nie słyszy, zaabsorbowany twarzyczką Thei, zapatrzony w swoje pomniejszone odbicie.

— Otto…

— Pani Marin mówiła, że będzie chłopiec — dziwi się Otto.

W pierwszej chwili Nella nie wie, jak odpowiedzieć. Ma wrażenie, że nie wydobędzie głosu.

— A więc wiedziałeś? — mówi w końcu.

Otto kiwa głową, a kiedy staje w świetle płomieni z paleniska, Nella widzi łzy w jego oczach; on rozpaczliwie szuka odpowiedniego słowa — takiego, które pomoże mu dźwignąć choć część ciężaru, którym wydaje się obarczony. Znienacka wskazuje gestem na niewyfroterowaną podłogę i pokryte kurzem palisandrowe krzesła.

— Nie ma jej tutaj — mówi, jak gdyby te martwe przedmioty były wystarczającym dowodem utraty.

— Nie — potwierdza Nella. — Nie ma jej. — Przełyka ślinę, żeby zdusić szloch, czując, że płacz byłby wtargnięciem w jego własny żal. — Przykro mi, Otto.

— Pani… — wyrzuca z siebie Otto chrapliwie, przełamując to słowo na pół. Nella podnosi głowę, a on wytrzymuje jej zrozpaczone spojrzenie. — Uratowałaś dziecko. Wiem, że ona oddałaby życie, żeby ta mała istotka mogła przetrwać.

— Ale dlaczego musiała je oddać? — pyta Nella. Łzy mimo woli napływają jej do oczu, nie może ich powstrzymać, a gdy próbuje, płyną szybciej i jeszcze bardziej obficie, zasłaniając jej świat. — Pogorszyło się jej tak szybko. Nie mogłam… nie udało nam się przywrócić jej do życia. Próbowałyśmy, Toot, ale nie wiedziałyśmy…

— Rozumiem — przerywa jej Otto, lecz ból na jego twarzy wyraźnie wskazuje, że nie jest do tego zdolny. Nella czuje, że uginają się pod nią kolana, i sięga po krzesło. On stoi dalej, wpatrzony w czubek główki Thei. — Nigdy nie widziałem u niej większej stanowczości niż wtedy, gdy mi powiedziała, że spodziewa się dziecka. Byłem pewny, że to koniec świata. Zapytałem ją: „Jaką to dziecko będzie miało przyszłość?”.

— A co ona na to?

Otto przytula Theę jeszcze mocniej.

— Że samo będzie kowalem własnego losu.

— Och, Marin…

— Wiedziałem, że będzie bezpieczniej, jeśli odejdę. Ale musiałem wrócić. Musiałem je zobaczyć.

Fakt istnienia Thei — powołania jej do życia — nie daje się zignorować; życie idzie ręka w rękę ze śmiercią. Może to sekret, którego Otto będzie strzegł do końca swoich dni, myśli Nella. Bóg jeden wie, czy Cornelia zgodzi się mu pomóc, udawać, że to się nigdy nie wydarzyło, jakby Thea została niepokalanie poczęta albo zerwana z drzewa niczym owoc. Być może kiedyś Otto zdradzi, jak zaczęła się ta miłość — a także czy dodawała im sił, czy ich wyczerpywała, czy ich serca były lekkie i pełne swobody, czy też z biegiem czasu czuli coraz większy ciężar.

Thea dostrzeże na swojej twarzy odbicie twarzy ojca i będzie się zastanawiać, skąd się wzięła jej druga połowa, gdzie jej matka? Dam jej miniaturę, myśli Nella. Pokażę jej te szare oczy, smukłe nadgarstki, nawet gorset podszyty futerkiem. Dość już tych sekretów, powiedziała Marin, dlatego pokażę jej tę wyraźną wypukłość, dar od miniaturzystki. Byłaś tam, maleńka. Petronella Windelbreke spostrzegła, że prosisz się na świat, i uznała, że to dobrze. Przysłała ci nawet kołyskę. Opowiedziała twoją historię, zanim się urodziłaś, ale dokończyć musisz ją już sama.

Cornelia jest ciągle zamroczona walerianą, ale Lysbeth udało się ściągnąć ją z łóżka. Stoi w drzwiach bawialni, jej twarz jest pytaniem, jej zdumienie napawa się odpowiedzią, którą ma przed sobą.

— To ty — szepcze.

— Ja — odpowiada Otto nerwowo. — Byłem w Londynie, Cornelio. Anglicy nazywali mnie czarnuchem albo jagniątkiem. Mieszkałem pod Szmaragdową Papugą. Miałem do ciebie napisać i wszystko ci opowiedzieć. Tylko…

Słowo pada za słowem. Otto próbuje zbudować ze słów tamę, nie dopuścić do tego, by żal runął falą na głowę jego dawnej przyjaciółki.

Cornelia podchodzi do niego chwiejnym krokiem — dotyka jego łokci, ramion, rąk, wciąż trzymających Theę. Potem dotyka twarzy Ottona, chcąc się upewnić o jego realności. Na koniec czułym gestem trzepie go w głowę.

— Nic już nie mów — mówi, obejmując go ramionami, sycąc się jego obecnością. — Wystarczy.

Nella, wciąż jeszcze w płaszczu, zostawia ich w bawialni i przechodzi po marmurowych płytach do drzwi frontowych, które w pośpiechu zostawili uchylone. Otwiera je na oścież i staje na progu, a powietrze chłodzi jej policzki. Nad dachami Amsterdamu rozbrzmiewa crescendo wieczornych niedzielnych dzwonów, dźwięczące kościelne tony szybują pod niebo. Dhana drepcze przywitać się ze swoją panią i podstawia łebek do pogłaskania.

— Nakarmili cię, moja piękna? — pyta Nella, głaszcząc sukę po ślicznych jedwabistych uszach.

Gdy dzwony obwieszczają nadejście nocy, Nella dostrzega na ciemniejącym niebie cienki, biały sierp księżyca, podobny do kobiecego paznokcia. Cornelia przechodzi przez hol z zawiązanym fartuchem, zwrócona twarzą w stronę kuchni.

— Zimno, pani! — woła. — Wejdź do środka.

Lecz Nella nie przestaje wpatrywać się w zamarznięty kanał, wzdłuż którego krawędzi biegnie teraz linia topniejącego lodu. Cieplejsze wody już lekko postrzępiły rąbek zimowej szaty Herengracht, która przypomina w jej oczach ażurową koronkę, wyściółkę olbrzymiej kołyski.

Cornelia upuszcza w kuchni rondel, a z bawialni dobiega uspokajające „ciii!”, gdy Thea uderza w płacz. Głosy Lysbeth i Ottona niosą się po korytarzu. Nella sięga do kieszeni płaszcza po miniaturowy domek, który

zabrała z Kalverstraat, ale go nie znajduje. Niemożliwe, myśli, szperając głębiej. Miniaturowe niemowlę jest, Arnoud też. Czy wypadł mi z kieszeni, kiedy biegłam ulicami? A może zostawiłam go w warsztacie? Widziałaś go, mówi do siebie. Był prawdziwy.

Tak czy inaczej Nella już go nie ma — lecz pięć figurek, które umieściła w nim miniaturzystka, nadal jest w tym domu. Młoda wdowa, mamka, Otto i Thea, Cornelia. Czy poznamy z biegiem lat wszystkie swoje tajemnice? To tylko wątki na osnowie — ale przecież tak było zawsze, myśli Nella. Wszyscy, pełni nadziei, tkamy swój własny gobelin, nikt nas w tym nie wyręczy.

Zmierzch przeszedł niepostrzeżenie w noc. Z domu dolatuje zapach gałki muszkatołowej, a szczupłe ciałko Dhany ogrzewa Nelli bok. Niebo jest jak bezkresne morze falujące między dachami, zbyt wielkie, by można było dostrzec gołym okiem, gdzie się zaczęło albo gdzie się kończy. Poruszona jego głębią, pełną nieskończonych możliwości, Nella oddycha nocnym powietrzem.

— Pani? — dobiega ją wołanie Cornelii.

Jeszcze tylko ostatnie, szybkie spojrzenie na niebo i Nella wchodzi do środka.

Słowniczek

Bewindhebber — partner Kompanii Wschodnioindyjskiej. Często inwestował w działania Kompanii dużą część swojego kapitału.

Garłacz — hol. *donderbus*, dosł. „grzmiąca rura”, wczesna forma strzelby.

Giełda — pierwszą giełdę wybudowano w latach 1609–1611 na części kanału Rokin. Transakcji dokonywano na prostokątnym dziedzińcu okolonym arkadami.

Gebuurte — społeczność sąsiedzka, dbająca wspólnie o porządek, bezpieczeństwo i spokój w miejscach publicznych, pomagająca sąsiadom w potrzebie, między innymi mediując w konfliktach domowych, a także w chorobie lub w czasie pochówku.

Gulden — srebrna moneta wybita po raz pierwszy w 1680 roku. Dzieliła się na 20 stuiverów albo 160 duitów. Większe nominały miały formę banknotów.

Herenbrood — dosł. „chleb panów”, spożywany przez patrycjuszy. Wypiekany z mąki pszennej, oczyszczonej i zmielonej, w odróżnieniu od tańszego chleba żytniego.

Hooft Pieter Corneliszoon, *Prawdziwy głupiec* (oryg. *Warenar*) — tragikomedia z 1617 roku, traktująca o umiarze, zachłanności i opętaniu. Skąpiec Warenar ma córkę imieniem Claartje, która zachodzi w ciążę z nieakceptowanym przez niego adoratorem. W XVII wieku Amsterdam stał się centralnym ośrodkiem międzynarodowego handlu książkami, które na ogół nie były cenzurowane przez władze. Dlatego też wiele utworów zakazanych w innych krajach publikowano właśnie tam.

Hutspot — potrawka z mięsa oraz warzyw, gotowana w jednym garnku.

Kandeel — wino z przyprawami, suszonymi owocami, miodem, cukrem i żółtkami jaj, czasem zagęszczane zmielonymi migdałami i skrobią zbożową.

Olie-koecken — dawna forma pączka. Ciasto z mąki pszennej z rodzynkami, migdałami, imbirem, goździkami i jabłkiem, smażone na

oleju i obtoczone w cukrze.

Schepenen — jeśli schout był szeryfem albo wójtem, a zarazem głównym urzędnikiem sądowym, to *schepenen* byli jego ławnikami. W trakcie pełnienia obowiązków sądowniczych często określano ich mianem *schepenbank* — sądu ławniczego. Jedną z funkcji *schepenbank* było sądzenie przestępców; występowali wtedy w roli ławy przysięgłych.

Schout — holenderskie określenie szeryfa, wójta. Schout nadzorował procesy sądowe w Stadhuis.

Spinhuis — więzienie dla kobiet w Amsterdamie, założone w 1597 roku. Więźniarki zatrudniano do pracy przy przędzeniu i szyciu.

Stadhuis — ratusz miejski, obecnie Pałac Królewski na placu Dam. Przesłuchania świadków oraz rozpatrywanie spraw sądowych odbywały się w *schoutkamer*, natomiast więzienie oraz izba tortur mieściły się w podziemiach. O karze śmierci orzekał schout w podziemiach, w obecności oskarżonego i pastora. Każdy, kto chciał, mógł przysłuchiwać się ogłoszeniu wyroku z wydzielonych miejsc na poziomie parteru, spoglądając w dół do komnaty, w której się to odbywało. W piwnicy ratusza miał też siedzibę Amsterdamsche Wisselbank, w którego skarbcu deponowano wszelkiego rodzaju monety, bryłki złota i srebra. Deponenci otrzymywali ich równowartość w guldenach. Amsterdamsche Wisselbank przeprowadzał również przelewy pieniężne z konta jednego klienta na konto innego.

Verkeerspel — wczesna holenderska wersja tryktraka, często przedstawiana na obrazach jako przestroga przed samozadowoleniem. Słowo to oznacza „grę zmiany”.

Porównanie zarobków pod koniec XVII wieku w Amsterdamie

W ostatnim ćwierćwieczu XVII wieku 0,1 procent amsterdamskich bogaczy było w posiadaniu 42 procent majątku miasta.

Roczna pensja Skarbnika Generalnego Republiki (najwyższe stanowisko w rządzie) w 1699 roku wyniosła 60 tysięcy guldenów.

Bogaty kupiec — taki jak Johannes — zarabiał w granicach 40 tysięcy guldenów rocznie, nie licząc aktywów, które stanowiły osobną, znaczącą transzę jego majątku — najbogatsi kupcy pozostawiali spadkobiercom sumy sięgające 350 tysięcy guldenów.

Schout w Amsterdamie dostawał około 9000 guldenów rocznie.

Lekarz zarabiał w granicach 850 guldenów rocznie.

Przeciętny członek cechu lub mistrz (na przykład szewc, rzemieślnik wyrabiający świece, piekarz) zarabiał średnio 650 guldenów na rok. (Arnoud i Hanna mają wysokie dochody, ponieważ połączyli swoje majątki i poszczęściło im się na giełdzie).

Zwykły robotnik dostawał średnio 300 guldenów rocznie, czyli 22 stuivery na dzień.

Przykładowe wydatki domowe zamożnego amsterdamczyka pod koniec XVII wieku

Koszula męska — 1 gulden

Dług u aptekarza — 2 guldeny 10 stuiverów

Prosta spódnica damska — 2 guldeny

Renta dla wdowy z gildii męża — 3 guldeny na tydzień

Pejzażyk albo scenka z Biblii — 4 guldeny

Podomka — 10 guldenów

Wizyta medyka — 15 guldenów

Obraz bitwy morskiej w pozłacanej ramie — 20 guldenów

Solidna komoda na bieliznę — 20 guldenów

Obraz przedstawiający scenę myśliwską na modłę Cuypa — 35 guldenów

Płaszcz i kamizelka — 50 guldenów

Elegancka komoda na bieliznę z drewna orzechowego — 60 guldenów

Suknia z adamaszku — 95 guldenów

Koń wraz z saniami — 120 guldenów

Sto funtów homara — 120 guldenów

Przyjęcie do ekskluzywnej gildii lub cechu (na przykład złotników, malarzy, kupców winnych) — 400 guldenów

Dwanaście srebrnych talerzy — 800 guldenów

Dom dla pomniejszego handlarza i jego rodziny — 900 guldenów

Gobelin do pokoju w domu nad kanałem Herengracht — 900 guldenów

Sznur brylantów — 2000 guldenów

Domek dla lalek, wyposażony w ciągu kilku lat w 700 przedmiotów — około 10 tysięcy guldenów.

Podziękowania

Dziękuję pierwszym czytelnikom: Jake’owi Arnottowi, Lornie Beckett, Mahalii Belo, Pipowi Carterowi, Annie Davis, Emily de Peyer, Polly Findlay, Edowi Griffithsowi, Antonii Honeywell, Susan Kulkarni, Hellie Ogden, Sophie Scott, Teasel Scott oraz paniom z klubu książki Pageturners. Dziękuję, że nie powiedzieliście, że to bzdury, a także za wasze życzliwe, przydatne i pomysłowe spostrzeżenia. Mam tak ogromne szczęście do przyjaciół, że w następnym życiu chyba powrócę jako komar.

Pragnę podziękować Trzem Gracjom z długopisami i wykrzyknikami: mojej brytyjskiej wydawczyni Francesce Main, która łączy niesamowicie trafne uwagi i spostrzeżenia z życzliwością i delikatnością, a także moim wydawczyniom w USA i Kanadzie Lee Boudreaux i Jennifer Lambert, których przenikliwość i entuzjazm pozwoliły tej książce błyszczeć najpiękniej, jak to możliwe. Dziękuję wam trzem za wiarę we mnie i w miniaturzystkę.

W wydawnictwie Picador wyrazy wdzięczności niech przyjmą: Sandra Taylor, Jodie Mullish i Sara Lloyd, za całą pracę i dobry humor, Paul Baggaley za wsparcie duchowe oraz Nicholas Blake za dbałość o szczegóły. Słowa podzięki kieruję także do Line Lunnemann Andersen, Katie Tooke oraz Martina Andersena za cudowny projekt okładki z prawdziwym miniaturowym domkiem. Z serca dziękuję również Gregowi Villepique’owi oraz Ryanowi Willardowi z wydawnictwa Harper Ecco.

Marga de Boer z wydawnictwa Luitingh-Sijthoff niech przyjmie podziękowania za świetne uwagi na temat infrastruktury Amsterdamu, życia prawdziwej Petronelli Oortman oraz jej męża Johannesa, a także za szczegóły dotyczące prawnych i społecznych realiów Holandii pod koniec XVII wieku. Ewentualne nieścisłości pochodzą ode mnie, a moja biografia Nelli jest w całości dziełem wyobraźni.

Za rady medyczne dziękuję Jessice Cutler, Prasannie Puwanarajah oraz Victorii Scott. I jeszcze jedno — za ewentualne błędy odpowiada moja nadmierna wyobraźnia.

Za sokole oko dziękuję Gail Bradley.

Edwardowi Behrensowi i Penny Freeman, którzy wspaniałomyślnie pozwolili mi zaszyć się w ich domach, gdzie nie było Internetu, a tylko czas, spokój i cisza. Oraz wino.

Sashy Raskin za wspaniałą opiekę nad książką w USA.

A także: mojej agentce Juliet Mushens — doradczyni, mistrzyni, supergwieździe, przyjaciółce. Dzięki tobie to doświadczenie było cudowną zabawą. Jesteś wyjątkową agentką i zdumiewającym człowiekiem.

Lindzie i Edwardowi, znanym także jako Mama i Tata. Za to, że mi czytaliście, kiedy byłam mała, zabieraliście mnie do biblioteki, kupowaliście książki. Za to, że mówiliście: „To może napisz jakąś opowieść?”, kiedy się nudziłam w wieku lat sześciu, dwunastu, dwudziestu siedmiu. Za to, że zawsze, zawsze jesteście ze mną.

Margot, ty bezużyteczny futrzaku, za to, że łazisz mi po klawiaturze.

I Pipowi. Od czego zacząć? Za siedem lat miłości i przyjaźni, rozmyślań, zabawy i zdziwienia — dziękuję! Jesteś niesamowity.

Co za szczęście.